



**CAMILLA
GREBE
STĄPAJĄC
PO CIENKIM
ŁODZIE**

„SKANDYNAWSKA POWIEŚĆ NOIR
W NAJMROŹNIEJSZYM WYDANIU”. – *DAILY MAIL*

„WYJĄTKOWA”. – *PUBLISHERS WEEKLY*



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

**CAMILLA
GREBE
STĄPAJĄC
PO CIENKIM
LODZIE**

Z języka szwedzkiego przełożyła
Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska



Tytuł oryginału:
ÄLSKAREN FRÅN HUVUDKONTORET

Copyright © Camilla Grebe 2015
Published by agreement with Ahlander Agency
Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie autorki: © Viktor Fremling

Redakcja: Magdalena Stec
Korekta: Aneta Iwan, Edyta Antoniak-Kiedos, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-8110-042-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Dla Estelli i Fredrika

*Nie dowiesz się, kto jest twoim przyjacielem, a kto wrogiem,
dopóki nie załamie się pod tobą lód.*

PRZYSŁOWIE INUICKIE

Peter

Stoję w śniegu przed nagrobkiem mamy, gdy odzywa się moja komórka. Nagrobek jest prosty, z surowego granitu, sięga ledwie do kolan. Gawędziliśmy chwilę, mama i ja, o tym, jak trudno być policjantem w mieście, gdzie już nikt nie przejmuje się nikim poza samym sobą. I co chyba jeszcze ważniejsze: jak trudno być człowiekiem w takim mieście, w takim czasie.

Otupuję mokry śnieg ze sportowych butów i odwracam się w drugą stronę. Jakoś niezręcznie byłoby rozmawiać przez telefon przy grobie. Przede mną rozpościera się pofałdowany pejzaż Skogskyrkogården, cmentarza Leśnego. Wstęgi mgły unoszą się w mroku między koronami sosen, a poniżej czarne pnie drzew wystrzelają z białej połaci niczym wykrzykniki przypominające o przemijalności życia. Kapie z gałęzi i nagrobków. Śnieg topi się i wszędzie płynie woda, dostaje się także do moich cienkich butów, zbiera mi się w palcach. Powinienem kupić sobie porządne trapery, ale ciągle nie mogę się na to zdobyć. W oddali dostrzegam ciemne postacie znikające w głębi cmentarza. Bliscy zmarłych pewnie idą zapalić znicze albo położyć zielone gałązki na grobie.

Niedługo Boże Narodzenie.

Robię kilka kroków ku starannie odśnieżonej alejce i zerkam na wyświetlacz, chociaż już wcześniej wiedziałem, kto dzwoni. Dziwne uczucie w dołku nigdy mnie nie myli. Bardzo dobrze znam to ssanie i bulgotanie.

Odwracam się jeszcze i ostatni raz spoglądam na grób. Macham niezdarnie ręką i bąkam pod nosem, że niedługo znowu przyjdę. Oczywiście niepotrzebnie, bo przecież ona i tak wie, że zawsze wracam.

Czarna i błyszcząca Nynäsvägen prowadzi mnie w kierunku centrum. Czerwone tylne światła aut jarzą się jaskrawo na pasie przede mną. Wskazują drogę. Wzdłuż jezdni leżą grube zwały brudnego śniegu, a niskie i deprymująco jednostajne zabudowania okalają po obu stronach trasę wjazdową do Sztokholmu. Pojedyncze gwiazdy betlejemskie rozświetlają okna niczym pochodnie w nocy. Znowu zaczął padać śnieg. Zmieszane z deszczem płatki opadają

na przednią szybę i zacierają ostre kontury za oknem, sprawiając, że krajobraz mięknie. Słyszą jedynie odgłos pracujących wycieraczek zmieszany z monotonnym pomrukiem silnika.

Morderstwo.

Jeszcze jedno morderstwo.

Wiele lat temu, gdy jako stosunkowo młody policjant i świeżo upieczony dochodzeniowiec byłem wzywany na miejsce zbrodni, informacja o zabójstwie zawsze wzbudzała pewną sensację. Śmierć była synonimem tajemnicy, którą należało zgłębić, rozsupłać jak splątany kłębek wełny. Kiedyś wszystko dawało się rozwikłać. Wystarczyło mieć energię, wytrwałość i wiedzieć, za które nici pociągnąć przy odpowiedniej okazji. Rzeczywistość nie była niczym innym jak tylko zwartą materią utkaną z tych nici.

Mówiąc krótko: dawało się nad nią zapanować, ujarzmić ją.

A teraz jest już inaczej. Może straciłem zainteresowanie dla samej materii, zgubiłem wyczucie, które nici należy pociągnąć. Ale z czasem także śmierć nabrała innego znaczenia. Mama śpi w podmokłej ziemi na Skogskyrkogården. Annika, moja siostra, leży na tym samym cmentarzu, tylko kawałek dalej. A tata, który zapija się do nieprzytomności na Costa del Sol, jest na najlepszej drodze, by również tu wylądować. Zbrodnie, z którymi się spotykam, nie wydają się już takie ważne. Oczywiście mogę pomóc w ustaleniu, co się wydarzyło. Ubrać w słowa to, co niepojęte – ktoś został pozbawiony życia – i opisać bieg wypadków, które do tego doprowadziły. Mogę nawet dojść, kto jest winny, i w najlepszym razie doprowadzić mordercę przed oblicze sądu. Ale trupy nadal pozostają trupami, prawda? Trudno mi obecnie znaleźć sens w tym, co robię.

W okolicy Roslagstull zaczyna się robić coraz mroczniej i w tym momencie uświadamiam sobie, że dzisiaj w ogóle nie było jasno. I że dzisiejszy dzień minął w tej grudniowej szarówce równie niezauważony jak dzień wczorajszy i dni poprzednie. Gdy odbijam na E18 w kierunku północnym, ruch wyraźnie się nasila. Mijam jakieś roboty drogowe; samochód podskakuje na dziurach w jezdni, wprawiając drzewko zapachowe przy przedniej szybie w niepokojące kołysanie.

Mniej więcej na wysokości uniwersytetu dzwoni Manfred. Mówi, że jest jakaś cholerna afera, że zamieszany jest jakiś ważniak i że byłoby dobrze, gdybym się tak nie włókł, tylko wreszcie przyjechał. Wpatrując się przymrużonymi oczami w industrialny szary zmrok, odpowiadam mu, że musi uzbrow-

ić się w cierpliwość, bo jezdnia jest dziurawa jak ser szwajcarski i jeżeli przyspieszę, ryzykuję, że poodbijam sobie jaja.

Manfred parska swoim dobrze znanym rehotliwym śmiechem, który przypomina trochę odgłos wydawany przez świnię. Ale może jestem wobec niego niesprawiedliwy: Manfred jest gruby i może to tylko jego konstytucja fizyczna deformuje odbiór tego śmiechu i każe mi myśleć o pożądanym pochrumkiwaniu. A niewykluczone, że śmiech Manfreda brzmi tak samo jak mój.

Przypuszczalnie wszyscy brzmimy podobnie.

Pracujemy razem ponad dziesięć lat. Rok za rokiem staliśmy ramię w ramię przy stole sekcyjnym, przesłuchiwaliliśmy świadków i spotykaliśmy się ze zrozpaczonymi członkami rodzin. Rok za rokiem łapaliśmy różne szumowiny i czyniliśmy świat bezpieczniejszym. Czy na pewno? Wszyscy ci ludzie, którzy spali w lodówkach zakładu medycyny sądowej w Solnie, nadal nie żyją i tak już zostanie. Na wieki wieków. Nie jesteśmy nikim innym niż personelem sprzątającym, który wiąże luźne nici, gdy materia gdzieś pęknie i wydarzy się niepojęte.

Janet mówi, że jestem zrezygnowany i przygnębiony, ale ja nie wierzę Janet. Poza tym nie wierzę w depresję. Naprawdę nie wierzę. Moim zdaniem chodzi raczej o to, że uświadomiłem sobie ograniczenia ludzkiej egzystencji i po raz pierwszy trzeźwo patrzę na życie. Ona wtedy odpowiada, że to właśnie składa się na obraz choroby – dotknięta depresją osoba nie jest w stanie wznieść się ponad własną doświadczaną niedolę. Wówczas zwykle jej odpieruję, że depresja to chyba najbardziej opłaczalny wymysł branży medycznej i że nie mam ani czasu, ani ochoty na to, żeby nieprzyzwoicie bogate firmy farmaceutyczne jeszcze bardziej się wzbogaciły. A jeśli Janet mimo to chce nadal rozmawiać o moim samopoczuciu, zawsze odkładam słuchawkę. W końcu od czasu, kiedy byliśmy ze sobą, minęło ni mniej, ni więcej, tylko piętnaście lat, i nie widzę powodu, aby wałkować ten problem właśnie z nią. To, że akurat jest matką mojego jedyne dziecko, niczego nie zmienia.

Nawiasem mówiąc, Albin to dziecko, które nie powinno nigdy przyjść na świat. Nie dlatego, żeby było z nim coś nie tak – jest jak większość nastolatków: pryszczaty, prawdopodobnie przesadnie rozbudzony seksualnie i patologicznie zainteresowany gramami komputerowymi – tylko dlatego, że ja naprawdę nie byłem gotów zostać ojcem. W mrocznych momentach (a z upływem lat mam ich coraz więcej) myślę sobie, że ona zrobiła to specjalnie.

Przestała brać pigułkę i zaszła w ciążę, żeby zemścić się za tę historię ze słubem. To całkiem możliwe. Tyle że nigdy nie dowiem się prawdy, zresztą teraz nie ma to już większego znaczenia. Albin istnieje niezaprzeczalnie i cały i zdrowy mieszka ze swoją mamą. Czasami się spotykamy, ale niezbyt często – na Boże Narodzenie, na Świętego Jana i na jego urodziny. Uważam, że dla niego jest zdecydowanie lepiej, jeśli nie mamy ze sobą za dużo kontaktu. W przeciwnym razie istniałoby ryzyko, że on też mógłby się na mnie zawieść.

Niekiedy przychodzi mi do głowy, że może powinienem nosić w portfelu jego fotografię, jak robią to inni (prawdziwi) rodzice. Nieudolne szkolne zdjęcie na tle panneau w kolorze sepii, zrobione w sali gimnastycznej przez jednego z tych fotografów, którego marzenia nie zawiodły dalej niż do gimnazjum w Farsta. Bardzo szybko jednak dochodzę do wniosku, że nie powinienem w ten sposób oszukiwać nikogo, a przede wszystkim siebie. Bo moim zdaniem na bycie rodzicem trzeba sobie zasłużyć. Prawo do tego nabywa się, nie śpiąc po nocach, zmieniając pieluchy i robiąc całą masę innych rzeczy. I ma to niewiele wspólnego z genetyką i plemnikami, które nieświadomie zdeponowałem mniej więcej piętnaście lat temu, dzięki czemu Janet mogła spełnić swoje marzenie o macierzyństwie.

Dostrzegam dom już z oddali. Bynajmniej nie dlatego, że biały, przypominający skrzynię budynek jakkolwiek się wyróżnia w tej ekskluzywnej dzielnicy willowej – jest po prostu otoczony radiowozami. Pulsujące niebieskie światła odbijają się w śniegu, a rozpoznawalne z daleka białe vany techników kryminalnych stoją starannie zaparkowane kawałek dalej. Kiwam głową do mundurowych, pokazuję legitymację i przemykam pod niebiesko-białą taśmą lekko trzepoczącą na słabym wietrze.

Manfred Olsson czeka w drzwiach. Kiedy unosi rękę w pozdrowieniu, jego potężna sylwetka zasłania niemal całe wejście. Ma na sobie tweedową marynarkę, a z kieszonki na piersi wystaje różowa jedwabna chusteczka. Z rozmachem skrojone nogawki wełnianych spodni są starannie wciśnięte w niebieskie szpitalne ochraniacze.

– Lindgren, do diabła, już myślałem, że nigdy się nie zjawisz.

Spotykam jego wzrok. Nieduże jak ziarnka pieprzu, szelmowskie oczka tkwią głęboko zatopione w pulchnej twarzy. Rzadkie, lekko rudawe włosy są starannie zaczesane na mokro w sposób, który przywodzi na myśl aktora z ja-

kiegoś filmu z lat pięćdziesiątych. Nie wygląda na policjanta, przypomina raczej handlarza antyków albo historyka bądź sommeliera. W żadnym razie psa – czego niewątpliwie jest świadomy. I to do tego stopnia, że podejrzewam nawet, iż robi to dla jaj i dobrze się bawi, przeginając w swoim ekscentrycznym stylu ubierania się, aby prowokować zatwardziałyh gliniarzy.

– Nie mogłem...

– Tak, tak, wiadomo. Wina korków – mówi Manfred. – Dobrze wiem, jak to jest, kiedy człowiek trafi na niezły film. Zajeście trudno się oderwać.

Jego dosadny język mocno kontrastuje z dopracowanym i pełnym dbałości stylem ubierania się. Podaje mi ochraniacze na buty i rękawiczki, po czym dodaje ciszej:

– Ale kurewska jatka, mówię ci. No chodź, sam się przekonasz.

Wkładam ochraniacze i rękawiczki i robię duże kroki po kawałkach przejrzystego pleksi, które technicy rozłożyli jak popadło na podłodze w holu. Zapach krwi jest tak intensywny i dławiący, że niemal cofam się w pierwszym odruchu, choć przecież mam z nim do czynienia nie od dziś. Ściskanie w dołku staje się coraz mocniejsze. Mimo wszystkich miejsc zbrodni, które odwiedziłem, zwłok, które widziałem, w obcowaniu z tragiczną i gwałtowną śmiercią jest coś takiego, co wciąż sprawia, że jeżą mi się włoski na karku. Może chodzi o świadomość, jak raptownie wszystko się zmienia. Jak szybko może zgasnąć życie. Ale niekiedy bywa też odwrotnie – miejsce zbrodni albo martwe ciało zdradzają nieznośnie długą, zażartą walkę.

Skinięciem głowy pozdrawiam techników krzątających się w białych kombinezonach i rozglądam się po holu. Jest osobliwie anonimowy, wręcz bezpłciowy. Albo może tak bardzo męski. Czy to przypadkiem nie to samo? Przynajmniej jeśli chodzi o wystrój. Białe ściany, szara podłoga. Nigdzie nie widać jakichkolwiek rzeczy osobistych, które zwykle można znaleźć w holu: ubrań, toreb czy butów. Robię krok na następną plastikową płytę i zaglądam do kuchni. Czarne szafki kuchenne, one też na wysoki połysk? Stół w kształcie elipsy z krzesłami dookoła, podobny widziałem chyba w jakimś piśmie o urządzeniu wnętrz. Pod ścianą szpaler noży, odnotowuję, że chyba żadnego nie brakuje.

Manfred kładzie mi rękę na ramieniu.

– Chodź dalej.

Cofam się w głąb holu, uważając, żeby trafiać stopami na płyty. Staję obok technika uzbrojonego w aparat fotograficzny i notes. Duża plama krwi

rozlewa się pod jedną z płyt. Nie, to nie plama, raczej jezioro. Czerwone, lekkie jezioro świeżej krwi, które zdaje się pokrywać całą wewnętrzną część holu, od ściany do ściany i niżej, schody do piwnicy. Mnóstwo śladów stóp różnej wielkości prowadzi od jeziora do drzwi wejściowych.

– Co za pieprzona jatka – mamrocze pod nosem Manfred i z zadziwiającą zręcznością idzie dalej, mimo że płyty wydatnie uginają się pod jego ciężarem. Tabliczka z numerkiem stoi obok krwawego kłębu ubrań. Kątem oka dostrzegam nogę i czarny botek na wysokim obcasie, a potem dolną część ciała kobiety. Leży na plecach. Dopiero po kilku sekundach dociera do mnie, że to, co w pierwszej chwili wziąłem za pęk ubrań, to w rzeczywistości głowa, która leży na podłodze. A mówiąc dokładnie: stoi, jakby wyrastała z parkietu.

Jak grzyb.

Manfred przykuca z wyraźnym postękiwaniem. Ja pochylam się do przodu i chłonę ten makabryczny obraz. Dopuszczam go do siebie – to ważne. Naturalną reakcją byłoby wycofanie się, odwrócenie wzroku od tego ohydztwa, ale jako dochodzeniowiec już dawno temu nauczyłem się zwalczać taki odruch.

Twarz i brązowe włosy kobiety są umazane krwią. Gdybym miał zgadywać, co jest nieco trudne ze względu na stan, w jakim znajduje się ciało, powiedziałbym, że może mieć około dwudziestu pięciu lat. Także tułów jest powalany krwią, na przedramionach są chyba głębokie rany. Denatka ma na sobie czarną spódnicę, czarne rajstopy i szary sweter. Pod nią, nasiąknięta krwią, leży puchowa kurtka.

– Niech to szlag.

Manfred potakuje i pociera zarost na brodzie.

– Skrócona o głowę.

Teraz ja potakuję bez słowa. No bo co można odpowiedzieć na takie stwierdzenie? Przecież widać czarno na białym, że tak właśnie się stało. Swoją drogą odrąbanie głowy i przecięcie kręgow szyjnych wymaga niemałej krzepy. To już coś mówi o sprawcy: z całą pewnością nie zrobił tego niepełnosprawny. Morderca był piekielnie silny. Albo potężnie zmotywowany.

– Wiemy, kim ona jest?

Manfred kręci głową przecząco.

– Nie. Ale wiemy, kto tu mieszka.

– Kto?

– Jesper Orre.

Nazwisko brzmi znajomo, może to jakiś podstarzały hokeista albo wysłużony polityk. Coś mi świta, nie mogę sobie jednak przypomnieć, gdzie sły-
szałem je wcześniej.

– Jesper Orre?

– Tak, ten Jesper Orre. Prezes Clothes & More.

I nagle sobie przypominam. Kontrowersyjny szef C&M, najszybciej roz-
wijającej się sieci odzieżowej w Skandynawii. Człowiek z zajadłością hejto-
wany przez prasę. Za jego metody zarządzania firmą, za romanse i skandale
i za równie częste, co politycznie niepoprawne popisy w mediach.

Ciężko dysząc, Manfred wstaje. Ja też się prostuję.

– Narzędzie zbrodni? – pytam.

Bez słowa wskazuje w głąb holu. Przy schodach prowadzących chyba do
piwnicy leży duży nóż albo może maczeta. Nie widzę dokładnie. Obok tkwi
starannie ustawiona niewielka tabliczka z cyfrą pięć.

– Mamy tego Jespera Orrego?

– Nie. Zdaje się, że nikt nie wie, gdzie może być.

– A co wiadomo?

– Ciało znalazła sąsiadka, która przechodziła obok i zobaczyła, że drzwi
wejściowe są otwarte na oścież. Przesłuchaliśmy ją. Teraz jest w szpitalu, bo
pod wpływem szoku wysiadło jej serce. Tak czy siak, nie zauważyła nic
istotnego. Niestety łąziła po holu i sporo zdeptała, więc nie wiadomo, czy
chłopcy znajdą jeszcze jakieś ślady, które nam coś powiedzą. Krew jest też
na śniegu na zewnątrz. Sprawca prawdopodobnie próbował po sobie posprzą-
tać.

Rozglądam się wokół. Podłoga przy wyjściu jest pokryta gmatwaną
chaotycznych czerwonych śladów. Na ścianach widać plamy krwi i krwawe
odciski dłoni. Trochę to przypomina obraz Jacksona Pollocka: jakby ktoś roz-
lał czerwoną farbę na podłogę, wytarzał się w niej, a potem jeszcze rozpry-
skał ją dookoła siebie.

– Samo zabójstwo poprzedziła prawdopodobnie solidna nawałanka –
kontynuuje Manfred. – Kobieta ma na przedramionach i dłoniach obrażenia,
które wskazują na to, że się broniła. Według wstępnej oceny lekarza zmarła
wczoraj po południu między trzecią a szóstą. Ofiara miała około dwudziestu
pięciu lat, a bezpośrednią przyczyną zgonu była przypuszczalnie seria ciosów
i ran ciętych w szyję w związku z... no tak. Sam widziałeś.

Manfred zamilkł.

– A głowa? – mówię. – Jak ona wylądowała w ten sposób? Czy to może być przypadek?

– Lekarz i technicy twierdzą, że to raczej morderca ją tak postawił.

– Sakramencko to porąbane.

Manfred potakuje i wbija we mnie swoje małe brązowe oczka. Potem zniża głos, jakby strasznie zależało mu na tym, żeby nikt inny nie usłyszał tego, co mówi, chociaż poza nami w pokoju są jedynie technicy.

– Wiesz co? To cholernie mi przypomina...

– Przecież tamto było dziesięć lat temu.

– Mimo wszystko.

Teraz ja kiwam głową. Rzeczywiście, trudno zaprzeczyć, że są pewne podobieństwa do mordu na Södermalmie sprzed dziesięciu lat, którego nie udało się nam wyjaśnić mimo jednego z najbardziej rozległych śledztw w historii szwedzkiej kryminalistyki.

– Dziesięć lat temu – powtarzam. – Nie ma podstaw, żeby sądzić...

Manfred niedbale macha ręką.

– Wiem, wiem. Pewnie masz rację.

– A co z tym Orrem, który tu mieszka? Co o nim wiemy?

– Na razie nie za wiele, jedynie to, co można wyczytać w gazetach. Ale Sanchez pracuje już nad tym. Obiecała zgłosić się wieczorem.

– A co piszą o nim w gazetach?

– Standardowe plotki. Podobno bywa nazywany poganiaczem niewolników. Facet nie jest ulubieńcem związków zawodowych i w sądzie pracy toczy się niejeden proces przeciwko jego firmie. Najwyraźniej jest też znanym kobieciarzem. Kręci się wokół niego tłum panienek.

– Żona? Dziecko?

– Nic z tych rzeczy. Mieszka tutaj sam.

Rozglądam się po holu, a potem ogarniam wzrokiem obszerną kuchnię.

– Po co komuś, kto mieszka sam, taki gigantyczny dom?

Manfred wzrusza ramionami.

– Sam albo nie sam. Sąsiadka, ta, która trafiła do szpitala, mówiła, że okresami pomieszkują tu różne kobiety, ale że straciła już rachubę, ile ich było.

Zdejmujemy rękawiczki i ochraniacze z butów i wychodzimy z powrotem na dwór. Z dziesięć metrów dalej, z boku od wejścia, widać coś, co wy-

gląda jak spalony składzik, w połowie przysypany śniegiem.

Manfred zapala papierosa, kaszle i odwraca się do mnie.

– Zapomniałem ci powiedzieć. Trzy tygodnie temu był pożar w jego garażu. Firma ubezpieczeniowa bada sprawę.

Rzucam okiem na pozostałości zwęglonych belek sterczących ze śniegu i nagle widzę obraz sosen na cmentarzu Leśnym. Ich milczące, ciemne sylwetki tak samo odcinają się od bieli śniegu i wywołują identyczne niepokojące poczucie przemijania i śmierci.

W samochodzie w drodze do miasta znowu myślę o Janet. Jakoś tak jest, że najbardziej brutalne zbrodnie i najgorsze potworności zawsze sprawiają, że zaczynam o niej myśleć. Pewnie dlatego, że wytrąca mnie z równowagi tak samo mocno jak te przestępstwa. Albo dlatego, że na poziomie podświadomości czasami nawet bym wolał, żeby ona też była martwa, jak ta kobieta w białym domu. Co rzecz jasna wcale nie znaczy, że chciałbym ją uśmiercić, bo przecież w końcu jest mamą Albina, ale mimo wszystko czasami nachodzi mnie coś takiego.

Zanim się spotkaliśmy, moje życie było nieskończenie prostsze.

Janet pracowała w jednej z kawiarni niedaleko komendy policji na Kungsholmen. Zawsze się witaliśmy, kiedy tam wpadałem, a gdy gości było niewiele, wtedy nawet przysiadła się do mnie na chwilę. Częstoowała kawą i gała. Miała krótkie rozjaśnione włosy obcięte na punka i przerwę między przednimi zębami, która może dodawała jej uroku, a może wręcz odwrotnie, sam nie wiem, w każdym razie ta śmieszna szczelina przykuwała wzrok, była stałym punktem odniesienia, jak sztuczna mucha w pisuarze. Poza tym Janet miała fantastyczne cycki. Jasne, że były przed nią inne dziewczyny, i to nawet sporo, ale z żadną nie chodziłem tak na poważnie. Pojawiały się i znikwały, nie robiąc na mnie większego wrażenia. Nie sądzę też, by bycie ze mną odcisnęło na ich życiu szczególnie silne piętno.

Ale Janet okazała się inna. Była uparta, piekielnie uparta. Myślę, że może trzy albo cztery razy spotkaliśmy się w mieście na kolacji i mniej więcej tyle samo razy wylądowaliśmy w łóżku, kiedy ona zaczęła przebąkiwać o zamieszkanu razem. Oczywiście się nie zgodziłem. Nie czułem potrzeby, żeby mieszkać z nią, a jej ciągłe trajkotanie o niczym już trochę działało mi na nerwy. Coraz częściej łapałem się na tym, że najlepiej by było, gdyby ona zamknęła japę. Jednak czasami, kiedy patrzyłem na nią, jak spała nago w moim

ciasnym łóżku, uważałem, że jest nieopisanie piękna. Z ciszą i milczeniem było jej o wiele bardziej do twarzy niż z tym nieustannym tokowaniem. Marzyłem, żeby zawsze mogła być taka. Ale to było oczywiście całkiem niedorzeczne marzenie. Bo nie można poprosić swojej dziewczyny, aby była cicho i była naga.

W każdym razie nie przez cały czas.

Początkowo to trajkotanie dotyczyło głównie zwykłych spraw, na przykład wakacji. Janet potrafiła przyjść do domu z torbą pełną katalogów różnych biur podróży i poświęcić cały wieczór na maglowanie, gdzie najlepiej byłoby się wybrać. Na Majorkę czy na Ibizę. Na Wyspy Kanaryjskie czy do Gambii. Na Rodos czy na Cypr. Zastanawiała się, gdzie jest najlepsza pogoda, gdzie mają najsmaczniejszą kuchnię i gdzie da się zrobić najatrakcyjniejsze zakupy.

Zazwyczaj kończyło się tym, że rzeczywiście gdzieś wyjeżdżaliśmy i nawet nie było tak źle. W małej wiosce na wschodnim wybrzeżu Majorki mieliśmy niewiele do roboty, w związku z czym Janet prawie przez cały tydzień czytała *Dzieci Ziemi*, co oznaczało, że przynajmniej nie trzeszczała mi nad uchem. I siedziała w bikini prawie naga.

No a potem oczywiście był seks.

Fantastyczny seks, nie mogę zaprzeczyć. Niewykluczone, że sprzyjało mu też wino i litry sangrii sączonej przez nas w południowym słońcu. Janet była jak zwierzę – nieposkromiona i zarazem bardzo wrażliwa. Czasami nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że w jej zachowaniu w łóżku jest coś męskiego. Zachłanna, niecierpliwa żądza domagała się natychmiastowego spełnienia. Rozładowania, i to w zdumiewająco egoistyczny sposób. Brała to, co chciała, w tym przypadku mnie, moje ciało. I być może zdarzyło się raz czy dwa, w gorączce upojnej chwili, że całkiem serio rozważałem życie z nią. Może nawet coś takiego powiedziałem. Nie pamiętam.

Tak wielu rzeczy człowiek nie pamięta.

Ale ledwie wróciliśmy do domu, znowu zaczęła mówić o kupnie mieszkania. Oznajmiłem jej bez ogródek i wyraźnie, że nie jestem gotów na to, by mieszkać z nią pod jednym dachem, ona jednak jakby tego nie słyszała. Jak zwykle liczyło się tylko to, czego ona chce, a jej celem były mieszkanie i rodzina, przecież powinienem czuć podobnie, w końcu mam już trzydzieści trzy lata, czyż nie?

Wytatuowała sobie moje imię nad pośladkami: „Peter” na wstążce trzy-

manej w dziobach przed dwa gołębie. Jakoś mnie to dotknęło, chociaż nie do końca wiedziałem dlaczego. Tatuaz jest przecież na zawsze, a już sama myśl, że miałbym spędzić z Janet wieczność, wywołała u mnie ciarki na plecach.

Akurat wtedy zacząłem pracować jako dochodzeniowiec w policji kryminalnej i oczywiście byłem bardzo pochłonięty robotą. To był czas, kiedy podchodziłem jeszcze do każdej sprawy ogromnie serio, szczerze przekonany, że w ten sposób tworzę lepszy świat. Jakby w ogóle dało się ustalić, jak taki świat wygląda.

Lepszy świat?

Dzisiaj, piętnaście lat później, wiem już, że nic się nie zmienia. Pojąłem, że czas nie przebiega linearnie, tylko raczej zatacza koła. Może to brzmi pretenjonalnie, choć tak naprawdę to dosyć banalne. Czas jest okręgiem, jak zwinięte pęto kiełbasy. I nie ma się tu nad czym szczególnie rozwodzić. Jest, jak jest: pojawiają się nowe morderstwa, przychodzą nowi policjanci, którzy z romantycznym wyobrażeniem swojej zawodowej roli rzucają się na przydzielone im zadania. I nowi sprawcy, którzy ledwie trafią za kratki, szybko znajdują swoich następców.

To się nigdy nie kończy.

Wieczność jest okrągłym pętem kiełbasy. A Janet chciała dzielić je właśnie ze mną.

Czasami mi się wydaje, że na początku naszej relacji byłem bardziej nieugięty i stanowczy. Wtedy rzeczywiście miałem większy dystans do jej wymysłów. Ale stopniowo przełamała mój opór albo może ja zmieniłem taktykę obrony – stałem się mniej kategoriyczny. Kiedy wracała do tematu, odpowiadałem, że ewentualnie zamieszkamy razem za rok. A potem wynajdywałem różne przedziwne mankamenty wszystkich mieszkań, do których zdołała mnie zaciągnąć: a to piętro za niskie albo za wysokie (ryzyko pożaru!), a to za daleko od miasta albo za blisko (hałas!) bądź jeszcze co innego.

Za każdym razem, gdy wracaliśmy z takich oględzin, wyglądała na zdruzgotaną. Nic nie mówiąc, szła obok mnie ze wzrokiem utkwionym w asfalcie, a długa jasna grzywka zwisała jej przed oczami jak firanka. Torebkę przyciskała mocno do piersi niczym tarczę, a usta miała zaciśnięte w cienką, zsiniałą kreskę.

Janet była dobra w tych sztuczkach. Wiedziała, że poczucie winy, które starała się wywołać, jeszcze bardziej mnie zmiękczy i zmusi do uległości. Zachodziłem w głowę, gdzie ona się nauczyła tak manipulować ludźmi.

Być może właśnie te doświadczenia wyniesione ze znajomości z Janet sprawiły, że tak bardzo zachwyciłem się Manfredem, kiedy kilka lat później zacząłem z nim pracować. Mimo że na pierwszy rzut oka robił wrażenie niemal komiczne – częściowo za sprawą swojego wyglądu, a częściowo przez swój niewyparzony język – wydawał się mieć wewnętrzną siłę, która od razu wzbudziła mój podziw. Już po kilku dniach naszego partnerowania wziął mnie na bok i oznajmił, że właśnie się rozwodzi i że powinienem o tym wiedzieć, ponieważ prawdopodobnie będzie to wpływać na naszą sytuację w pracy.

Jego żoną była wtedy Sara i mieli ze sobą trójkę nastoletnich dzieci. Pamiętam, że spytałem go, co na to ona, a on mi odpowiedział, że „to nie ma najmniejszego znaczenia, bo ja się już zdecydowałem”. Jego słowa trochę mnie zszokowały. Wynikało z nich bowiem, że podjął decyzję całkiem sam i zamierzał doprowadzić do rozwodu *niezależnie* od tego, co sądziła Sara.

Nie do końca mieściło mi się to w głowie.

Jednocześnie zacząłem się niepokoić. Bo istniało ryzyko, że Manfred, który najwyraźniej był silny i przenikliwy, mógł mnie przejrzeć na wylot. I odkryć moją słabość: ambiwalencję i niechęć do związania się na stałe. Cechy, które z konieczności wykształciłem w sobie, były tak odrażające, że najlepiej było je ukryć. I to głęboko, bo kiedy tylko wypływały na powierzchnię, cuchnęły paskudnie, jak odpadki pływające po rzece.

Dwa lata później sam opowiedziałem mu o naszej historii ze ślubem. W pierwszej chwili wyglądał na osłupiałego, jakby nie do końca rozumiał, co usłyszał, a potem wybuchnął śmiechem. Śmiał się i śmiał, i to tak serdecznie, że trzęsa mu się broda i po pulchnych policzkach ciekły łzy. Po prostu pokładał się ze śmiechu.

Wiele można mówić o Manfredzie, ale jedno nie ulega wątpliwości: ten facet jak nikt inny potrafi patrzeć na życie od jaśniejszej strony.

Kiedy docieram do komendy na Kungsholmen, na dworze jest już prawie ciemno. I chyba zrobiło się też zimniej, bo zamiast deszczu ze śniegiem nad Polhemsgatan wirują duże, przypominające pierze płatki. Gdyby budynek komendy nie był tak potwornie brzydki, może nawet dałoby się zachwycić tym obrazkiem, lecz nad całym kompleksem dominują gigantyczne gmachy będące przykładem postindustrialnego brutalizmu w architekturze, tak modnego w latach sześćdziesiątych. Czworoboki światła przecinające fasadę zdradzają,

że koledzy wciąż pracują i że walka z nieprawością i szumowinami nigdy się nie kończy. Nie można liczyć na wolne nawet w piątkowy wieczór tuż przed Bożym Narodzeniem. Zwłaszcza gdy ofiarą brutalnego morderstwa padła młoda kobieta.

W drodze na trzecie piętro spotykam na schodach Sanchez.

– Wyglądasz na zmęczonego – mówi.

Ma na sobie kremową jedwabną bluzkę i czarne spodnie od garnituru, który to strój nadaje jej wygląd policjantki pracującej za biurkiem, co dokładnie odpowiada rzeczywistości. Ciemne włosy ma upięte wysoko, bez trudu dostrzegam więc tatuaż na karku – chyba jakiś rodzaj węża, który wiję się po plecach w kierunku lewego ucha, jakby chciał capnąć ją za płatek.

– Ty też nie wyglądasz najlepiej – odpowiadam.

Uśmiecha się zdradziecko miło, ale ja wiem od razu, że doczekam się stosownego komentarza później.

– Ustaliłam co nieco na temat Jespera Orrego. Cały materiał przekazałam Manfredowi.

– Dzięki – rzucam i ruszam wyżej.

Manfred popija herbatę przed komputerem i daje mi znak, żebym wszedł i usiadł. Na biurku stoją zdjęcia Afsaneh, jego młodej żony, i ich prawie rocznej córeczki Nadji.

– Chcesz coś przegryźć? – pyta.

– Dzięki, nie jestem głodny.

– Jasne. Trudno jeść po czymś takim.

Przypominam sobie głowę w kałuży krwi i myślę o wszystkich tych niesamowitych potwornościach, jakie ludzie robią sobie nawzajem, czasami na pozór bez jakiegokolwiek powodu, a niekiedy żeby się zemścić i podtrzymać konflikt trwający od wielu pokoleń. Przypominam też sobie audycję w telewizji sprzed kilku miesięcy. Próbowano w niej odpowiedzieć na pytanie, czy człowiek jest zwierzęciem o instynkcie pokojowym, czy morderczym. Już samo to pytanie wydało mi się osobliwe. Przecież nie ma najmniejszej wątpliwości co do tego, że człowiek to najniebezpieczniejsze zwierzę żyjące na naszej planecie, bo przecież nieustannie polujemy i pozbawiamy życia nie tylko przedstawicieli innych gatunków, ale i własnego. Powłoka cywilizacji jest równie cienka i powierzchowna jak jaskrawe lakiery z upodobaniem stosowane przez Janet.

– Masz coś o Jesperze Orrem?

Manfred potakuje, przesuwając swój pulchny palec po tekście przed sobą.

– Jesper Andreas Orre. Lat czterdzieści pięć. Urodził się i dorastał w Brommie.

Przerywa i wyciąga rękę po swoje okulary do czytania, ja tymczasem zastanawiam się nad tym, co usłyszałem. Czterdziestopięciolatek, czyli cztery lata młodszy ode mnie, i może winny bestialskiego zabójstwa. Albo może i on padł jego ofiarą, na razie nie da się tego ustalić, chociaż statystyki przemawiają za tym, że raczej musi być zamieszany w tę zbrodnię. Bo najprostszym wyjaśnieniem najczęściej jest to, które na końcu okazuje się prawidłowe.

Manfred odchrząkuje i czyta dalej:

– Od dwóch lat zarządza siecią odzieżową Clothes & More. Jest... nazwijmy to: kontrowersyjny. A mówiąc zwyczajnie: nie cieszy się sympatią. Podobno zwalnia ludzi za to, że na przykład ktoś został w domu z chorym dzieckiem czy coś w tym rodzaju. Tak przynajmniej utrzymują związki. Zresztą w sądzie pracy toczy się całkiem spora liczba procesów przeciwko firmie. W ostatnim roku jego dochód wyniósł cztery miliony trzysta siedemdziesiąt osiem tysięcy koron. Ani razu niekarany, ani razu nieżonaty. Regularnie pojawia się w mediach, najczęściej w kolorowej prasie, oczywiście zwykle chodzi o jego romanse i przygody miłosne. Sanchez rozmawiała z jego rodzicami i z sekretarką, ale w ciągu ostatnich godzin żadne z nich nie miało z nim kontaktu. Przez cały piątek był w pracy jak zawsze i podobno wydawał się całkiem normalny.

Wypowiadając ostatnie słowo, Manfred robi w powietrzu znak cudzysłowu, po czym patrzy na mnie znad oprawek okularów.

– Jakiś bliższy związek?

– Według rodziców nie. A sekretarka wspomniała, że od kiedy media zaczęły się nim interesować, zrobił się wyjątkowo milczący. Dostaliśmy kontakty do kilku przyjaciół, Sanchez ich przesłucha.

– A co z tym pożarem?

– No właśnie. Pożar. – Szuka w stosie kartek. – Jesper Orre budował sobie garaż, ale trzy tygodnie temu garaż się spalił, razem z jego dwoma samochodami. Zdaje się, że całkiem drogimi. Jeden to... niech no zerknę... MG, a drugi – porsche. Firma ubezpieczeniowa sprawdza, czy on sam nie maczał

w tym palców. Sanchez będzie z nimi rozmawiać.

Spoglądam przez okno. Śnieg pada coraz mocniej i przesłania widok za szybą. Manfred czyta w moich myślach.

– Już niedługo – rzuca. – Ja też muszę zaraz iść do domu. Nadja ma zapalenie ucha.

– Znowu?

– Sam wiesz, jak to jest w tym wieku.

Kiwam głową, ale myślę sobie, że wcale nie wiem. Albin już dawno nie jest niemowlęciem, a kiedy był mały, nie widywałem go prawie wcale. Zapalenie ucha, grypa żołądkowa – wszystko to ominęło mnie bezpowrotnie.

– Słuchaj no – odzywa się Manfred. – A może warto by trochę pogrzebać w tamtym starym śledztwie? Co nam szkodzi? Za dużo tu podobieństw, żeby tak po prostu je zignorować. Mógłbym pogadać z ludźmi, którzy się nim zajmowali. Przydałoby się też dotrzeć do tamtej czarownicy. Jak ona się nazywała? Hanne?

Odwracam się powoli ku niemu. Za wszelką cenę staram się nie zdradzić swoich uczuć, ani przez sekundę nie pokazać, w jaki sposób działa na mnie to imię. Jak wzbierają we mnie wspomnienia i przenikają do każdej komórki mojego ciała.

Hanne.

– Nie – mówię, może trochę zbyt gwałtownie, sam nie wiem. Nie panuję nad swoim głosem. Nie, z nią z całą pewnością nie powinniśmy się kontaktować.

Emma

Dwa miesiące wcześniej

– *Shit*, ale wielki brylant.

Chude palce Olgi chwytają pierścionek i unoszą go pod światło, jakby chciała sprawdzić, czy kamień jest prawdziwy.

– Bardzo piękny – mówi i oddaje mi klejnot. – Ile kosztował?

– To prezent. Nie pyta się o cenę prezentów.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Zapada milczenie.

– To chociaż powiedz, kim jest ten książę z bajki – odzywa się Mahnoor.

– Nie mogę...

– Daj spokój – prycha. – Przecież jesteście już zaręczeni. Więc po co te tajemnice?

Na jej ramieniu spoczywa gruby, ciemny warkocz. Wokół oczu zrobiła sobie szeroką czarną kreskę.

– To skomplikowane – zaczynam.

– Moja ciotka żyła ze swoim kuzynem. Przez dziesięć lat nie wspomnieli o tym nikomu – wtrąca Olga, próbując pomóc. – Mieli dwoje dzieci. To dopiero było skomplikowane. Bez picu.

– Przysięgam, on nie jest żadnym moim krewnym. Nie ma tu żadnego kazirodztwa. To jest jedynie... skomplikowane.

– Jak na Facebooku? *It's complicated*. – Olga śmieje się chytrze.

– Mniej więcej.

Znowu zapada milczenie i tylko słyszeć, jak lodówka w kuchennej niszy włącza się z sapnięciem. Jestem w stanie zrozumieć ciekawość moich koleżanek. Zareagowałabym podobnie jak one. Ale to jest zupełnie wyjątkowa sytuacja. Byłoby błędem i przejawem nieodpowiedzialności z mojej strony, gdybym powiedziała, a zwłaszcza Oldze i Mahnoor. To mogłoby zaszkodzić Jesperowi i w konsekwencji także mnie samej.

Poza tym obiecałam.

Olga zgarnia okruchy chleba na stole na kupkę i długimi, białymi akrylo-

wymi paznokciami rysuje w nich jakieś wzory.

– Naprawdę nie wiem, po co te tajemnice – nie odpuszcza. – Rozumiałabym, gdyby on był żonaty, wtedy to całkiem inna sprawa, ale przecież wy już się zaręczyliście. Dlatego...

Mahnoor unosi rękę.

– Emma nie chce powiedzieć. I uszanuj to.

Dzięki, spoglądam ku niej z wdzięcznością, na co ona uśmiecha się do mnie i odrzuca warkocz na plecy, Olga zaś mocno zaciska wąskie usta i wymownie wznosi oczy do nieba.

– *Whatever.*

Znowu zapada cisza. Po chwili Mahnoor odchrząkuje i pyta:

– A jak pogrzeb twojej mamy? Ładny był?

Mahnoor. Zawsze tak samo ostrożna i delikatna. Miękki głos i słowa wypowiedziane powoli i powściągliwie. Jak drobne, lekkie pieszczoty na skórze. Wciskam pierścionek na palec. Oddycham z ulgą.

– Tak. Niedużo ludzi, sami najbliżsi.

W rzeczywistości w małej kaplicy było tylko pięć osób. Dwa samotne wieńce leżały na prostej drewnianej trumnie. Organista grał psalmy, chociaż wiedziałam, że mama nienawidziła wszystkiego, co nosiło nazwę psalm albo modlitwa. Nawet po śmierci, tak samo jak za życia, trzeba ugiąć się przed tradycją, pomyślałam.

– A jak się teraz czujesz? W porządku?

Mahnoor wygląda na zatroskaną.

– Jest okej.

Tak naprawdę nie wiem, co czuję, ale to też byłoby zbyt trudne do wyjaśnienia. Sytuacja jest dla mnie kompletnie nierealna. Wciąż nie może pomieścić mi się w głowie, że to naprawdę jej duże i ciężkie ciało leżało upchnięte w trumnie. Że ktoś ją ubrał, uczesał sterczące, utlenione na jasny blond włosy i ją tam położył. Że skrzynię nakryto wiekiem i przybito je gwoździami, czy jak to się tam robi.

Co ja tak naprawdę powinnam czuć?

Rozpacz, smutek? Ulgę? Moje relacje z mamą były, mówiąc delikatnie, skomplikowane, a przez ostatnie lata, kiedy zaczęła pić na pełny etat, jak określała to jedna z moich ciotek, rzadko się ze sobą kontaktowałyśmy.

A teraz ta historia z Jesperem. W całym tym dramacie wręcza mi pierścionek i mówi, że chce ze mną być. Zerkam na brylant, który iskrzy się na

moim palcu, i myślę sobie, że niezależnie od tego, co się wydarzyło, nikt nie może mi go odebrać. Jestem tego warta, zasłużyłam na to.

Nagle drzwi otwierają się z hukiem.

– Ile razy mam wam jeszcze powtarzać, że nie możecie zostawiać mnie samego w sklepie? Siedzicie tu i palicie, a ja...

– Wcale nie palimy – przerywa mu ostro Olga i przeciąga dłonią po swoich długich włosach.

Jej reakcja mnie zadziwia. Stawianie się Björnemu zwykle źle się kończy. W tym momencie milknie jak zamurowany, prostuje swe długie chude ciało, wciska ręce głęboko w kieszenie dzinsów, które są niby całkiem sprane i wiszą mu odpowiednio nisko na tyłku, następnie, zakołysawszy się kilka razy na obcasach swoich kowbojek, wbija wzrok w Olgę i wysuwa brodę do przodu, co sprawia, że jego dolna szczęka sterczy jeszcze bardziej niż zwykle. Przypomina rybę, przebiega mi przez głowę.

– Prosiłem cię o zdanie? – zwraca się do Olgi.

– Nie, ale...

– No to trzymaj gębę na kłódkę i lepiej pomóż mi ometkować dzinsy, zamiast siedzieć tutaj i podziwiać swoje kretyńskie rosyjskie paznokcie.

Po czym odwraca się na pięcie i zamyka drzwi z trzaskiem.

– Chuj – stwierdza Olga, która mimo dziesięciu lat w Szwecji czasami ma problemy ze znalezieniem inwektywy właściwej do konkretnej sytuacji.

– Może lepiej już chodźmy – bąka Mahnoor i wstaje, obciągając sobie bluzkę, a potem otwiera drzwi.

W drodze do domu robię zakupy. Jesper lubi mięso, a dziś wieczorem będziemy świętować, wobec tego musi być połędwica wołowa – droga, ekologiczna, chociaż tak naprawdę mnie na nią nie stać. Kupuję jeszcze mieszankę sałat, pomidorki wiśniowe i kozi ser do zapieczenia na małych kromkach chleba. W monopolowym kręcę się między regałami. Przesuwam dłonią po pękatych butelkach stojących na baczność na półkach. Wino nie jest moją mocną stroną, ale zwykle pijamy czerwone, a Jesper uwielbia wina południowoafrykańskie, toteż w końcu decyduję się na pinotage za całe sto koron.

Kiedy idę Valhallavägen do domu, jest już ciemno. Od północy wieje zimny wiatr i drobne krople deszczu zacinają mi prosto w twarz. Opuszczam głowę ku czarnej, mokrej jezdni i przyspieszam kroku przed wejściem.

Dom pochodzi z 1925 roku i leży tuż przy centrum handlowym Fältöver-

sten w sztokholmskiej dzielnicy Östermalm. Mieszkała w nim jedna z moich ciotek, aż do śmierci trzy lata temu. Z niewyjaśnionego powodu jej mieszkanie przypadło w spadku mnie, co wywołało niemałe poruszenie w rodzinie. Bo dlaczego ja, Emma, niebędąca wcale blisko z Agnetą, mam odziedziczyć po niej lokum w samym centrum miasta? Co ja takiego wykombinowałam, żeby je podstępnie zdobyć? Ale w gruncie rzeczy to wcale nie było takie nie logiczne. Ciotka Agneta nie dorobiła się własnych dzieci i my dwie jednak miałyśmy ze sobą pewien kontakt. Pozostałe ciotki też czasami się spotykały, zdecydowane niezłomnie trwać w dysfunkcyjnym matriarchacie, ja zaś niekiedy uczestniczyłam w tych ich spotkaniach.

Otwieram drzwi i naciskam mosiężną klamkę. Uderza mnie znajomy zapach opiekanego chleba i środków czystości. I jeszcze jakiś inny, jakby stęchlizny, nie potrafię go dokładnie zidentyfikować. Organiczny i też nieobcy. Ostrożnie stawiam torby z zakupami na podłodze, zapalam światło w przedpokoju i ściągam z nóg przemoczone buty. Płaszcz wieszam na wieszaku, po czym przynoszę ręcznik i delikatnie osuszam nim płaszcz.

Na podłodze przy drzwiach wejściowych leżą dwie koperty. Podnoszę je i idę z nimi do kuchni. Kładę na stosiku innych nieopłaconych rachunków i wezwań. Stosik jest już całkiem spory, przypominam więc sobie, że muszę porozmawiać z Jesperem o pieniądzach. Może niekoniecznie dzisiejszego wieczoru, ale jak najszybciej. Nie mogę jedynie odkładać rachunków na kupkę. Kiedyś trzeba je zapłacić.

Wołam kota i wydaję z szafki puszkę. Gdy tylko rozlega się skrzypnięcie zawiasów, Sigge natychmiast się pojawia i zaczyna ocierać się o moje łydki. Schylam się, żeby pogłaskać go po czarnym futrze, przez chwilę z nim rozmawiam, a potem wracam do pokoju.

Moje mieszkanie jest umeblowane bardzo skromnie. Fotele Carla Malmstena odziedziczyłam po ciotce Agnecie. Nieduży składany stolik i krzesła stojące w przedpokoju kupiłam przez internet, a łóżko w Ikei. Mam też biurko, które znalazłam w Myrornie¹. Jest całe zawałone książkami i czerwonymi zeszytami. Bo poza pracą w sklepie uczę się w liceum. W klasie o profilu przyrodniczym. Rzuciłam szkołę. W moim życiu wcześniej działały się rzeczy, przez które ani nie mogłam, ani nie chciałam zakuwać, chociaż nauka zawsze przychodziła mi łatwo. Zwłaszcza matematyka. Świat cyfr ma w sobie coś wyzwalającego. Tam nie ma żadnej szarej strefy, żadnej przestrzeni na subiekty-

wizm czy interpretację; możesz policzyć albo dobrze, albo źle.

Chciałabym, żeby reszta mojego życia była równie nieskomplikowana.

Przez sekundę przemyka mi przed oczami obraz Gwoźdza: widzę jego długie czarne włosy, zebrane w kucyk na karku, widzę, jak opiera policzek na dłoni, kiedy słucha – zawsze zdawał się nam przysłuchiwać z zadziwiającą intensywnością. Jakby każde z nas miało rzeczywiście coś bardzo ważnego do powiedzenia. I może tak było. Otrząsam się i idę do pokoju.

Pewnego dnia przestanę myśleć o Gwoźdzu, wmawiam sobie. Pewnego dnia wspomnienie o nim zblednie jak stare zdjęcie z polaroidu i pójdę dalej, jakby nigdy go nie było.

Jest w moim domu jedna rzecz wartościowa – obraz Ragnara Sandberga, który wisi w sypialni. Naiwna kompozycja piłkarzy w kolorach żółtym i niebieskim. Bardzo go lubię. Mama często mi mówiła, że powinnam go sprzedać; podzieliłybyśmy się pieniędzmi i ona mogłaby przepić swoją część. Ale nie zdecydowałam się na to. Wolałam go mieć na ścianie, tam, gdzie wisiał od zawsze.

Ciotka Agneta zostawiła mi też trochę pieniędzy. Mówiąc dokładnie: sto tysięcy. Pieczołowicie ukryte stukoronowe banknoty znalazłam między bielizną pościelową w szafie. Mamie nie wspomniałam o nich ani słówkiem, bo aż za dobrze wiedziałam, co by z nimi zrobiła.

Podchodzę do okna i patrzę przez szybę.

Pięć pięter pode mną Valhallavägen ciągnie się jak gigantyczna czarna arteria, która transportuje ruch do Lidingövägen i dalej, do centrum; to część gigantycznego krwiobiegu dróg przecinających Sztokholm. Deszcz przybrał na sile. Bębni o szybę, pozostawiając na niej oleistą powłokę. Chyba musi być zimno, może nawet blisko zera, myślę i lekko się wstrząsam.

Wyjmuję z toreb zakupy, kroję kozi ser na kawałki i kładę je na małych kromkach. Włączam piekarnik i zabieram się do przygotowania sałaty. Potem biorę prysznic. Czuję, jak ciepła woda oblewa moje ciało. Wdycham gorącą parę. Namydlam dokładnie każdy centymetr ciała płynem, który on najbardziej lubi. Piersi są nabrzmiące i wrażliwe, kiedy je masuję. Na koniec myję jeszcze głowę i wychodzę ze staroświeckiej wanny.

Łazienka jest pełna pary, uchylam więc lekko drzwi, po czym ręcznikiem przecieram lustro i pochylam się do przodu. Twarz jest jakby trochę nabrzmiąca i lekko zaczerwieniona. Ale piegi i tak wyraźnie odcinają się od jasnej skóry, niczym setki wysepek rzuconych na chybił trafił na ocean. Jedne

są większe, inne mniejsze. Niektóre zlewają się w plamy i tworzą nieregularne brązowe kontynenty na bladym oceanie.

Zaczynam ostrożnie rozczesywać rudawe włosy grzebieniem o rzadkich zębach. Przyglądam się swoim piersiom. Są duże, zdecydowanie za duże jak na moją sylwetkę, mają jasnoróżowe sutki z szerokimi aureolami. Zawsze ich nienawidziłam, od samego początku, kiedy tylko te ohydne małe wybrzuszenia zaczęły być widoczne niczym wrzody pod moją jasną skórą. Robiłam wszystko, żeby je ukryć: nosiłam rozciągnięte swetry, chodziłam zgarbiona. Jadłam za dużo.

Jesper mówi, że kocha moje piersi, i ja mu wierzę. Leży mi między nogami, pieści je jak dwa małe szczeniaczki i czule rozmawia najpierw z jedną, a potem z drugą. Myślę, że miłość polega nie tylko na tym, że kochamy drugiego człowieka, ale też na tym, że patrzymy na samych siebie oczami tej ukochanej osoby. I widzimy piękno tam, gdzie wcześniej dostrzegaliśmy jedynie braki i mankamenty.

Maluję się w skupieniu. Jesper nie lubi mocnego makijażu, co nie znaczy, że mam z niego w ogóle zrezygnować. Chodzi tylko o to, by wyglądać na nieumalowaną. Osiągnięcie takiego efektu zabiera więcej czasu, niż można sobie wyobrazić. Potem spryskuję się perfumami we wszystkich strategicznych miejscach: na nadgarstkach, między piersiami, na karku, a także po wewnętrznej stronie ud. W końcu wkładam czarną sukienkę i nic pod nią, starannie wycieram stopy o łazienkowy dywanik i opuszczam łazienkę.

Jesper zwykle jest punktualny, mam więc ochotę wstawić grzanki do pieca już około siódmej, ale ponieważ będą gotowe w kilka minut, postanawiam poczekać do jego przyjścia. Deszcz nadal bębni o ciemną szybę z nie mniejszą intensywnością. Słychać odgłos oddalających się syren. Zapalam świeceki na stole. Płomienie drgają od powietrza ciągnącego z nieszczelnych starych okien, a cienie mebli nagle nabierają życia i rysują się niekształtnie na wysłużonych kuchennych szafkach i składanym stoliku. Przez kilka sekund całe pomieszczenie zdaje się kołysać, na dodatek mam wrażenie, że jest to zaraźliwe, bo raptem ja również czuję lekki zawrót głowy.

Przymykam oczy i chwytam się oparcia krzesła.

Myślę o nim.

Jesper Orre. Oczywiście, że słyszałam o nim, jego twarz migiała mi czasami w telewizji i na okładkach kolorowych gazet. Zdarzało się też, że obgadywa-

no go w pracy. Szef firmy nie należał do ludzi niebudzących kontrowersji, ani jeśli chodzi o sprawy zawodowe, ani o inne. Był kimś w rodzaju niegrzecznego chłopca branży modowej, o wątpliwej sławie osoby bezwzględnej i pozbawionej skrupułów. Kiedy objął stanowisko dyrektora, w ciągu miesiąca wyrzucił kierownictwo i stworzył własny zespół. Potem krok po kroku następowały zmiany w całej organizacji. Dwadzieścia procent pracowników musiało odejść. Rozesłano nowe instrukcje dotyczące obsługi klientów. Wprowadzono surowsze zasady dotyczące stroju personelu. Skrócono czas na lunch. Ograniczono przerwy na papierosa.

Gdy tamtego majowego dnia wszedł do sklepu, w pierwszej chwili go nie rozpoznałam. Jego zachowanie mogło wprowadzić w błąd: stał pośrodku działu dla panów i powoli obracał się wokół własnej osi, jak dziecko, które znalazło się w samym sercu cyrkowej areny i szeroko otwartymi oczami przygląda się widowni.

Podeszłam do niego i spytałam, w czym mogę mu pomóc. Na tym polega moja praca; firma opracowała specjalne manuały z gotowymi schematami pytań i odpowiedzi, których każdy pracownik powinien nauczyć się na pamięć – jeszcze jeden z pomysłów Jespera, który nie spotkał się z przychylnym przyjęciem związków.

Odwrócił się do mnie, wciąż z lekko zdezorientowaną miną, z zakłopotaniem dotknął swojej koszuli na piersi, wskazując na dużą pomarańczowo-czerwoną plamę.

– Za pół godziny mam posiedzenie zarządu – powiedział, starając się uciec przed moim wzrokiem i wpatrując się w jakiś odległy punkt sklepu.

– Spaghetti bolognese?

Znieruchomiał, przez jego opaloną twarz przemknął cień uśmiechu. W końcu spojrzał na mnie i wtedy go rozpoznałam. Po chwili znowu zerknął gdzieś w bok – na szczęście, ponieważ jego obecność wydała się nagle tak intensywna, tak silna, że zupełnie nie wiedziałam, co mam zrobić. W ciszy, jaka powstała, byłam niezdolna do zapanowania nad sytuacją.

Po kilku sekundach wzięłam się w garść.

– Jaki rozmiar?

Spojrzał na mnie znowu i wtedy zauważyłam, że wygląda na zmęczonego. Miał sińce pod oczami, szerokie pasma siwizny przebłyskiwały na skroniach, smutna bruzda w pobliżu ust ściągała jeden z kącików w dół, nadając całej twarzy niemal zgorzkniały wyraz. Wyglądał na starszego niż na zdję-

ciach. Na starszego i bardziej wyczerpanego.

– Rozmiar?

– No tak, koszuli.

– Oczywiście, przepraszam. Czterdzieści trzy.

– A jaki kolor pan sobie życzy?

– Nie wiem. Może biały. Jakiś neutralny. Odpowiedni na posiedzenie zarządu.

Odwrócił się do mnie plecami i powiódł wzrokiem po dziale. Ja tymczasem podeszłam do jednego z regałów i wyjęłam trzy koszule, które według mnie byłyby najlepsze. Kiedy znalazłam się znowu przy nim, wciąż stał w tym samym miejscu.

– Nie sądzi pani, że powinna być też konsultantką przy zakupach? – zapytał.

– Oczywiście.

W jego pytaniu nie było nic nadzwyczajnego, do moich obowiązków należało pomaganie klientom w wyborze właściwych strojów. Czekałam przed przymierzalnią, aż wyjdzie z niej w pierwszej koszuli – białej.

– I jak? Jest okej?

– Jak najbardziej. Leży idealnie. Proszę przymierzyć drugą.

Wahadłowe drzwi kabiny ponownie rozchyliły się bezszelestnie. Po dwóch minutach pokazał się w koszuli w niebiesko-białe paski z wyłogami kołnierzyka zapinanymi na guziczki.

– Hm.

– Nie podoba się pani?

Nagle zrobił tak zatrwożoną minę, że omal nie wybuchnęłam śmiechem.

– Owszem, podoba, ale może nie na posiedzenie zarządu. Chyba odpowiedniejsza byłaby trochę bardziej... oficjalna.

Kiwnął głową, jakby był gotowy dostosować się do najdrobniejszego skinięcia z mojej strony, po czym zniknął w przymierzalni.

– Myśli pani, że powinienem przymierzyć jeszcze tę trzecią? – dobiegł jego głos zza drzwi kabiny.

– Moim zdaniem koniecznie.

Zaczęło mnie to trochę śmieszyć. Bo oto uczestniczyłam w niecodziennej zabawie z szefem spółki, który incognito wkradł się do sklepu. Jak w jakiejś starej baśni, w której król przebiera się za żebraka, aby móc wmieszać się między swych poddanych.

Drzwi przymierzalni otworzyły się i Jesper stanął w nich tym razem w jasnoniebieskiej koszuli.

– Ta będzie idealna. Powinien pan wziąć tę – stwierdziłam. – Jest elegancka, ale nie taka smutna jak biała.

– Aha... to znaczy, że w tym sklepie sprzedajemy smutne ubrania?

Jego oczy nagle nabrały życia; przyjrzał mi się zupełnie z inną uwagą niż dotąd.

– Nawet nasi klienci potrzebują czasami smutnych strojów.

– *Touché.*

Uśmiechnął się i raptem zatrzymał w pół kroku przed kabiną.

– Podoba mi się pani. Jak się pani nazywa?

– Emma. Emma Bohman.

Skinął głową i zniknął za drzwiami, nic już nie mówiąc.

Gdy miałam zainkasować za koszulę, zdarzyło się coś, co na zawsze odmieniło moje życie. Jesper zaczął gorączkowo szukać portfela. Nie dało się nie zauważyć, że z każdą sekundą był coraz bardziej zakłopotany.

– Nie rozumiem. Powinienem go mieć...

Sprawdził w kieszeniach spodni i z rezygnacją pokręcił głową.

– Niech to jasna cholera – wymamrotał przez zęby.

– Nic się nie stanie, jeśli przyniesie pan pieniądze kiedy indziej. Wiem, kim pan jest.

– Nie ma mowy. Kasa nie będzie się pani zgadzała. Nie chcę stawiać pani w takim położeniu.

– Jeśli mnie pan oszuka, naślę na pana policję.

Mój żart chyba go nie ruszył, bo na jego czole, tuż u nasady włosów, pojawiły się małe krople potu. W zimnym sztucznym świetle lśniły niczym kryształki.

– Niech to jasna cholera – powtórzył, ale jakoś tak, że tym razem zabrzmiało to niczym pytanie, jakby oczekiwał rady ode mnie, jak ma wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji.

Pochyliłam się ku niemu i położywszy ostrożnie dłoń na jego przedramieniu, powiedziałam:

– Proszę posłuchać. Założę za pana i zostawię panu mój numer telefonu. Zwróci mi pan, kiedy będzie panu wygodnie.

I tak się stało.

Z wyraźną ulgą na twarzy wziął ode mnie kartkę z numerem telefonu, a gdy opuścił sklep, pomachał nią jeszcze do mnie, jakbym dała mu jakiś dyplom, i rzucił uśmiech w moją stronę.

Spoglądam na zegar wiszący nad telewizorem. Dwadzieścia po siódmej. Gdzie on się podziewa? Może pomylił godzinę i myśli, że umówiliśmy się na ósmą, a nie na siódmą? Czuję jednak niepokój w dołku. Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś tak punktualnego jak Jesper. Zawsze przychodzi na czas. I zawsze przynosi świeże kwiaty. Mówiąc krótko, jest dżentelmenem w każdym calu. Choć na pozór może wydawać się nieokrzesany i arogancki, a nawet brutalny, w istocie jest wrażliwy, czuły i niekiedy zabawny jak dziecko.

I punktualny.

Nalewam sobie jeszcze jeden kieliszek wina i włączam wiadomości. Francuscy rolnicy zwalili tony ziemniaków na obwodnicę Paryża w proteście przeciwko zmianie przepisów dotyczących unijnych dotacji. Po południu nad Salą przeciągnęła trąba powietrzna i poważnie uszkodziła nowo budowaną szkołę. Chińscy naukowcy odkryli gen, którego uszkodzenie odpowiada za raka prostaty. Wyłączam telewizor i zaczynam nerwowo manipulować przy komórce. Nie chcę dzwonić do Jespera, ale niepokoję się, czy czegoś nie pomylił: godziny, miejsca, dnia?

Wysyłam mu więc krótkiego esemesa z pytaniem, czy jest już w drodze, mając nadzieję, że nie jestem zbyt natarczywa.

Jesper Orre. Gdyby Olga i Mahnoor wiedziały.

A gdyby mama wiedziała...

Nagły ucisk w dołku. Byle nie myśleć o mamie. Za późno. Już czuję jej obecność w moim niedużym pokoju. Czuję odór piwa i potu. Widzę jasne cielsko wylewające się z kanapy, na której rozsiadła się przed telewizorem i głośno chrapie z opróżnioną do połowy puszką piwa bezpiecznie wciśniętą między kolana.

Mama zawsze robiła wielkie halo z tego, że w ogóle nie bierze do ust niczego mocniejszego od piwa. Lena, jedna z jej siostr, odpowiadała na to, że alkoholicy popijający piwo wysokoprocentowe są tragicznymi pijaczynami najędzniejszego sortu, bo jedną nogą są już w grobie, a drugą w drodze do supermarketu ICA, żeby uzupełnić zapas w lodówce.

A chyba najsmutniejsze jest to, że mama nie zawsze taka była. Kiedyś,

dawno temu, była inna. Wciąż pamiętam to wyraźnie i czasami się zastanawiam, czy przypadkiem większym smutkiem nie przepełnia mnie utrata jej w tamtym starym wydaniu niż jej śmierć.

Wczesne wspomnienie.

Siedzę z mamą na swoim wąskim łóżeczku w pokoju o brudnych ścianach, na których widać ślady palców, dłoni, a nawet stóp. „Co ty tu właściwie wyprawiasz, łazisz po ścianach jak małpa?” – pytała mama i wzdychała teatralnie, kiedy co jakiś czas próbowała zetrzeć te odciski wilgotną ścierką. Za oknem jest ciemno. Ktoś odgarnia śnieg na dziedzińcu. Słyszę świdrujące zgrzytanie, gdy łopata przebija się przez warstwę śniegu i trafia na kocie łby pod spodem. W domu jest zimno i obie z mamą jesteśmy w piżamach z długimi rękawami, mamy też skarpety na nogach. Opowiadanie o trzech niedźwiadkach leży na jej kolanach.

– No dalej – rzuciłam.

– Okej, ale już tylko trochę – odpowiedziała mama, ziewnęła i przewróciła sfatygowaną kartkę sklejoną taśmą w jednym rogu.

Wpatrywała się w tekst z zaciętym wyrazem twarzy.

– Kto spał w moim łóżeczku? – przeczytałam, przesuwając palcem po linijce tekstu.

Miałam wtedy siedem lat i chodziłam do pierwszej klasy. Nauczyłam się czytać, zanim poszłam do szkoły, choć nie pamiętam w jaki sposób. Przypuszczam, że niektóre dzieci jakoś same na to wpadają, po prostu łamią kod. W każdym razie nauczycielka była bardzo zadowolona ze mnie i któregoś dnia zadzwoniła do mamy, aby jej powiedzieć, że jeśli chodzi o czytanie, znacznie wyprzedzam pozostałe dzieci. A ponieważ „czytanie jest podstawą każdej innej nauki”, powinno dobrze mi się ułożyć w życiu.

– A następny rząddek?

– Mały niedźwiadek spojrział na dużego niedźwiedzia i po... pokręcił łebkiem – przeczytałam.

Mama kiwała głową w skupieniu. Sprawiała wrażenie, jakby rozmyślała nad jakimś skomplikowanym zadaniem matematycznym. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi i do sypialni zajrzał tata. W ręce trzymał książkę i paczkę papierosów. Półdługie włosy opadały mu miękką falą na twarz. Zawsze uważałam, że z tą fryzurą i niedbałym stylem ubierania się wygląda jak gwiazda rocka. Był fajny w zupełnie inny sposób niż pozostali ojcowie

i pozostałe mamy i często bardzo chciałam, żeby to on, a nie mama, odprowadzał mnie do szkoły.

– Chciałem tylko powiedzieć dobranoc – bąknął, wchodząc do środka. Podszedł do łóżka, pochylił się nade mną i pocałował w policzek. Miał kłujący zarost na brodzie i pachniał papierosami.

– Dobranoc – odparłam, odprowadzając go wzrokiem, kiedy ruszył z powrotem do drzwi. Chude plecy w połączeniu z fryzurą, a właściwie brakiem fryzury, i charakterystyczne kołysanie ramionami, gdy szedł – to wszystko sprawiało, że wyglądał na nastolatka.

Spojrzałam na mamę. Stanowiła całkowite zaprzeczenie taty. Miała potężne, obłe ciało, jak u jakiegoś zwierzęcia żyjącego w morzu, lwa morskiego czy walenia. Tlenione włosy sterczały na wszystkie strony, a piersi niemal rozrywały jej kraciastą flanelową piżamę za każdym razem, gdy tylko westchnęła trochę głębiej.

– Teraz twoja kolej – rzuciłam.

Mama zawahała się chwilę, ale w końcu przyłożyła palec wskazujący do tekstu.

– Ja nie spa... spa...

– Spałam – dokończyłam za nią.

Kiwnęła głową i zaczęła od nowa.

– Ja nie spał...łem w twoim łóżku, powiedział ma... ma... mały niedź...

– Niedźwiadek – uzupełniłam.

Mocno zacisnęła pięści.

– Niech to diabli. Niedźwiadek to trudne słowo.

– Niedługo będziesz uważać, że jest proste – stwierdziłam z powagą.

Mama spojrzała na mnie. Nagle jej oczy podejrzenie zabłyszczały, a ona chwyciła mnie za rękę.

– Naprawdę tak myślisz?

– No jasne. U mnie w klasie wszyscy czytają.

Że wszystkie inne mamy i wszyscy inni ojcowie też umieją czytać, tego jej nie powiedziałam, bo chociaż miałam tylko siedem lat, rozumiałam, że mogłabym jej sprawić przykrość. Jedynie ja wiedziałam, że ona nie potrafi czytać. Nawet tata i koleżanki mamy nie znały tej wstydlivej tajemnicy.

– Jutro też poćwiczymy – rzuciła i pocałowała mnie w policzek. – Ale nie mów nic tacie...

– Obiecuję.

Zgasiła lampkę i wyszła z pokoiku. Leżałam w łóżku, czując, jak po moim wnętrzu rozlewa się ciepło. I błogość, że jestem nie tylko kochana, lecz także potrzebna.

A gdyby mama wciąż żyła i mogła zobaczyć mnie i Jespera? Co by pomyślała? Coś każe mi przypuszczać, że byłaby raczej niezadowolona z niezdrowego zainteresowania, jakie prawdopodobnie kiedyś wywołała nasza znajomość. Pewnie ułożyłaby buzię w ciup, zrobiła zbolałą minę i wymamrotała pod nosem, że już o nią nie dbam, ale że w końcu można się było tego spodziewać, bo nigdy jej w niczym nie pomogłam. A potem zaczęłaby trajkotać o córce tej baby, pani Löfberg, która chociaż skończyła już trzydziestkę, ciągle jeszcze nie wyprowadziła się z domu i opiekowała się swoją starą matką.

Znowu zerkam na zegar. Wpół do dziesiątej. Powoli narasta we mnie dziwne uczucie dyskomfortu i zastanawiając się, jak je określić, uzmysławiam sobie nagle, że to strach. A jeśli Jesperowi coś się stało? Jest ciemno, wietrznie i ulice są na pewno pokryte grubą warstwą zmrożonego deszczu. Zastanawiam się przez kilka sekund, po czym sięgam po komórkę leżącą na stole. Waham się. To ciekawe, że mam takie opory przed tym, żeby do niego zadzwonić. Zupełnie jakby moja wartość zależała od tego, czy on pragnie mnie bardziej, niż ja pragnę jego – albo przynajmniej w takim samym stopniu. Jedynie zdesperowane kobiety są natarczywe, myślę, a zdesperowanych kobiet nikt nie chce kochać.

W końcu jednak dzwonię.

Od razu odzywa się sekretarka, czyli musiał wyłączyć komórkę. Dopijam więc wino, nakrywam się kocem i zamykam oczy.

Minął tydzień, zanim Jesper się odezwał i oświadczył, że chce oddać mi dług, a poza tym zaprosić mnie na lunch, jeśli nie mam nic przeciwko temu.

Spotkaliśmy się w sobotę niedaleko jego niedużego mieszkania na Söder, w którym nocował. W restauracji było tłoczno i bardzo głośno. W pierwszej chwili znowu go nie poznałam. Miał na sobie dzinsy i T-shirt i wyglądał znacznie młodziej niż wtedy w garniturze w sklepie. I w ogóle wydawał się zupełnie inny. Po nieporadności nie było ani śladu, trzymał się prosto, uśmiechał i emanował pewnością siebie.

– Cześć, Emmo – powiedział i przywitał mnie całusem w policzek.

Poczułam się dziwnie. Nikt nie całował mnie w policzek, nawet moja

własna mama. Zwłaszcza moja własna mama.

– Cześć – rzuciłam.

Odchylił się nieco do tyłu i nic nie mówiąc, przyglądał mi się uważnie, a gdy siedział tak, wciąż milcząc, zrobiło mi się nieswojo. Uznałam więc, że koniecznie muszę coś powiedzieć, żeby przerwać tę uciążliwą ciszę.

– Jak poszło posiedzenie?

– Dobrze.

Uśmiechnął się. W jego spojrzeniu był cień pożądliwości lub wręcz głodu, jakby patrząc na mnie, patrzył na coś jadalnego. Znowu poczułam się dosyć niekomfortowo w tej sytuacji.

– Właściwie dlaczego zaprosiłeś mnie na lunch?

Nie planowałam zadać mu tego pytania, ale jego sposób bycia wprowadził mnie w tak duże zakłopotanie, że uznałam, iż jedynym wyjściem jest brutalna szczerłość.

– Bo jestem ciebie ciekaw – odparł bez wahania, nie odrywając ode mnie oczu.

Spuściłam wzrok i utkwiałam spojrzenie w swoich nowych dżinsach, które kupiłam sobie specjalnie na tę okazję. Zabawne. Jakby dla Jespera Orrego miało jakiegokolwiek znaczenie to, jak jestem ubrana. Ja, zwykła ekspedientka.

– Wzbudziłaś moją ciekawość, ponieważ potraktowałaś mnie jak równego sobie.

Podniosłam wzrok. Przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że w jego spojrzeniu przemknął jakiś cień, może bólu albo obrzydzenia, jakby ugryzł coś zepsutego.

– Równego sobie?

Powoli pokiwał głową. Z baru dobiegł jakiś wielogłosowy wrzask. Odwróciłam się. W telewizorze, zamontowanym wysoko na ścianie, Arsenal właśnie strzelił drugiego gola Manchesterowi United.

Jesper pochylił się ponad stołem, jego twarz znalazła się blisko mojej. Tak blisko, że poczułam zapach wody kolońskiej i piwa, które pił. Znowu zrobiło mi się nieswojo.

– Kiedy jest się... kiedy ma się taką pracę jak ja – poprawił się – wtedy niewielu ludzi traktuje człowieka normalnie. Większość okazuje przesadny respekt. Niektórzy nie mają odwagi nawet odezwać się do mnie. Tylko nieliczni mówią, co tak naprawdę myślą i sądzą. To bywa niesłychanie męczące. I wywołuje poczucie samotności, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Ale ty po-

wiedziałaś mi, co myślisz. Potraktowałaś mnie jak zwykłego człowieka.

Wzruszyłam ramionami.

– A nie jesteś nim?

Roześmiał się szczerze i pociągnął łyk piwa. Jego przedramiona były mocno opalone i pokryte licznymi włoskami wypłowiałymi w słońcu.

– Mów, co chcesz, ale poczułem pewnego rodzaju *connection* z tobą. Jeśli jesteś szczerą...

– Tak?

– Jestem pewien, że ty też czasami czujesz się samotna. Inna? Odmienna od ludzi dookoła ciebie? Jak ktoś w rodzaju... obserwatora?

Pokiwałam powoli głową. On miał rację. Zawsze czułam się odmienna. Od wczesnych lat. I zawsze miałam dziwne poczucie, że gram we własnym życiu rolę drugoplanową: siedzę w bańce mydlanej i przyglądam się samej sobie od zewnątrz. Powstaje tylko pytanie: jakim cudem, do pioruna, Jesper Orre mógł mnie tak przeświecić w ciągu dziesięciu minut w sklepie?

Od strony baru dobiegł pełen zawodu zbiorowy jęk.

– Niewiele brakowało – skomentował Jesper.

– Skąd ty... to wszystko wiesz?

– Co?

Zerknął zdezorientowany na telewizor, jakby moje pytanie odnosiło się do meczu.

– No, o mnie. Sprzedałam ci koszulkę, a teraz siedzisz naprzeciwko i twierdzisz, że jesteśmy do siebie podobni. Że jesteśmy samotni. Przecież mnie nie znasz. Nie wiesz, kim jestem, skąd pochodzę, na czym zależy mi w życiu. Mimo to siedzisz tu i mówisz... to wszystko. Co pozwala ci sądzić, że możesz czytać we mnie jak w otwartej książce?

Pochylił szklankę z piwem, żeby się ze mną stuknąć, i puścił do mnie oko.

– Chyba już ci wspominałem, że podoba mi się, że traktujesz mnie jak równego sobie. Nie boisz się. Jesteś podobna do mnie.

Wypadłam z restauracji jak oparzona. Policzki mi pałały, a dłonie miałam mokre od potu. Nie wiem, co było silniejsze: irytacja, że nie wiadomo jakim prawem miał czelność przypisać mi cechy, na temat których prawdopodobnie nic nie wiedział, czy też pociąg, który już wtedy do niego poczułam. A jakby tego było mało, nie potrafiłam powstrzymać się od zadania sobie pytania, czy

on nie ma racji. Rzeczywiście jesteśmy podobni? Czy istnieje między nami *connection*, namacalne poczucie przynależności, które burzy wszelkie mury, takie jak pochodzenie, wiek i zawód?

Było tuż po czwartej, kiedy minęłam park Björns trädgård, biegnąc w kierunku stacji metra Slussen. Popołudnie było ciepłe i chociaż miałam na sobie tylko cienki top, strużka potu spływała mi między piersiami, toteż gdzieś w połowie Götgatan musiałam przystanąć, żeby złapać oddech. Ludzie mijali mnie we wszystkich kierunkach: weekendowi spacerowicze i zakupowicze, żebracy i zakwefione kobiety zmierzające do meczetu. Czułam się tak, jakbym znajdowała się pośrodku rwącej rzeki, jakbym nagle straciła kontrolę nad sterem i dryfowała przed siebie – zagubiona łódź na morzu ludzi.

Kiedy dotarłam do stacji metra, w wejściu dostrzegłam znajomą sylwetkę. To Jesper Orre. Nie wiem jak, ale najwyraźniej domyślił się, dokąd mogę się udać, i zdążył przede mną.

Wziął mnie za rękę.

– Chodź – tylko tyle powiedział.

Pociągnął mnie za sobą z powrotem w dół Götgatsbacken, ja zaś nie byłam w stanie zaprotestować, nie potrafiłam mu się oprzeć. Poczucie bezsilności było obezwładniające, ale jednocześnie wyzwalające. Oswobodzenie się od własnej odpowiedzialności i będącej jej następstwem winy. Szłam za nim. Zamknęłam oczy i pozwoliłam się prowadzić przez rzekę ludzi.

Jest trzecia nad ranem, kiedy budzę się na fotelu w dziwnej, na wpół leżącej pozycji. Kark mi zeszywniał i boli mnie, gdy próbuję go rozprostować. Ciemność za szybą zgęstniała w nieprzeniknioną ścianę, a wiatr wyraźnie przybrał na sile. Ciągnie od okna, wręcz czuję powiew zimnego powietrza na kolanach.

Z niewiadomego powodu przychodzi mi na myśl tata i owad, którego kiedyś znaleźliśmy. Miałam wtedy chyba dziesięć czy jedenaście lat. Larwa, wyjątkowo pękata i jasnozielona, przypominała trochę żelkę z włoskami na wierzchu. Była takiego samego kształtu, na wpół przezroczysta, więc było widać wszystko w środku. Od spodu znajdowało się mnóstwo miniaturowych nóżek, a na samym końcu – jeden samotny wyrostek. Łaskotała, kiedy pełzła mi po usianej piegami dłoni i dalej, po przedramieniu.

– Czy to coś może ugryźć? – spytałam.

Tata pokręcił głową.

– Nie, ten mały wyrostek, który widzisz na końcu, to tarczka analna. Jest całkiem niegroźna.

Gąsienica pełzła dalej, a ja odwróciłam wewnętrzną stronę przedramienia w taki sposób, aby mglista smuga światła padająca z okna oświetliła małe zielone ciało. Nagle stało się prawie całkiem przezroczyste. Tkwiło na mojej ręce niczym roziskrzony, doskonale wyszlifowany szlachetny kamień.

– Gdzie to znalazłaś? – zaciekał się tata.

– W krzakach przy huśtawkach.

Skinął głową.

– Ona żywi się liśćmi. Chodź, przyniesiemy jej coś do jedzenia.

Przeszliśmy po cichu przez przedpokój, żeby nie obudzić mamy. Gdy drzwi wejściowe zamknęły się z kliknięciem, tata kiwnął na mnie głową, abym poszła za nim. Domy wznosiły się dookoła niedużego skweru, otaczały skromną plamę zieleni swoimi wysokimi betonowymi cielskami. Słońce nie wzniosło się jeszcze ponad dachami i dziedziniec leżał spowity cieniem. Nie było żywego ducha. Huśtawki wisiały nieruchomo na metalowych stelażach, a pusta piaskownica czekała na dzieci, które już niedługo miały się obudzić. Na zwirowej ścieżce obok leżało kilka popękanych plastikowych łopatek. Gdzieś z daleka słychać było orientálną muzykę i krzyk dziecka. Zapach kawy unosił się w powietrzu wczesnego lata.

– Tutaj – powiedziałam, wskazując na krzew z kolczastymi gałęziami.

Tata, nic nie mówiąc, ułamał kilka mokrych od porannej rosy pędów i spojrzał na mnie z powagą.

– Zbudujemy dla niej małe gniazdko.

Włożyliśmy gałązki do słoika i wróciliśmy do mieszkania równie cicho, jak je opuściliśmy. W przedpokoju było ciemno i trochę zalatywało maminy-mi papierosami Gula Blend. Z sypialni obok dochodziło jej chrapanie. Tata szukał czegoś w szafce i grzebał w szufladzie z różnymi domowymi narzędziami. Kiedy wrócił do przedpokoju, trzymał w ręce niewielki ostry przedmiot.

– To jest igła – powiedział szeptem, po czym kilkakrotnie przekłuł nią plastikowe wieczko słoika, tworząc w ten sposób otwory, aby mieszkanka naczyń miała czym oddychać. Gąsienica zdawała się akceptować swój nowy dom. Najwyraźniej nie miała zbyt wygórowanych wymagań: wystarczyła jej garstka liści i parę gałązek, i zaraz umościła się wygodnie na jednej z nich.

– I co teraz będzie?

– Coś wspaniałego – powiedział tata, ocierając kropelki potu ze spalonego słońcem czoła. – Coś naprawdę fantastycznego. Ale musisz być cierpliwa. Będziesz?

Wyciągam rękę po komórkę. Żadnych nieodebranych połączeń. Ani jednego esemesa. Jesper nie przyszedł na naszą zaręczynową kolację, nie wyjaśniając dlaczego. Czy mam być wściekła, czy zaniepokojona? Postanawiam, że jeśli nie siedzi z nogą w gipsie gdzieś na oddziale ratunkowym, to zasłużył sobie na solidną reprimendę.

Z kocem na ramionach wlokę się do kuchni. Wstawiam sałatę, kanapki z kozim serem i wino do lodówki. Potem wołam Siggego i kładę się do łóżka.

Szaroniebieskie światło świtu przesącza się przez cienkie zasłonki. W pokoju jest chyba zimno, wsuwam się więc jeszcze głębiej pod kołdrę, żeby się ogrzać. Sigge, który zwinięty w małą kulkę leży mi w nogach, budzi się i liże sobie łapki. Przez kilka sekund nie myślę o niczym konkretnym, jedynie chłonę miłe ciepło i przytłumiony odgłos kropel deszczu uderzających o szybę.

A potem sobie przypominam.

Jesper nie pojawił się wczoraj. Z niewiadomej przyczyny nie pojawił się na własnej kolacji zaręczynowej i zostawił mnie samą w wydekoltowanej czarnej sukience bez niczego pod spodem i z talerzami uginającymi się od apetycznych kanapek.

Komórka leży na podłodze. Nadal żadnych nieodebranych połączeń. Żadnych wiadomości.

Siadam na łóżku. W pokoju jest zimno i chociaż kiedy podchodzę do okna, mocno otulam się kocem, wyraźnie czuję, jak lodowate powietrze wnika przez szpary w nieszczelnych oknach.

Obserwuję poranny ruch na ulicy – sznury samochodów powoli przesuwają się Valhallavägen na północ. Malutcy ludzie, niewiele więksi od mrówek, suną w kierunku wejścia do metra. Idę do pokoju, żeby posłuchać wiadomości. Jeśli coś się wydarzyło – jakiś wypadek czy zbrodnia – być może o tym powiedzą. Kiedy opadam na jeden z zielonych foteli, czuję, że zbiera mi się na wymioty. Właściwie ile ja wczoraj wypiałam? Może powinnam coś zjeść?

Przechodzę do kuchni i otwieram lodówkę.

Kanapeczki leżą starannie poukładane na talerzu. Biorę dwie do ręki, wracam do pokoju i włączam telewizor. Ale ekran jest czarny, a krótki żółty napis informuje, że brak sygnału. Wpycham do ust jedną kanapkę i znowu idę do kuchni. Domyślam się, o co chodzi. Biorę ostrożnie plik rachunków, siadam przy stole, wkładam do ust drugą kanapkę i zaczynam rozrywać koperty. Wyciągam jedno za drugim upomnienie: z elektrowni, od operatora komórkowego i z poczty.

To wszystko w pewnym sensie jest także wina Jespera. Miesiąc wcześniej pożyczyłam mu pieniądze i od tamtej pory odkładam rachunki na kupkę, zamiast je płacić. Moja pensja, tak czy inaczej, nie wystarcza – i nigdy nie wystarczała – ale wcześniej zawsze miałam rezerwę do wykorzystania.

Otwieram ostatnią kopertę, od Com Hem, i szybko przelatuję wzrokiem tekst pisma, w którym grozi mi się, że sygnał telewizyjny i internet szerokopasmowy zostaną wyłączone, jeśli w ciągu dziesięciu dni nie ureguluję należności.

List został wysłany przed dwoma tygodniami.

Wyrzucam koperty i biorę do ręki plik rachunków. Waham się chwilę, nie bardzo wiem, co mam z nimi zrobić. A potem wpycham je do pustego blaszanego chlebaka i zamykam wieko ze skrzypnięciem.

W metrze czytam w komórce wiadomości. Kogoś śmiertelnie dźgnięto nożem w Rinkeby, uliczne zamieszki w Malmö, ale ani słowa o Jesperze Orrem. Nie ma też wzmianki o żadnych wypadkach drogowych minionej nocy.

Wagon kolejki wprost pęka w szwach, a ciepłe powietrze i zapachy wydzielane przez ciała pasażerów powodują, że znowu robi mi się niedobrze. I to tak bardzo, że muszę wysiąść na Östermalmstorg, zdjąć kurtkę i posiedzieć przez chwilę na ławce. Z twarzą ukrytą w dłoniach widzę kątem oka, jak mijający mnie ludzie zerkają w moją stronę ze zdziwieniem albo z zaniepokojeniem, nikt jednak się nie zatrzymuje, żeby spytać, czy coś mi dolega. I jestem za to wdzięczna.

Myślę tylko o jednym i tylko jedno chcę wiedzieć: gdzie jest Jesper i dlaczego wczoraj nie przyszedł?

Hanne

Wszyscy, którzy twierdzą, że zbyt wysokie wymagania wobec życia to prosta droga do unieszczęśliwienia siebie, mylą się. Ja nigdy nie miałam żadnych specjalnych oczekiwań od życia, nie spodziewałam się szczęścia, pieniędzy czy sukcesów. A mimo to siedzę tu teraz, złamana rozczarowaniem, którego nawet nie jestem w stanie wyrazić. Nie sposób nazwać tego stanu, ponieważ wykracza on poza to, co potrafią opisać słowa. Może to jest większe ode mnie. Może to ja mieszkam w rozczarowaniu, a nie odwrotnie.

Jakby było domem, w którym jestem zamknięta.

Pewne wyjaśnienie stanowi to, że nie mogę już polegać na własnym ciele. Że mój intelekt, moja pamięć pękają, rozpadają się i zamieniają w małe, nieuchwytnie okruchy, których nie da się na powrót zlepić w sensowną całość.

Patrzę na kasetkę na leki stojącą na szafce. Na małe białe i żółte tabletki powkładane do przegródek oznaczonych dniami tygodnia. Zastanawiam się, czy te wszystkie lekarstwa, które wpycham w siebie, odnoszą jakiś skutek. Podczas ostatniej wizyty u lekarza usłyszałam, że nie da się powiedzieć nic pewnego o dalszym przebiegu choroby. Może rozwinąć się szybko albo wolno, mogą minąć miesiące lub lata, zanim osunę się w niepamięć i chaos. Lekarstwa mogą zadziałać bądź nie – nawet tego nie da się przewidzieć – ale to, że zachorowałam w dosyć młodym wieku, mając dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat, przemawia za tym, że przebieg choroby może być gwałtowny.

Gdy lekarz wypowiedział te ostatnie słowa – że przebieg choroby może być gwałtowny – odłożyłam notes z pytaniami, które sobie przygotowałam. Nie chciałam usłyszeć już nic więcej.

Czasami lepiej jest nie wiedzieć.

Kiedy tylko sięgam po puszkę z szafki, niemal natychmiast słyszę dreptanie psych łap w przedpokoju – po chwili Frida staje przede mną i wpatruje się we mnie swoimi ciemnym oczami. Głowę ma lekko przechyloną na bok, a spojrzenie uważne, błagalne. Czemu tak żebrzesz, myślę. Czy kiedykolwiek się zdarzyło, żebyś nie dała ci jeść?

Po chwili dochodzę do wniosku, że może jednak kiedyś zapomniałam ją nakarmić. Nieustannie o czymś zapominam, nie zdając sobie z tego sprawy. Rozglądam się po przytulnej kuchni. Drzwi szafek są oklejone małymi żółtymi karteczkami, które stosuję jako przypominalki. Owe nie cierpi tych świstków. Prawdopodobnie dlatego, że nienawidzi mojej choroby oraz tego, co ona ze mną robi, chociaż podejrzewam, że bardziej nie znosi tego, co ta choroba robi z nim. Jak wystawia go na niebezpieczeństwo utraty nieskazitelnego obrazu siebie i dorobku całego życia: perfekcyjnego domu, pięknej, inteligentnej żony, kolacyjek z przyjaciółmi ciągnących się do późna w nocy. Dał mi już do zrozumienia, że nie ma ochoty zapraszać do nas kogokolwiek, dopóki kuchnia wygląda tak, jak wygląda, ale ja wiem, że on się wstydzi. Bo to przecież jest upokarzające – utrata kontroli nad sobą w taki żałosny sposób jest upokarzająca.

Idę do salonu. Ogarniam wzrokiem swoje uporządkowane życie: dostrzegam kuszącą miękkość poduszek, stare świeczniki zrobione z kości wieloryba i regały z książkami sięgające od podłogi po sufit. Maski i niewielkie figurki z całego świata są wciśnięte między książki świadczące o podróży, która nigdy nie doszła do skutku: *This cold heaven: Seven seasons in Greenland*, *Inuit art* i *Eskimo essays - tales from the top of the Earth*.

Owe nie podziela mojej fascynacji Grenlandią i Inuitami. Nie potrafi zrozumieć, co może być ciekawego w tym niegościnnym, pozbawionym świadectw kultury arktycznym kontynencie. Nie da się tam grać w golfa, jedzenie smakuje jak gówno (jego słowa), no i dotarcie tam kosztuje majątek.

Chyba porzuciłam już nadzieję, że kiedykolwiek zobaczę moją Grenlandię. Nie jestem bowiem pewna, czy miałabym tyle odwagi i wybrałabym się w taką podróż sama. Chyba nie teraz, kiedy choroba czyha na mnie dosłownie wszędzie. Czeka, żeby mnie połknąć, tak jak w legendzie ocean połknął Sednę.

Piękna, ale próżna młoda Eskimoska wyprowadziła się od swojego ojca z fulmarem, aby zostać jego żoną. Ptak obiecał jej, że zabierze ją do cudownej krainy, w której nigdy nie będzie głodna, jej namiot będzie zrobiony z najpiękniejszych skór, a ona będzie odpoczywać na puszystych skórkach niedźwiedzich. Lecz gdy dziewczyna dotarła na miejsce, okazało się, że po starym i brzydkim namiocie hula wiatr i jest w nim zimno, a ona musiała spać na zniszczonej i twardej skórze z rekina, do jedzenia zaś dostawała jedynie resztki surowej ryby.

Gdy nadeszła wiosna, ojciec wybrał się odwiedzić Sednę, a kiedy zastał ją w krainie fulmarów załamana i pozbawioną sił, zabił jej męża, zabrał córkę i wyruszył z nią swoim kajakiem w drogę powrotną do domu.

Ptaki postanowiły się zemścić. Wywołały potężny sztorm i ojciec był zmuszony oddać córkę oceanowi w ofierze, aby uśmierzyć gniew fulmarów i je przejednać. Wyrzucił ją za burtę do lodowatej wody, a kiedy nie chciała puścić się łodzi, odciął jej wszystkie palce, jeden po drugim. Palce opadły na dno i przemieniły się w delfiny i foki. Gdy w końcu ocean pochłoniął także Sednę, została ich władczynią – boginią mór.

Prastara legenda o Sednie przestrzega młode Inuitki przed tym, aby nie były zbyt zadufane i nie przeciwstawiały się woli swych ojców. Ale mówi też o nieprzejednanych żywiołach i siłach. Takich, nad którymi nie mamy władzy i tylko możemy je obłaskawić, żeby nas nie zniszczyły.

Chociaż nie brakuje mi jedzenia i mam ciepłe łóżko, do którego mogę wrócić każdego wieczoru, jest też choroba, gotowa mnie pochłoniąć i zawładnąć mną w pustej, pozbawionej wspomnień egzystencji, która czeka.

Owe nie chce, żebyśmy powiedzieli naszym przyjaciółom o chorobie. Jeszcze nie teraz. Powtarza to irytująco często, ale za każdym razem dodaje, że będzie przy mnie i się mną zaopiekuje. To akurat zawsze robiłaś, przemyka mi przez głowę, lecz milczą. Mówiąc szczerze, było tak: Owe zawsze nad mną czuwał. Od pierwszej chwili, kiedy się poznaliśmy – ja miałam wtedy dziewiętnaście lat, a on dwadzieścia dziewięć. Ratował mnie na autostradzie, jeśli popsuł mi się samochód, zabierał z imprez, jeśli wypiałam za dużo, a nawet niewzruszenie wyciągał z łóżek obcych facetów, jeśli raz czy dwa spróbowałam na poważnie się zbuntować, zdradzając go. A potem, jakby nic się nie stało, był równie wyrozumiały jak wcześniej. Wyrozumiały i wielkoduszny. Dawał mi tabletki, które otępiały i uspokajały. Mówił, że wie, że czuję się podle, ale problemy nie znikną od tego, kiedy rzucę się w ramiona jakiegoś kolegi czy będę szukać przypadkowych znajomości. Że nie rozumiem samej siebie, ale on i tak mnie kocha.

Cała ta lepka opieka sprawiła, że wraz z upływem lat zaczęłam się dusić w naszym związku i dzisiaj jest tak, że w jego obecności nie potrafię oddychać, jakby zajmował tyle miejsca, że dla mnie już nie starcza tlenu. Czasami mu to nawet mówię, na co on zwykle odpowiada, że gdybym nie była tak niedojrzała i nieodpowiedzialna, wcale nie musiałby postępować w ten sposób. I że to ja zrobiłam z niego kogoś takiego.

Czyli moja wina. Znowu.

Niekiedy myślę, że może częściowo to prawda, ale z całą pewnością nie cała. Jego potrzeba kontrolowania jest patologiczna i dotyczy każdej sfery mojego życia: tego, co jem, z kim się zadaję, a nawet co myślę.

Dziesięć lat temu byłam bardzo bliska, by odejść od niego. Gdyby tamtego dnia wszystko nie poszło na opak, dziś nie byłabym z Owem. Nie wolno jednak tak myśleć, bo wtedy można oszaleć. Tyle jest w życiu spraw, które ułożyły się inaczej, niż sobie wyobrażaliśmy, jednak to nie powód, aby być zgorzkniałym. Walczę więc z poczuciem zawodu jak z chwastem, nie pozwalam, aby ukorzenił się na dobre. Staram się trzymać tego, co pozytywne: swojej pracy, badań, którym przez ostatnie dziesięć lat poświęciłam życie, przyjaciół, którzy stali się moją rodziną, zastępując dziecko, którego nie udało mi się mieć.

Stawiam miskę na stałym miejscu na podłodze i przyglądam się Fridzie, jak łapczywie połyka jedzenie. Zastanawiam się, czy życie psa nie jest mimo wszystko lepsze. Potem zbieram swoje rzeczy. Przynoszę też notes i zapisuję: kawiarnia w Ikei, godz. 14.00, pomoc Gunilli wybrać meble. Drobną przypominajką, na wypadek gdybym zapomniała, dokąd jadę. Co prawda nie jest jeszcze aż tak źle – pamiętam, dokąd się wybieram, i wciąż mogę prowadzić samochód. Ale panicznie boję się dnia, kiedy będę musiała poprosić Owego, żeby mnie w tym wyręczył.

W weekend znacznie się ochłodziło i temperatura spadła porządnie poniżej zera, wkładam więc puchową kurtkę i ciepłe botki. Zamykam mieszkanie na oba zamki (tak, tak, o tym też pamiętam) i schodzę na dół do samochodu, który stoi zaparkowany na Skeppargatan, od strony Strandvägen. Jest przykryty dziesięciocentymetrową pierzyną śniegu, mija więc trochę czasu, zanim udaje mi się na tyle oczyścić szyby, abym mogła swobodnie prowadzić.

Niebo nad Nybroviken jest niepokojąco ciemne i ponure, a lekko falująca tafla wody wygląda na niemal czarną. Prognozy pogody przewidują jeszcze większe opady śniegu, wolę więc dojechać na miejsce jak najszybciej. Uruchamiam silnik i ruszam na północ. Muszę być z powrotem najpóźniej o piątej, ponieważ wieczorem idziemy z Owem na koncert świąteczny w kościele Jadwigi Eleonory.

Owe stara się być na bieżąco z kulturą. Muzyka, teatr i książki to nie tylko sposób spędzania wolnego czasu, ale także jądro w zasadzie wszystkich rozmów z przyjaciółmi. Ten, kto nie orientuje się w bieżących wydarzeniach

kulturalnych, szybko zostaje zredukowany do biernego słuchacza podczas naszych kolacji i innych spotkań.

To kolejny dowód chorobliwej potrzeby Owego, aby wszystko mieć pod kontrolą: on chce decydować nawet o tym, o czym ludzie mają dyskutować, kiedy się spotykają. Czasami nachodzi mnie nieprzeparta ochota, żeby zacząć wtedy mówić o zupełnie innych rzeczach. Poruszyć kretyńsko powierzchowne tematy, których Owe by się wstydził, a po wyjściu wszystkich na pewno by mnie za nie obsztorcował. Na przykład wspomnieć, że byłam na superfajnym zabiegu upiększającym, lub napomknąć coś o ubraniach, biżuterii czy wakacjach. Albo – co najbardziej niewyobrażalne – z udawaną powagą stwierdzić, że nie dość, że przeczytałam Pięćdziesiąt twarzy Greya, to jeszcze zachwyciłam się tą książką.

Odbijam na Barkarby i jednocześnie podsumowuję powody, dla których nie cierpię Owego:

Jest samolubny.

Egocentryczny.

Narcystyczny.

Chce dominować.

I brzydko pachnie.

Gunilla już siedzi przy kawiarnianym stoliku. Futrzaną kurtkę zawiesiła na oparciu krzesła i zdaje się studiować swoje paznokcie. Półdługie jasne włosy o rudawym odcieniu są perfekcyjnie wymodelowane, a golf, który ma na sobie, ponętnie opina jej smukłą kibić.

Przyczyn braku sympatii Owego dla Gunilli jest wiele. Po pierwsze, uważa ją za osobę powierzchowną, czyli jedną z tych kobiet, które malują sobie paznokcie, robią makijaż i kupują drogie ciuchy, a takimi on generalnie gardzi. Po drugie, Gunilla podczas wizyt u nas śmieje się za głośno i zbyt długo, i najczęściej w zupełnie niewłaściwych momentach. Ale przede wszystkim: zostawiła męża po dwudziestu pięciu latach małżeństwa. I to tylko dlatego, że była już nim zmęczona. Przecież to niedopuszczalne. A przynajmniej w świecie Owego.

To znaczy, jeśli jest się kobietą.

Gunilla ściska mnie długo i serdecznie. Pachnie drogimi perfumami.

– Siadaj, a ja pójde coś nam kupić – proponuje.

Potakuję z aprobatą i zajmuję miejsce naprzeciw niej. Ściągam puchową kurtkę i rozglądam się dookoła. To niesamowite, ile ludzi tłoczy się w ka-

wiarni Ikei. Zapach wilgotnych ubrań i szafranowych bułeczek miesza się z potem i oparami z kuchni. Od sąsiednich stolików raz po raz dochodzi śmiech i słychać gwar przytłumionych rozmów.

Gunilla wraca z szafranowymi bułeczkami i dwoma kubkami na czerwonej plastikowej tacy. Korzenny aromat tych wypieków jest jedyny w swoim rodzaju.

– Grzane wino? Bezalkoholowe? – pytam, na co ona z wyrozumiałością się uśmiecha i wykrzywia swoją słodką twarz.

– Nie, pomyślałam, że możemy trochę zaszaleć i uczcić to, że kupiłam mieszkanie.

– Ale ja prowadzę.

– Ach, daj spokój, przecież to mały kubek. No i chyba trochę tu posiedzimy?

Patrzę na nią i kręcę głową.

– Zabawna jesteś. Zaszaleć? W Ikei?

– A dlaczego nie?

– Czy może być coś bardziej żalosnego niż świętowanie w kawiarni Ikei?

Gunilla siorbie ciepły napój i rozgląda się wokoło. Zerka na towarzystwo siedzące przy stolikach. Jej jasne oczy zatrzymują się na parze starszych ludzi, którzy w milczeniu jedzą dziecinne porcje pulpetów.

– Jestem w stanie wyobrazić sobie gorsze rzeczy. Jak się czujesz?

Gunilla jest jedyną osobą poza Owem, która wie. Tak naprawdę jej powiedziała o chorobie nawet wcześniej niż jemu. Co być może znaczy, że jest mi rzeczywiście bliższa niż mój własny mąż. Chyba faktycznie tak się sprawy mają.

– Dobrze.

– Co powiedział lekarz?

– Ach, to co zwykle.

Kiwa głową i nagle robi się całkiem poważna. Bierze mnie za rękę i lekko ją ściska. Czuję, jak jej ciepło wnika w moje ciało.

– Powiesz mi, jak będziesz potrzebowała w czymkolwiek pomocy?

– Ja nie chcę żadnej pomocy.

– Właśnie dlatego.

Ma tak śmiertelnie poważną minę, że aż parskam śmiechem.

– A co u ciebie? Jak tam twoja miłość?

Uśmiecha się i przeciąga jak kotka. Następnie odstawia kubek, pochyla

się ku mnie i mówi szeptem, jakby chciała zdradzić mi jakąś tajemnicę.

– Fantastycznie. Jesteśmy tak niesamowicie sobą... zafascynowani. A mówiąc wprost: najzwyczajniej w świecie napaleni. Czy w naszym wieku to dozwolone?

– Kochana, nawet nie masz pojęcia, co bym dała, żeby być chociaż trochę napalona.

Owe i ja już od dawna nie uprawiamy seksu, ale nie chcę mówić tego Gunilli. Nie dlatego, że ona zaraz wygłosi mi swoje zdanie na ten temat, tylko z tego powodu, że dla mnie samej życie z kimś, kogo się nie pożąda, jest potwornie tragiczne. Jedynie ludzie słabi trwają w nieudanych związkach. A ja nie chcę uchodzić za słabą – nawet w oczach Gunilli.

Mimo zgiełku słyszę dzwonek swojej komórki. Wyjmuję ją i rzucam okiem na wyświetlacz. Nie znam tego numeru.

– Odbierz – rzuca Gunilla. – Ja muszę do kibelka.

Wstaje i kuśtyka w stronę toalety. Ma lumbago i podejrzewam, że boli ją bardziej, niż chce przyznać.

Podnoszę aparat do ucha. Mężczyzna w słuchawce ma miękki, dźwięczny głos. Przedstawia się jako Manfred Olsson i wyjaśnia, że jest z Narodowego Kryminalnego Biura Śledczego. Już dawno nie słyszałam nikogo z kryminalnej. Przestałam dla nich pracować jakieś pięć, sześć lat temu, kiedy postanowiłam skupić się wyłącznie na badaniach i nie brać żadnych zleceń od policji. A właściwie to Owe postanowił za mnie. Uważał, że za dużo pracuję, powiedział, że przez to robię się zrzędliva i nieznośna.

Poza tym przecież nie potrzebowaliśmy pieniędzy.

– Mieliśmy ze sobą kontakt mniej więcej dziesięć lat temu – ciągnie Manfred Olsson. – Ale pewnie pani tego nie pamięta.

Nie przypominam sobie żadnego Manfreda Olssona, jednak ostatnia rzecz, na jaką miałabym teraz ochotę, to zdradzać, co pamiętam, a czego nie pamiętam, dlatego na razie w ogóle się nie odzywam.

– W związku z dochodzeniem w sprawie morderstwa tu, w Sztokholmie, na Södermalmie – wyjaśnia dalej. – Młodemu mężczyźnie odcięto głowę, a głowa.

– Pamiętam – wtrącam. – Chyba nigdy nie udało wam się złapać sprawcy?

No to jak jest z tą moją demencją? Obraz męskiej głowy postawionej na sztorc na podłodze wrył mi się w pamięć. Może dlatego, że zabójstwo było

wyjatkowo brutalne, albo dlatego, że wszyscy wtedy ciężko tyraliśmy, żeby znaleźć zabójcę. Kiedy zostałam poproszona o konsultacje, śledztwo trwało już od dwóch miesięcy, a nie stworzono jeszcze nawet przybliżonego profilu sprawcy, zaangażowano więc mnie, abym pomogła grupie dochodzeniowo-śledczej opracować profil psychologiczny. W zasadzie jestem behawiorystką, lecz z upływem lat moje badania w coraz większym stopniu zaczęły zmierzać w kierunku konstruowania modeli psychologicznych wyjaśniających zbrodnie z użyciem brutalnej przemocy. Można powiedzieć, że trafiłam do policji przez poślizgnięcie się na skórce od banana, a potem pracowałam dla nich regularnie przez wiele lat.

– No właśnie. Nigdy go nie złapaliśmy. A teraz mamy bardzo podobne morderstwo. Sposób działania wręcz identyczny. Czy nie znalazłaby pani czasu, żeby spotkać się ze mną przy kawie? Pamiętam, że pani przemyślenia były ogromnie interesujące.

Gunilla wraca z toalety. Siada naprzeciw mnie i jednym haustem dopija grzane wino.

– Nie pracuję już dla policji – mówię.

– Wiem. Nie chodzi o formalne zlecenie. Chciałbym jedynie usłyszeć, co pani na ten temat myśli. Przy kawie. Jeśli to oczywiście możliwe.

Milknie, a Gunilla unosi wysoko brwi.

– Zastanowię się – odpowiadam.

– Ma pani mój numer – dodaje Manfred Olsson.

Kiedy wracam do domu, Owe stoi w przedpokoju, jakby na mnie czekał. Nieco sterczące siwe włosy ma zaczesane na bok; w ten sposób chce je trochę ujarzmić, a jednocześnie zakryć łysą czaszkę. Brzuch rozsadza koszulę, twarz jest purpurowa i błyszczący od potu, jakby właśnie wrócił z joggingu. Rzuca wymowne spojrzenie na zegar.

– Jest za dziesięć – mówię.

Owe odwraca się bez słowa i idzie do sypialni. Pewnie za minutę wróci ubrany w sweter. Stawiam na podłodze torbę z tealightami i serwetkami z Ikei i witam się z Fridą, która skacze wkoło moich nóg, żeby zwrócić na siebie uwagę. Głaszczę ją po czarnej kudłatej sierści przypominającej owczą skórę.

Owe staje w przedpokoju rzeczywiście w swoim musztardowym swetrze. Tym brzydkim. Wkłada płaszcz i buty i spogląda na mnie.

– Musimy już wyjść, jeśli mamy zdążyć.

Kaptensgatan jest zawałona śniegiem i na próżno staram się nie nasypać go sobie do butów, idąc po ciemku po już wydeptanych śladach w stronę Artillerigatan.

– Miałam dziś telefon z głównej komendy policji kryminalnej – mówię.

– Co ty powiesz. – Owe odpowiada obojętnym tonem, niezdradzającym żadnych emocji. Ale z nim tak właśnie jest, trochę przypomina maszynę parową – nie odsłania swoich uczuć, zanim ciśnienie nie podniesie się do granicy eksplozji. Dopiero wtedy wybucha.

– Chcą się spotkać.

– Aha.

Idziemy pod górę do kościoła, mijamy po drodze restaurację w Armémuseum, w której czasami jadamy lunch.

– Podobno popełniono morderstwo bardzo podobne do zbrodni sprzed dziesięciu lat. Byłam zaangażowana w tamto śledztwo...

– Do diabła, Hanne. Ty chyba żartujesz!

– Ale o co ci chodzi? – pytam niewinnie.

Zatrzymuje się w pół kroku, jednak wciąż nie patrzy na mnie, tylko uparcie wlepia wzrok w gmach kościoła, który widać już oświetlony po lewej stronie przed nami. Pinakiel na dachu celuje ostro w czarne wieczorne niebo. Widzę, że Owe zacisnął pięści, wiem, że jest bardzo zły. O dziwo, bawi mnie to i przepełnia prymitywną, niepoprawną radością. Jakbym była nastolatką, której wreszcie udało się sprowokować zawsze opanowanych rodziców i wyprowadzić ich z równowagi.

Odwraca się, delikatnie kładzie mi dłoń na ramieniu, a w tym jego subtelnym geście – który wyraża zarówno wyrozumiałość, jak i protekcyjność – jest coś, co doprowadza mnie do szału.

– No co? – rzucam. – No co?

– Czy to rozsądne?

Zniżył głos, ja zaś dobrze wiem, że walczy, aby odzyskać kontrolę. Bo Owe nienawidzi nie mieć kontroli, nienawidzi tego chyba równie mocno jak ja, kiedy tracę kontrolę nad swoją pamięcią.

– Co według ciebie nie jest rozsądne?

– Brać na siebie mnóstwo pracy w twoim. stanie.

– W moim stanie? Mówisz, jakbym była w ciąży.

– Gdyby tak było.

– A kto powiedział, że mam dla nich pracować?

– Rany boskie. Przecież sama dobrze wiesz, jak to się kończy, kiedy oni dzwonią do ciebie.

– A niby dlaczego miałabym nie móc dla nich pracować?

Unosi wyżej brodę, patrzy na mnie z góry, czego szczególnie nie znoszę, i nabiera głęboko powietrza.

– Bo ja tak mówię. Nie jesteś na tyle zdrowa, żeby brać na siebie zlecenia, a jako osoba ci najbliższa mam obowiązek ci to powiedzieć.

Doskonale wiem, że to jest ten moment, kiedy powinnam udzielić mu mocnej odpowiedzi: może po prostu dać mu w twarz albo przynajmniej wypiąć się na koncert bożonarodzeniowy, odwrócić się na pięcie i pójść do domu, do Fridy. Rozpalić w kominku i nalać sobie wina. Nic jednak nie mówię i w ciemności idziemy dalej do kościoła.

Emma

Dwa miesiące wcześniej

– No i jak było wczoraj?

W spojrzeniu Olgi jest ciekawość, ale i życzliwość. Nie odrywa ode mnie swoich szarych oczu, składając jednocześnie dzinsy na długim stole obok kaszy.

Nie mam pojęcia, co zrobić. Z jednej strony chciałabym odpowiedzieć, że wszystko udało się świetnie – jedzenie było pyszne, a potem przez całą noc upojnie się kochaliśmy, jednak druga część mnie miałaby ochotę – chociaż pewnie nie zdobędzie się na to – wyznać prawdę.

– Nie przyszedł.

– Nie przyszedł?

Olga odkłada dzinsy, które trzyma w rękach, i patrzy na mnie zaskoczona.

– Nie pojawił się. I nie mogę się z nim skontaktować, więc zupełnie nie wiem, co się stało.

– Nie zadzwonił?

– Nie.

Cisza, która zapadła, jest niezręczna. Widzę po Oldze, że wprost nie dowierza temu, co ode mnie usłyszała, i nie bardzo wie, co powiedzieć.

– Nie ma zwyczaju dzwonić, jeżeli się spóźni albo nie przyjdzie?

Waham się przez chwilę.

– On nigdy się nie spóźnia. I ani razu się nie zdarzyło, żeby nie przyszedł, kiedy byliśmy umówieni.

Nagle sklep robi się przytłaczająco ciasny, mimo że dopiero otworzyłyśmy i jeszcze prawie nie ma klientów. Ostre sztuczne światło razi mnie w oczy, a z tyłu głowy czuję głuche dudnienie. Oparłszy się o stół z dzinsami, walczę ze łzami, które napływają mi do oczu.

– Może coś się stało? – Olga zniża głos niemal do szeptu, a między jej mocno podkreślonymi brwiami rysuje się niewielka zmarszczka. Nie jestem w stanie nic powiedzieć, więc tylko kiwam głową. – Próbowałaś do niego zadzwonić?

– Tak, niedawno, tuż przed otwarciem.

Nie mówi nic więcej, tylko dalej składa dzinsy, rzucając co jakiś czas okiem na sklep.

– Na pewno się odezwie – bąka po chwili, nie patrząc na mnie. Sięgam po kilka par dzinsów leżących najbliżej mnie, składam je, a potem umieszczam na wysokim stosie. Niestety za późno.

– Co, znowu się obijacie! Emma, do kasy!

Björne zmienił fryzurę. Z karku zniknęły ciemne strąki, resztę włosów ma zaczesaną na bok, a jedno oko przesłania mu długie zwisające pasmo. Jego postać na krzywych nogach w połączeniu z tą fryzurą i kamizelką przywozmi mi na myśl Lucky Luke'a. Wypisz wymaluj podstarzały, arogancki Lucky Luke.

Odwracam się i idę kasy, nie odzywając się do niego ani słowem. Nagle myślę o mamie. O mamie i o ciotkach, i o wszystkim, czego już nie ma. A także o tym, dlaczego nieliczne ładne obrazy z przeszłości rozpływają się jak dym we mgle i zostają zastąpione widokiem Björnego oraz stosem dzinsów i męskich stringów.

Gromki śmiech raz po raz rozbrzmiewa echem w niedużym mieszkaniu ciotki Agnety przy Värtavägen. Aromat świeżo zaparzonej kawy miesza się z dymem papierosów mamy. Ciotka Christina, która właśnie rzuciła palenie, wzdycha i wytyka jej, że nie jest z nią solidarna. Początkowo myślałam, że jest na mamę zła, ale kiedy wybucha na cały głos swoim ochrypłym śmiechem, dochodzę do wniosku, że to był tylko taki żart.

W pierwszą sobotę każdego miesiąca siostry tradycyjnie jadły razem lunch. Każde takie spotkanie było głośne i bogate w kalorie, a wstęp na nie miały wyłącznie ciotki i ja.

Nagle głosy się zniżyły, przeszły w szeptaninę, przerywaną co jakiś czas chichotem. Nie musiałam wcale podsłuchiwać, żeby wiedzieć, o czym mówią: o nowym facecie Leny, gamoniowatym mężu Christiny i chorym kręgosłupie mamy.

Mama, jako najmłodsza z sióstr, była dzikim, niewychowanym, ale kochanym ostatnim dzieckiem, tak zwanym wyskrobkiem, i wprawiła dziadków w stan szoku, kiedy się okazało, że mając osiemnaście lat, zaszła w ciążę z moim tatą. Kolejna salwa śmiechu przetacza się przez mieszkanie, fala prymitywnej wesołości i rozbawienia. Agneta prychnęła, miałam wrażenie, że zaraz zacznie kaszeć, ale potem usłyszałam pobrząkiwanie porcelany.

Siedziałam po turecku na parkiecie w sypialni i na jednym kolanie trzymałam słoik z larwą motyla. Liście już dawno zwiędły i opadły na dno, jeden po drugim, a gołe gałązki przypominały teraz kłębek kolczastego drutu. Jasnzielonej gąsienicy już nie było. Ale tata wyjaśnił mi, co się stało. W niewielkim gładkim kokonie, który wisiał na jednej z gałązek, odbywało się coś fantastycznego. Larwa ulegała przemianie, a jeśli będę cierpliwa i Pan Bóg na to pozwoli, któregoś dnia ujrzę, jak z kokonu wylega się całkiem inne stworzenie.

Trochę się denerwowałam, bo rozpaczliwie chciałam zobaczyć, jak się wykluwa to inne, przepoczwarzone zwierzątko, a przecież nie wiedziałam, kiedy to może nastąpić. I dlatego starałam się zawsze mieć słoik przy sobie. Pierwsze, co robiłam po przebudzeniu, i ostatnia czynność przed pójściem spać to dokładne zbadanie kokonu i ustalenie, czy w jego wyglądzie nie zaszła jakaś zmiana.

Spytałam tatę, dlaczego gąsienica nie mogła pozostać gąsienicą, tylko musiała wcisnąć się do tego błyszczącego, szarobrazowego kokonu, ale tata jedynie pokręcił głową i powiedział z żalem:

– Nie miała wyjścia, Okruszku. Mogła albo się przemienić, albo umrzeć. Takie są prawa natury.

Długo zastanawiałam się nad tym zdaniem, próbując sobie wyobrazić, jak można się czuć, gdy staje się przed takim wyborem: przemienić się albo umrzeć. Ale choć bardzo się starałam, nie potrafiłam postawić się w podobnej sytuacji.

Kiedy podniosłam wzrok znad słoika, patrzyłam prosto na wąskie łóżko ciotki Agnety. Już od dawna nie dzieliła go z nikim; ciotka Lena szepnęła coś takiego mamie, gdy szłyśmy po schodach na górę. Dorośli zawsze myśleli, że dzieci nic nie słyszą, a jeśli nawet słyszą, to i tak nie rozumieją. Oczywiście ani jedno, ani drugie nie było prawdą. Musiałam bardzo się starać, żeby przybrać kompletnie obojętną i dziecinnie naiwną minę za każdym razem, kiedy akurat usłyszałam jedną z wielu tajemnic moich ciotek.

Nad łóżkiem wisiał nieduży obraz przedstawiający piłkarzy. Nie rozumiałam, co było w nim takiego wyjątkowego, że ciotki, stojąc przed nim półkolem, zaciągały się papierosami i przytłumionym głosem komentowały go z przejęciem, i wyraźnie go podziwiałały. Nie chciałam tego mówić, żeby nie sprawiać im przykrości, ale ten obrazek był całkiem brzydki. Postacie nie miały wyraźnych konturów, jakby zlewały się ze sobą, artyście zupełnie nie

udało się przedstawić ich w sposób zgodny z rzeczywistością. Może nawet ja umiałabym namalować to lepiej. Ale oczywiście milczałam, ponieważ mimo wszystko byłam dobrze wychowana.

– A co ty, kochanie, siedzisz tak tutaj na podłodze?

Ciotka Agneta stanęła w drzwiach i po chwili przykucnęła obok mnie. Jej grube nogi z bliska wyglądały na jeszcze grubsze, a gumka podkolanówek wpijała się w łydki w mało estetyczny sposób.

– Nie wolałabyś usiąść na fotelu? Albo może na moim łóżku?

Pokręciłam przecząco głową, na co ciotka tylko westchnęła cicho.

– No jak chcesz. A co tam masz w tym słoiku?

– To jest kokon.

– Co takiego?

– Kokon. Taki domek, który zbudowała sobie larwa, żeby móc się w nim przemienić.

– Co ty powiesz. A gdzie ten kokon?

Pokazałam go palcem. Ciotka ostrożnie wzięła słoik do ręki, uniosła go pod światło i zmrużyła oczy tak mocno, że nieduże niebieskie źrenice całkiem zniknęły pod ciężkimi powiekami.

– Prawie go nie widać.

– Właśnie o to chodzi. Inaczej mogłyby go zjeść ptaki. Bo lubią larwy.

Spojrzała na mnie z powagą i pokiwała głową.

– Popatrz, popatrz. Nie wiedziałam o tym.

Z tak małej odległości ciotka Agneta wyglądała na starszą, niż była. Policzki zwisały jej niemal do szyi, a piersi opierały się ciężko na kolanach, gdy siedziała w kucki.

– W przyrodzie wszyscy zjadają wszystkich. Kto pierwszy, ten lepszy – rzuciłam.

– Mała Emma – powiedziała głosem słodkim jak czekolada. Te dwa słowa zabrzmiały trochę jak pytanie, jakby ciotka oczekiwała, że będę potrafiła udzielić odpowiedzi na jej niewyrażone zdziwienie. Gdy oddała mi słoik, postawiłam go ostrożnie na podłodze. – Co tam słyhać u ciebie w domu, Emma? – spytała.

W jej głosie pojawił się niepokój i dziwna szorstkość, której dotąd nie znałam.

– Co masz na myśli?

Ogarnęła wzrokiem sypialnię. Z kuchni dochodziło przytłumione mamro-

tanie, śmiechy ucichły – nieomylny znak, że ciotki obgadują teraz któregoś z mężów. A wszyscy oni byli albo wredni, albo gamoniowaci, dlatego ciotka Agneta miała chyba najwięcej szczęścia, że nie wyszła za mąż.

– Czy mama i tata piją dużo wina albo piwa?

Nie bardzo wiedziałam, jak odpowiedzieć na to pytanie. Oczywiście rozumiałam je, tyle tylko, że nie miałam pojęcia, co to znaczy pić dużo. Ile to jest dużo? Rano na szafce w kuchni i w dużym pokoju zawsze stały puszkę po piwie, ale czy było ich dużo? Za dużo? Ile puszek piwa i butelek wina wypijali wieczorami inni ojcowie i mamy? Nie wiedziałam tego, dlatego zgodnie z prawdą odrzekłam:

– Nie wiem.

Ciotka Agneta westchnęła znowu i z trudem podniosła się z niewygodnej pozycji, a w jej kolanach zatrzeszczało i zaskrzypiało, jakby były z suchego brzoźowego drewna, a nie z mięśni i ciała, z krwi i kości.

– Jezusie – rzuciła, tłumiąc jęk. – Nie masz ochoty przyjść do nas i zjeść pulpety?

– Może później.

Kiedy Agneta wróciła do kuchni, mamrotanie przeszło w szept. Zwykle oznaczało to, że omawiano coś bardzo ważnego, wzięłam więc słoik do ręki, wyszłam cichutko do przedpokoju i położyłam się na podłodze, żeby móc podsłuchiwać. Niestety z tego, co docierało do moich uszu, zdołałam wyłowić jedynie strzępy. Usłyszałam charkotliwy głos Agnety:

– ...jest inna.

A potem głos mamy, trochę wyższy:

– Inna nie musi od razu znaczyć gorsza.

Żadna z ciotek nie powiedziała na to nic.

Właśnie gdy zamierzałam wrócić cichaczem do sypialni Agnety, niemal niedostrzegalny ruch w słoiku zwrócił moją uwagę. Kokon nadal zwisał z gałązki, tak samo jak dotąd, ale był jakby trochę zmieniony. Skorupka zrobiła się lekko przejrzysta, przypominała porysowane szkło albo brudny kawałek lodu. A w środku dały się zauważyć jakieś delikatne drgnięcia.

Zacząła się przemiana.

Mężczyzna stojący przy kasie wyciąga do mnie rękę i uśmiecha się szeroko.

– Anders Jönsson, dziennikarz.

Z lekkim wahaniem ściskam jego dłoń i odpowiadam słabym uśmiechem.

– Emma.

Ma jasnoniebieskie oczy i liche włosy, na dodatek tak żółte jak psie siki na śniegu. Jest ubrany w brudną zieloną parkę i wytarte dzinsy; wygląda na trzydzieści kilka lat.

– W czym mogę pomóc? – pytam, kiedy wciąż nie chce puścić mojej ręki i szczyrzy się od ucha do ucha.

– Piszę reportaż o warunkach pracy w waszej firmie. Słyszałem, że macie zakaz rozmawiania z dziennikarzami. To prawda?

– Zakaz? Neeee, nie wiem.

– I że nawet nie możecie iść do toalety – wtrąca, słysząc niepewność w moim głosie.

Rzeczywiście jest w tym ziarnko prawdy. Po przejęciu kierownictwa przez Jespera zrobiło się trudniej, ponieważ zaostrzono wymagania, na co media nie omieszkały natychmiast zwrócić uwagi. Nie mogę jednak wypowiadać się na ten temat, zwłaszcza biorąc pod uwagę swoją relację z Jesperem.

– Nie chcę o tym mówić – odpowiadam, czując, że się czerwienię.

– Możemy porozmawiać gdzie indziej, jeśli pani woli – proponuje dziennikarz i pochyła się do przodu. Jego wodniste oczy próbują przeświecić mnie na wylot. – Wystąpi pani anonimowo, nikt niczego się nie dowie.

– Nie, dziękuję.

Kątem oka dostrzegam zbliżającą się postać.

– Przecież już panu powiedziała, że nie chce z panem rozmawiać. Nie rozumie pan po szwedzku?

Dziennikarz w zielonej parce prostuje plecy.

Obok stoi Björne. Widzę, że jest wściekły: zaciska pięści, mięśnie policzków pracują mu intensywnie. Wreszcie wprawnym gestem zakłada długą grzywkę za ucho, wysuwa do przodu dolną szczękę i powoli cedzi przez zęby:

– Już drugi raz przychodzi pan tutaj i zawraca głowę moim pracownikom. Jeżeli pan stąd zaraz nie zniknie, wezwę policję. Czy to jasne?

– Mam prawo, żeby...

– Nie słyszał pan, co panu powiedziała? Mam to przeliterować? Ona nie chce z panem gadać.

Z ust Björnego pryskają drobne kropelki śliny, kiedy ciska te słowa. W końcu odwraca się na pięcie i odchodzi w głąb sklepu. Ale zanim znika na

dobrze, woła jeszcze do mnie przez ramię:

– Super, Emmo.

Spoglądam znowu na dziennikarza. Ani śladu po szerokim uśmiechu, jego twarz jest zupełnie beznamiętna. Wygrzebuje coś z kieszeni kurtki, kładzie to coś na ladzie i powoli przesuwa w moją stronę. To wizytówka. Jego jasne oczy po raz kolejny wgapiają się we mnie.

– Proszę do mnie zadzwonić, jeśli zmieni pani zdanie.

I znika.

Pochyliłam się do przodu, biorę biały kartonik i dyskretnie chowam go do kieszeni.

Jesper Orre. Duże, ciepłe dłonie. Delikatna, trochę pomarszczona skóra na twarzy. Zarost, miejscami ciemny, miejscami siwawy, pokrywa wyraziście zarysowaną szczękę. Jego spojrzenie, kiedy na mnie patrzy, przypomina wzrok wygłodniałego dziecka przyglądającego się bajecznym wypiekom w oknie piekarni.

Co on właściwie we mnie widzi? Bo ja w swoich oczach jestem osobą w najwyższym stopniu przeciętną, mającą nieciekawą pracę i nudne życie prywatne. Dlaczego spędza ze mną tyle czasu? Co sprawia, że może leżeć godzinami w moich objęciach i przesuwać dłonią po moim ciele? Odkrywać zakątki, którym nigdy do tej pory nie poświęcałam szczególnie dużo uwagi.

Pamiętam nasze spotkanie jakiś tydzień temu u mnie w domu.

– Jesteśmy bardzo do siebie podobni, Emmo – wymamrotał. – Czasami mam poczucie, że potrafiłbym czytać twoje myśli. Rozumiesz?

Przemknęło mi wtedy przez głowę, że nie rozumiem. Bo ja nie czuję żadnej telepatycznej wspólnoty z nim i nie wiem, co on tak naprawdę ma na myśli. Kocham go, jednak nie ogarniam, o co mu chodzi, kiedy zaczyna głądzić o naszej connection.

Ale nie powiedziałam mu tego.

– Miałem wyjątkowe szczęście – szepnął, kładąc się swoim ciężkim ciałem na mnie. Kolanami rozsunął mi kolana i przyciskał się coraz mocniej i mocniej. – Jestem najszczęśliwszym facetem na świecie. – Wniknął we mnie niespodziewanie i całował po szyi, pieszcząc jedną pierś. – Kocham cię, Emmo. Jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty.

Wciąż nic nie mówiłam, nie chcąc zburzyć nastroju tej magicznej chwili. Pragnęłam trwać w niej jak najdłużej. Poczułam pieczenie w podbrzuszu. Był brutalny, nie zachowywał się delikatnie, mimo to magia trwała.

Bo cudownie jest być kochaną. Pożądaną. Jak babeczki z malinami w oknie wystawowym piekarni.

Poruszał się coraz gwałtowniej. Mocno zacisnął dłoń na mojej ręce. Krople potu spadły mi na policzek, jak łzy. Jęknął, zupełnie jakby zmagał się z cierpieniem.

– Emmo.

Zabrzmiało to jak pytanie albo może jak wezwanie.

– Tak? – spytałam.

Znieruchomiał, a po chwili mnie pocałował.

– Emmo, czy zrobisz dla mnie wszystko?

– Tak – odpowiedziałam. – Zrobię.

Czy zrobiłabym wszystko dla Jespera Orrego? To pytanie retoryczne, ponieważ on nigdy o nic mnie nie poprosił, poza tą jedną sytuacją, kiedy pożyczył ode mnie pieniądze, żeby móc zapłacić robotnikom. Ale również wtedy to ja nalegałam, żeby wziął je ode mnie. To ja chciałam, żeby został dłużej, zamiast jechać do banku.

Pamiętam, że pocałował mnie w powieki.

– Kochanie, przecież wiesz, że chciałbym zostać, ale obiecałem, że dzisiaj zapłacę robotnikom. To Polacy. A nie mam przy sobie stu tysięcy w gotówce. Więc niestety muszę pojechać do banku.

Lunchowe bzykanko.

To określenie wymyślone przez Olę. Śmiała się do rozpuku, kiedy powiedziałam jej, że idę zjeść lunch z moim chłopakiem. U mnie w domu. Olga była bezceremonialna. Szczera. Obcesowa. Mówiła, co myśli, i nie wstydziła się tego.

Jesper uniósł się na łokciu.

– Muszę już iść.

– Możesz pożyczyć ode mnie – zaproponowałam.

– Od ciebie?

Wyglądał na zaskoczonego, ale raczej zignorował moją ofertę, ponieważ wstał, podszedł do okna i popatrzył przez nie, drapiąc się w krocze.

– Mam pieniądze w domu.

Odwrócił się z rozbawioną miną.

– Masz w domu sto tysięcy? Tutaj, w tym mieszkaniu?

Zatoczył ręką, wskazując pokój.

Skinęłam głową.

– Tak, w bieliźniarce – potwierdziłam, po czym podniosłam się z łóżka z lekkim chichotem. Wciągnęłam T-shirt, ale nie dlatego, by pokazywanie się Jesperowi bez ubrania stanowiło dla mnie jakiś problem, tylko raczej z przyzwyczajenia. Nie czułam się komfortowo, gdy ktoś patrzył na moje piersi w świetle dnia. Ktokolwiek.

Nawet on.

Poszedł za mną do garderoby i przyglądał się w milczeniu, jak wysuwam z szafy kosz z ręcznikami i ostrożnie rozwijam czerwoną bożonarodzeniową makatkę z wyhaftowanym napisem: „Na Boże Narodzenie czekamy i świętego Mikołaja wyglądamy”, odsłaniając pod nią pliki banknotów.

– Czy ty całkiem oszalałaś? Trzymasz sto tysięcy w domu, w szafie?

– Tak. No i co?

– Dlaczego nie masz ich w banku? Jak normalny człowiek.

– A po co?

– Przecież może cię ktoś okraść albo co. Tylko stare ciotki trzymają pieniądze w materacach albo między prześcieradłami.

Na co odparłam, że mieszkanie odziedziczyłam właśnie po takiej starej ciotce. Roześmiał się cicho i wzruszył ramionami.

– Okej. Oddam ci je. Niedługo.

Po czym pocałował mnie w kark, objął od tyłu i położył dłonie na moich piersiach.

– Mam ochotę znowu cię przelecieć, ty bogata zdziro.

Peter

Manfred pochyla się nad ciałem, na pozór obojętny. Wiedzie wzrokiem po starannie zaszytych cięciach na klatce piersiowej i brzuchu oraz głębokich ranach na przedramionach.

– Czyli ona naprawdę się broniła?

Lekarka kiwa głową. Fatima Ali ma około czterdziestu lat, pochodzi z Pakistanu, lecz kształciła się w USA. Pracowałem z nią już kilka razy. Jak większość lekarzy sądowych, jest dokładna do granic możliwości i zawsze śmiertelnie się boi, żeby nie użyć zbyt mocnych słów. Ale ufam jej. Bo nigdy dotąd niczego nie przegapiła. Poza tym nie ma chyba takiej rzeczy, od której odwróciłyby się jej ogromne ciemne oczy i cofnęły jej drobne dłonie.

– Ma siniaki i wylewy z tyłu głowy i na twarzy oraz w sumie osiemnaście ran ciętych na przedramionach i dłoniach. Większość po prawej stronie, co znaczy, że została zaatakowana z prawej.

Fatima pochyla się niżej, rozchyła nieco brzegi jednej z najgłębszych ran na rękę i odsłania czerwone ciało.

– Spójrzcie tutaj. Najgłębsze nacięcie przebiega w tym kierunku, czyli sprawca prawdopodobnie był praworęczny i uderzał w ten sposób.

Lekarka unosi dłoń w gumowej niebieskiej rękawiczce i wykonuje zamaszty gest w stronę Manfreda, który instynktownie się cofa.

– Czy możesz określić, jak długo zadawano jej te obrażenia? – pytam.

Fatima zdecydowanie kręci głową.

– Tego nie da się powiedzieć. Ale żadne z nich nie było bezpośrednią przyczyną śmierci. Umarła od ran na szyi.

Pochyłam się do przodu i patrzę na głowę kobiety spoczywającą na aluminiowym stole. Brązowe włosy są posklejane krwią. Zgrabne brwi, a pod nimi bezkształtna masa zmiążdżonego mięsa i mięśni.

– Co to za rany? – pytam.

Fatima ociera sobie czoło grzbietem przedramienia. Mruży oczy przed ostrym światłem, które drażni jej wzrok.

– Zadano jej mnóstwo ciosów i ran ciętych. Wystarczyłaby tylko jedna,

żeby ją zabić, ale sprawca najwyraźniej chciał odciąć głowę. Kręgosłup szyjny został przerwany między trzecim a czwartym kręgiem. Wykonanie czegoś takiego wymaga niemałej siły. Albo determinacji.

– Konkretnie: jak dużej siły? – docieka Manfred, również pochylając się nad stołem.

– Trudno powiedzieć.

– Czy kobieta albo jakaś inna słaba osoba mogłaby to zrobić?

Fatima unosi brwi i krzyżuje ramiona na gumowym fartuchu.

– A kto powiedział, że kobiety są słabe?

Manfred trochę się peszy.

– Miałem co innego na myśli.

– Już ja wiem, co miałeś na myśli – odpowiada Fatima i wzdycha demonstracyjnie. – Tak, kobieta też mogłaby to zrobić. Albo ktoś starszy czy nawet młody, silny mężczyzna. Ustalenie tego to już wasze zadanie.

– Co poza tym stwierdziłaś? – pytam.

Fatima kieruje spojrzenie na kredowobiałe ciało.

– No więc wiek: między dwadzieścia pięć a trzydzieści lat, wzrost: sto siedemdziesiąt dwa centymetry, waga: sześćdziesiąt kilogramów. Normalnej budowy ciała. Zdrowa, wysportowana.

Od zapachu panującego w sali zaczyna mi być niedobrze. Można by pomyśleć, że po tylu latach jestem już uodporniony, ale jak się okazuje, trudno się do niego przyzwyczaić. Chociaż nie jest to żaden duszący fetor, tylko raczej mieszanina zapaszku tygodniowej wody po kwiatach i surowego mięsa, czuję, że muszę wyjść. Pilnie potrzebuję odetchnąć zimnym, świeżym powietrzem.

– Aha, jeszcze jedna rzecz – bąka Fatima. – Urodziła dziecko albo przynajmniej była w ciąży.

– Jedno dziecko? – dopytuje Manfred.

– Tego nie da się stwierdzić – odpowiada ona, po czym ściąga gumowe rękawice z charakterystycznym plaśnięciem. – To chyba wszystko.

W drodze powrotnej na Kungsholmen Manfred siedzi za kierownicą. Nad sznurami samochodów wirują pojedyncze płatki śniegu. Dopiero trzecia po południu, a już zaczyna się ściemniać.

– Atrakcyjna dziewczyna – mówi Manfred i włącza radio.

– Fatima?

– Nie, ta bez głowy.

– No nie, ty to jesteś naprawdę porządnie rąbnięty.
– Dlaczego? Przecież sam widziałeś. Musiała być cholernie zgrabna. Chłopie, takie ciało. Piersi...

Zastanawiam się nad jego komentarzem i patrzę przez szybę.

– Wiemy o niej coś więcej? Kim była? – pytam.

– Nie.

– A tego Orrego nie znaleźliśmy?

– Nie. Podobno wczoraj nie było go w pracy.

– A dzisiaj?

– Jeszcze nie wiem. Sanchez miała sprawdzić. Ale już pół Szwecji go szuka, więc raczej niedługo będziemy go mieli.

– A wstępny raport techników?

– Leży na twoim biurku. Żadnych śladów włamania, co znaczy, że prawdopodobnie ktoś dobrowolnie wpuścił sprawcę albo sprawca wręcz tam mieszkał, co wskazywałoby na Orrego. Technicy znaleźli urynek na podłodze. I masę odcisków rąk i stóp, tyle że sąsiadka tak tam nadeptała, że nie wiadomo, czy coś sensownego z tego wyłowią. Oprócz tego zebrali mnóstwo włókien różnego rodzaju, ale chyba nie ma w tym nic ciekawego. Jako narzędzia zbrodni użyto maczety, technicy wysłali ją już do centralnego laboratorium. Zobaczymy, co na niej znajdą. Włączyli też do śledztwa Linbladha, tego gościa od jatek, tego, który bada zapach krwi. Podobno pomoże odtworzyć przebieg zajścia.

Zapada cisza. Manfred bębni palcami o kierownicę w rytm muzyki płynącej z radia, a ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest zestresowany. Zarost na brodzie ma dłuższy niż zwykle, a oczy wyglądają na zmęczone.

– Czy z Nadją już lepiej? – pytam.

Spogląda na mnie przelotnie i gładzi dłonią swój płaszcz z wielbłądziej wełny.

– Darła się przez całą pieprzoną noc. Afsaneh dostawała szału, bo musiała wstać wcześniej rano. Któryś z jej doktorantów ma dziś obronę. I w samym środku tego oblędu zaczęła znowu gadać o małżeństwie, pojmujesz? Dlaczego te baby są takie pokręcone?

Nie mam na to odpowiedzi. Ale aż nadto dobrze pamiętam, jak się sprawy miały z moim własnym małżeństwem.

Byłem z Janet chyba już rok, kiedy jej ciągnęła paplanina o ślubie zrobiła się nie do wytrzymania i jeśli mam być szczery, nie wiem, jak to się stało, ale

w końcu postawiła na swoim i zgodziłem się z nią ożenić. Rzecz jasna powinienem był już wtedy okazać stanowczość, a nie być potulny i uległy. Przypuszczam jednak, że nie chciałem (albo nie miałem odwagi) sprawić jej zawodu.

W ciągu następnych miesięcy jak opętana zajmowała się projektowaniem dekoracji z kwiatów, weselnego menu i układaniem listy zaproszonych osób. Przynosiła do domu próbki tortów do skosztowania, rysowała na wielkich arkuszach papieru kombinacje usadzenia gości i na przenośnym odtwarzaczu przesłuchiwała marsze weselne.

I ostro się odchudzała.

Któregoś dnia nawet zacząłem się o nią bać. Jadła jak ptaszek, byle tylko wcisnąć się w wymarzoną sukienkę, której oczywiście absolutnie nie mogłem zobaczyć przed ślubem. To podobno było strasznie ważne.

Ja uciekłem w pracę. Akurat prowadziliśmy śledztwo w sprawie zabójstwa strażniczki z parkingu w Tensta, a ponieważ właśnie zostałem awansowany, ogromnie zależało mi na tym, aby się wykazać. Raczej nie mogę powiedzieć, by Janet miała duże zrozumienie dla tej sytuacji. Wręcz przeciwnie – domagała się ode mnie coraz większego zaangażowania i poświęcania jej jeszcze więcej czasu. Chciała oglądać ze mną kościoły, szukać ofert podróży poślubnej i ćwiczyć przysięgę małżeńską (którą sama ułożyła).

Pewnego wieczoru przyszła do mnie z plikiem kopert w dłoni. Pamiętam, że wyglądała na uszczęśliwioną, co zdarzało jej się wtedy, gdy kupiła sobie coś drogiego albo na przykład znalazła superofertę wakacyjną w którymś z katalogów wciąż znoszonych do domu. Oczy jej lśniły, a krótkie, ufarbowane na blond włosy miała postawione na sztorc.

Oznajmiła, że zaproszenia są gotowe, wręczyła mi koperty i spytała, czy nie mógłbym ich wysłać. Nie pamiętam dokładnie, co odpowiedziałem. Pewnie, że porozmawiamy o tym później, ale ona jak zwykle w ogóle mnie nie słuchała.

Przypominam sobie, że tego dnia wieczorem siedziałem w domu na fotelu ze stosem zaproszeń na kolanach i zastanawiałem się, co, u diabła, mam z nimi zrobić. Oczywiście powinienem je wysłać, co było najprostszą rzeczą pod słońcem: wystarczyło zejść na dół, wrzucić je do żółtej skrzynki na najbliższym skrzyżowaniu i przez najbliższe tygodnie w ogóle nie myśleć o całym tym gównie. Nie mogłem się jednak na to zdobyć. Nie byłem gotów zrobić czegoś tak ostatecznego, uczynić decydujący krok prowadzący do życia

we dwoje, którego sam nie wybrałem. Przez sekundę chciałem nawet porozmawiać z Janet i wyznać jej, jak jest: że cały ten ślub i zamieszanie wokół niego śmiertelnie mnie przerażają i że najchętniej bym to na razie odłożył. Ale kiedy wszedłem do sypialni, aby z nią pogadać, już spała. Włożyłem więc zaproszenia do szuflady biurka i postanowiłem poczekać z rozmową.

A potem stało się, jak się stało. Nie twierdzę, że zapomniałem o zaproszeniach w szufladzie, raczej brakowało mi energii, aby na nowo podjąć temat. Za każdym razem, kiedy już zdecydowałem się pomówić z Janet, zawsze coś nam przeszkodziło albo ona była w kiepskim humorze i nie chciała rozmawiać. Nierzadko bywała chimeryczna i przekorna. Zazwyczaj zupełnie nie rozumiałem dlaczego.

Gdy myślę o tym teraz, łapię się na tym, że próbuję usprawiedliwić własne zachowanie, nawet sam przed sobą, a tak naprawdę trudno znaleźć dla niego wytłumaczenie. To, co wtedy zrobiłem, było głupie i niedojrzałe i wstrząsnęło Janet w sposób wręcz niewyobrażalny. Nie spodziewałem się, że aż tak ją to poruszy. Nie chciałem tego.

Nie chciałem wyrządzić Janet krzywdy. Pragnąłem jedynie, żeby została mnie w spokoju.

Tak czy owak, gdy termin ślubu był coraz bliższy – zostały chyba trzy czy cztery tygodnie – pewnego wieczoru usiadła obok mnie na brzegu łóżka. Włosy, które zapuszczała, aby móc je potem upiąć, opadały niedbale na jej smutną twarz, a piersi zwisały niepokojąco oklapłe na wychudzoną klatkę piersiową.

– Jeszcze nikt nie odpowiedział na zaproszenie – stwierdziła. – Czy to nie dziwne?

Leżałem i akurat czytałem protokół wstępny z dochodzenia, który obiecałem oddać gotowy prokuratorowi następnego dnia rano, więc naprawdę nie miałem czasu, żeby rozmawiać z nią w tamtej chwili, pamiętam jednak, że zrobiło mi się nieswojo. A nawet poczułem wstyd.

– Myślisz, że mogły zgubić się na poczcie? – spytała cicho.

Widok jej przygarbionej postaci i niespotykane zgaszony głos sprawiły, że coś we mnie drgnęło. Zdałem sobie sprawę z rozmiaru własnego oszustwa. Naprawdę poczułem się fatalnie.

Nie zdobyłem się jednak na to, aby się przyznać. Nie wtedy. Postanowiłem wrócić do sprawy następnego dnia, co nigdy nie nastąpiło, a dziś, z perspektywy, muszę przyznać, że postąpiłem źle, choć oczywiście łatwo być

mądrym po szkodzie.

W nocy, kiedy spałem, Janet przeszukała całe mieszkanie. Jakby przeczuwała, co się stało, jakby miała jakiś pieprzony szósty zmysł. Ze snu wyrwał mnie tak przeraźliwy wrzask, jakiego nigdy wcześniej ani później w swoim życiu nie słyszałem. Najpierw myślałem, że ktoś chce ją zamordować – może włamał się i próbuje ją zgwałcić. Zerwałem się z łóżka i potknąłem o krzesło, upadłem na stolik przy kanapie i rozciąłem sobie brodę. Z krwią ciekącą po twarzy ruszyłem dalej. Wreszcie znalazłem ją przed biurkiem. Koperty leżały rozrzucone po całej podłodze jak zeschnięte liście, jakby najpierw cisnęła je pod sam sufit. I wciąż krzyczała. Wrzeszczała bez końca, nawet gdy wziąłem ją w objęcia i zacząłem kołysać jak dziecko. A kiedy próbując ją uciszyć, zasłoniłem jej usta ręką, ugryzła mnie.

Pamiętam, że odczułem nieopisaną ulgę zamiast bólu. W każdym razie z moją dłonią na ustach nie mogła już krzyczeć.

Manfred, Sanchez i ja siedzimy w małej salce konferencyjnej na trzecim piętrze, w tej po prawej od kuchni. Wygląda tak samo jak wszystkie pozostałe sale konferencyjne w budynku komendy: białe ściany, krzesła z jasnego drewna z niebieskimi siedzeniami, biały laminowany stół. W oknie stoi świecznik adwentowy, który Gunnar przyniósł z domu, aby stworzyć namiastkę świątecznej atmosfery. Na ścianie wisi wyblakły plakat na temat ochrony serca i płuc.

Mamy przygotować jutrzejsze spotkanie z całym zespołem dochodzeniowo-śledczym i kierującym śledztwem Björnem Hanssonem, jednym z nowych prokuratorów. Jeszcze go nie poznałem; zdaniem Sanchez jest „bystry, ale jak zwykle ma tyłek razem z głową i za wysokie wyobrażenie o sobie”.

Manfred przyniósł dzbanek z kawą, a Sanchez kroi nożem szafranowe bułeczki z 7-Eleven. Obok leżą rozłożone na stole zdjęcia z miejsca zbrodni. Staram się nie patrzeć na odrąbaną głowę, kiedy sięgam po kawałek drożdżówki.

Minęły już dwa dni, od kiedy w domu Jespera Orrego w Djursholmie znaleziono zwłoki zamordowanej kobiety, a my wciąż nie wiemy, kim ona jest. Gdzieś żyją jej najbliżsi, nieświadomi tego, że ich córka, siostra albo mama została zabita.

I gdzieś chodzi sobie na wolności jej morderca.

Sanchez podsumowuje sytuację:

– Jesper Orre był widziany w pracy ostatni raz w piątek. Według osób,

które przesłuchaliśmy, zachowywał się zupełnie normalnie i nie zdarzyło się nic nietypowego. Opuścił biuro około wpół do piątej i zgodnie z tym, co sam mówił, zamierzał pojechać do domu. Nikomu nie zdradził swoich planów na weekend, ale wziął wolne aż do środy, niewykluczone więc, że miał wyjechać. Jego komórkę i portfel znaleziono w domu. W portfelu były wszystkie karty kredytowe, a od ubiegłego tygodnia z jego konta nie podjęto żadnych pieniędzy. Technicy zabezpieczyli w holu i na dworze krwawe odciski butów w rozmiarze czterdzieści trzy, co może wskazywać na to, że rzeczywiście opuścił dom po morderstwie. Znaleźli też ślady sąsiadki i ofiary. Poza tym wiele innych, na razie niezidentyfikowanych. Analiza odcisków palców na maczecie dotychczas nic nie dała, ale laboratorium informuje, że na broni są jakieś pozostałości śladów.

– A jaki jest ten Orre jako człowiek? – pyta Manfred, głośno siorbiąc kawę.

– Wygląda na to, że jest dosyć lubiany przez kolegów z kierownictwa firmy, ale inni współpracownicy z centrali uważają raczej, że bywa surowy i wywołuje postrach – kontynuuje Sanchez. – Natomiast na niższych poziomach organizacji, że tak powiem: na samym dole, ma opinię napalonego samca. A związki po prostu go nienawidzą. Lecz to już wiecie. Jego rodzice to emerytowani nauczyciele, oboje mieszkają w Brommie, w domu, w którym Jesper Orre dorastał. Opisują syna jako przedsiębiorczego, wysportowanego i pogodnego. Nic im nie wiadomo o tym, by miał jakieś problemy psychiczne. Potwierdzają też, że od wielu lat jest singlem, ale prowadzi.. .jak to określają... „aktywne życie miłosne”.

– Co to, u diabła, znaczy? – dziwi się Manfred.

Sanchez pochyla się nad stołem i patrzy mu prosto w oczy, wkładając sobie do ust ostatni kawałek bułki.

– To znaczy, że w łóżku dużo lepiej się bawi od ciebie, kapujesz?

– Niekoniecznie – wtrącam, co sprawia, że Sanchez zaczyna chichotać, a okruchy bułki wypadają jej z ust i lądują na krótkiej czarnej spódniczce.

Manfred nie wygląda na specjalnie zadowolonego z przebiegu dyskusji. Zdejmuje marynarkę w kratkę, zawiesza ją przesadnie pedantycznie na oparciu krzesła i swoją wielką pięścią lekko stuka o blat stołu, jakby chciał zwrócić na siebie naszą uwagę.

– Może dobrze byłoby skupić się na chwilę, żebyśmy mogli stąd dzisiaj wyjść. Sanchez, jaka jest twoja hipoteza?

Jako najmłodsza przy stole zostaje wezwana do odpowiedzi w pierwszej kolejności, co jest logiczne i stanowi nieodłączną część systemu: starsi, bardziej doświadczeni śledczy trenują młodszych. Sanchez prostuje więc plecy i przybiera bardzo poważną minę. Splata dłonie przed sobą na białym blacie.

– To chyba całkiem oczywiste. Jesper Orre był w domu z jedną ze swoich panienek i nagle coś poszło nie tak. Wybuchła awantura, zabił ją, a potem uciekł.

– Dlaczego nie wziął ani komórki, ani portfela? – pyta Manfred, strzepując z różowej koszuli kilka niewidzialnych okruchów.

– Bo leżały w salonie, a nie chciał zostawiać za dużo śladów na miejscu zbrodni – proponuje Sanchez. – Albo po prostu zapomniał, w końcu miał o czym myśleć.

– A jeśli chodzi o samo zabójstwo – wtrącam i wskazuję zdjęcie przedstawiające głowę, która zdaje się wyrastać z podłogi – dlaczego było takie brutalne? Nie wystarczyłoby jej po prostu zabić? Z jakiego powodu musiał jeszcze odciąć głowę?

Sanchez marszczy brwi.

– Pewnie był nieźle wpieniony, szczerze jej nienawidził. Zastanawiam się też, czy sposób ustawienia tej głowy nie ma jakiegoś specjalnego znaczenia. Bo ona jakby patrzy na drzwi, na tego lub na tych, którzy mają tam wejść. Co o tym myślicie? Czy on przypadkiem nie chciał przez to czegoś powiedzieć?

– Na przykład co? – pyta Manfred.

Spoglądamy znowu na zdjęcie. Oczy kobiety są zamknięte, a twarz przesłaniają zlepione krwią kosmyki włosów.

Sanchez nieznacznie wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Na przykład: tylko popatrzcie! Tak kończy ktoś, kto mnie oszukuje albo okłamuje, albo o co tam ją podejrzewał.

Nagle dzwoni komórka Manfreda. Podnosi ją do ucha i po chwili mówi:

– Jesteśmy w salce na trzecim piętrze. Możesz ją do nas przyprowadzić? Dzięki. Okej.

Następnie zbiera fotografie ze stołu, odwraca je i układa starannie na kupkę obok siebie. Bierze głęboki oddech i opiera się wygodnie na krześle.

– Mamy gościa – informuje. – Pamiętacie, niedawno mówiliśmy o morderstwie na Söder sprzed dziesięciu lat, o tym, które tak bardzo przypomina to obecne. Pozwoliłem sobie zaprosić kogoś, kto uczestniczył wtedy w śledztwie. Co oczywiście nie znaczy, że między tymi dwiema sprawami istnieje

jakiś związek, ale myślę, że ta osoba może nam pomóc przybliżyć postać sprawcy.

W tym samym momencie rozlega się pukanie do drzwi, a ja czuję, jak oblewa mnie lodowate zimno, jak w ułamku sekundy z mojego ciała odpływa całe ciepło, a pierś rozsadza obezwładniające dudnienie. Sala się kurczy, sufit się wybrzusza, jakby za chwilę miał się zawalić i runąć prosto na mnie.

Otwierają się drzwi i w progu staje ona, ubrana w źle dopasowaną puchową kurtkę i w botkach tak ciężkich i grubych, że chyba nadawałyby się na wyprawę na biegun północny. Moda nigdy nie była jej mocną stroną. Gęste jasnobrązowe włosy przeplatają szerokie pasma siwych, a na nosie tkwią okulary, które nadają jej nieco surowy wyraz. Jednak generalnie wiele się nie zmieniła. Wygląda prawie tak samo jak dziesięć lat temu. Może nawet jest jeszcze ładniejsza. Delikatna siateczka zmarszczek wokół oczu i nieco pociągłejsza twarz sprawiają, że wydaje się bardziej krucha. Jakby czas uczynił ją bardziej delikatną i wątłą.

– To jest pani Hanne Lagerlind-Schön – oznajmia Manfred.

Emma

Dwa miesiące wcześniej

Istnieje szczególny rodzaj zmęczenia, który dopada osoby pracujące w sklepie. Ostre sztuczne światło i muzyka nieustannie obecna w tle mają wyraźnie usypiający efekt. Mogę przysiąc, że zdarzało mi się spać, mimo że wolnym krokiem krążyłam po stoisku z na pozór zaaferowaną miną. Czasami mijają całe godziny, które potem znikają mi z pamięci jak wytarte gumką. Bywa też, że wracam z lunchu, coś tam robię i nagle odkrywam, że już pora zamykać, i nie mogę się nadziwić, kiedy minął cały dzień.

Za oknem przechodzą ludzie, ubrani w przemoknięte płaszcze i z parasolami w dłoniach. Mahnoor metkuje swetry z letniej kolekcji przeznaczone na wyprzedaż. Porusza się powoli w takt muzyki. Długie ciemne włosy opadają jej na ramiona i plecy, czarna rzeka na czerwonej tunice. Wystające spod niej szczupłe nogi w dżinsach dyskretnie wykonują drobne taneczne kroczyki. Olgi nie widać. Może jest na zewnątrz i pali, a może poszła na wczesny lunch.

Od Jespera nie dostałam żadnego znaku życia.

Nadal go nie ma i co się z nim stało, jest wciąż tajemnicą. Uspokajam się, że gdyby uległ jakiemuś poważnemu wypadkowi, raczej bym już o tym usłyszała. Byłoby coś na ten temat w wiadomościach. A gdyby coś mu przeszkodziło, prawdopodobnie dałby mi znać.

Do tej pory nigdy nic mu nie przeszkodziło.

W sklepie jest pusto. Kiedy spoglądam pod światło, czuję suchość w oczach. W głośnikach dudni ta sama muzyka co godzinę wcześniej. Playlista, którą dział marketingu odświeża raz w miesiącu, jest każdego dnia odtworzana na okrągło.

„Nie dostajesz od tego szału?” – spytała mnie kiedyś mama. Prawda jest taka, że człowiek się przyzwyczaja i w końcu nic w ogóle nie słyszy. Można spać i pracować jednocześnie, kręcić się po sklepie, nie myśląc. Szybować, nie dając się wciągnąć w melodię i wyłączając coraz wyższe funkcje intelektualne – jak liść dryfujący na wodzie.

– Lubisz to miejsce? – spytał Jesper, kiedy pierwszy raz jedliśmy razem kolację.

Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć. Właśnie zajęliśmy stolik w restauracji przy Stureplanie, którą mijałam dziesiątki razy, ale nigdy nawet do niej nie zajrzałam. Postanowiłam, że mimo wszystko lepiej będzie kłamać. Przecież prawie go nie znałam, poza tym jaki sens miałoby zwierzenie się komuś, kto tak naprawdę jest moim najwyższym szefem.

– Oczywiście – rzuciłam. – Lubię.

– Nie wyglądasz na przekonaną.

Kelnerka na niebotycznie wysokich obcasach przyniosła nam menu. Przykucnąwszy, zapisywała, czego chcemy się napić. Miała tak króciutką spódniczkę, że przez cienkie jak mgiełka rajstopy mogłam dostrzec jej majtki. Byłam jej wdzięczna, że pojawiła się akurat w tym momencie, ponieważ temat rozmowy nie był dla mnie zbyt wygodny.

– Na co masz ochotę?

– Wezmę to samo co ty.

Uniósł brwi, przyjrzał mi się przez sekundę, po czym odwrócił się do kelnerki i zamówił dwa drinki. Następnie rozluźnił sobie krawat i z ciężkim westchnieniem rozsiadł się wygodnie w głębokim fotelu.

– Czasami mam naprawdę dość swojej pracy – powiedział z naciskiem i spojrzał przez okno. Stojące coraz wyżej na niebie późnowiosenne słońce malowało złote smugi na wilgotnej ulicy za szybą.

– Poważnie? Nigdy bym nie przypuszczała.

– A to czemu? Bo mam... wysoką pozycję. Ważną posadę. To pozory.

Nagle wydał się bardzo zmęczony. Zmęczony i cyniczny, i wcale nie taki władczy.

– Nie, po prostu. Sama nie wiem.

– Bo tak właśnie wszyscy myślą. Że moja praca jest taka zajebista, taka ciekawa. A to wszystko ściema. Właściwie nie jest taka ani trochę.

– No to jaka jest? Właściwie?

Podano nam drinki. Byłam zdenerwowana i kiedy podniosłam kieliszek, zauważyłam, jak drży mi ręka. Chwyciłam go więc obiema dłońmi, mimo to i tak trochę rozlałam. Zamoczyłam sobie palce, które stały się lepkie, niemal przyklepały się do szkła. Gdy próbowałam wytrzeć je serwetką, porwała się i małe kawałki papieru przylgnęły mi do skóry. Jesper udawał, że nic nie widzi. Uśmiechnął się jakby do wewnątrz, w trochę obojętny sposób.

– Szczerze? – spytał.

– Szczerze.

Wypił łyk drinka i pochylił się ku mnie. Jego spojrzenie na ułamek sekundy przybrało dziwny wyraz, którego nie potrafiłam odczytać. Delikatne zmarszczki wokół oczu zarysowały się mocniej. Ile lat może być ode mnie starszy? Chyba jest po czterdziestce. Czyli: piętnaście? Dwadzieścia?

– Powoduje, że człowiek staje się samotny – powiedział.

– Samotny?

– Nie wierzysz mi, prawda? Ale tak jest. Nie ma większej samotności niż wtedy, kiedy stoisz w świetle reflektorów albo widzisz się w telewizji i gazetach. Wszyscy wiedzą, kim jesteś, ale ty nie znasz nikogo. Wszyscy chcą się z tobą przyjaźnić, ale nikomu nie możesz zaufać. Tak szczerze. Rozumiesz?

– Rozumiem.

Uśmiechnął się znowu. Tym razem był to pozbawiony radości grymas, który odsłonił jego nienaturalnie białe zęby. Co on z nimi robił? Wybielał je?

– Wiedziałem, że ty to zrozumiesz. Bo my jesteśmy do siebie podobni, Emmo. Czujemy tak samo.

Znowu ogarnęło mnie to podstępne uczucie, że coś tu się nie zgadza, że on widzi we mnie cechy i właściwości, których wcale nie mam. Że uznał mnie za kogoś, kim może nie jestem. I poczułam coś jeszcze: lęk. Czy on będzie zawiedziony, kiedy odkryje, jaka jestem naprawdę, gdy już dobrze mnie pozna? Czy jestem dla tego wpływowego mężczyzny jedynie rozrywką dla zabicia czasu? Czy potem mnie wyrzuci jak zużytą zabawkę?

– A życie prywatne? Nie masz żadnej rodziny? – spytałam.

Pytanie było – przynajmniej częściowo – retoryczne. Przecież doskonale wiedziałam, że Jesper nie ma ani żony, ani dzieci. Że przez ostatnie lata przewinęła się przez jego życie cała galeria dziewczyn.

Wiedział to każdy, kto umiał czytać. A właściwie nawet nie trzeba było umieć czytać. Wystarczyło popatrzeć na okładki tygodników.

Jesper zrobił smutną minę. Kąciki ust opadły mu o kilka milimetrów.

– Jakoś się nie ułożyło – stwierdził krótko. – Może wybierzemy coś do jedzenia?

Złożyliśmy zamówienie.

Za oknem stała para młodych ludzi i całowała się w wieczornym słońcu. Speszyłam się, nie wiedziałam, gdzie mam podziać oczy. Usiłowałam więc pozbyć się mikroskopijnych skrawków papieru przyklejonych do moich lepkich palców.

– A ty? – spytał. – Masz rodzinę?

– Ja?

Uśmiechnął się.

– Tak, ty, Emmo.

Czułam, jak czerwienieją mi policzki.

– Jeśli masz na myśli chłopaka, to nie mam. A jeżeli chodzi o rodzinę...

Mam mamę.

– Aha. Często się spotykacie? Jesteście ze sobą blisko?

– Tak sobie. Widujemy się kilka razy w roku i raczej bym nie powiedziała, że jesteśmy ze sobą blisko.

– Rozumiem.

Nagle poczułam impuls, wręcz zapragnęłam mu się zwierzyć. Nie miałam zwyczaju opowiadać o mamie, ale z jakiegoś niewiadomego powodu wydało mi się, że to jest właściwa chwila i właściwa osoba.

– Mama jest alkoholiczką – powiedziałam.

Zatrzymał na mnie głębokie spojrzenie swoich ciemnych oczu, pochylił się ku mnie i ścisnął moją lepką dłoń.

– Ojej, przepraszam, nie wiedziałem.

Skinęłam głową i spuściłam wzrok, nagle nie mogłam wykrztusić ani słowa więcej, nie byłam też w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Od dawna ma z tym problem?

Potrzebowałam jeszcze chwili, aby rozważyć, na ile szczerą jestem gotowa z nim być.

– Odkąd pamiętam.

Zastanowiłam się. Czy był taki czas, że mama nie piła? Nie przypominałam sobie. Natomiast kiedy jeszcze byłam mała, nie brakowało jej energii ani pogody ducha. Potrafiłyśmy na przykład późno wieczorem, gdy inne dzieci już dawno spały, gdzieś się wybrać albo gonić się nawzajem boso po śniegu. Któregoś razu, kiedy mama była pijana, poszłyśmy do sklepu zoologicznego i kupiłyśmy małego pieska. A ponieważ wydałyśmy na niego wszystkie pieniądze, potem w Konsumie razem zwędziłyśmy parę rzeczy.

Miłe wspomnienia, mimo wszystko.

– A twój tata? – spytał Jesper.

– Umarł, kiedy byłam w gimnazjum.

– Często o nim myślisz?

– Czasami. Śni mi się.

Skinął głową, jakby dokładnie rozumiał.

– Ojczym?

Ujrzałam przed oczami Kenta i natychmiast przeszył mnie dreszcz. Mama żyła z nim przez kilka lat. Nigdy nie mogłam pojąć, co tak naprawdę ich łączy, poza piciem oczywiście.

– Dorastanie w domu alkoholików musi być strasznie trudne.

Jego dłoń wciąż spoczywała na mojej. Promieniowało od niej ciepło, które wnikało we mnie jak światło słońca.

– Przede wszystkim... samotne.

– No widzisz! – rzucił z triumfem i jeszcze mocniej ścisnął mi rękę.

– Co?

– Ty też jesteś samotna. Mówiłem ci. Wiedziałem.

W drodze z pracy do domu wysiadam na Slussen. Zimny wiatr pędzi po Götgatan w kierunku Medborgarplatsen zeszcłe liście i niedopałki papierosów. Na wilgotnej ziemi utworzyły się małe kryształki lodu. Lśnią w świetle ulicznych latarni. Jest ślisko i o mało nie tracę równowagi, gdy skręcam w lewo w Högbergsgatan. Słabe zapachy jedzenia rozchodzą się z pobliskich barów i kawiarni. Dwóch chłopaków dzieli się papierosem na schodach. Patrzą na mnie, jakbym przerwała im coś intymnego. Ich spojrzenia są niemal złowrogie. Otulam się więc szczelniej skórzaną kurtką i przechodzę obok najszybciej jak potrafię ze wzrokiem utkwionym w ziemi.

Wreszcie staję przed wejściem do domu przy Kapellgränd.

Od razu je rozpoznaję. Zmarznięty krzak róży, kolorowe szybki w drzwiach. Właśnie gdy mam położyć rękę na klamce, drzwi się otwierają i wychodzi z nich starszy pan z pieskiem. Pozdrawia mnie i wpuszcza na klatkę schodową. Dziękuję mu skinieniem głowy.

Nie poznaję go.

Na drzwiach mieszkania nie ma wizytówki, jest jedynie mała kartka z informacją „Żadnych reklam”, napisana odręcznie przez Jespera, co przekonuje mnie, że trafiłam. Zawsze uważałam to za dziwne, że nie chce tabliczki z nazwiskiem, ale wyjaśnił mi, że zależy mu na spokoju i woli unikać ciekawskich sąsiadów i dziennikarzy. Naciskam dzwonek. Nic się nie dzieje. Czekam chwilę, naciskam znowu, może nawet trzymam palec na guziku trochę za długo. Sygnał wściekle prześwidrowuje ciszę. Gdzieś w głębi słyszę kroki i drzwi otwierają się z rozmachem.

– Tak?

Mężczyzna jest ubrany w podkoszulek oraz w coś w rodzaju spodni tre-

ningowych i trzyma puszkę piwa w ręce. Ramiona ma pokryte tatuażami, a długie włosy są zebrane z tyłu głowy w kucyk. Jednak co innego szokuje mnie jeszcze bardziej: w holu znajdują się zupełnie inne meble niż te, które miał wcześniej Jesper. Czerwone krzesła i nieduża komódka zniknęły. Zamiast nich pod ścianą stoją oparte obrazy, a w rogu leżą na stosie ubrania. Utkanego przez mamę Jespera dywanika też nie ma.

– Przepraszam, czy zastałam Jespera?

– Jespera? Jakiego Jespera?

Mężczyzna otwiera puszkę z piwem. Słychać charakterystyczny dźwięk, potem pokazuje się piana. Nieznajomy podnosi puszkę do ust i demonstracyjnie pociąga solidny łyk.

– Mieszka tutaj. Jesper Orre.

– Pierwsze słyszę. Tylko ja tu mieszkam, musiała pani pomylić adres.

Próbuje zamknąć drzwi, ale jestem szybsza i wsuwam stopę w szczelinę.

– Chwileczkę, czy to jest jedyne mieszkanie na parterze?

– Tak.

– Nie wie pan, czy zanim się pan wprowadził, mieszkał tutaj niejaki Jesper?

– Nie mam zielonego pojęcia. Mieszkam tu tylko miesiąc i zaraz się stąd wynoszę. Dom jest do rozbiórki. Podobno w ścianach jest jakieś gówno. A teraz pani pozwoli, mam co innego do roboty.

Cofam stopę. Przepraszam. Mężczyzna z piwem zamyka drzwi bez słowa.

Chodzę w kółko po swoim mieszkaniu. Wędruję tam i z powrotem po skrzypiącym parkiecie. Ciemność na dworze jest nieprzenikniona. Od środka wygląda to tak, jakby okno było zamurowane. Wiatr dmucha i gwizdże wokół domu, wprawia go niemal w kołysanie, szyby trzeszczą smagane podmuchami, jakby protestowały przeciwko tak obcesowemu traktowaniu.

Moje mieszkanie ma taki rozkład, że można je obejść naokoło. Nagle zdaję sobie sprawę, że zachowuję się dokładnie tak samo jak w pracy. Krążę bez celu, jakby to miało mi pomóc uporządkować myśli.

Żadnego nieodebranego połączenia, żadnego esemesa.

Sprawdziłam też skrzynkę na listy. Znalazłam same reklamy i rachunki. Nie byłam w stanie nawet otworzyć kopert, odłożyłam je wszystkie na kupkę w nieużywanym chlebaku.

Siadam na jednym z zielonych foteli. Obracam pierścionek zaręczynowy

na palcu. Jest duży i trochę uwiera. Ściągam go ostrożnie i podnoszę pod światło. Nie ma na nim napisu. Ustaliliśmy oboje, że zostawimy to na później.

Kamień jest niesamowicie duży.

Muszę przyznać, że nigdy nie widziałam tak dużego brylantu. Przypominam sobie, jak Olga spytała mnie, ile kosztował. W gruncie rzeczy całkiem uzasadnione pytanie, nawet jeśli niezgodne z etykietą. Ile może kosztować taki pierścionek? Jesper bardzo się starał, żebym nie zobaczyła metki z ceną. A ja uważałam oczywiście, że to takie romantyczne, czułam się jak bohaterka *Pretty Woman*, czekająca na wysiedzianej welurowej kanapie w sklepiu jubilera.

Co najmniej pięćdziesiąt tysięcy, przemyka mi przez myśl. Biorąc pod uwagę to, ile kosztowały dużo mniejsze pierścionki, ten musi mieć wartość co najmniej pięćdziesięciu tysięcy. Aż kręci mi się w głowie. Nigdy nie miałam tyle pieniędzy do wydania na coś, co właściwie jest całkiem zbędne, i przypuszczam, że w mojej rodzinie też nie znalazłby się nikt taki. Z wyjątkiem ciotki.

Noszę majątek na palcu, ale mężczyzna, który mi go podarował, rozplynął się jak dym. Jak to możliwe, że ktoś mówi, że kocha, podarowuje drogi pierścionek zaręczynowy, a potem nie daje znaku życia? Czy jest jakieś inne wytłumaczenie niż wypadek, nagła choroba lub niespodziewana pilna podróż służbowa albo zgubienie komórki? A może on to zrobił z premedytacją? I teraz czuje swego rodzaju chorą satysfakcję, kiedy się niepokoję, wracam do domu i czekam, i nie wiem, co się stało.

Odsuwam tę myśl.

Przecież to jasne, że on wróci. Tylko nie wiem kiedy.

Myję zęby i wślizguję się do łóżka, czuję chłodną pościel na swojej skórze. Myśli kotłują mi się w głowie, walczą ze mną, mimo to zasypiam niemal natychmiast.

Śni mi się, że on stoi przy moim łóżku, całkiem cicho, i przygląda mi się w milczeniu. Księżyc świeci przez okno i chociaż wyteżam wzrok, próbując przebić się przez szarość, nie mogę dostrzec jego twarzy. Jest jedynie czarną sylwetką zarysowującą się w poświacie srebrzystego blasku, to jedynie kontury mężczyzny, którego już nie znam. I którego może nigdy nie znałam. Chcę z nim porozmawiać, otrzymać od niego wyjaśnienie, ale gdy tylko usiłuję otworzyć usta, odkrywam, że jestem sparaliżowana. A kiedy chcę krzyk-

nać, z mojego gardła nie dobywa się żaden dźwięk.

Potem on znika.

Szare światło poranka wlewa się przez okno. Stoję na łóżku i wiodę dłonią po poźółkłej tapecie. Próbuję zaprowadzić porządek w myślach i zrozumieć.

Obraz Ragnara Sandberga zniknął.

W miejscu, gdzie wisiał, widoczny jest jaśniejszy prostokąt. Gwóźdź tkwi mocno powyżej w murze, jak do tej pory. Chociaż wiem, że to niedorzeczne, odsuwam łóżko i zaglądam za nie. Nic tam nie ma, jedynie kilka kłębków kurzu i jakiś stary paragon ze sklepu monopolowego.

Schodzę na podłogę i powoli zadaję sobie samej pytanie: czy ktoś wszedł do mieszkania i zabrał obraz, kiedy spałam, czy nie było go już wczoraj, gdy wróciłam? Staram się przypomnieć sobie, czy poprzedniego wieczoru coś mnie poruszyło, ale nic nie przychodzi mi do głowy. To był wieczór jak wiele innych. Spędzony samotnie z Siggem, przy wtórze jesiennego wiatru, który szalał za czarnymi oknami.

Obraz był jedyną cenną rzeczą, jaką posiadałam. A pieniądze, które miałam, pożyczyłam Jesperowi. Jak ja sobie teraz poradzę? W pordzewiałym starym chlebaku leży cały stos rachunków, jak spleśniałe kromki chleba. Co prawda do wypłaty został tylko tydzień, ale ona i tak nie wystarczy mi na długo.

A jeżeli ktoś był w mieszkaniu i zabrał obraz? Na dodatek zakradł się tu w nocy, przechylił się nad moim pogrążonym we śnie ciałem i zdjął go ze ściany? Przysłuchiwał się mojemu oddechowi, gdy leżałam zupełnie nieświadoma tego, co się dzieje?

Raptem przypomina mi się sen. Postać rysująca się w blasku księżyca. Paralizujące poczucie strachu, gdy uświadomiłam sobie, że nie mogę ani się poruszyć, ani krzyknąć.

Nagle wzbiera we mnie fala wymiotów. Pędzę do łazienki, padam na kolana przed sedesem i wyrzucam z siebie ohydnie gorzki, żółty płyn. Gdy tylko próbuję się podnieść, wylewa się ze mnie jeszcze więcej. W końcu osuwam się na zimną posadzkę i przewracam na plecy z rękami i nogami rozłożonymi szeroko. Wyglądam jak rozgwiadza.

Pod sufitem wisi kurz długimi pasmami. Kołyszą się w słabym powiewie wentylatora. Gdzieś w budynku ktoś spłukuje wodę w toalecie, w rurach biegnących po ścianie bulgocze i szemrze, jakby przemawiały do mnie w jakimś

obcym języku.

Sigge podchodzi do mnie i przygląda się z zaciekawionym. Pewnie się dziwi, co robię na podłodze. Potem odwraca się i wychodzi, machając ogonem.

Gdybyś tak umiał mówić, myślę sobie. Wtedy mógłbyś mi opowiedzieć, co się stało, kiedy spałam.

Hanne

Właściwie to wina Owego, że stoję tu, w drzwiach komendy policji. Wieczorem, po powrocie z koncertu w kościele Jadwigi Eleonory, doszło między nami do straszliwej awantury. Do furiackiego wybuchu. To znaczy, on zachowywał się jak furia. Krzyczał, że jak mogę być tak nieodpowiedzialna i dziecinna, żeby w ogóle myśleć o współpracy z policją, skoro cała kuchnia jest oklejona żółtymi karteczkami, a ja nawet nie pamiętam, jaki chleb chciałam ze sklepu (pszeniczny, z pestkami dyni; oczywiście, że pamiętałam, ale kupiłam inny, żeby go rozdrażnić).

Miałam ochotę mu odpowiedzieć, że mógł kupić sobie swój cholerny chleb sam, ale rzecz jasna tego nie zrobiłam, tylko zabrałam Fridę i położyłam się spać na wąskim łóżku w pokoju gościnnym. Usiłowałam zrozumieć, dlaczego tak mi trudno postawić się Owemu, dlaczego pozwalam mu, żeby tak po mnie jeździł i traktował w ten sposób.

Ale nie doszłam do żadnego rozsądnego wniosku.

Następnego dnia rano, kiedy Owe poszedł do pracy, zadzwoniłam do tamtego policjanta i oświadczyłam, że chętnie wpadnę i porozmawiam. Może jutro? Odrzekł, że mu odpowiada i że będą na mnie czekać.

Kobieta, która prowadzi mnie do salki konferencyjnej na trzecim piętrze, jest młoda i rozwodzi się na temat pogody. Pyta, czy nie miałam problemu z dotarciem w tym chaosie wywołanym przez śnieg. Odpowiadam uprzejmie, że metro działa bez zarzutu i że jestem ubrana tak ciepło, że chyba nawet gdybym musiała spać na dworze, ani trochę bym nie zmarzła.

Uśmiecha się z politowaniem, zerkając na moją kurtkę wielką jak worek.

Podchodzimy do salki konferencyjnej. Kobieta lekko puka w drzwi, które po kilku sekundach się otwierają. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego.

Za stołem, pod oknem siedzi on.

Peter.

Mam wrażenie, że wszystka krew odpływa mi do nóg. Że w jakiś tajemniczy sposób całe powietrze z sali zostaje wyssane przez szczeliny w oknie

i w środku pozostaje próżnia. Czuję mrowienie w palcach, serce wali mi w piersi jak młotem, jakby też chciało się z niej wydostać: uciec przed tym na pozór niewinnym mężczyzną w średnim wieku, który siedzi na niebieskim krześle.

Wygląda tak samo, jak go zapamiętałam. Może jest tylko trochę bardziej zmęczony i okrągłszy. Krótko ostrzyżone jasne włosy przyprószone siwizną i głęboko osadzone zielone oczy. Mocno zarysowany garbaty nos, jak z filmów o mafii z lat sześćdziesiątych. Wąskie dłonie, tak smukłe, że mogłyby należeć do kobiety.

Świetnie pamiętam, co potrafią.

Dawne obrazy pojawiają się nie wiadomo skąd i przyprawiają mnie o mdłości. Po raz kolejny zwalczam impuls i nie odwracam się na pięcie, nie uciekam stamtąd, tylko zmuszam się i zostaję, chociaż ciało domaga się czego innego.

– Dzień dobry – mówię.

– Witamy – odpowiada potężny, rudawy mężczyzna w różowej koszuli z złotym fularem.

Wygląda zabawnie. Kompletnie nie pasuje do urzędowej szarości komen-
dy policji. Jakby był zbłąkanym kamratem Owego z koła łowieckiego, który z niewiadomego powodu znalazł się akurat tutaj.

Mniej więcej trzydziestokilkuletnia kobieta o ciemnej karnacji i ciemnych włosach podchodzi do mnie i się przedstawia. Uśmiecham się, ściskam jej dłoń, ale nie słyszę, co mówi. Potem przede mną staje on. W jego sylwetce i sposobie poruszania się wciąż jest coś chłopięcego. Swego rodzaju luz, z którego nigdy nie wyrósł. Gdy wyciąga do mnie rękę, zauważam, że raczej nie czuje się komfortowo w tej sytuacji.

Podaję mu swoją, ale za wszelką cenę unikam spojrzenia jego zielonych oczu. Mimo to reaguję na ten dotyk tak intensywnie, niemal fizycznie, że aż się przestraszam. Poczulałam się tak, jakby ktoś przyłożył mi prosto w żołądek. Potem to mija i odchodzimy od siebie. Zdejmuję kurtkę, siadam na krześle, a gdy kobieta proponuje mi kawę, dziękuję i odmawiam. Nie jestem bowiem pewna, czy zdołałabym spokojnie utrzymać filiżankę.

Zwracam wzrok na blat stołu. Cienkie kable biegną wzdłuż i w poprzek białego blatu. Kącikiem oka widzę Petera. Chyba patrzy przez okno.

– Wielkie dzięki za to, że pani przyszła – zaczyna zwalisty mężczyzna. – Spotkaliśmy się przelotnie dziesięć lat temu przy okazji śledztwa w sprawie

zabójstwa Miguela Calderóna.

Potakuję i podnoszę na niego wzrok. On tymczasem bierze do ręki wypchaną papierową teczkę i zaczyna wyjmować jakieś protokoły i zdjęcia. Kartki są pożółkłe, a fotografie mają ośle uszy. Rozkłada wszystko na stole.

Pochyliam się do przodu i przyglądam czarno-białym odbitkom. Nagle czuję niekontrolowany przypływ wspomnień i obrazów: zapachy sali sekcyjnej, głowa młodego mężczyzny kilkadziesiąt centymetrów od ciała, nie położona, ale specjalnie ustawiona w taki sposób, aby była zwrócona ku drzwiom. Na wpół otwarte za pomocą taśmy oczy prześladowały mnie potem w snach przez długie miesiące.

– Miguel Calderón, dwudziestopięcioletni niewykwalifikowany robotnik – kontynuuje miękkim głosem wielki policjant, który, jak zapamiętałam, ma na imię Manfred. – Znaleziony martwy we własnym mieszkaniu przy Hornsbruksgatan, niedaleko Zinkensdamm, piętnastego sierpnia dziesięć lat temu przez swoją siostrę, Lucię. Cały tydzień bezskutecznie próbowała się z nim skontaktować, w końcu zaczęła się denerwować. Ponieważ miała klucz do jego mieszkania, poszła tam i znalazła go martwego na podłodze w przedpokoju. Śmierć nastąpiła w wyniku licznych ciosów zadanych w szyję narzędziem przypominającym miecz, którego nigdy nie znaleziono. Głowę oddzielono od korpusu, a powieki uniesiono za pomocą srebrnej taśmy, jakby morderca chciał zmusić każdego, kto tam wejdzie, by spojrzał ofierze w oczy.

Kiwam głową, koncentruję się na zdjęciach i czuję, jak moje serce powoli się uspokaja, a w powietrzu przybywa tlenu. Przemyka mi przez myśl, że to dziwne, ale brutalny mord sprzed dziesięciu lat świetnie się sprawdza jako czynnik odwracający uwagę. Przecież mogę udać, że on tu wcale nie siedzi, zaledwie kilka metrów ode mnie. Mogłabym w ogóle wyprzeć go z pamięci, jeśli tylko odpowiednio mocno się postaram.

I zamiast na nim skupię się na śmierci.

Manfred Olsson upuszcza z głośnym plaśnięciem na blat stołu grube pliki papierów i mówi dalej:

– To było jedno z najrozleglejszych śledztw w historii współczesnej szwedzkiej kryminalistyki, a może nawet zakrojone na najszerszą skalę, oczywiście poza zabójstwem Palmego. Przesłuchaliśmy setki świadków i znajomych, przebadaliśmy i prześwietliliśmy cholerną masę ludzi. Znaleźliśmy niedopałek przed wejściem do domu, mieliśmy więc DNA potencjalnego sprawcy. Sprawę omawiano w programie telewizyjnym Poszukiwany, po-

szukiwana, a jeden z dziennikarzy napisał nawet na ten temat książkę, w której twierdził, że Calderón padł ofiarą chilijskiego zawodowego mordercy ściągającego w Szwecji, za zgodą szwedzkiej policji, politycznych uciekinierów. Pewnie pani pamięta, Hanne?

Kiwam głową.

– A teraz mamy to – ciągnie Manfred Olsson i powoli rozkłada na stole zdjęcia wyglądające na całkiem świeże. – W ostatnią sobotę wieczorem w Djursholmie znaleziono zamordowaną młodą kobietę. Bezpośrednią przyczyną śmierci były liczne ciosy zadane w szyję i dokładnie tak samo jak w przypadku Calderóna odrąbano jej głowę i postawiono ją na podłodze, zwróconą w kierunku wejścia.

– Z taśmą na powiekach?

Jestem niemal zdziwiona, że zdobyłam się na zadanie pytania, że otworzyłam usta.

Ciemnowłosa kobieta kręci głową.

– Nie, bez taśmy. Poza tym w tym przypadku na miejscu przestępstwa znaleźliśmy też narzędzie zbrodni. Maczetę. Przesłaliśmy ją do laboratorium do ekspertyzy.

Nie mogę się powstrzymać i zerkam na Petera. Jest blady i siedzi z rękami założonymi na piersi. Najwyraźniej czuje się nieswojo, co pozwala mi doznać czegoś w rodzaju triumfu: drobnego, parszywego, ale upajającego zwycięstwa.

Manfred Olsson kontynuuje:

– Pamiętam, że miała pani wtedy sporo interesujących teorii na temat mordercy. Chciałbym spytać, czy pani zdaniem sprawca może być ten sam.

Patrzę na rozrzucone przede mną zdjęcia przedstawiające śmierć i chaos. Czuję jak zawsze w takich sytuacjach swego rodzaju smutek, ale także fascynację przemożnym i nieprzepartym popędem człowieka do zabijania. I jeszcze coś: ciarki, tęsknotę za tym, żeby zagłębić się w tej sprawie, przeświecić ją i wziąć pod lupę ze wszystkich stron. Stopniowo stworzyć obraz sprawcy, zamienić go lub ją w człowieka z krwi i kości.

Uwielbiam swoją pracę badawczą, ale współpraca z policją dostarcza mi satysfakcji zupełnie innego rodzaju. Wszystko to, czym zajmuję się całymi dniami, to jedynie teorie. A możliwość przełożenia wiedzy na praktykę jest po prostu nieprawdopodobnie wspaniała. Daje fenomenalne poczucie. Nagle uświadamiam sobie, jak bardzo mi tego brakowało.

– Jak pewnie się domyślacie, nie mogę się szerzej wypowiedzieć, nie znając szczegółów – odpowiadam. – Ale jeśli miałabym się pokusić o zupełnie spontaniczną ocenę... Ofiary są oczywiście różne, mężczyzna i kobieta, miejsca zbrodni też inne. Poza tym w ostatnim przypadku narzędzie zbrodni zostawiono na miejscu przestępstwa, co także różni go od sprawy Calderóna. Mimo to jestem skłonna twierdzić, że podobieństwa w sposobie popełnienia zbrodni są nazbyt duże, by można było je zignorować. Niewątpliwie powinniście wziąć ten aspekt pod uwagę. Ale pewnie doszłicie już do tego wniosku sami, skoro zaprosiliście mnie do siebie?

Potężny policjant potakuje głową.

– Kto robi coś takiego? – pyta kobieta. – Szaleniec?

Uśmiecham się nieznacznie. Słowo „szaleniec” jest zdecydowanie nadużywane w naszym społeczeństwie.

– To zależy, co pani rozumie pod tym określeniem. Można oczywiście powiedzieć, że dla popełnienia takiej zbrodni w pewnym sensie trzeba być szaleńcem. Ale gdybyśmy mieli do czynienia ze sprawcą tak zaburzonym psychicznie, że nie byłby w stanie kontrolować siebie, wówczas nie potrafiłby też zatrzeć śladów ani się ukryć. Prawdopodobnie już dawno byście go złapali.

– Cały czas mówi pani „on”?

Ciemnowłosa kobieta spogląda na mnie badawczo.

– Tak, bo większość morderców to mężczyźni. Zwłaszcza w przypadku tak... brutalnych zbrodni. Choć oczywiście nie można wykluczyć, że mamy tu do czynienia z kobietą. Ale na razie mówimy o prawdopodobieństwach, a nie o konkretnych faktach.

– A co według pani znaczy ta odcięta głowa postawiona na podłodze? – pyta dalej.

Wzruszam ramionami.

– No właśnie. Pamiętam, jak wtedy spekulowaliśmy, że mogło chodzić o poníženie ofiary. Sprawca prawdopodobnie znał Calderóna i go nienawdził. Na tyle silnie, że chciał zademonstrować to światu. Sam czyn, odcięcie komuś głowy, wskazuje także na desperację. W ten sposób przez tysiąclecia wymierzano na całym świecie karę za najokrutniejsze zbrodnie. Termin capital punishment pochodzi w istocie od łacińskiego caput, co znaczy „głowa”. Jeszcze dzisiaj ten rodzaj kary stosuje się na przykład w Arabii Saudyjskiej. W Szwecji po raz ostatni dokonano ścięcia głowy w tysiąc dziewięćsetnym

roku, ale w innych państwach europejskich dochodziło do takich egzekucji jeszcze w dwudziestym wieku. Ocenia się, że w Niemczech i Austrii, w latach tysiąc dziewięćset trzydzieści trzy – czterdzieści pięć uśmiercono w ten sposób ponad piętnaście tysięcy ludzi. W wielu krajach tradycyjnie uważano, że śmierć przez ścięcie głowy jest bardziej honorowa niż przez powieszenie czy spalenie, i dlatego ta metoda wykonywania wyroków była zarezerwowana dla przedstawicieli arystokracji i żołnierzy. Ale w innych kulturach, na przykład w Chinach, oznaczała pohańbienie. Celtowie obcinali głowy wrogom i wieszali je na swoich koniach. Po walce balsamowali je i zachowywali, żeby potem wystawić je na pokaz. Dlatego Rzymianie uważali ich za barbarzyńców. Jednak dla Celtów był to całkiem naturalny sposób unicestwienia wroga, ponieważ głowa symbolizowała życie, samą duszę.

W salce zalega absolutna cisza, ja zaś uzmysławiam sobie, że mój wykład chyba musiał nieco zszokować cywilizowanych policjantów.

– Czy istnieje jakieś powiązanie między ofiarami? – pytam.

– Na razie nic nam na ten temat nie wiadomo – mówi Manfred Olsson. – Co prawda mamy jednego podejrzanego w tej sprawie, więc oczywiście zbadamy, czy był w jakikolwiek sposób powiązany z Calderónem.

Spoglądam znowu na zdjęcie odrąbanej kobiecej głowy. Usiłuję sobie wyobrazić, czego potrzeba, by zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi. Jakie mechanizmy muszą znaleźć się poza kontrolą, aby móc popełnić tak nieopisaną zbrodnię.

– Kim ona była? – pytam znowu, powoli przesuwając palcem po fotografii.

Odpowiada mi milczenie. Za oknem wciąż pada śnieg. Duże, delikatne płatki przemykają za szybą pędzone przez silny wiatr i przesłaniają cały widok.

– Nie wiemy – odzywa się w końcu Peter i po raz pierwszy spotyka moje spojrzenie.

Zanim zdąży odwrócić wzrok, dostrzegam ból w jego oczach. Pozostali chyba nie zauważają napięcia między nami, ponieważ wielki policjant mówi szybko:

– Może miałyby pani ochotę pomóc nam w śledztwie. Na zasadzie konsultacji. Nie chodzi o pracę w pełnym wymiarze godzin, tylko o wydanie opinii. Oczywiście jeśli ma pani czas.

Sztokholm jest spowity w białej mgle, gdy idę Hantverkargatan w stronę

ratusza. Płatki śniegu uderzają mnie w twarz i wreszcie jest cicho. Mogłabym już wcześniej wsiąść do metra, ale czułam potrzebę uporządkowania myśli, usunięcia z nich Petera, który znowu wkradł się w moje życie. Samochody toczą się powoli, przysypywane od razu gęstym śniegiem. Każdemu mojemu krokowi towarzyszy skrzypienie butów po zmrożonym chodniku, gdy zmierzam powoli w stronę centrum.

Peter Lindgren.

To nawet dziwne, że nie natknęłam się na niego wcześniej. Przecież po wszystkim jeszcze sporo robiłam dla policji. Czasami nawet myślałam, że może on gdzieś tam siedzi, w komendzie, i pracuje, jakby nic się nie wydarzyło. Wtedy tak bardzo mnie to obchodziło, że niekiedy wręcz nie mogłam złapać powietrza. Ale tak to już bywa. Ludzie zawodzą jeden drugiego, a życie, tak czy inaczej, toczy się dalej, czy tego chcemy, czy nie. Nasze pragnienia się nie liczą.

Czerwonobrzazowa wieża ratusza rozpływa się w śnieżnej mgle, która rozsnuwa się aż po niebo i dalej, aż po granice wieczności. Może kiedyś nadejdzie taki dzień, że moja pamięć stanie się tak kiepska, iż jego postać zblaknie. Rozmyję się w taki sam sposób, jak miasto w śnieżnej zamieci.

Liczę na to.

Byłoby jednak fatalnie, gdyby stało się dokładnie odwrotnie – wszystko inne zniknie, a jedyne, co przetrwa, to pamięć o nim, wspomnienie jego ciała, jego słów.

Poznaliśmy się, kiedy pomagałam w śledztwie w sprawie zabójstwa dwóch prostytutek w Märsta, na północ od Sztokholmu. Początkowo nie zrobił na mnie szczególnego wrażenia, był tylko jednym z wielu policjantów, którzy znaleźli się na mojej drodze. Chyba nawet mi się wydawało, że jest dość słaby i mało wyrazisty, jakby brakowało mu pewności siebie, co przejawiało się głównie w jego sposobie mówienia: powolnym, nieco niewyraźnym. Pomyślałam sobie wtedy, że dziwny z niego policjant, bo funkcjonariusze policji zwykle bywają bezpośredni, bezpretensjonalni i pewni siebie.

A potem zdarzyła się ta historia z windą.

W komendzie trwał remont i z jakiegoś niewiadomego powodu przecięto któryś z kabli elektrycznych akurat w momencie, kiedy ja i Peter znajdowaliśmy się w jednej z wind między pierwszym a drugim piętrzem. Nagle zatrzymaliśmy się i zrobiło się ciemno. Po kilku sekundach zapaliła się słaba, niebieskawa żarówka na wysokości naszych stóp, prawdopodobnie oświetlenie

awaryjne. Dobrych kilka minut spędziliśmy na rozmowie ze zdezorientowanym ochroniarzem za pośrednictwem małego, zamontowanego w ścianie urządzenia i w końcu dowiedzieliśmy się, że jedyne, co możemy zrobić, to usiąść w kabinie i czekać na pomoc, która może nie zjawić się szybko.

Okazało się, że zanim straż pożarna przybyła nam wreszcie na ratunek, przesiedzieliśmy tam bite trzy godziny. I w ciągu tych trzech godzin poznałam Petera.

Najpierw gawędziliśmy o tym i owym. Rzecz jasna głównie o pracy, o sprawie, którą mieliśmy rozwikłać, i zastanawialiśmy się, jak to możliwe, że na pozór całkiem normalne nastolatki zostały prostytutkami, chociaż mogłoby się wydawać, że mają wszystko, czego potrzebują. Dostyc szybko jednak przeszliśmy do tematów bardziej osobistych. Zaczęłam mu opowiadać o swoim związku z Owem, pamiętam, że sama się dziwiłam, że dopuszczam go tak blisko i zdradzam mu szczegóły o mnie i Owem, których nie znali nawet moi przyjaciele. W jego sposobie bycia, w jego subtelnym, ale mimo wszystko nieustępliwym poszukiwaniu istotnych stron życia było coś takiego, co sprawiło, że pozwoliłam mu przekroczyć próg mojej prywatności.

Może wynikało to również z tego, że odważył się podzielić ze mną swymi najbrudniejszymi, zwykle niedozwolonymi myślami.

Opowiedział mi o swojej starszej siostrze, która umarła jako nastolatka, i o jego związku, który się rozleciał. Także o pięcioletnim synku, którego prawie nigdy nie widywał, i żalu z powodu tego, że stał się osobą, której tak naprawdę on sam nie lubi. I jak to jest, kiedy człowiek nagle uzmysławia sobie, że nie jest szczególnie dobry. Właśnie takich słów użył, kiedy próbował opisać mi siebie: „Tak naprawdę nie jestem szczególnie dobrym człowiekiem”. Stwierdził to rzeczowym tonem, jakby mówił o samochodzie czy mieszkaniu. I zdawał się rzeczywiście wierzyć w to, że Albinowi, jego małemu synowi, jest lepiej bez niego.

Usiłowałam go przekonać, że każdy z nas ma wady i braki i że dzieci – a zwłaszcza mali chłopcy – potrzebują ojca, nawet jeśli nie jest on doskonały. Oraz że próbuje się nam wmówić, że rodzicielstwo to bycie perfekcyjnym, gdy tymczasem o wiele ważniejsza jest sama obecność.

Chociaż co ja tak naprawdę wiedziałam na ten temat? Przecież nie miałam dzieci.

Wyznał jeszcze, że jedyne, w czym jest dobry, to bycie policjantem i że postanowił tego się trzymać. Może już w tym momencie powinnam była

przestać słuchać, ale oczywiście obudziła się we mnie ciekawość. Jak zawsze, gdy spotykałam trochę pokiereszowanych ludzi, czułam potrzebę połą-tania ich i wyleczenia piekących ran.

Jakbym mogła wyleczyć Petera.

Dwa tygodnie później poszłam z nim po pracy do jego domu. Do końca nie wiem dlaczego, po prostu tak jakoś wyszło. Zostałam u niego na noc w niedużym dwupokojowym mieszkanku w Farsta i kochaliśmy się do rana. Pamiętam, że uważałam to za magiczne przeżycie, ponieważ on naprawdę obudził we mnie coś, co drzemało głęboko przez wiele lat. Poczucie pełnej wspólnoty: fizycznej, emocjonalnej, niemal duchowej.

Przechodzą mnie ciarki, gdy o tym myślę. Dzisiaj, dziesięć lat później, to wszystko wydaje się przeraźliwie banalne. Bo w gruncie rzeczy nie połączyło nas nic innego poza gorzkim przeświadczeniem, że życie nie ułożyło się po naszej myśli. Poza samotnością, która pchnęła nas nawzajem w swoje ramiona. Jak mielibyśmy zbudować wspólne życie – on był o dziesięć lat młodszy ode mnie, a ja miałam męża. Różniliśmy się pochodzeniem, zainteresowaniami, systemem wartości.

A mimo to.

Tamte noce i tamte dni. Kiedy jego ręce zachłannie szukały mojego ciała. Kiedy kochaliśmy się u niego w łóżku, w służbowym samochodzie i w toalecie w pracy. Jakbyśmy mieli po kilkanaście lat. Nie potrafiliśmy nawet siedzieć w tym samym pokoju, by na siebie nie patrzeć, czerwieniąc się i chichocząc. Koledzy wymieniali między sobą wymowne spojrzenia i kręcili głowami.

Zatrzymuję się przy parku Berzeliusa. W śnieżnej zamieci wypatruję konturów Teatru Dramatycznego. Po chwili zwracam twarz do góry, otwieram usta i chwytam płatki na język. Smakuję nieba, które spada na mnie.

Owe oczywiście zauważył, że się zakochałam. Coś takiego widać od razu – nawet jeśli człowiek sam w to nie wierzy. Ale nic nie powiedział. Przynajmniej wtedy.

Mniej więcej po roku Peter i ja zaczęliśmy mówić o tym, by związać się na poważnie, żyć razem. Tak naprawdę to ja byłam bardziej sceptyczna – z zupełnie fałszywego powodu, jak stwierdzam dzisiaj. Znadto przejmowałam się tym, co ludzie powiedzą, gdy odejdę od męża dla dziesięć lat młodszego policjanta i zamieszkam na przedmieściach. Ja, która miałam wszystko: piękny dom, wspaniałą karierę i męża podziwianego przez innych.

Poza mną.

Ale Peter był uparty. Pragnie mnie, oświadczył. Mimo że nigdy nie mogliśmy mieć dzieci i mimo że z pewnością zapłacilibyśmy wysoką cenę za naszą miłość. Pragnie mnie, ponieważ mnie kocha i nie wyobraża sobie życia beze mnie.

Bla, bla, bla.

Słowa, to były jedynie słowa. Albo rzeczywiście w tamtej chwili tak czułem. Chyba tak.

W każdym razie w końcu zdołał mnie przekonać i postanowiłam odejść od Owego. Pojechałam do siebie, żeby zabrać najpotrzebniejsze rzeczy, a Peter obiecał odebrać mnie spod domu jeszcze tego samego dnia o piątej po południu.

Pamiętam, że kiedy pakowałam walizkę, cieszyłam się i jednocześnie miałam wyrzuty sumienia, jak dziecko, które właśnie zamierza podwędzić słodkie smakołyki. Gdy już zamierzałam wyjść, akurat wrócił Owe, czego nie przewidywałam mój plan, ponieważ zwykle zjawiał się dopiero około szóstej. Powiedziałam mu prawdę: że poznałam innego i odchodzę. Że go nie kocham i że nasze małżeństwo było dla mnie więzieniem. Wściekł się i zaczął krzyczeć, że tego pożałuję i że to tylko kwestia czasu, kiedy na kolanach wrócę i będę błagać, aby znowu mnie przyjął. Nic na to nie powiedziałam, tylko po prostu wyszłam, nawet nie zamykając za sobą drzwi. Schodząc na dół, słyszałam, jak wrzeszczy w mieszkaniu. Po całej klatce schodowej odbijały się echem ciskane z furją słowa, coraz mniej rozróżnialne, im bardziej się oddalałam.

Na dworze było już ciemno i padała lekka mżawka. Postawiłam walizkę na schodkach i usiadłam obok, ponieważ nagle ogarnęło mnie oziębiające zmęczenie. Czułam się tak, jakby ktoś ciągnął mnie do ziemi, i nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

I tak tam siedziałam.

Minęła piąta, potem wpół do szóstej. Za kwadrans szósta zadzwoniłam do Petera, żeby się dowiedzieć, gdzie on się podziewa, ale nie odebrał. O wpół do siódmej dotarło do mnie, że nie przyjedzie, nie byłam jednak w stanie się ruszyć, nie miałam siły choćby podnieść się z tych kamiennych stopni. Przestało padać i od strony Strandvägen powiał zimny wiatr niosący zapach morza i spalin. Wślizgnął się pod moją cienką kurtkę i umościł w okolicach serca. Mroził mnie od wewnątrz.

Kiedy około dziewiątej Owe zszedł po mnie na dół, nie protestowałam, chociaż jego mocny uchwyt na moim ramieniu parzył. Nie buntując się, poszłam za nim na górę.

Tydzień później przyszedł list. Peter wyjaśniał w nim, że nie może żyć ze mną, ponieważ w ten sposób wyrządziłby mi krzywdę – bo on już taki jest, że tylko rani ludzi – i że będzie najlepiej dla wszystkich, ze mną włącznie, jeśli więcej się nie spotkamy.

Podchodzę do salonu Svenskt Tenn przy Strandvägen, przyciskam twarz do mokrej szyby i zaglądam do środka. Wnętrze wygląda niemal tak samo jak mieszkanie Owego i moje. Kolorowa mieszczańska elegancja z akcentami etnicznymi. Wyjątkowa, ale nie ekstrawagancka. Pełna smaku i dość odważna. Tramwaj przejeżdża tuż obok ulicą. Zamykam oczy i próbuję wyprzeć ze świadomości obraz Petera. Być tu i teraz, w samym środku śnieżnej zawieruchy. W drodze do swojego domu i do męża, którego nadal nie kocham. Licząc na niepamięć jako jedyny ratunek.

Peter

Śledztwo w sprawie zabójstwa jest jak życie: ma początek, środek i koniec. I tak samo jak w życiu, nigdy nie wiadomo, co się wydarzy, zanim dobiegnie końca. Czasami kończy się, jeszcze nim się zacznie, a niekiedy ciągnie się na pozór po wieczne czasy, dopóki nie umrze śmiercią naturalną albo nie zostanie zawieszona.

Jedyna różnica polega na tym, że śledztwo zmierza jedynie do tego, by zakończyć jakieś pieprzone gówno. Chociaż czasami się zastanawiam, czy z życiem nie jest podobnie.

Kiedyś uważałem, że praca to przyjemność – ta nieprzewidywalność, element przypadku, nad którym trudno zapanować. Ale teraz także i ona zamieniła się w rutynę, jak wszystko inne.

Kobieta siedząca przed nami w sali przesłuchań nazywa się Anja Staaf. Nie wiem, czy pomoże nam przybliżyć się do rozwiązania zagadki, co tak naprawdę stało się w ostatnią niedzielę w domu Jespera Orrego, ale jest jedną z kobiet, z którymi najwięcej się kontaktował w ciągu ostatniego roku. Tak przynajmniej twierdzą jego przyjaciele.

Ma ciemne, niemal czarne włosy ułożone we fryzurę kojarzącą się z pin-up girl z dawnych lat, jasną cerę i mocny makijaż z podkreślonymi cienką kreską oczami oraz ciemnoczerwonymi ustami. Jest ubrana we wzorzystą sukienkę niemal pękającą na biuście, sweterek i czarne botki. Wygląda na spokojną, nadszpiewanie spokojną jak na to, że siedzi w sali przesłuchań głównej komendy policji kryminalnej.

Manfred nalewa jej wody i włącza magnetofon. Objasnia, że jest przesłuchiwana w związku z morderstwem dokonany w poprzedni piątek w mieszkaniu Jespera Orrego. Na co ona z powagą kiwa głową i bawi się małym, błyszczącym perłowym guzikiem przy sweterku.

– Ładny sweter – mówi, wskazując na musztardowy wełniany blezer Manfreda.

Manfred zachowuje kamienną twarz, ale dyskretnie przesuwa dłonią po prawej klapie.

– Dziękuję – bąka. – Staram się, jak mogę. Proszę powiedzieć, kiedy i jak poznała pani Jespera Orrego.

Dziewczyna spogląda w górę, jakby usilnie starała się sobie przypomnieć.

– W klubie – odpowiada – w Vertigo, pracuję tam. On tam przychodził, no i kiedyś zaczęliśmy rozmawiać. A potem zaczęliśmy się od czasu do czasu spotykać. Bywało, że zjedliśmy razem kolację, ale niekiedy po prostu wpadał do mnie do domu, nocował i już.

– Kiedy to było?

Młoda kobieta robi pauzę.

– Chyba jakiś rok temu. Ale nie widziałam go już od miesiący.

– A ten klub Vertigo, co to za miejsce?

– Całkiem zwyczajny klub, chociaż większość ludzi, którzy tam przychodzą, to queerowcy i fetyszyści i lubią ostro pofiglować. Ale nie wszyscy są tacy kinky, chociaż żeby tam wejść, trzeba być odpowiednio ubranym. Sloggi i crocasy nie przejdą.

Przy ostatnim zdaniu marszczy trochę nos, jakby majtki Sloggi były czymś najbardziej odrażającym, co może sobie wyobrazić. Przypałowce.

– A Jesper jest też... taki... kinky?

Nie mogę się powstrzymać i uśmiecham się do Manfreda, który mimo długiego doświadczenia w przesłuchiowaniu najróżniejszych typów ludzi wyraźnie nie jest sobą. Może jednak to nie gadka o fetyszyzmie trochę go krępi, tylko fakt, że naprzeciw niego siedzi młoda i ładna dziewczyna, której na dodatek spodobał się jego sweter.

– Czy ja wiem? Jesper nie jest raczej perwertem. Według mnie jest po prostu ciekawy i sprawdza granice. Powiedziałabym, że bardziej szukał adrenaliny i mocnych wrażeń. Ale tak w ogóle to supermiły i wrażliwy facet.

– Miły i wrażliwy to nie są określenia, którymi opisują go jego koledzy.

Dziewczyna wzdycha.

– No cóż. Nie mam pojęcia, jaki jest w pracy i w ogóle. Ale wiem, jaki był, kiedy się spotykaliśmy.

– No to jaki był?

Znowu unosi spojrzenie ku sufitowi.

– Hm. Wesoły, przyjemny. Czasami bywał trochę podenerwowany, siedział i na przykład bez przerwy wisiał na komórce. Zakładałam, że to były sprawy służbowe, że musiał być cały czas online. Pamiętam, że mu nawet

współczułam. No i bał się, żeby nie zobaczyli go w mieście ze mną. Bo kolorowe gazety ciągle urządzały na niego polowanie. Autentycznie było mi go żal.

Milknie. Jej intensywnie niebieskie oczy patrzą na mnie.

– To gdzie się spotykaliście? – pyta Manfred.

– Już mówiłam: w klubie albo u mnie w mieszkaniu, w Midsommarkransen.

– Jak długo byliście razem? Wspomniała pani, że poznaliście się rok temu i że nie widzieliście się od kilku miesięcy.

Kobieta śmieje się ubawiona.

– Rany boskie, my nie byliśmy razem. Tylko się spotykaliśmy. Spaliśmy ze sobą. Bzykaliśmy się. No wie pan.

Manfred ma taką minę, jakby jednak nie wiedział.

– Niezobowiązujący seks.

– Taki jest chyba najlepszy, no nie?

Manfred kiwa głową z ociąganiem.

– Czy kiedykolwiek w czasie uprawiania seksu zachowywał się brutalnie? Czy zdarzyło się, że się go pani bała?

– Bała? – Dziewczyna znowu parska śmiechem. – Skąd! Mówiłam przecież, że był miły. Chociaż czasami bywał mało delikatny, trochę dziki. Lubił ostry seks. Ale ja też lubię, więc nie było problemu.

– Ostry seks? Sado maso czy coś w tym rodzaju?

– Nie, nie. On po prostu... no wie pan. Lubił wejść we mnie tak całkiem mocno i w ogóle.

Sprawia wrażenie podekscytowanej, jakby bardzo zależało jej na dokładnym wyjaśnieniu, co to znaczy, że Jesper Orre bywał mało delikatny. Jakby za wszelką cenę chciała uniknąć jakiegokolwiek nieporozumienia, jeśli chodzi o jego naturę.

– Czy spotykaliście się kiedykolwiek u niego w domu?

Dziewczyna kręci głową.

– Nigdy. Przecież on mieszka za miastem.

– A o czym rozmawialiście, kiedy nie uprawialiście seksu?

– O wszystkim, o czym się dało. O polityce, o sporcie. Tak, dosyć interesował się sportem. Chyba musiał całkiem sporo ćwiczyć, bo był w superformie jak na swój wiek. Widać było, że dba o siebie. W klubie nigdy nie wziął do ust orzeszków czy chipsów. Najczęściej pił wodę z lodem i cytryną.

– No proszę. Czyli prawdziwy ekoświr.

Anja Staaf ściąga brwi, odchyła się do tyłu i krzyżuje ręce na piersi. Mam wrażenie, że nieszczęśliwie podoba jej się przebieg tej rozmowy.

– Można tak powiedzieć – mówi.

Gdy Manfred już ma jej podziękować i odesłać z powrotem do recepcji, dziewczyna patrzy na mnie i mówi:

– Była jeszcze jedna taka rzecz.

– Tak? – pytam.

– Czasami podkradał mi bieliznę.

– Podkradał pani bieliznę?

– Tak, chyba lubił takie fatałaszkę. Nie zwracałam sobie tym specjalnie głowy, chociaż to nie były tanie rzeczy, więc mógłby mi przynajmniej kupić nowe, biorąc pod uwagę to, ile on zarabia. No nie?

Gdy znajoma Jespera Orrego zniknęła na dobre, Manfred i ja wracamy schodami na trzecie piętro. Manfred lekko posapuje. Już jakiś czas temu przestałem mu kłaść do głowy, że powinien się ruszać i koniecznie schudnąć. Ostatecznie jest dorosły, więc chyba sam powinien doskonale wiedzieć, jak fatalne dla jego zdrowia jest dźwiganie tych zbędnych dwudziestu pięciu kilogramów.

– O ja pierdzielę – odzywa się Manfred. – To zbok.

– Pieprzenie się z lateksowymi panienkami nie jest zabronione. Ostry seks też nie.

– Ale podprowadzanie majtek już jest.

– Mam superpomysł! Zapuszczujemy go za drobną kradzież.

Manfred rechocze. Zdejmuje sweter i ociera sobie pot z czoła.

– Połowa Szwecji szuka tego Orrego – mówię. – Nie potrzebujemy żadnego pretekstu, żeby go przymknąć.

Manfred chyba mnie nie słucha.

– Aż trudno uwierzyć, jacy naprawdę mogą być ludzie pod lukrowaną powierzchnią – stwierdza.

Kiwam głową, choć myślę jednocześnie, że bywają gorsze rzeczy do ukrycia niż ekscytujące życie erotyczne. Na przykład zupełna pustka, wielka dziura, jak w opróżnionym kartonie po mleku.

Jak u mnie.

– Niby szanowany i ciężko pracujący prezes, a z drugiej strony amator lateksu, który nie ma odwagi zdobyć się na prawdziwy związek. Ze strachu

przed odpowiedzialnością. Ze strachu przed życiem – podsumowuje Manfred, jakby był lekarzem, który z niezachwianą pewnością oznajmia śmiertelną diagnozę.

Manfred już dawno poszedł, ale ja nadal siedzę przy biurku. Patrzę, jak stopniowo ciemnieje niebo nad Sztokholmem – zmienia kolor z brudnoszarego na głęboko czarny. W silnym wietrze wiruje kilka samotnych płatków śniegu. W domu po drugiej stronie ulicy rozświetlone ciepłym światłem okna zdradzają, że wszyscy normalni, odpowiedzialni ludzie – cokolwiek to znaczy – są zajęci przygotowywaniem kolacji albo gapią się na telewizję.

Nagle widzę obraz Hanne. Jak w salce konferencyjnej uścisnęła mi rękę, unikając mego wzroku. Miałem wrażenie, że zamiast na mnie, patrzyła na ścianę tuż obok mojej głowy. Jasne, że coś poczułem, kiedy dotknąłem jej dłoni: może pewnego rodzaju żal za tym, co się nie spełniło. Albo idiotyczną potrzebę, by jej wyjaśnić, wytłumaczyć, dlaczego postąpiłem tak, jak postąpiłem. Aby powiedzieć wszystko to, czego wtedy nie odważyłem się powiedzieć.

Jakby to mogło jeszcze cokolwiek naprawić.

A potem przypominają mi się słowa Manfreda: że Jesper Orre bał się odpowiedzialności. Gdyby dzisiaj siedziała naprzeciw mnie moja mama i gdybym ją przesłuchiwał, pewnie by mi zarzuciła, że to ja uciekam przed odpowiedzialnością. Wszelką odpowiedzialnością. Za bliski związek, za pieniądze. Za całą pieprzoną planetę.

Wyobrażam ją sobie na wprost siebie. Długie ciemne włosy zebrane w gruby warkocz opadający na plecy. Drobnny tułów z trochę rozłożystym siedzeniem. Okulary z lat osiemdziesiątych, zdecydowanie za duże w stosunku do jej chudej, spalonej słońcem twarzy.

– Ullo Margareto Lindgren, zostałeś tu wezwana w celu przesłuchania w sprawie twojego syna, Petera Ernsta Lindgrena. Czyli mnie.

– Czy to konieczne?

– To zajmie nam najwyżej kilka minut.

– No dobrze. Tylko się pospieszmy, bo nie mam całego dnia do dyspozycji.

Pauza. Mama poprawia sobie włosy i patrzy na mnie surowym wzrokiem.

– Czy określiłabyś mnie jako osobę odpowiedzialną?

Głębokie westchnienie.

– Chyba wiesz, Peter, że zawsze cię kochałam. Masz złote serce, to na

pewno. Nie można zaprzeczyć. Ale z odpowiedzialnością od początku miałeś problem. No bo tylko spójrz, jak ty żyjesz. Byle jak. Jesz gotowe dania z plastikowych opakowań, które zatruwają środowisko. Śmieci też nie segregujesz. Nie widzujesz się ze swoim synem. Biedna Janet musi dźwigać cały ciężar sama – oczywiście nic mi do tego, czy jesteście razem. Ludzie dorośli sami decydują o takich sprawach, a jeśli mam być szczerą, zawsze uważałam, że niezbyt do siebie pasujecie. Ale przecież, na litość boską, mogłeś jej pomóc. Albin to twój rodzony syn. Oprócz tego nie okazujesz również specjalnego zainteresowania tym, co się dzieje w społeczeństwie, mimo że jesteś policjantem. Nie czytasz gazet. W Syrii i Strefie Gazy dzieci padają jak muchy, a ciebie obchodzi tylko praca i oglądanie kiepskich filmów. To takie... ubogie, Peter. Tyle mam ci do powiedzenia. Kiedy ja byłam młoda, lubiłam się angażować. Udzielałam się politycznie, działałam na rzecz tego, w co wierzyłam. Chociaż miałam i pracę, i małe dzieci. Zabierałam was na zebrania i nie było w tym nic dziwnego. Nie rozumiem, dlaczego ty nie możesz robić tak samo. Obudź się, przecież jesteś w kwiecie wieku. Ani się obejrzysz, a będzie koniec.

Wstaję z krzesła, podchodzę do okna i opieram czoło o zimną szybę. Zamykam oczy i poddaję się wspomnieniom.

Mama działała w ruchu FNL², a ponieważ z wykształcenia była plastyczką, pomagała opracowywać graficznie „Biuletyn Wietnamski”, a także różne broszury i plakaty. Czasami moja siostra Annika i ja musieliśmy chodzić razem z nią do małego domku w Kronobergsparken, gdzie spotykała się cała grupa, i pomagaliśmy malować afisze albo porządkować gazety. Pamiętam, że tata nie znosił tego, że nas tam zabierała, ponieważ jego zdaniem byliśmy za mali na to, aby cokolwiek rozumieć ze sprawy wietnamskiej czy w ogóle mieć pojęcie o innych problemach politycznych. Ale my oboje prosiliśmy i błagaliśmy, i wreszcie tata ustępował, całował mamę w policzek i upominał ją, żeby na nas uważała i chroniła przed najgorszego sortu antyimperialistyczną propagandą.

Uwielbiałem te spotkania.

Nigdy nie brakowało na nich dzieci, atmosfera była wesoła i strasznie fajna. Wszyscy ciężko pracowali, ale nikt się nie spieszył. Dzieciaki kręciły się wszędzie, mimo to nikomu nie przeszkadzały.

Ponieważ należałem do najmłodszych, dostawałem najłatwiejsze zadania, na przykład miałem wypełnić czerwoną farbą kontury liter na plakacie z na-

pisem USA PRECZ Z INDOCHIN. Annika, która była starsza, malowała amerykańskie rakiety, co wywoływało moją zazdrość.

Po skończonej pracy dorośli zwykle pili wino i grali na gitarach albo omawiali sytuację w Indochinach, a ja bawiłem się wtedy z innymi dziećmi. Czasami zasypiałem na podłodze przy nogach mamy.

Któregoś razu wystąpiła dla nas grupa Freedom Singers i to, co zaczęło się jako zwyczajne spotkanie robocze, przerodziło się – albo raczej wynaturzyło – w szaloną imprezę.

Bywało, że któryś z tych chudych i młodych facetów w tweedowych marynarkach i z bokobrodami przysiadł się bardzo blisko do mamy, częstował ją papierosem i nieustannie poprawiając sobie okulary w rogowej oprawce, dyskutował z nią o Szwedzkim Komitecie ds. Wietnamu albo o sympatycznych, ale niestety naiwnych radykalnych pacyfistach. Czasami ten i ów otaczał ją ramieniem i bawił się jej długimi ciemnymi włosami. Wtedy ona się uśmiechała i odsuwała się trochę dalej. I chociaż byłem mały, rozumiałem, że na tym polega poczucie bezpieczeństwa i stabilności: mama należała do taty, mimo że regularnie nazywała go „reakcjonistą” (strasznie brzydkie słowo).

Ale pewnego dnia wojna się skończyła. Bojownicy o wolność zwyciężyli, a imperialiści wrócili do domu, do USA, jeść swoje hamburgery i pić swoją coca-colę. Bomby nie spadały już na dżunglę i pola ryżowe ani na niewinne dzieci. Napalm nie wżerał się w ich ciało i kości z równą łatwością, jak ciepły nóż kroi masło.

Dobrze pamiętam, że w pewnym sensie czułem, iż powinienem się z tego cieszyć, zwłaszcza że mama mówiła, że to dobrze i że mogę być z siebie dumny, ponieważ „nie uchyliłem się od odpowiedzialności i pomogłem zatrzymać wojnę”, ale ja zamiast się cieszyć, byłem smutny. I pusty.

Koniec ze spotkaniami. Koniec z demonstracjami. Koniec z malowaniem plakatów.

Modliłem się do Boga, żeby niedługo znowu wybuchła wojna, nie miałem jednak wielkiej nadziei, ponieważ mama dawno temu powiedziała mi, że Bóg to tylko kapitalistyczny wymysł, żeby trzymać wszystkich biednych ludzi w posłuszeństwie.

Odwracam się. Mamy nie ma, w ułamku sekundy przeniosła się z krzesła naprzeciw mnie do zimnej ziemi na cmentarzu Leśnym. Z korytarza dobiegają kroki i głosy kolegów opuszczających komendę. Rozmowy i pojedyncze śmiechy oddalają się i całkiem zamierają.

Pora iść do domu.

Włączyć telewizor i spędzić na niczym kolejny wieczór życia w kwiecie wieku.

Emma

Dwa miesiące wcześniej

– Ojej, jesteś chora?

Głos Olgi brzmi całkowicie obojętnie. W tle słyszę żalostną zapętloną muzykę i nagle czuję wielką ulgę, że nie pójde dziś do pracy.

– To nic poważnego. Chyba musiałam się czymś zatruć. Jutro powinnam już być. Możesz przekazać to Björnemu?

Cisza.

– Jasne.

Widzę ją oczami wyobraźni, jak trzyma słuchawkę między ramieniem a podbródkiem, skupiając całą uwagę na swoich palcach – podnosi je pod światło, żeby sprawdzić, czy na żadnym paznokciu nie ma odprysku lub choćby najmniejszej rysy i czy błyszczące brokatowe gwiazdki tkwią nadal na lakierze.

– No to do jutra – mówię, ale ona i tak już zdążyła się rozłączyć.

Po raz kolejny próbuję dodzwonić się do Jespera, chociaż już się nie spodziewam, aby odebrał. Raczej chcę usłyszeć jego głos nagrany w poczcie głosowej. Tymczasem zamiast oczekiwanego powitania rozbrzmiewa komunikat, że na życzenie klienta numer został wyłączony.

Postanawiam spróbować w inny sposób. Szukam numeru telefonu do siedziby zarządu. Drżącą dłonią wciskam odpowiednie klawisze. Kobieta w centrali, nie pytając o nic, przełącza mnie dalej, kiedy mówię, że chcę rozmawiać z Jesperem Orrem. Trochę mnie to dziwi. Tak po prostu można skontaktować się z prezesem spółki? Każdy, kto chce, może zadzwonić na centralę i poprosić o połączenie z nim?

Jednak w słuchawce oczywiście nie odzywa się Jesper.

Jakaś kobieta o nieokreślonym akcencie przedstawia się jako jego asystentka i pyta, w czym mi może pomóc. Mówię, że szukam Jespera i że to sprawa prywatna. Prosi, żebym podała swoje nazwisko i numer telefonu, to on do mnie oddzwoni. Waham się. Czy to nie z tego powodu Jesper prosił, żebym nie dzwoniła do niego do pracy, bo nie chciał, aby sekretarki czy telefonistki miały moje nazwisko?

Pytam, czy nie mogłaby połączyć mnie z nim bezpośrednio, na co odpowiada mi uprzejmie, że szef ma spotkanie.

– Czyli u niego wszystko w porządku?

W słuchawce zapada cisza.

– Co pani ma na myśli? – pyta asystentka z nutą podejrzliwości w głosie.

– Chodzi o to, że obiecał do mnie zadzwonić... a ponieważ od kilku dni nie mogę się z nim skontaktować, zaczęłam się niepokoić, że może coś się stało.

– Pan prezes czuje się dobrze. Jeśli zostawi mi pani swoje nazwisko i numer telefonu, poproszę go, aby oddzwonił do pani po powrocie ze spotkania – powtarza profesjonalnie uprzejmym tonem, jakby wyjętym z dowolnej reklamy proszku do prania.

Pytam, czy nie mogłabym jednak zadzwonić później, na co ona się zgadza, po czym się rozłączamy, a ja zastygam za stołem w kuchni. Zegar na ścianie tyka tak głośno, jakby wskazówka tkwiła w mojej głowie.

Dlaczego Jesper się nie odzywa? Czyżby obleciał go strach, żałuje, że się zaręczył? Czy jest po prostu pieprzonym łobuzem, chorym sadystą, który upaja się moim cierpieniem?

A może jest jakieś inne wyjaśnienie? Może zdarzyło się coś, co zmusiło go do takiego zachowania: ktoś umarł w rodzinie, w firmie wybuchł kryzys? No pewnie, przekonuję siebie, to całkiem możliwe, ale gdyby nawet tak było, co by mu szkodziło zadzwonić choćby na chwilę czy wysłać esemesa?

Trzy tygodnie wcześniej. Leżeliśmy nadzy na podłodze u mnie w pokoju. Wieczorny zmierzch w kolorze sepii sączył się przez żaluzje i rysował na naszych ciałach wzory ze światła i cieni. Okno było lekko uchylone i firanki falowały delikatnie w chłodnym powietrzu.

Jesper palił papierosa. Rzadko to robił, jedynie po kilku kieliszkach wina albo czasami, kiedy się kochaliśmy. Ze wzrokiem zwróconym na sufit rysował na moim brzuchu nieduże kółka.

– Co się stało? – spytał.

– Zachorowała i umarła.

Jesper zaciągnął się dymem.

– Domyślam się, ale na co umarła?

– Zapalenie trzustki. Lekarze powiedzieli, że to od picia.

– Biedna.

– I tak, i nie. Czasami myślę, że sama była sobie winna. Przecież nikt jej

nie zmuszał, żeby piła.

Jesper zwrócił głowę w moją stronę i spojrział mi w oczy.

– Nie o nią mi chodziło. Tylko o ciebie.

– O mnie?

Roześmiał się, kręcąc głową, jakbym powiedziała coś zabawnego.

– No tak. O ciebie.

– Ze mną wszystko w porządku.

Zapadła cisza. Z daleka dobiegł sygnał ambulansu. W kuchni lodówka włączyła się z sapnięciem.

– Strasznie mi przykro, że nie mogę iść z tobą na pogrzeb – rzekł po chwili, jakby najpierw musiał się nad czymś zastanowić.

– Dam sobie radę.

– Nikt nie powinien być sam na pogrzebie własnej matki.

Milczałam. No bo co miałam powiedzieć? Bezsprzecznie miał rację. Spotykaliśmy się już od miesięcy i coraz trudniej było nam ukrywać się z naszą znajomością.

– Czy z nami już zawsze tak będzie?

Zgasił niedopałek w kieliszku po winie stojącym obok na podłodze, oparł się na łokciu i mnie pocałował – poczułam na ustach smak papierosa i czerwonego wina. Odruchowo odwróciłam głowę w bok, co on prawdopodobnie odebrał jako niemy protest przeciwko naszej sytuacji, a nie jak ucieczkę przed jego oddechem.

– Jasne, że nie.

– To jak długo?

Opadł z powrotem na plecy. Westchnął ciężko, nie kryjąc irytacji.

– Przecież rozmawialiśmy już o tym setki razy. Dobrze wiesz, że gazety wciąż na mnie polują. Nie dalej jak wczoraj dwóch dziennikarzy, opisując warunki zatrudnienia w naszej firmie, użyło określenia „umowy niewolnicze”. Gdyby media wywęchały to między nami... Chyba sama zdajesz sobie sprawę, co by się stało. Wyleciałbym z hukiem. Musimy odczekać, aż sytuacja się uspokoi.

– A kiedy konkretnie się uspokoi?

– Kochanie, skąd, u diabła, mam to wiedzieć? Prawdopodobnie wtedy, gdy te hieny znajdą sobie inną spółkę na pożarcie. Swoją drogą powinnaś zacząć szukać innej pracy. Gdybyś nie była zatrudniona w tej samej firmie, to by ułatwiło sprawę.

Uniósł się nieco, sięgnął po koc i okrył nas oboje.

– Zimno – stwierdził. – Może zamknę okno?

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to trudne. Wszyscy pytają, kim jesteś, a ja nie mogę powiedzieć ani słowa. To wygląda na trochę szczeniackie.

Zwrócił ku mnie twarz, jej surowy wyraz nieco złagodniał. W kącikach ust nawet drżał uśmiech.

– Szczeniackie?

– No tak, wychodzę w tym wszystkim na jakąś pieprzoną nastolatkę. Z tajemniczym chłopakiem i w ogóle.

Roześmiał się. Pocałował mnie w szyję, a potem zaczął wędrować ustami coraz niżej.

– Jestem twoim tajemniczym chłopakiem?

– No chyba tak.

– A ty kim jesteś? Moją małą dupeczką?

Zachichotałam. Jego język musnął mi piersi, wwiерcił się w pępek, a potem zaczął rysować nieduże kółka na brzuchu, jakby zjadał z mojego ciała coś niewidzialnego. Przesuwał się coraz niżej i wreszcie dotarł do wewnętrznej strony ud. Zamarłam w bezruchu. Nieprzyjemnie świadoma własnego ciała. Wszystkich jego zakamarków, zagłębień, zapachów i wydawanych przez nie odgłosów. Jesper musiał zauważyć, że jestem spięta, ponieważ uniósł nieco głowę i spojrzał na mnie.

– Odpręż się, Emmo. Musisz nauczyć się odprężyć.

Ciągle kładł mi do głowy, że muszę nauczyć się odprężyć, i to nie tylko w łóżku. Rzeczywiście się starałam, ale w jego sposobie bycia było coś takiego, co sprawiało, że ciągle pozostawałam czujna. W ogóle cała ta nasza znajomość wydawała się zbyt piękna, aby mogła być prawdziwa. Ja i Jesper Orre. Biedna jak mysz kościelna ekspedientka spotyka na swojej drodze starszego, zamożnego mężczyznę sukcesu.

Co on właściwie we mnie widział? Dlaczego zdecydował się na relację z dwadzieścia lat młodszą własną pracownicą?

Może miał rację? Może to wszystko wina mojego zaniżonego poczucia wartości? Bo niby dlaczego miałabym być dla niego nieatrakcyjna? Dlaczego nasza znajomość była dla mnie tak trudna do zaakceptowania? Dlaczego tak trudno było mi uwierzyć w jego miłość?

– Odpręż się – powtórzył. – Pragnę cię, a ty jesteś godna tego, by być kochana. Jak mam cię o tym przekonać? Co powinienem zrobić, żebyś w końcu

mi zaufała?

Tamtego wieczoru zasnęliśmy na podłodze.

Kiedy się obudziłam, zrobiło się już zupełnie ciemno i bolały mnie plecy. Sięgnęłam ręką w bok, po omacku zaczęłam szukać Jespera. Ale nie leżał koło mnie. Podniosłam się wolno i powłokłam w stronę sypialni. Czułam się sztywna i ociężała. Podłoga była zimna, a okno wciąż uchylone.

I po chwili go zobaczyłam.

Stał zupełnie nieruchomo w ciemności. Wzrok miał utkwiony w obrazie Ragnara Sandberga wiszącym nad moim łóżkiem. Włosy miał potargane, kilka niesfornych kosmyków opadało mu na czoło. Ramiona nakrył sobie narzutą z łóżka.

– Chyba cię kocham, Emmo – wymamrotał.

Siedzę w łóżku i próbuję uruchomić internet w swoim laptopie, ale coś jest nie tak z połączeniem. Dopiero po dłuższej chwili przypominam sobie, że powodem są nieopłacone rachunki. Nie mam ani telewizji, ani internetu, a za wdzięczam to Jesperowi.

Postanawiam zejść do kawiarni przy Karlavägen. Tam będę mogła skorzystać z Wi-Fi. Mdłości jakby minęły i pierwszy raz od rana mam ochotę cokolwiek zjeść. Wciągając dzinsy, wyczuwam coś w kieszeni. To wizytówka. Odwracam ją i przypominam sobie dziennikarza, który przyszedł do sklepu. Stoję przez chwilę niezdecydowana, w końcu idę do kuchni, otwieram chlebak i kładę wizytówkę na stosie niezapłaconych rachunków.

Siedzę w kącie z filiżanką latte. Kawalek dalej widzę młodego faceta z dredami i z makiem na kolanach. Dwie starsze kobiety tajemniczo szepczą w kącie, jakby omawiały sprawy wagi państwowej. W lokalu jest mrocznie, niemal ciemno. Za oknami pada jesienny deszcz. Drzewa wzdłuż Karlavägssallén mieniają się odcieniami żółci, brązu i czerwieni. Od czasu do czasu jakiś liść odrywa się z gałęzi i wirując, miękko opada na trawę.

Przeglądam teksty na temat Jespera. Nazywany jest na przemian „królem życia” i „poganiaczem niewolników”. W końcu natrafiam na artykuł w piśmie biznesowym zatytułowany Kim naprawdę jest Jesper Orre?. Czytam uważnie. Jesper pochodzi z Brommy, jego rodzice byli nauczycielami. Studiował ekonomię w Uppsali, ale po drugim roku zrezygnował. Potem, jak pisze autor, mnożą się znaki zapytania. Następują długie okresy, których nie da się odtworzyć w „zadowalający sposób”. Lata pozostawiające głębokie i niewytłumaczalne luki w jego życiorysie.

Czytam dalej. Dziennikarz zadał sobie trud i ustalił krąg znajomych Jespera, i doszedł do wniosku, że obraca się on w środowisku przestępczym. Dwaj z jego bliskich przyjaciół zostali skazani za przestępstwa gospodarcze, inny za posiadanie narkotyków. Nie znam żadnego z tych facetów. Jesper nie wspominał nic na ten temat.

Szukam zdjęć.

Jesper w garniturze. Jesper w stroju treningowym. Jesper w smokingu. Jesper w samej koszuli z podwiniętymi rękawami stoi na scenie i pokazuje na jakieś cyfry na ekranie.

Inny obrazek: Jesper w zbliżeniu, uśmiech przyczajony w kącikach ust, ale ponieważ na czole widzę głęboką zmarszczkę, wiem, że jest zmieszany. Nie lubi być fotografowany; rozmawialiśmy o tym wiele razy, jak bardzo nie znosi oglądać własnej twarzy w gazetach czy w telewizji.

Oczywiście są też i takie zdjęcia: Jesper w towarzystwie blondynki, która odchyłona do tyłu serdecznie się śmieje. Ma bardzo wydekoltowaną sukienkę. On wygląda raczej na znużonego. Koszula jest pognieciona i odpięta pod szyją. Na jednej nogawce widać dużą plamę, jakby ktoś wylał mu kieliszek wina na spodnie. Idę dalej. Zdjęć Jespera z kobietami jest więcej – z różnymi kobietami. Ani razu nie widzę tej samej u jego boku.

Zamykam oczy i opieram się wygodnie na kanapie, usiłuję zastanowić się trzeźwo. Czy w ostatnim czasie pojawiły się jakieś znaki, jakieś sygnały, które by mówiły, że zaczął się mną nudzić? Nie przychodzi mi nic do głowy. Wszystko toczyło się jak dotąd, a on wydawał się wciąż tak samo zakochany. Spotykaliśmy się, jedliśmy pyszne kolacje, sypialiśmy ze sobą. Godzinami chichotaliśmy w moim wąskim łóżku. Gawędziliśmy o przyszłości, co zrobimy, kiedy już naprawdę będziemy razem.

Kiedy nie będziemy musieli się ukrywać.

Wtedy przypominam sobie jedno z naszych ostatnich spotkań. Byliśmy u niego, w jego mieszkaniu przy Kapellgränd. Leżałam bokiem na łóżku, odwrócona do ściany, gdy on wyszedł spod prysznica z ręcznikiem owiniętym wokół bioder, usiadł obok i pogłaskał mnie po głowie.

– Kochasz mnie?

To było dziwne pytanie. Nigdy wcześniej mi go nie zadawał. W gruncie rzeczy prawie w ogóle nie używaliśmy tego słowa, być może dlatego, że jest takie zobowiązujące, wydaje się wielkie, niemal trochę przerażające.

– Tak – odpowiedziałam.

– Domyślałam się, że to musi być dla ciebie bardzo trudne. To wieczne ukrywanie się.

Wślizgnął się do łóżka, ułożył się tuż za mną, obejmując mnie od tyłu. Czułam ciepło jego wilgotnego, świeżego ciała, wdychałam głęboko zapach mydła i wody kolońskiej. Przymknęłam oczy.

– Obiecuj mi, że wytrzymasz i zaczekasz na mnie. Że nie zrezygnujesz.

– Obiecuję.

– Obiecuj, że nie zostawisz mnie dla nikogo innego.

– Nie bądź śmieszny. Przecież wiesz, że nie ma nikogo innego.

Ścisnął mnie mocniej.

– A przede mną?

Nie bardzo rozumiałam.

– Co przed tobą?

– Zanim się poznaliśmy. Miałaś wtedy kogoś?

Przed Jesperem.

Przypomniałam sobie swoje życie przed poznaniem Jespera: samotne wieczory z kotem przed telewizorem, wlokące się bez końca dni w sklepie. Gotowe dania dla jednej osoby z Sabis. Nie było o czym opowiadać. Ani czego się wstydzić, ani czego ukrywać.

– Przecież musiałaś mieć kogoś przede mną – stwierdził.

W pierwszej chwili nie odpowiedziałam. Rzeczywiście był ktoś, ale nie chciałam o nim wtedy rozmawiać.

– Jasne.

– Kto to?

– No wiesz, ten facet, o którym ci mówiłam. Gwóźdź.

– Nauczyciel zajęć technicznych?

Skinęłam głową i opuściłam powieki. Gdy tylko to zrobiłam, od razu wszystko wróciło, mimo lat, które minęły. Zimne, długie korytarze, pobrzękiwanie naczyń i gwar w stołówce, zapach palonych trocin w magazynku przylegającym do klasy. I ja siedząca na szafce oraz Gwóźdź stojący nade mną z džinsami opuszczonymi do kolan. Jego stężała twarz, gdy wdarł się we mnie.

Zwariowałam na jego punkcie. W domu panował kompletny chaos. Byłam niesamowicie wrażliwa. Dopiero teraz w pełni sobie uświadamiam, jak bardzo byłam wtedy krucha i jak łatwo można było mnie zranić. I on to wykorzystał. Kończyłam dziewiątą klasę, a on mnie uwiódł.

- Dostaję szału, kiedy o tym myślę – bąknął Jesper.
- Daj spokój, minęło już tyle lat.
- Uprawialiście seks w stolarni.
- Nooo tak...

Jego uścisk nagle stał się mocniejszy i prawie bolesny, niemal nie mogłam oddychać.

- Przestań, to boli.
- Lubiałaś to?
- Co?
- Pieprzyć się z nim na trocinach? Lubiałaś to?

Jesper trzymał mnie jak w imadle. Nie byłam w stanie się ruszyć. A jednocześnie czułam, jak twardnieje mu członek.

- Jesteś chory – powiedziałam.

Ściągnął ręcznik z bioder i przywarł do mnie z całej siły. W tym momencie zadzwoniła jego komórka i chociaż uścisk na sekundę osłabł, wciąż leżałam jak skamieniała. Nie potrafiłam wykonać żadnego ruchu.

- Lubiałaś to – powtórzył szeptem. – No nie?

Nie odpowiedziałam.

Wychodzę z kawiarni i wracam w deszczu do domu. Zaczęło mocniej wiać, liście już nie opadają na ziemię łagodnie, tylko zerwane z gałęzi najpierw wirują w szalonym tańcu na wietrze i dopiero po chwili układają się na trawie w alei. Dlaczego Jesper był taki zazdrosny o moją przeszłość? Mimo że prawie nie miałam żadnych miłosnych przygód i mimo że to właściwie mnie nie brakowało powodów do zazdrości, leżał wtedy i rzucał oskarżenia. I dlaczego tak się podniecił, kiedy mówiliśmy o Gwoździu? Można by pomyśleć, że specjalnie chciał wywołać ten temat.

Mdłości wróciły. Nie rozumiem tego. Tak wielu rzeczy nie rozumiem.

Przecinam Karlaplan. Fontanna jest wyłączona. Liście i śmieci leżą w bezładnych kupkach zwiane przez wiatr do jednego rogu. Nie widać żywej duszy.

Po wejściu do mieszkania uderza mnie inny zapach, jakby delikatna woń wilgotnej wełny i mydła, jakby ktoś właśnie przeszedł przez przedpokój i poszedł dalej. Zaglądam do każdego pomieszczenia, sprawdzam każdy detal, ale nie widzę nic nietypowego. Wszystko stoi na swoim miejscu. Nic nie zniknęło. Stara parkietowa podłoga skrzypi pode mną.

Wchodzę do sypialni i patrzę na jasny czworobok ponad łóżkiem,

w miejscu, gdzie jeszcze do niedawna wisiał obraz. Niemal lśni, wibruje i przez ułamek sekundy sprawia wrażenie, jakby odrywał się od brudnożółtej tapety i zmierzał ku mnie, żeby mi coś powiedzieć. Z kuchni dobiega chrupanie Siggego, który zjada swoją dzienną rację smutnej suchej karmy, jego jedyne pożywienie.

Wszystko wygląda jak zawsze. Jedyne, co mi przeszkadza i wprawia w niepokój, to zapach.

Jutro muszę koniecznie iść do pracy, myślę, siadając na łóżku. Niezależnie od tego, jak będę się czuła, muszę pracować. W tym miesiącu mam już pięć dni nieobecności i wiem, że Björne dostanie szału, jeśli jeszcze mi ich przybędzie. Nieobecności są zaznaczane wściekle czerwonym flamastrem w kalendarzu wiszącym w kuchennej niszy. W ten sposób każdy może zobaczyć, ile dni jego koledzy chorowali albo opiekowali się chorym dzieckiem – to kolejne z rozwiązań, które wkurzyło związki, a mediom dało pożywkę do rozpisywania się na całe strony o metodach Jespera rodem z epoki niewolnictwa.

Przesuwam dłonią po ścianie. Pożółkła, trochę już brudna tapeta przywozmi mi na myśl inną ścianę, w innym życiu.

Był wieczór i leżałam w swoim łóżku, patrząc na ścianę, która kiedyś była biała, ale z czasem pokryła się grubą warstwą osadu z dymu papierosowego i kurzem. Dowolnym ostrym przedmiotem, na przykład wykałaczką czy patykiem, można by z powodzeniem napisać na niej jakieś litery albo narysować figurki.

Chociaż bardzo się starałam, nie mogłam zasnąć. Częściowo przez jasnoniebieskie światło późnowiosennej nocy, które sączyło się przez okno, a potem próbowało się wcisnąć pod moje zamknięte powieki, a częściowo przez podniesione głosy mamy i taty dochodzące z kuchni.

Kłócili się.

Nie wiedziałam, o co im poszło tym razem, ale nie miało to większego znaczenia. Na dobrą sprawę awanturowali się prawie co wieczór. Mój myk polegał na tym, że zawsze starałam się zasnąć, nim zaczęli, wtedy jakoś udawało mi się przespać całą noc. A rano byli mili, chociaż zmęczeni, bo niewyspani.

W końcu ich głosy przycichły i wreszcie całkiem zamilkły. Wstrzymałam oddech. Po kilku sekundach dał się słyszeć wyraźny ton, jakby ktoś śpiewał. Wznosił się i opadał, a później przeszedł w przeciągłe wycie.

To mama płakała.

Zawsze ona płakała. Nigdy tata. Nawet nie wiedziałam, czy tata w ogóle umie płakać. Może ojcowie nie płaczą?

Najpierw rozległo się głucho pacnięcie, a potem przeraźliwy krzyk. Wtedy naprawdę się zaniepokoiłam. Czy któreś z nich spadło i o coś się uderzyło?

Wyskoczyłam z łóżka, chwyciłam słoik z kokonem i ruszyłam do drzwi. Linoleum pod stopami było śliskie i chłodne. Kiedy znalazłam się w przedpokoju, usłyszałam tylko ciche łkanie mamy i obojętne tykanie kuchennego zegara.

Tata siedział na podłodze z twarzą ukrytą w dłoniach, a mama płakała na krześle. Z jakiegoś niewiadomego powodu bardziej zaniepokoiło mnie milczenie taty i jego wyraźnie skulona pozycja niż szloch mamy. Żaden tata nie powinien siedzieć w taki sposób: skulony i zrezygnowany, z twarzą w dłoniach, nie mówiąc ani słowa.

Poruszył się odrobinę – lekko obrócił w moją stronę, zaledwie o kilka milimetrów, jakby nie wiadomo w jaki sposób dostrzegł mnie między dłońmi. Jego głos był bezdźwięczny, kiedy powiedział do mnie:

– Emmo, słoneczko. Idź do łóżka. Powinnaś już spać.

Mama zerwała się z krzesła. Jej oczy miały dziki wyraz, jaki przybierały tylko wieczorami, gdy oboje długo siedzieli w kuchni. Przypominała mi zwierzę. Nieokiełznane i nieszczęśliwe zwierzę więzione w klatce i dlatego bardzo niebezpieczne.

– Pieprzona smarkata – wrzasnęła. – Znowu siedziałaś i podsłuchiwałaś, ty czarci pomiole!

Tata podniósł się z podłogi i stanął między mną a mamą.

– Przestań – bąknął. – Przecież to nie jej wina.

– Dobrze wiem, że podsłuchiwałaś – cisnęła mama. – I co teraz zrobisz? Zadzwońisz do ciotki Agnety i nakablujesz? Co?

– Nie – odpowiedziałam, ale mama nie usłyszała. Trzymając się stołu, zaczęła przybliżać się do mnie. Z każdym krokiem jej dłonie mocniej chwyciły się blatu. Starając się zapanować nad swoim kłocowatym ciałem, przewróciła krzesło, gdy próbowała precyzyjnie się obok taty.

– Zostaw ją w spokoju – powiedział.

– Już ja ją zaraz nauczę, żeby więcej nie podsłuchiwała – bełkotała mama.

Odepchnęła tatę i wyciągnęła rękę, chcąc mnie schwycić. Byłam jednak szybsza i uchyliłam się w bok. Kiedy nie udało jej się zrobić tego, co zamierzała, osunęła się bezwładnie na podłogę.

– Niech to szlag – wymamrotała, starając się podnieść. Wąska strużka krwi ciekła jej z jednej dziurki nosa. – Widzisz, co narobiłaś, Emmo? Widzisz?

Wreszcie dźwignęła się na nogi.

– Ale to nie...

Uderzenie w policzek było zupełnie niespodziewane, jednak tym razem nie odważyłam się odskoczyć w bok z obawy, że mama znowu runie na podłogę i wąska strużka krwi zamieni się w kaskadę albo nawet w morze.

– Ani słowa!

Chwiała się lekko, a włosy sterczały jej na głowie tak samo jak zawsze rano po wyjściu z łóżka. Tata znowu się skulił i zasłonił sobie twarz rękami, jakby chciał wyłączyć się z tego wszystkiego, co się przed nim rozgrywało. Bardzo chciałam, aby się wyprostował i powiedział mamie, żeby już przestała, i wyjaśnił jej, że to naprawdę nie moja wina. Chciałam, żeby już było rano, a oni czuli się znowu zmęczeni i byli w miarę mili dla mnie – żeby dali mi jak zwykle pieniądze i kazali iść kupić coś na śniadanie, bo ich bolała głowa. Chciałam być kimś innym i zupełnie gdzie indziej. Byle nie Emmą. Byle nie tutaj. Byle nie teraz.

Mama przysunęła do siebie słoik z kokonem.

– Daj no mi ten kretyński słoik – burknęła. – Łazisz z nim wszędzie, pewnie jest dla ciebie ważniejszy ode mnie. Ważniejszy od matki, tak?

Nie odpowiedziałam.

– To ja ci zaraz pokażę, co jest ważne – rzuciła i powlokła się do okna, otworzyła je i cisnęła przez nie słoik.

Mniej więcej po sekundzie rozległ się brzdęk szkła, co oznaczało, że słoik roztrzaskał się o asfalt.

– Nie! – krzyknęłam. – Nie, nie, nie!

– Tak – powiedziała mama. – Już ja cię nauczę, co naprawdę jest ważne. To był tylko pieprzony słoik. Słyszysz? Martwa rzecz.

Nie słuchałam jej, tylko podbiegłam do drzwi, otworzyłam je i puściłam się pędem po schodach na dół. Kawałki szkła błyszczwały jak gwiazdy na czarnym asfalcie. Ostrożnie stawiając stopy między nimi, żeby się nie skaleczyć, po omacku przesuwałam dłońmi po zimnej i wilgotnej nawierzchni. Natrafia-

łam jedynie na suche liście.

– Emmo, masz.

Odwróciłam się. Tata przykucnął tuż obok i wyciągał do mnie rękę. Na dłoni leżało kilka kolczastych gałązek. Kokon nadal wisiał na jednej z nich. W świetle zachodzącego słońca wydawał się niemal przejrzysty.

– To jest jakieś chore.

Olga kręci głową tak zapamiętale, że aż pobrzękują jej długie kolczyki. Stoimy przy ladzie i składamy dzinsy. Björnego na razie nie widać, ale obie wiemy, że na pewno jest w sklepie. To mniej więcej tak, jak być na sawannie i zdawać sobie sprawę, że drapieżne zwierzę gdzieś się czai, tylko nie wiadomo gdzie.

– Co ja mam robić?

Olga znowu kręci głową, jakby uważała, że sytuacja jest zbyt dziwna, by móc cokolwiek poradzić. W końcu podciąga wyżej swoje wytarte dzinsy, które osunęły się nisko na biodra, i zwraca się do mnie:

– Najpierw zaręcza się z tobą, a potem znika. Kto to taki? Teraz chyba już możesz powiedzieć?

Jasne, że mogłabym powiedzieć Oldze o Jesperze, coś jednak mnie powstrzymało. Bo jeśli bym to zrobiła, niedługo wszyscy poznaliby tę tajemnicę, a to oznaczałoby problem nie tylko dla niego, lecz także dla mnie. Jak zareagowałby na przykład Björne, gdyby wiedział, kto jest moim ukochanym?

– To... nikt. Ktoś, kogo czasami można zobaczyć w gazetach. Tak czy owak, jeśli nawet woli wycofać się rakiem, ja chcę odzyskać swoje pieniądze.

Olga nic nie mówi, tylko wyciąga się nagle, aby chwycić parę dzinsów, które właśnie zsuwają się z lady, i łapie je w ostatniej chwili, aby nie wylądowały na podłodze.

– Jakie pieniądze? – pyta obojętnym tonem i dopiero wtedy uzmysławiam sobie, że nie wspomniałam jej o pożyczce.

– Pożyczył ode mnie sto tysięcy, żeby opłacić jakichś majstrów.

– Co? Odbiło ci? Pożyczyłaś mu sto tysięcy?

– No i co z tego? – Wzruszam ramionami.

– Chodź. – Olga bierze mnie pod rękę i ciągnie w stronę pokoiku rekreacyjnego.

Nagle wyrasta przed nami Björne. Wygląda na rozeźlonego. Bierze się pod boki i staje naprzeciw nas tak blisko, że czuję się trochę niekomfortowo. Zdaje się, że zapuszcza sobie coś w rodzaju brody. Rudawy zarost pokrywa

wąską, wystającą do przodu szczękę.

– Dokąd to? – pyta.

– Odpocząć – odparowuje Olga i nie siląc się na dalsze wyjaśnienia, zaciska usta w cienką kreskę.

W tym momencie z pokoiku wychodzi Mahnoor i po drodze zbiera sobie długie ciemne włosy w węzeł na karku.

– Przejmiesz kasę? – rzuca Olga błyskawicznie.

– Jasne.

Patrzy na nas zdziwiona, a Björne – chyba usatysfakcjonowany tym rozwiązaniem – odwraca się i idzie do działu męskiego. Olga natomiast dalej ciągnie mnie za sobą i zmusza, żebym usiadła na jednym z białych krzeseł w kuchennym kącie.

– Ale z niego menda – mamroczę. – Słyszałaś, że wyrzucili dziewczynę z Ringen³, bo brała za dużo zwolnień na swoje trzyletnie dziecko? Miała dziesięć nieobecności w miesiącu. Oskarżyli ją o nieświadczenie pracy i związku nie mogły nic zrobić.

Olga jednak mnie nie słucha, tylko przegląda stos kolorowych tygodników, które leżą na półce w kącie.

– A nie próbowałaś go jakoś złapać? – pyta spokojnie, biorąc plik czasopism i kładąc go sobie na kolanach.

– Dzwoniłam, pisałam esemesy. I to nieraz. Zero odpowiedzi.

– Trzeba było zaskoczyć go w domu.

Przypominam sobie wizytę na Kapellgränd: mężczyznę z kucykiem i puszką piwa w ręce, meble, których wcześniej tam nie było.

Olga przestaje kartkować gazety i spogląda na mnie z autentycznym niepokojem.

– Któregoś wieczoru pojechałam do niego...

– I?

– W mieszkaniu mieszkał ktoś inny. Jego meble też zniknęły.

Nie mówi nic więcej, tylko z powrotem zaczyna zajmować się stosem pism.

– Co ty robisz?

– Szukam czegoś. A swoją drogą po co pożyczyłaś mu te pieniądze?

– Żeby. Sama nie wiem. Akurat miałam trochę w domu, a on potrzebował na zapłatę dla robotników.

– Trzymałaś sto tysięcy w domu?

– Tak.

– Przepraszam cię, ale to naprawdę jest chore. Podprowadził ci coś jeszcze?

– Nie – odpowiadam, choć od razu przychodzi mi na myśl obraz Ragnara Sandberga znad łóżka. Jesper był jedyną osobą, która wiedziała, że go mam. Poza mamą oczywiście, ale ona przecież nie żyje.

– Jest. – Olga mamrocze pod nosem i gorączkowo przewraca kartki w tygodniku, w którym liczba zdjęć różnych celebrytów znacznie przerasta ilość tekstu. – To chyba było tutaj.

Sprawdza uważnie każdy tytuł, wreszcie pokazuje mi jeden z artykułów.
Czy

żyjesz z psychopatą? - czytam.

– A to kutas. Ten twój złodziejaszek to psychopata – bąka, sunąc powoli palcem po linijkach, jakby tekst był złożony alfabetem Braille’a.

– Co tam piszą?

Odchrząkuje i bębni długimi paznokciami w gazetę.

– Psychopata jest początkowo czarujący, ale dosyć szybko okazuje się osobą egocentryczną i mającą upodobanie do manipulacji. Brak empatii powoduje, że nie okazuje najmniejszego zrozumienia dla twoich uczuć i potrzeb. Oszukuje i zwodzi bez żadnych skrupułów. Kradnie i kłamie, nie mając poczucia winy.

Zastanawiam się. Wobec mnie Jesper jest ciepły, serdeczny i czuły. Ale jeżeli dałam się nabrać? Jeżeli to on ukradł obraz? I jeżeli nie zamierza oddać mi pieniędzy? Wtedy Olga miałaby rację.

– A mówią tam, co robić w takiej sytuacji?

Olga potakuje i bezgłośnie porusza ustami, czytając ostatni akapit.

– Powinnaś trzymać się od niego jak najdalej, bo on nigdy się nie zmieni. Psychopaci się nie zmieniają. Tak tu jest napisane.

Pochyla się ku mnie, kładzie mi rękę na ramieniu i bez słowa patrzy z troską swoimi wielkimi oczami. Czuję, że zbiera mi się na płacz. Jednak pragnienie, by ustalić, jak jest naprawdę, okazuje się silniejsze.

– Nie rozumiem – bąkam. – On ma przecież pieniądze jak lodu. I jest... znany. Dlaczego miałby ryzykować to wszystko, żeby naciągnąć mnie na głupie sto tysięcy?

– A może nie o pieniądze mu chodzi – mówi z ociąganiem Olga.

– Co masz na myśli?

– Może chce cię upokorzyć. Zgnoić. Rozumiesz?

Stoję przed lustrem w łazience. Długie brązowe włosy opadają mokrymi pasmami na ramiona. Piersi, ohydne balony, są większe niż kiedykolwiek i bolą przy najlżejszym dotyku.

Ścieram z lustra trochę pary i przyglądam się własnemu odbiciu. W świetle jarzeniówek piegi są widoczne jak na dłoni, zwłaszcza bez makijażu. Owijam się zielonym ręcznikiem i wychodzę do przedpokoju. Na podłodze pod drzwiami wejściowymi leżą trzy koperty.

Jedna jest z mojego banku, druga od komornika, a na trzeciej nie ma nadawcy. Podnoszę wszystkie i idę do kuchni, gdzie wkładam je do chlebaka, nie otwierając żadnej z nich. Kiedy próbuję zamknąć go z powrotem, mam trudności, ponieważ już i tak pęka w szwach.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że sytuacja jest nie do zaakceptowania i w którymś momencie będę musiała wszystkie te rachunki uregulować. Tylko jak? Nie mam oszczędności w banku ani kapitału w postaci akcji czy funduszy, które mogłabym sprzedać. Również żaden z moich znajomych nie dysponuje takimi pieniędzmi, żeby móc mi pożyczyć.

A rodziny nie mam już od dawna.

Jesper jest moją rodziną, przemyka mi przez głowę. Jakkolwiek może to brzmieć dziwnie, jest najbliższą mi osobą.

Przypominam sobie nasz ostatni wieczór. Kłóciliśmy się. O to samo co zawsze: jak długo jeszcze będziemy tak żyć? Chciałabym w końcu wyjść między ludzi, iść z nim do kina czy do restauracji. On akurat był tamtego dnia zdenerwowany i spięty, pewnie miał potworny dzień w pracy. Szliśmy w deszczu i dokładnie pamiętam, jak pomyślałam, że mam już naprawdę dość.

Delikatna mżawka zamieniła Götgatan w błyszczące czarne lustro, w którym uliczne latarnie i szyby wystawowe odbijały się niczym klejnoty. Miałam rozłożoną parasolkę, ale Jesper nie przejmował się deszczem i szedł obok mnie, nerwowo gestykułując i mówiąc podniesionym głosem.

– .to chyba nie moja wina. Tak czy nie? Poza tym już miesiąc temu ci mówiłem, że powinnaś znaleźć sobie inną pracę. Zrobiłaś to? Nie. Czy to takie cholernie trudne? Dlaczego to ja muszę zawsze wszystko ciągnąć?

Skęciliśmy w Högbergsgatan. Cała jego postać mówiła, że jest zdenerwowany. Kiedy stanęliśmy przed wejściem do domu przy Kapellgränd, żadne z nas się nie odzywało.

– Chcę znać konkretną datę – oznajmiłam wreszcie, kładąc rękę na zimnej mosiężnej klamce. – Tak samo jak w związku z żonatym facetem, chcę wiedzieć, kiedy mnie uznasz.

Weszliśmy do klatki schodowej. Jesper wyjął pęk kluczy i zaczął szukać tego właściwego.

– Jak to cię uznam? A co ty jesteś jakieś pieprzone państwo afrykańskie, które ma być uznane przez ONZ? Przecież wiesz, że nie ma nikogo poza tobą. Chodzi tylko o to, żebyśmy powiedzieli o naszym związku w odpowiednim czasie.

W przedpokoju było ciemno, ale nikt z nas nie zapalił światła. Zsunęłam z nóg botki, a kurtkę rzuciłam w kąt, na podłogę.

– A kiedy zamierzasz to zrobić? Wciąż się wymigujesz. Kłamiesz i się wykręcasz.

– Czyż ty, do cholery, już całkiem zwariowała? Nigdy cię nie okłamałem. Nigdy!

Krzyczał na cały głos. Gdy cisnął swoją kurtkę o ścianę, wylądowała na komódce i przewróciła wazon, który podobno zrobiła w latach siedemdziesiątych jego mama. Potoczył się z hukiem na podłogę.

– Okłamujesz mnie i wykorzystujesz.

– Ja ciebie wykorzystuję? A to niby jak? – W jego głosie pojawił się nagle lekceważący ton.

– Wszystko odbywa się na twoich warunkach. Przychodzisz i myślisz, że możesz wziąć sobie, co tylko chcesz. Moje ciało, moje uczucia. Wydaje ci się, że jesteś ich właścicielem.

Nagle znieruchomiał i spojrzał w okno. Blask reklamowego neonu na domu naprzeciwko malował niebieskie i różowe smugi na jego ciemnych włosach.

– A nie jestem? – rzekł spokojnie, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Jego odpowiedź wprawiła mnie w osłupienie. W pierwszej chwili nie mogłam nic wykrztusić.

– Co masz na myśli? – spytałam w końcu tak cicho, że prawie siebie nie słyszałam.

Gdy odwrócił się w moją stronę, jego twarz wyglądała upiornie pusto. Jakby była tylko skorupa. Niezamieszkaną skorupą, bez emocji.

– Mam na myśli to, że należysz do mnie.

Podszedł bliżej. Staliśmy naprzeciw siebie w ciemnym pokoju. Gdzieś w oddali słychać było syreny. Poza tym zalegała cisza. Przyciągnął mnie do siebie, ale sztywno, zimno, bez ciepła i uczucia. Zaznacza swoją własność, przemknęło mi przez myśl. Tu nie chodzi o miłość, tu chodzi o coś innego. Może o władzę.

– Przepraszam – szepnął mi do ucha. – Masz całkowitą rację. Nie możemy tak żyć.

Wypuścił mnie z objęć i zaczął szukać czegoś w kieszeni.

– Kocham cię, Emmo. Niezależnie od tego, co się wydarzy, chcę, żebyś o tym pamiętała. Możesz mi to obiecać?

Nagle poczułam się nieswojo.

– A co miałyby się wydarzyć?

Zlekceważył moje pytanie.

– Chcę, żebyś przyjęła to ode mnie.

Gdy wyciągnął rękę, dostrzegłam w jego dłoni coś błyszczącego. Nieśmiało dotknęłam okrągłego i chłodnego w dotyku metalowego przedmiotu.

To był pierścionek.

Podnoszę go pod światło. Cienka obrączka z białego złota z potężnym soliterem – brylantem. Błyszczący i lśni w świetle, jakby nic się nie stało.

Znowu zbiera mi się na mdłości. Siadam na łóżku. Sypialnia wygląda dziwnie pusto bez obrazu na ścianie. Wszystko dookoła zaczyna jakby wirować, zacierają się proporcje. Okno stopniowo kurczy się w długą i cienką linię. Sufit czyha groźnie.

Sigge chyba wyczuwa, że coś złego dzieje się ze mną, bo nagle się pojawia i ociera swe nieduże, miękkie ciało o moje nogi. Opieram głowę na dłoniach, ale gdy pochylam się do przodu, kłatkę piersiową rozdziera taki ból, że muszę natychmiast z powrotem się wyprostować.

I nagle dociera do mnie.

Czuję się tak, jakbym po wielodniowej wędrówce przez ciemny las pełen gigantycznych drzew wdrapała się wreszcie na bardzo wysoką górę oblaną światłem słońca i zobaczyła z niej wszystko dookoła. Podejrzenie, które się we mnie zrodziło, powala mnie jak prawy sierpowy wymierzony prosto w żołądek i nagle nie mogę złapać powietrza.

Mimo pulsującego przerażenia wyjmuję telefon komórkowy, otwieram kalendarz i liczę dni. Liczę raz i drugi. Potem powtarzam od nowa. Mimo wszystko nie może to do mnie dotrzeć, jest zbyt absurdalne.

Ale nie ma innego wyjaśnienia.
Jestem w ciąży.

Hanne

Spotkanie prowadzi Manfred, gruby, rudawy policjant. Wstaje, człapie do whiteboardu i poprawia sobie na nosie staromodne okulary w rogowej oprawie. Za stołem siedzą kierujący śledztwem młody blondyn, prokurator Björn Hansson, i szef centralnej komisji do spraw badania zbrodni, Greger Sävstam. Jest też ciemnowłosa kobieta, Sanchez, a także Peter, który zajął miejsce na ukos ode mnie. Cieszę się, że dzisiaj usiadł właśnie tam, a nie na przeciwko. Nie wiem, czy dałabym radę patrzeć na niego przez całe spotkanie.

W niedużym notesie skrupulatnie zapisałam sobie nazwiska wszystkich obecnych, ich stanowiska i to, jak wyglądają. Tak na wszelki wypadek, żeby dodatkowo się zabezpieczyć. Bo właśnie nazwiska szczególnie łatwo wypadają mi z głowy.

Zgodziłam się włączyć do śledztwa pod warunkiem, że obciążenie obowiązkami nie będzie zbyt duże. Może jestem naiwna, że wierzę, iż dam radę pracować pomimo choroby, ale wmawiam sobie, że jakoś to będzie. Przecież nie jest ze mną tak całkiem źle. Przynajmniej na razie. Głównie szwankuje mi pamięć krótkotrwała, poza tym niektóre słowa czy nazwiska po prostu wypadają mi z głowy (jak nazwisko premiera czy króla, o które lekarz spytał mnie podczas ostatniej wizyty).

Wyobrażam sobie, że pamięć jest tkaniną, i właśnie w mojej tkaninie tu i ówdzie powstały dziury. Paskudne i jeszcze niezbyt duże, ale z czasem się poszerzą i pewnie ich przybędzie. Jakby ktoś złośliwy na chybił trafił przypalał ten materiał żarzącym się niedopałkiem. Ale chwilowo wciąż jestem w stanie kompensować ubytki i ukrywać je przed otoczeniem. W końcu jednak choroba tak zeżre tkaninę, że zamieni się w sito strzępów połączonych ze sobą jedynie cienkimi nitkami.

Niekiedy się zastanawiam, co w tej sytuacji tak naprawdę ze mnie pozostanie. Bo przecież człowiek to zbiór doświadczeń, myśli i wspomnień. Jeśli one znikną, to kim wtedy będę? Kimś innym? Czymś innym?

Manfred Olsson odchrząkuje i opiera się o ścianę.

– Na wstępie chciałbym podsumować nowe fakty, które wypływały w toku śledztwa. Przesłuchaliśmy dziewięciu kolegów z pracy Jespera, pięciu przyjaciół, jego rodziców i dwie dawne dziewczyny. Od ostatniego piątku nikt z nich nie miał z nim kontaktu. Nikt nie wie, dokąd zamierzał pojechać w wolne dni ani gdzie może się teraz znajdować. Na podstawie rozmów z nimi wyłania się obraz człowieka wyjątkowo ambitnego i żądnego uznania, niemającego poza pracą szczególnych zainteresowań, abstrahując oczywiście od sportu i kobiet. Według informacji medialnych Jesper Orre obraca się też w kręgach kryminalnych, ale nie znaleźliśmy na to dowodów. Podobno ma jakiegoś dalekiego znajomego, który dostał wyrok za drobne przestępstwa narkotykowe. Rozmawialiśmy także z sąsiadami. Tamtego wieczoru nikt z nich nie zauważył nic szczególnego. A informacje, jakie otrzymaliśmy od obywateli po ogłoszeniu zaginięcia Orrego, też niczego nie dały. W jego poczcie elektronicznej i esemesach nie było nic ciekawego, choć to, rzecz jasna, nie musi nic znaczyć, bo przecież Orre może mieć prywatną komórkę, do której nie dotarliśmy. Pracujemy nad tym. Jest poszukiwany od wczoraj listem gończym, nie mógł więc opuścić kraju, ponieważ wszystkie punkty graniczne są poinformowane. I to niestety wszystko, co wiemy o Jesperze Orrem na obecną chwilę. Mamy też wstępne ustalenia z centralnego laboratorium. Maczeta znaleziona w jego mieszkaniu to panga, odmiana narzędzia stosowanego w Afryce Wschodniej, różniąca się od standardowej maczety szerszym i bardziej spiczastym ostrzem.

Manfred przyczepia do tablicy zdjęcie maczety i wskazując na rękojeść broni, kontynuuje:

– Rękojeść jest wykonana z polerowanego drewna hebanowego. Według ekspertów to dosyć niestandardowy przedmiot, prawdopodobnie również dość stary. Podobne można spotkać na specjalistycznych aukcjach. Na rękojeści nie było żadnych odcisków palców, co znaczy, że sprawca usunął je po dokonaniu zabójstwa. Natomiast odciski Jespera Orrego znaleziono na ostrzu.

Sanchez gwizdże pod nosem.

– Czyli mamy go – mówi.

– No cóż, tak naprawdę możemy udowodnić jedynie tyle, że dotykał maczety, i nic ponadto. Lekarze pracują jeszcze nad porównaniem obrażeń na ciele naszej ofiary i tych, jakie zadano Miguelowi Calderónowi dziesięć lat temu. Obiecali, że przedstawią nam swoje wnioski jutro albo najpóźniej poju-

trze. Krew znaleziona w przedpokoju była krwią ofiary, mocz natomiast – jakiegoś mężczyzny. Na razie nie udało się jeszcze stworzyć pełnego profilu DNA, ale laboratorium pracuje nad tym. Jak wiadomo, o wiele trudniej jest ustalić DNA na podstawie moczu niż na podstawie krwi i tkanek.

– Czyli uryna pochodziła od mężczyzny. Co to oznacza? – pyta Sanchez.

– Że jakiś facet nasikał w holu – odpowiada Manfred.

W sali rozlega się stłumiony chichot.

– Domyślam się, ale dlaczego?

– Tego musimy się dopiero dowiedzieć – mówi Manfred.

– Czy w przypadku Calderóna też znaleziono urynę na miejscu zbrodni? – zadaję pytanie.

Manfred kręci głową i kontynuuje:

– Nie. Rozmawiałem też z technikami, którzy przeczesali dom Orrego. Nie natrafili na nic szczególnego, poza koszykiem z używaną damską bielizną ukrytym w szafce w pralni, w piwnicy. Biorąc pod uwagę to, czego dowiedzieliśmy się od Anji Staaf, którą przesłuchiwaaliśmy wcześniej, można domniemywać, że Orre kolekcjonował używaną damską bieliznę. Po prostu taką miał słabość.

W sali słychać tu i ówdzie śmiech, który niemal natychmiast zamiera, gdy szef centralnej komisji do spraw badania zbrodni, Greger Sävstam, odwraca się i wiedzie wzrokiem po wszystkich po kolei wokół stołu.

– Ale znaleźli coś jeszcze – kontynuuje Manfred. – Wepchniętą pod łóżko Orrego w sypialni na piętrze parę zakrwawionych kobiecych majtek.

– Po okresie? – sugeruje Sanchez.

Manfred kręci głową.

– Plamy krwi są dosyć stare, a na podstawie ich rozmieszczenia technicy uważają, że ktoś użył majtek do zatamowania krwawienia, na przykład owijając nimi przedramię czy dłoń. Jeszcze nie wiadomo, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie dla naszego śledztwa, ale jak wspomniałem, to jedyna rzecz godna uwagi, na jaką się tam natknęli.

Manfred przewraca kartkę w swoim oprawionym w skórę notesie i po chwili ciągnie:

– No właśnie, jeszcze to. Peter rozmawiał z pracownikami firmy ubezpieczeniowej, która bada sprawę pożaru w garażu Orrego. Według nich wiele wskazuje na to, że ogień został podłożony, ponieważ po analizie chemicznej znaleziono ślady benzyny w zwęglonych pozostałościach. Sprawą zajmuje

się też tamtejsza policja, jesteśmy z nimi w kontakcie. Na razie nie mają żadnego podejrzanego, chociaż ci z ubezpieczenia mówią, że daliby sobie głowę uciąć, że to sprawka Orrego.

– A jaka właściwie jest jego sytuacja ekonomiczna? – pyta prokurator z typowym skańskim zaśpiewem.

– Dobra – odpowiada z boku Peter.

Nie odwracam się i po raz kolejny przebiega mi przez głowę myśl, że może to nie był najlepszy pomysł, żeby tu przychodziła. Mimo wszystko. Przekonuję jednak samą siebie, że jestem wystarczająco silna, by znieść kilka spotkań z człowiekiem, który zniszczył mi życie tamtego wieczoru dziesięć lat temu. I że to byłaby kapitulacja z mojej strony, gdybym zrezygnowała z tego, do czego wręcz się palę, powodowana jedynie strachem przed konfrontacją z przeszłością. Poza tym ważniejsza jest przyszłość, bo zostało jej już tak niewiele.

– Jego roczne dochody po opodatkowaniu wynoszą cztery miliony koron – rozwija Peter. – Oprócz tego jest właścicielem akcji o wartości około miliona. I wygląda na to, że nie ma żadnych długów.

– Jak to możliwe, że taki człowiek jak Jesper Orre rozpląnął się w powietrzu? – pyta Greger Sävstam.

– Szuka go prawie cała policja – odpowiada Manfred, odchrząknąwszy wcześniej.

– Nie podoba mi się to – mówi prokurator, po czym wstaje i wsuwa ręce do wygniecionych kieszeni spodni od garnituru. – Na dobrą sprawę mamy tyle co nic. Stara maczeta z hebanową rękojeścią i para zafajdanych majtek nie pomogą nam wyjaśnić sprawy. Minęły już trzy dni, dziennikarze dzwonią bez przerwy, a my nadal nie wiemy nawet, kim była ofiara ani gdzie się podziewa Jesper Orre. Nie zamierzam świecić za was oczami na spotkaniu w prokuraturze tylko dlatego, że nie udało wam się do niczego dojść.

– Jutro widzimy się z rewizorem wewnętrznym Clothes & More – odzywa się Manfred. – Zdaje się, że spółka rozpoczęła procedurę sprawdzającą Orrego. Jak głosi plotka, huczną imprezę z okazji swoich czterdziestych piątych urodzin pan Jesper Orre urządził sobie za firmowe pieniądze. Może to coś nam da.

Greger Sävstam ma nadal ponurą minę i wznosi oczy do nieba, jakby odpowiedź Manfreda tylko dodatkowo go rozdrażniła.

– Jeśli nawet zdefraudował pieniądze spółki, to i tak niczego to nie wnie-

sie do naszego śledztwa w sprawie morderstwa. Może warto zastanowić się nad jakimś radykalnym krokiem? Na przykład iść do mediów i poprosić o pomoc?

– Informację o zaginięciu Jespera Orrego i o znalezieniu w jego domu zamordowanej kobiety już podaliśmy – wtrąca Manfred, na co prokurator macha z niecierpliwością ręką.

– Przecież wiem. Nie o to mi chodzi. Może warto opublikować zdjęcie ofiary? Żeby móc wreszcie ustalić jej tożsamość.

– Ona jest w bardzo złym stanie... zwykle nie... – zaczyna przekonywać Manfred.

– Gównu mnie obchodzi, co zwykle robimy. Musimy wreszcie przejść w tej sprawie do następnego etapu, a nie siedzieć tutaj i bić pianę, dlatego ten facet lubił sobie leżeć i obwąchiwać stare majtki.

– To może byśmy poprosili kogoś z naszych rysowników, żeby zrobił rekonstrukcję – proponuje Sanchez. – Coś takiego byłoby mniej szokujące niż publikacja zdjęcia zmasakrowanej odrąbanej głowy.

Greger spogląda na nią z wyraźnym lekceważeniem.

– To jedyna rozsądna rzecz, Sanchez, jaką dziś powiedziałaś. Załatw to jak najszybciej!

Siedzę przed kominkiem w dużym skórzanym fotelu i czytam stare protokoły ze śledztwa w sprawie zabójstwa Calderóna. Ogień trzaska, a na niskim marmurowym stoliku tuż obok mnie pali się mała świeczka. To dziwne uczucie widzieć dawne raporty, w których tworzeniu uczestniczyłam. Tyle lat minęło od tamtej pory, a mimo wszystko tak niewiele się wydarzyło. Wciąż mieszkam w tym samym mieszkaniu i z tym samym mężczyzną. Tylko pies jest inny.

Spoglądam na Fridę skuloną na skórze u moich stóp. Jej czarny tułów drży, a łapy poruszają się w nierównym rytmie, jakby śniło jej się jakieś polowanie albo ucieczka.

Wracam do lektury. Pamiętam, że długo deliberowaliśmy nad tym, co mają znaczyć te podtrzymywane za pomocą taśmy powieki ofiary. Przymykam oczy i czując ciepło promieniujące od kominka, zastanawiam się, dlaczego zabójca robi coś takiego ze swą martwą ofiarą – lekarze i technicy doszli bowiem do wniosku, że prawdopodobnie tak to się odbyło: powieki zostały przyklejone taśmą post mortem, po śmierci. Na potwierdzenie swojej teorii przytaczali obecność krwawych plam pod taśmą.

Tak więc morderca unosi powieki ofiary i przykleja je taśmą do oczodołów, po czym stawia głowę w taki sposób, żeby pierwsza lepsza osoba, która wejdzie do mieszkania, poczuła na sobie spojrzenie martwej ofiary. W jakim celu? Czy zabójca wiedział, kto znajdzie Calderóna? I chciał mu w ten sposób coś przekazać? Czy chodziło o sponiewieranie ofiary? Niczym u Celtów, którzy przymocowywali głowy swoich wrogów do koni i galopowali z nimi do domu jak z trofeum.

Nagle słyszę odgłos klucza obracanego w zamku; Frida najpierw nieruchomieje, ale zaraz potem zrywa się z podłogi i biegnie do przedpokoju, merdając ogonem. Wiem, że powinnam schować te papiery, że Owe wpadnie w szal, kiedy je zobaczy, mimo to nie robię tego. Siedzę spokojnie z dokumentami na kolanach.

Staje w drzwiach. Siwe włosy ma potargane, a policzki zaczerwienione od zimna. Bordowy sweter ciasno opina mu brzuch, a cała jego postawa zdradza, że jest poirytowany. Czasami tak bywa, że gdy wraca do domu, jest rozdrażniony. Zwykle dlatego, że pokłócił się z kimś w pracy. Później frustracja wywołana tym, że jakiś nieudolny kolega albo niesympatyczny pacjent źle go potraktował, stopniowo go opuszcza.

– Dzień dobry – mówi.

– Cześć.

Nadal stoi w drzwiach, przestępując z nogi na nogę, jakby nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

– Jak ci minął dzień?

– Dobrze – odpowiadam. – A tobie?

Wzrusza ramionami.

– Co mam ci powiedzieć? No cóż, wojewódzki wydział zdrowia akurat nie przyciąga największych geniuszy. Mam już dość douczania tych wszystkich zagranicznych lekarzy, którzy nie potrafią odróżnić chorego na schizofrenię od pacjenta z zaburzeniami dwubiegunowymi. I nawet nie umieją napisać zrozumiałego raportu, bo ich szwedzki jest tak kulawy.

– To rzeczywiście nie brzmi wesoło.

Mamrocze coś pod nosem, lecz nie słyszę wyraźnie, bo to jeden z tych gardłowych, chrapliwych dźwięków, jakie Owe niekiedy z siebie wydaje. Być może po tylu latach powinnam już umieć je odczytywać, podobnie jak rodzice instynktownie rozumieją, czego chcą ich małe dzieci, kiedy krzyczą.

– Kupiłaś wino na jutro?

– Nie, miałam... co innego...

Mój głos zamiera. Nie zapomniałam kupić wina, tylko byłam zajęta czymś innym, w komendzie. Ale tego wolałabym mu nie mówić.

Lekko wzdycha i odwraca się, lecz nagle zamiera w pół kroku.

– A co ty czytasz?

Kładę dłonie na papierach, jednak za późno. On już zauważył, że się zawahałam, zobaczył, że instynktownie próbuję zasłonić to, co mam na kolana.

– Nic szczególnego – odpowiadam, ale Owe zmierza już do mnie. Staje tuż przede mną, na tle kominka wyrasta potężna, ciemna sylwetka. Pochyla się i zdecydowanym ruchem podnosi moje dłonie.

– Co to jest, u diabła?

Uderza mnie jego zapach, ta dławiąca mieszanka dymu, potu i czegoś jeszcze, czego nie potrafię określić, a co najbardziej przypomina gotowaną kapustę.

– To jest. protokół postępowania przygotowawczego.

– Przecież widzę – mówi głosem o oktawę wyższym. – Tylko pytam, co, do jasnej cholery, on robi tutaj, w naszym domu? Powiedziałaś przecież, że nie powinnaś brać żadnych zleceń z policji.

– Ja tego nie powiedziałam. To ty tak mówiłaś.

Chwyta plik papierów i ciska je na podłogę. Kątem oka widzę, jak Frida z podkulonym ogonem ucieka do przedpokoju.

– Szlag by to trafił, Hanne! Przecież rozmawialiśmy o tym i uznaliśmy, że to nie byłoby dobre. Że nie dasz rady pracować. A ty mimo wszystko robisz za moimi plecami wręcz odwrotnie.

Kiedy słyszę, jak on to mówi, najzupełniej serio, a na dodatek stoi przede mną i cuchnie, wtedy coś we mnie pęka. Roztrzaskuje się na dobre, jak wówczas, gdy zawala się ściana nośna i cały dom się zapada. Tysiące eksplozji, i cały gniew i nienawiść tłumione przez lata wzbierają we mnie i domagają się ujścia.

Zrywam się z krzesła i zaczynam bębnić pięściami w jego wielkie cielsko. Moje ciosy nie odnoszą żadnego skutku – są chaotyczne i są wyrazem bezradności i desperacji, których nawet nie potrafię ubrać w słowa – i jedynie wywołują zdziwienie na jego twarzy.

– Ty bydlaku! – wrzeszczę. – Nigdy nie ustaliliśmy nic takiego! To ty powiedziałaś, że nie wolno mi pracować! Ty tak postanowiłaś! Jak zawsze. Ty,

ty, ty! Mam już serdecznie dość, nie chcę, żebyś wciąż mi mówił, co mam robić!

Łapie mnie za rękę i unieruchamia je mocnym chwytem.

– Uspokój się, do cholery. Kompletnie oszalałaś. To jest część twojej choroby, nie pojmujesz tego? Agresja, wahania nastroju. Jesteś chora.

To dla mnie nic nowego, że Owe zwała moje humory na chorobę. Wiele razy namawiał mnie, żebym zaczęła brać antydepresanty, jednak to pozorne, przepisane na receptę szczęście przeraża mnie bardziej niż sama choroba.

– Przestań tłumaczyć wszystko pieprzoną chorobą. Tu nie chodzi o chorobę. Tu chodzi o mnie. I o to, że mam po dziurki w nosie tej twojej wiecznej tyranii i nadzoru.

Milknę. Stoimy naprzeciw siebie, tuż przed kominkiem. Nagle zalega cisza. Słyszę jedynie trzaskanie płomieni i mój ciężki oddech. Ręce bolą mnie od jego mocnego uścisku.

– Puść mnie! – mówię.

Spełnia moją prośbę, ale nie rusza się z miejsca, ja zaś zbieram pośpiesznie papiery i wybiegam z pokoju.

– Hanne, kochanie, co się stało?

– Odeszłam od niego – oznajmiam, stawiając ciężką walizkę na kamiennej posadzce klatki schodowej.

– Co ty mówisz? Wejź! – Gunilla wstawia walizkę do pokoju. – Jezusie, co ty w niej masz?

– Uważaj na kręgosłup. To książki. O Grenlandii. Tylko najważniejsze. Gunilla kręci głową, tymczasem Frida wbiega niepostrzeżenie do jasnego przedpokoju przyjaciółki. Wchodzę za nią, otrzepuję buty ze śniegu i zdejmuję płaszcz. Wieszam go na jednym z bajecznie kolorowych wieszaków i idę do saloniku, gdzie opadam na białą kanapę.

– Opowiadaj! – Gunilla zwraca się do mnie, a ja zaczynam relację. Mówię o spotkaniu w komendzie i o Peterze. O zabójstwie sprzed dziesięciu lat zaskakująco podobnym do zbrodni sprzed kilku dni i o mojej tęsknocie za tym, by móc czymś sensownym wypełnić swój czas i wykorzystać całą wiedzę i doświadczenie, które zdobyłam przez lata pracy. Potem opowiadam o Owem, o jego potrzebie kontroli nade mną, jego egocentryzmie, a nawet o jego zapachu, który doprowadza mnie do szaleństwa. Wyjaśniam jej, że przez ostatnie miesiące nazbierało się we mnie mnóstwo złości, która wreszcie wybuchła płomieniem i spustoszyła mnie jak pożar lasu. Teraz jestem zu-

pełnie wyjałowiona i bezsilna. I nie potrafię już dłużej wytrzymać na emocjonalnym ugorze.

– Czyli najwyższa pora, żebyś się od niego wyniosła – mówi Gunilla.

Pytanie, którego się spodziewałam, pada dopiero wtedy, kiedy wypijamy po kilka kieliszków wina i zjadamy cały stary ser, jaki był w lodówce.

– Czy to na pewno rozsądne, odchodzić od niego akurat teraz, kiedy nie wiesz, jak będziesz się czuła za miesiąc albo za rok?

Po krótkiej chwili milczenia patrzę jej w oczy i odpowiadam:

– Właśnie dlatego to dla mnie takie ważne. Nie chcę spędzić czasu, jaki mi został, z nim.

Kiedy budzę się następnego dnia rano, po raz pierwszy od tygodni świeci słońce i ciężkie krople wody z roztopionego śniegu kapią na blaszany parapet. To jest jak znak – nagle czuję ulgę i wzbierającą we mnie euforię. W niemal narkotycznym upojeniu poddaję się i pozwalam nieść fali, nie zważając na resztę.

Teraz może być tylko lepiej, myślę sobie i biorę do ręki książkę Louis-Jacques'a Dorais o języku i kulturze Inuitów. Przeglądam ją pobieżnie.

Z dachu spada płat śniegu i ląduje z głuchym pacnięciem na parapecie.

To, że Inuici stosują tak wiele określeń na śnieg, to mit mający – jak wiele innych zjawisk – swe źródło w romantycznym zaciekawieniu cywilizowanego świata zachodniego dzikimi ludami i ich symbiotycznym związkiem z naturą. Owszem, w języku inuickim są różne określenia na śnieg, ale my też takie znamy. Poza tym nie ma jednego języka inuickiego – istnieje wiele jego odmian i dialektów używanych na arktycznych obszarach Alaski, Kanady, Syberii i na Grenlandii.

Ale my, ludzie, jak zawsze mamy ogromną potrzebę upraszczania i dostosowywania rzeczywistości do znanych nam schematów. Właściwie tym samym zajmujemy się w komendzie: upraszczamy, staramy się dostrzec i zrozumieć powiązania i schematy w złożonym materiale dochodzeniowym. I być może popełniamy ten sam błąd: przypisujemy ludziom konkretne właściwości i odnosimy do wydarzeń określone modele interpretacyjne tylko po to, aby było to zgodne z naszym obrazem świata.

Znowu wracam do morderstwa sprzed dziesięciu lat. Czy czegoś wtedy nie przegapiliśmy? Czy nasze szablonowe myślenie nie wpłynęło na rekonstrukcję przebiegu zdarzeń?

Dyskretne pukanie do drzwi wyrywa mnie z zadumy.

– Zjesz już śniadanie? – pyta Gunilla.

– Chętnie. Jestem głodna jak wilk – mówię i po chwili stwierdzam, że to szczerą prawdą.

Po raz pierwszy od miesiący czuję głód.

Emma

Miesiąc wcześniej

Jadę metrem do pracy i próbuję ogarnąć umysłem to, co się stało. Dziecko Jespera, nasze dziecko, rośnie w moim ciele. W ciemnym, tajemniczym zakamarku kryje się mała kijanka z ogonem i skrzelami, stopniowo przybierająca ludzkie kształty.

To po prostu niepojęte.

Jakoś wciąż nie może do mnie dotrzeć, że jestem w ciąży i że nie chodzi już jedynie o mnie i moją relację z Jesperem. Teraz muszę zdecydować, czy chcę urodzić to dziecko, czy nie. A to z kolei oznacza, że pozostawienie historii z Jesperem za sobą i pójście dalej przestało już być możliwe. Równanie z jedną niewiadomą wygląda teraz inaczej i on ma prawo wiedzieć, że spodziewam się dziecka, niezależnie od tego, czy jest największą kreaturą stulecia, czy nie.

Muszę go znaleźć i poinformować o tym, co się stało.

Kiedy docieram do pracy, Mahnoor i Olga siedzą w naszej małej kuchni przy kawie. Otwieramy dopiero za dwadzieścia minut, a ponieważ Björne jeszcze się nie pokazał, warto wykorzystać ten czas dla siebie.

– Kawy? – pyta Mahnoor.

– Chętnie.

Ściągam kurtkę i siadam na jednym z białych krzeseł. Mahnoor ostrożnie stawia przede mną parujący kubek. Kiedy pochyla się do przodu, jej długie włosy niemal dotykają stołu. Przemyka mi przez głowę, że są bardzo piękne i że pewnie niejedna dziewczyna jej ich zazdrości.

– A gdzie Björne? – pytam.

– Nie mam pojęcia – odpowiada Olga. – Pewnie się spóźni.

– On? Przecież zawsze przychodzi wcześniej. Może się rozchorował – sugeruję.

– Nie sądzę – bąka Mahnoor. – Przez sześć miesięcy nie miał ani jednej czerwonej kreski.

Zapada cisza. Popijam gorącą kawę, próbując zignorować mdłości. Staram się nie myśleć o pasażerze na gapę, który zagnieździł się głęboko w mo-

im ciele.

– A ty w tym miesiącu masz już dziesięć – mówi Olga, zwracając się do mnie. W jej głosie nie słyhać ani współczucia, ani nuty lekceważenia. Ona po prostu stwierdza fakt równie rzeczowo, jakby informowała klienta, ile kosztuje para majtek.

– Nie martw się, to nic groźnego – wtrąca Mahnoor, lekko dotykając mojej dłoni.

– Jak to nic groźnego? – reaguje Olga. – Masz dużo kresiek, to wylatujesz.

– Byłam chora – mówię.

– To nie ma znaczenia – odpowiada z naciskiem Olga, jakby wyjaśniała najbardziej oczywistą rzecz na świecie całkiem małemu i na dodatek tępemu dziecku. Jej paznokcie bębnią o blat stołu, jak gdyby chciały gdzieś uciec. Są tak długie, że kojarzą mi się z jakimś rodzajem śmiertelnie groźnej broni.

– Człowiek powinien się bać swojej pracy i nawet jeśli jest chory, musi czasami pracować. Dać z siebie wszystko, wysilić się – ciągnie Olga, podkreślając każde słowo.

– Chyba chciałaś powiedzieć, że trzeba się bać o swoją pracę – wtrąca Mahnoor, ale Olga nie zwraca na nią uwagi, tylko mówi dalej:

– Trzeba się bać wszystkich relacji. Czasami trzeba robić rzeczy, na które nie ma się ochoty, po prostu dla świętego spokoju. Jeśli na przykład zależy mi na tym, żeby uszczęśliwić Alexa, to kiedy wraca do domu, robię mu loda.

– Zaraz, zaraz – oburza się Mahnoor. – To przecież nie to samo.

– Jak to nie? Trzeba się trochę wysilić, i w domu, i w pracy.

Mahnoor jest wyraźnie zirytowana. Wstaje z krzesła i z rozmachem odstawia swój kubek na szafkę. Brązowy napój wylewa się na blat.

– Jesteś chora, wiesz o tym? Tutaj to nie Rosja – oświadcza i demonstracyjnie wychodzi z kuchni, pozostawiając za sobą woń ciężkich perfum.

– Dlaczego ona się tak wściekła? – bąka Olga.

– Nie wiem.

– Może dlatego, że jest muzułmanką.

– Może.

Zastanawiamy się nad tym przez chwilę, a potem rozlega się dzwonek telefonu, ale Mahnoor jest szybsza od nas i chyba odbiera przy kasie, bo słyszę, jak z kimś rozmawia.

– Zamierzasz ją przeprosić? – pytam.

– Przeprzyć? A niby za co? To ona jest zakompleksowana.

– Zakompleksiona.

– Whatever. Myśli, że jest Bóg wie kim, bo chodzi na uniwersytet. – Olga wydyma usta i krzyżuje ręce na piersi.

Słysząc czyjeś kroki i po chwili w drzwiach znowu pojawia się Mahnoor. Zanim jeszcze zaczyna mówić, poznaję po jej minie, że coś się stało.

– Chodzi o Björnego – informuje niemal zdławionym głosem. – Wpadł pod autobus. Przeżyje, ale jakiś czas go nie będzie. Co najmniej miesiąc.

I ja, i Olga milczymy. Nie lubimy Björnego, żadna z nas jednak nie życzy mu źle. Sama myśl o tym, że on, taki chudy i drobny, znalazł się pod wielkim autobusem, na nowo wywołuje we mnie mdłości.

– Biedny Björne – szepcze Olga.

– Tak, biedny Björne – powtarza za nią Mahnoor.

– I co teraz? – pytam.

– My mamy zajmować się sklepem – odpowiada Mahnoor, prężąc się lekko. – Poproszono mnie, żebym to ja zastąpiła Björnego.

Zastanawiam się, czy została specjalnie wybrana, czy po prostu zlecono jej tę funkcję tylko dlatego, że akurat odebrała telefon.

– I jeszcze jedna sprawa – mówi. – Znowu huczy w prasie o naszym drogim prezesie. Jeśli jakiś dziennikarz zwróci się do nas, mamy się nie wypowiadać, tylko odesłać go z pytaniami do zarządu.

– Znowu był niegrzeczny?

Olga uśmiecha się chytrze, a Mahnoor wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Ale Olga nie daje za wygraną.

– Twoja koleżaneczka z działu personalnego... czy ona przypadkiem go nie przeświała?

– Ona nie pracuje w dziale personalnym, tylko w finansowym. Zdaje się, że Jesper Orre na koszt firmy urządził sobie urodzinową imprezę. Ale nic nie wiem na ten temat.

Mój lunch składa się z gotowej sałatki w plastikowym opakowaniu. Krewetki są tak mdłe i mało jędrne, że trudno mi sobie wyobrazić, by kiedykolwiek żyły w morzu. Raczej sprawiają wrażenie, jakby były ulepione z mąki pszennej z dodatkiem bulionu rybnego.

Siedzę przed komputerem przy niewielkim biurku w pokoju rekreacyjnym. Po lewej widać wejście do naszej małej kuchni. Stół jest zavalony ty-

godnikami, a na szafce stoi identyczny plastikowy pojemnik jak mój z kilkoma samotnymi krewetkami w środku.

Wycieram ręce serwetką i przysuwam bliżej klawiaturę. Wpisuję w wyszukiwarce: Jesper Orre. Po kilku sekundach pojawia się artykuł Jesper Orre oskarżony o molestowanie seksualne. Wchodzę na stronę gazety i czytam. Kobieta, która przez kilka lat „pracowała blisko Jespera”, oskarżyła go o molestowanie seksualne. W tekście brak informacji o tym, kim ona jest albo czym się zajmowała, można jednak wyciągnąć wniosek, że to musiał być ktoś z centrali. Może sekretarka albo ktoś z marketingu. Ani Jesper, ani nikt ze spółki nie chce wypowiadać się w tej sprawie, lecz zgodnie z informacją z „wiarygodnych źródeł” w firmie wszczęto dochodzenie wewnętrzne.

Zastanawiam się. Artykuł jakoś specjalnie mnie nie zszokował. Jesper często opowiadał, w jak niełatwej znajdował się sytuacji i na co był narażony. Ludzie z jego najbliższego otoczenia dzielili się na dwie grupy: na potakiwaczy, którzy robili wszystko, co mogli, byle tylko wciąż być blisko niego, i na tych, którzy wypruwali z siebie flaki, żeby go sabotować gdzie tylko możliwe. Nierzadko jednak potakiwacze z czasem przemieniali się w sabotażyстів, jeśli na przykład nie otrzymali od niego w zamian za swoje zabiegi tego, na co liczyli.

Domyślam się, że kobieta z artykułu należała do tej drugiej grupy. A Jesper stał się teraz łatwym łupem. Nagonka ruszyła. To prosty sposób, aby zwrócić na siebie uwagę i może przy okazji zemścić się za jakąś dawną krzywdę czy niesprawiedliwość. Jesper miał rację. Im wyżej, tym bardziej wieje. Człowiek jest sam i nie może liczyć na nikogo.

Jednocześnie nie można wykluczyć, że się mylę.

Bo tak naprawdę na ile dobrze znam Jespera?

Spoglądam znowu na artykuł i przenoszę spojrzenie na nazwisko pod nim. Anders Jönsson. Brzmi znajomo. Gdzie ja je słyszałam?

Nagle sobie przypominam. To ten sam dziennikarz, który pojawił się kiedyś w sklepie i chciał ze mną rozmawiać o warunkach pracy, a nim wyszedł, zostawił mi wizytówkę. Trzymam ją w pękającym w szwach chlebaku razem z rachunkami.

Mahnoor wchodzi do pokoju i siada naprzeciw mnie.

– Co robisz?

Szybko zamykam komputer.

– Nic specjalnego. Internet nie działa mi w domu.

Powoli kiwa głową.

– Wszystko w porządku? – pytam. – Bo rano wyglądałaś na zdenerwowaną.

Mahnoor wzdycha i wywraca oczami.

– Olga ma chore spojrzenie na kobiety. Wkurza mnie. Można by pomyśleć, że spadła tu z dziewiętnastego wieku. No nie?

Olga rzeczywiście jest inna. Wprawdzie nie analizowałam nigdy jej poglądów na temat kobiet, ale nieraz zwróciłam uwagę na cechujący ją brak wrażliwości i na to, że jej komentarze – prawdopodobnie niezamierzenie – czasami bolały jak siarczyste policzek.

– Nie zastanawiałam się nad tym – przyznaję.

– A ja tak – stwierdza Mahnoor.

– Czy mogłabym wyjść dzisiaj trochę wcześniej? – pytam.

Patrzy na mnie badawczo i zakłada nogę na nogę.

– Jasne. Spokojnie, i tak muszę być do końca, żeby zamknąć. Skoro teraz... odpowiadam za wszystko.

Robi krzywą minę, która jest i komiczna, i irytująca zarazem.

– Dzięki – mówię. – Muszę coś załatwić.

Po wyjściu ze sklepu mijam grubą kobietę z tlenionymi włosami i mimo woli zaczynam znowu myśleć o mamie. Przypominam sobie dzień, kiedy ona i ja leżałyśmy razem w łóżku. To była jedna z tych rzadkich i cennych chwil bliskości i miłości, jakie zdarzały się zwykle, kiedy mama i tata długo się na siebie boczyli.

Mama z bardzo poważną miną głaskała mnie po włosach i powtarzała:

– Moja maleńka, moja kochana.

Ja zaś milczałam i zamknawszy oczy, poddawałam się ciepłu kołdry i jej czułego dotyku.

– Wybacz mi, że... że jestem taka humorzasta i czasami podła – powiedziała nieoczekiwanie.

Gdy uniosłam powieki, spotkałam jej spojrzenie. Wyglądała na wycieńczoną, jakby znowu męczył ją ból żołądka i musiała połknąć jedną z tych małych białych tabletek, które trzymała w szafce na samej górze.

– Nie szkodzi – odparłam.

Wyraźnie się odprężyła.

– Po prostu bywa tak, że czasami jestem tak strasznie spięta. i zmęczona. I wtedy łatwo tracę humor i panowanie nad sobą.

Czyli można stracić humor, tak jak traci się jakąś rzecz? Ale przecież rzeczy niekiedy się odzyskuje, pomyślałam, jednak nie powiedziałam tego, ponieważ nie chciałam zburzyć tej ulotnej i pięknej chwili. Rozumiałam, że to zależy ode mnie.

– W porządku.

– Nie, słonko, to wcale nie jest w porządku. I chcę, żebyś to wiedziała. Kiedy wpadam we wściekłość, to jest złe z mojej strony. Złe i głupie, bo przecież jestem dorosła i powinnam panować nad swoimi nastrojami.

Głos jej się łamał, a ja absolutnie nie chciałam, żeby zaczęła płakać. Nagle uznałam, że najważniejszą rzeczą na świecie jest sprawić, aby nie było jej smutno. Bo jeśliby się wtedy rozpląkała, ta wyjątkowa chwila by się skończyła, cały dzień byłby do niczego i wszystko byłoby przeze mnie.

– Wcale nie jesteś zła, mamu. Uważam, że jesteś kochana.

– Och, słodki skarb mamusi – bąknęła i pocałowała mnie w usta.

Poczułam kwaśny zapach kawy i starego mleka, ale nie cofnęłam się, tylko starałam się leżeć zupełnie bez ruchu, żeby jej nie spłoszyć. W tej samej chwili w przedpokoju zadzwonił telefon.

– Zaraz wracam – rzuciła, po czym wstała i owinęła swe wielkie ciało różowym szlafrokiem.

Za oknem świeciło słońce, dzieci ze wszystkich sąsiednich domów szły już do szkoły. Ja od kilku dni miałam kaszel i mama uparła się, żebym trochę posiedziała w domu, co denerwowało tatę. Uważał, że nie należy się tak ze sobą cackać. A jego zdaniem leżenie w łóżku bez gorączki to nic innego jak cackanie się.

Byłam w siódmym niebie, mogąc spędzać dni tylko z mamą. Niezwykle rzadko widywałam ją tak ożywioną i pogodną. Bo zazwyczaj wieczorami przesiadywała w kuchni z tatą i piła piwo, a potem rano zawsze była zmęczona i nie do życia i najpierw musiała dojść do siebie, żeby w ogóle móc wstać.

– Nie, nie mamy w domu żadnego zwierzaka. A dlaczego?

Wyraźnie słyszałam mamę z przedpokoju. Mówiła nieco piskliwym głosem, a to zdradzało, że jest czymś zirytowana. Bo taki ton przybierała zawsze wieczorami w kuchni, tuż przedtem, zanim wkurzyła się na dobre, i potem zaczynała ciskać w tatę puszkami po piwie i talerzami.

– Zaraz, zaraz, nie rozumiem. Jak to jest aspołeczna? Moja córka nie ma żadnych problemów w kontaktach z dziećmi. Tu, na osiedlu, ma mnóstwo koleżanek i kolegów.

Znowu zapadła cisza.

– Nie wierzę. Spytam ją, ale wydaje mi się, że w szkole też nie brakuje jej koleżanek i kolegów.

Wstałam z łóżka, żeby zamknąć drzwi. Nagle poczułam ucisk w piersi, chociaż wcale nie chciało mi się kaszleć.

– Szczególne potrzeby? Chyba pani żartuje! A niby w czym mógłby pomóc jakiś zwierzak? To przecież jakaś kompletna bzdura! Chce mi pani wmówić, że od wyszczotkowania konia czy poklepania psa po grzbiecie można pozbyć się nieśmiałości? Oczywiście, bo to kwestia nieśmiałości, niczego innego, ponieważ...

Zamknęłam drzwi i wróciłam do łóżka.

Za oknem eksplodowała wiosna. Drzewa i krzewy pyszniły się najrozmaitszymi odcieniami zieleni. Kwiaty na rabatkach kwitły na potęgę, krzewy dzikiej róży przy huśtawkach były obsypane kwiatami, które potem zamieniają się w twarde czerwone owoce.

Położyłam się, mając nadzieję, że w którymś momencie mama przestanie wreszcie rozmawiać. Że przyjdzie do mnie zaraz, wślizgnie się pod kołdrę i znowu będzie ciepło i miło.

Marzyłam o tym, żeby móc dalej cackać się ze sobą razem z nią.

Ucisk w piersi nie ustępował, jakby ktoś kilka razy owinał mi sznur wokół żeber i mocno go zacisnął.

Nagle zauważyłam coś niezwykłego. Lekki ruch na podłodze obok łóżka. Z największą ostrożnością podniosłam słoik. Na jednej z gałązek siedział duży niebieski motyl. Odwłok miał czarny, mięsisty i trochę owłosiony, ale skrzydła były w kolorze intensywnego kobaltu z czarnymi wzorkami na obrzeżach. Z gracją unosił je i rozkładał, jakby ćwiczył te ruchy po długim czasie spędzonym w ciasnym kokonie.

Jest już ciemno, kiedy od strony placu Sergela idę w kierunku Hamngatan. Parasolka chroni przed deszczem jedynie częściowo, ponieważ podmuchy wiatru raz po raz wpychają pod nią gęste krople. Na ulicach jest zadziwiająco pusto, nieliczni przechodnie przemykają pospiesznie. Gdy docieram do Regeringsgatan, wybija piąta. Ogromny salon H&M jest oświetlony jak prom do Finlandii, wręcz krzyczy i obiecuje lepsze, atrakcyjniejsze życie po drugiej stronie wystawowej szyby. Kilka kobiet z wilgotnymi włosami kręci się bez celu po sklepie, dotykając od niechcienia różnych rzeczy.

Skrećam w lewo, w Norrlandsgatan, i idę jeszcze jakieś sto metrów. Po

drugiej stronie ulicy widzę wejście do głównej siedziby Clothes & More. Drewniane drzwi są delikatnie oświetlone, wyglądają tak, jakby same świeciły w ciemności.

Tuż obok mnie jest jakaś brama. Kryję się w niej, zadowolona, że wreszcie nie moknę. Mogę tam stać i czekać, niewidziana przez nikogo. Pytanie tylko, czy będę zdolna rozpoznać, kto wchodzi w drzwi naprzeciwko albo z nich wychodzi, ponieważ dzieli mnie od nich pewna odległość i na dodatek jest ciemno.

Wciągam rękawiczki i nastawiam się na długie czekanie. Po jakichś pięciu minutach drzwi się otwierają i wyłaniają się z nich dwie kobiety mniej więcej w moim wieku. Śmieją się głośno i przecinają ulicę, otwierając parasolki. Wiatr zaczyna bawić się jedną z nich i wywija nią we wszystkie strony. Kobiety wybuchają jeszcze donośniejszym śmiechem. Jestem pewna, że nie widzą mnie w ciemności.

Kilka razy przemyka mi przez myśl: czy ja przypadkiem nie wariuję? Stoję w deszczu i czatuję na Jespera jak jakiś stalker. Gdyby miesiąc temu ktoś mi powiedział, że będę robić coś takiego, uznałabym go za wariata.

Ale z drugiej strony, w sytuacji, w jakiej się znalazłam, czy mam inne wyjście? W końcu muszę się z nim rozmówić. Uświadamiam sobie bowiem, że chociaż wiem o Jesperze bardzo dużo, jest też mnóstwo pytań, które wymagają odpowiedzi. Masa luk i mało wiarygodnego materiału. Zaczynam się zastanawiać, czy tak naprawdę kiedykolwiek go znałam.

W ciągu najbliższej godziny deszcz wciąż pada z niesłabnącą intensywnością. Drzwi po drugiej stronie ulicy otwierają się raz po raz, wychodzą z nich kolejne osoby i znikają w ciemności. Na szczęście nikt nie patrzy w moim kierunku. Jakbym była naprawdę niewidzialna albo zamieniła się w kamień. Chociaż stoję pod daszkiem, pojedyncze krople deszczu trafiają i tutaj. Czuję je na czole, na karku i na nadgarstkach. Zaczynam dreptać w miejscu, żeby się trochę rozgrzać, i dyskretnie wymachuję ramionami.

Dokładnie dziesięć po szóstej z drzwi wyłania się on.

Rozpoznaję go natychmiast. Ma na sobie czarny niezapięty płaszcz, którego poły łopoczą na wietrze, podczas gdy on szybkim krokiem przecina ulicę i kieruje się w stronę Hamngatan. Raptem nie jestem w stanie się ruszyć, ciało odmawia mi posłuszeństwa, jakby zamieniło się w kawał opornego mięsa przymarzniętego do mokrej jezdni.

Przecież poznaliśmy się zaledwie kilka tygodni temu, myślę. A ja mam

wrażenie, że minęły już całe miesiące. Dziesiątki esemesów, prób połączeń – i oto jest, widzę go, mężczyznę, którego kocham. Jest cieniem w deszczu.

Idzie pewnym krokiem, niemal dostojnie, jakby tańczył. Nagle znika, niczym pochłonięty przez czarny asfalt Regeringsgatan. Przyspieszam, a kiedy dochodzę do miejsca, w którym się rozpląnął, dostrzegam wejście na podziemny parking.

Jasne.

Dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej? Przecież to oczywiste, że on jeździ do pracy autem. Co mam teraz zrobić? Jak śledzić go dalej?

Rozglądam się dookoła. Nie widać żadnych samochodów, ani taksówek, ani prywatnych aut. Dwadzieścia metrów dalej otwiera się brama, ze środka pada blask reflektorów. Rozpoznaję za kierownicą jego sylwetkę. Czarny Lexus wyjeżdża na ulicę w kierunku Stureplanu i znika w ciemności.

Nie przejmuję się już deszczem, nawet go nie czuję. Idę Hamngatan w stronę Nybroplanu. Jeśli się pospieszę, będę w domu za piętnaście minut. Ale jakie to ma znaczenie? Przecież nikt tam na mnie nie czeka ani nie mam nic specjalnego do zrobienia.

W Kungsträdgården jest pusto i cicho, nagle nabieram ochoty, aby przeciąć ulicę, wejść do parku i po prostu gdzieś się w nim położyć – może pod jakimś wielkim drzewem? Wtopić się w mokrą trawę i odpłynąć. Stać się jednością z roślinami i jesiennymi liśćmi. Zniknąć. Zapomnieć. Może umrzeć.

A potem przypomina mi się Gwóźdź.

Trudno jest nie myśleć o nim, gdy wszystko jest takie, jakie jest.

Na pierwszy rzut oka wydawał się zupełnie zwyczajny. Miał ciemne półdługie włosy, wytarte dzinsy, zawsze trochę za duże. Nosił kraciaste koszule, no i oczywiście był stary.

Miał co najmniej dwadzieścia pięć lat.

Akurat w tamtym semestrze sporo się o nim mówiło. Wszystkie dziewczyny z klasy wciąż paplały o Gwoździu. Ja byłam trochę z boku, zawsze czułam się outsiderką, która raczej obserwuje życie towarzyskie, niż bierze w nim udział. Może z powodu nieśmiałości, a może po prostu nie widziałam w nim nic interesującego.

Albo źle pamiętam.

Tamtej jesieni robiliśmy drewniane nożyki do smarowania masła, miseczki i inne niepotrzebne rzeczy, które można dać w prezencie komuś z rodziny albo znajomym. Jakoś nie mogłam sobie poradzić ze swoim dziełem.

Najpierw nóż był zupełnie niekształtny i za duży, a kiedy próbowałam poprawić proporcje, stopniowo kurczył się i kurczył, aż w końcu zamienił się w coś, co przypominało cienki patyk.

– Uważaj, żeby całkiem ci nie zniknął – powiedział Gwóźdź, puszczając do mnie oko.

Nie wiedziałam, jak mam zareagować, ale poczułam, że się zaczerwieniłam. „Według ciebie on jest przystojny?” – spytała mnie nieco wcześniej tego samego dnia Elin. „Nie mam pojęcia”, odpowiedziałam zgodnie z prawdą, ponieważ rzeczywiście nigdy nie myślałam o nim w ten sposób. On był wyłącznie jednym z nauczycieli, co prawda mniej ponurym i trochę młodszym niż pozostali, ale mimo wszystko dla mnie starym.

– Mogę ci później pomóc – zaproponował i przesunął dużym palcem po chropowatej powierzchni drewnianka, strącając drobne strużyny na podłogę. Czułam, że patrzy na mnie, nie miałam jednak odwagi spojrzeć mu w oczy i jedynie skinęłam głową bez słowa.

To wydarzyło się tej samej wiosny, kiedy tata wpadł w swoją ciemną dziurę. W dziurę, którą widział jedynie on i która z jakiegoś niewiadomego powodu stała się tak głęboka, że nie był w stanie się z niej wydostać. Zżerany beznadzieją i lękiem spędzał całe dni w samotności, na którą sam się skazał, w naszym mieszkaniu przy Kapellgränd. Zdaje się, że coś takiego nazywano depresją. Za oknami wiosna budziła się do życia, a on leżał w łóżku i stawał się coraz bardziej bezsilny, wciąż tylko wpatrywał się w matę z trawy morskiej, jakby te długie źdźbła kryły w sobie jakąkolwiek odpowiedź. Mama starała się utrzymać z nim kontakt. Prowadzili długie, przytłumione rozmowy w sypialni. Próbowałam podsłuchać, co mówią, ale ani razu mi się nie udało. Cokolwiek to było, musiało być wielką tajemnicą, skoro zawsze zniżali głosy do szeptu.

W miarę jak tata czuł się coraz gorzej, puszki piwa i butelki wina pojawiały się coraz rzadziej. Bywało nawet, że po powrocie do domu zastawałam mamę w kuchni, jak gotowała coś do jedzenia. Lepiła pulpety albo przygotowywała kielbasę zapiekaną z serem, z plasterkami pomidora i czosnkiem, ułożonymi w piękny wieniec. Nie byłam przyzwyczajona do niej w roli kury domowej, dlatego od razu okropnie się zdenerwowałam. Bo dotychczas jej różne domowe pomysły kończyły się wielką katastrofą. Jak na przykład wtedy, gdy postanowiła uszyć zasłonki. Kiedy nie udało jej się skroić dwóch równych kawałków, porwała materiał na długie pasy i wyrzuciła je przez

okno. Te strzępy powiewały potem miesiącami na gałęziach jako wspomnienie zasłonek, które nigdy nie powstały, i jako namacalny dowód niebezpiecznie wybuchowego charakteru mamy. Maszynę do szycia cisnęła wtedy tacie na łydkę, od czego utworzył mu się wielki granatowy siniak.

Zerknęłam znowu na swój nożyk. I westchnęłam.

– Co tam? – spytała Elin, widząc moje krytyczne spojrzenie.

– Jest strasznie brzydki.

Elin nic nie odpowiedziała, tylko wróciła do zgrabnej drewnianej szkatułki, nad którą pracowała. Wszystko, co ona robiła na zajęciach technicznych, zawsze jej się udawało. Jakby jej palce były wyposażone w jakąś tajemniczą umiejętność i intuicyjnie wiedziały, co mają robić, gdy dotkną drewna, materiału czy papieru. W przeciwieństwie do moich – moje nie słuchały się mnie, odmawiały mi posłuszeństwa. Wszystko psuły i deformowały. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Elin przecierała papierem ściernym i tak już idealnie gładkie wieczko, aby usunąć jeszcze najmniejsze niewidzialne nierówności, i jednocześnie robiła duże balony z gumy do żucia Hubba Bubba. Marie, siedząca przed nami, odwróciła się na krześle do tyłu.

– Idziesz na imprezę do Mickego?

Elin wzruszyła ramionami.

– Jeszcze się nie zdecydowałam. Tego samego dnia jest też impreza u Petry.

– Petra jest lamusem.

Elin uśmiechnęła się krzywo.

– A Micke jest nadęty.

Marie się roześmiała, wyraźnie rozbawiona analizą piątkowych baletów, po czym majtnęła długimi włosami i odwróciła się z powrotem. Ja zaś siedziałam ze wzrokiem utkwionym w swoim nieudanym nożu. Mnie nigdy nikt nie spytał, czy wybieram się na jakąś imprezę. Co nie znaczy, że byłam mobbowana. Nie mogę powiedzieć, żeby ktokolwiek w klasie zachowywał się wobec mnie wrednie. W gruncie rzeczy po prostu dla nich nie istniałam. Na dobrą sprawę równie dobrze mogłabym być jednym z krzesel.

Nie bardzo wiedziałam, co z tym zrobić. Może powinnam była czuć się odtrącona, urazona, powinno mi być przykro, prawda jednak wyglądała inaczej: uważałam, że w sumie dobrze, że nie musiałam brać udziału w tej grze. Nie miałam najmniejszej ochoty iść na przykład na imprezę u Mickego, upić

się, a potem rzygać na rabatki albo zasnąć w łazience. Nie znosiłam ciągłego tokowania Marie o jej facecie ani nie dawałam rady wystawać z Elin przed kioskiem. Wolałam już siedzieć w domu i oglądać telewizję.

Rozległ się dzwonek na przerwę.

Klasa zaczęła się opróżniać, ale Gwóźdź dał mi znak, żebym została jeszcze chwilę.

– Nie mówisz za wiele – zwrócił się do mnie.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Kurczowo ścisnęłam drewniany nożyk i czułam, jak moja dłoń robi się coraz wilgotniejsza i jak palą mnie policzki.

– Jesteś urocza, wiesz?

Gwóźdź wysunął krzesło i usiadł obok. Gdy pochylił się nieco do przodu, nasze twarze dzieliło zaledwie kilkanaście centymetrów.

– Dziękuję – bąknęłam.

Po raz pierwszy spojrzałam mu w oczy. Były blisko osadzone, piwne i ocienione długimi, ciemnymi rzęsami. Tu i ówdzie w gęstych czarnych włosach tkwiły nitki siwizny, jak chore drzewa w bujnym i zdrowym lesie.

– Przepraszam, nie chciałbym być natrętny, ale pragnę ci zadać pewne pytanie.

Zamilkł, roześmiał się lekko i powoli pokręcił głową, jakby czuł się trochę zakłopotany. Na korytarzu ucichły odgłosy kroków i gwar głosów, zaległa cisza.

– Tak?

Przymknął oczy.

– Czy masz chłopaka, Emmo?

Znajoma mieszanina zapachów kuchennych i zastałego dymu papierosowego na klatce schodowej działa na mnie nad wyraz kojąco. Spoglądam na swoje ręce: są wilgotne i blade, ale już nie drżą. Gdzieś tam, w ciemności, Jesper Orre zaparkował czarnego lexusa i wszedł do czegoś, co nazywa swoim domem. Staram się o tym nie myśleć, ale świadomość, że on siedzi sobie teraz na kanapie, może z kieliszkiem w dłoni, nie daje mi spokoju.

Moje buty zostawiają na stopniach schodów wilgotne ślady. Powoli zaczyna docierać do mnie, że Jesper coś przede mną ukrywał. Dlaczego spotykaliśmy się zawsze w jego niedużym mieszkaniu w mieście albo u mnie? Dlaczego tak bardzo zależało mu na tym, żeby nie zobaczono nas razem? Zdaje się, że nie chodziło mu wyłącznie o pracę.

Zatrzymuję się przed swoimi drzwiami, nie mogąc złapać tchu po pokonaniu pięciu pięter na piechotę. Ale przynajmniej dzięki temu się rozgrzałam.

Gdy wkładam klucz do zamka, natychmiast zauważam, że coś nie gra. Drzwi nie są zamknięte, a kiedy je uchylam, w głębi słyszę jakiś huk. Poza mną nikt nie ma klucza do mojego mieszkania, nawet Jesper.

Rozglądam się uważnie. Na klatce schodowej za moimi plecami jest ciemno i cicho. Jeśli ktoś ukrywa się w tym mroku, i tak nie jestem w stanie go dojrzeć. Ta myśl przeszywa mnie przerażeniem.

Ostrożnie otwieram drzwi nieco szerzej. W przedpokoju jest pusto, nic nie wskazuje na to, by ktoś był tu wcześniej. Wyciągam rękę i szukam po omacku wyłącznika na ścianie. Gdy po sekundzie przedpokój oblewa światło, robię mały krok do przodu.

Wszystko jest nietknięte, przynajmniej tak mi się wydaje. Czuję jednak podmuch chłodnego powietrza. Zamykam za sobą drzwi, znowu zalega cisza, ale jest zimno, zdecydowanie za zimno, zaczynam się więc zastanawiać, czy coś nie jest otwarte. Nie zdejmując butów, wchodzę do pokoju i zapalam żyrandol. Wszystko wygląda tak jak zawsze: eleganckie zielone fotele Malmstena, nieduże biurko z wciąż rozłożonymi podręcznikami do fizyki. Przez ostatni tydzień nie miałam czasu nawet pomyśleć o szkole. Przemyka mi przez głowę, że może je również powinnam upchnąć w chlebaku, żeby nie musieć ich oglądać.

Kiedy ruszam do kuchni, dochodzę do wniosku, że coś jest nie tak. Odgłos deszczu i zgiełk ulicy słyszę tak wyraźnie, jakbym znowu stała na dworze i mokła. Zapalam lampę i zatrzymuję się w progu.

Okno jest otwarte.

Prawie nigdy go nie otwieram, a tymczasem stoi otwarte na oścież i zaprasza noc do środka. Podchodzę, żeby je zamknąć, i w tym momencie przeszywa mnie jak błyskawica myśl: Sigge.

Wołam go i szukam po całym mieszkaniu. Pod łóżkiem i kanapą, w zamkniętych szafach, na półce na czapki, w wannie. Nigdzie go nie ma, nigdzie się nie schował. Zresztą on nie ma zwyczaju się chować, dlatego nabieram coraz większego przekonania, że uciekł przez okno.

Idąc z powrotem do kuchni, usiłuję sobie przypomnieć, czy przed wyjściem do pracy na pewno wszystko pozamykałam, ale w głowie mam pustkę i nie jestem w stanie odtworzyć, co robiłam dziś rano. To niby zaledwie kilka godzin temu, a mam wrażenie, jakby od tamtej pory minęła wieczność.

Wychylam się z okna w kuchni najdalej jak mogę i wołam Siggego. Deszcz smaga mnie po karku. Pięć pięter niżej rysuje się ciemny prostokąt zieleni na dziedzińcu. Drzewa i krzewy kołyszą się na wietrze, ale mojego kota nigdzie nie widać. W przelocie narzucam na siebie sportową kurtkę, otwieram drzwi i zbiegam po schodach na podwórze.

Zapach gnijących liści i wilgotnej ziemi jest dławiący. Podchodzę do miejsca, które według mnie leży pod moim kuchennym oknem, podnoszę głowę wysoko i poznaję je po tym, że jest otwarte. Od ziemi dzieli je co najmniej dziesięć metrów, może więcej.

Czy kot mógłby przeżyć taki upadek? Na kamienną kostkę?

Przykucam. Bliżej ściany, gdzie kostka jest prawie sucha, widać ciemniejszą plamę. Dotykam jej ostrożnie, a potem patrzę na swoje palce.

To krew.

Dostrzegam w ciemności słabe ślady krwi biegnące w stronę muru od ulicy. Nie podnosząc się, idę za nimi i próbuję ustalić, dokąd prowadzą, ale okazuje się, że rozmył je deszcz.

Między murem a budynkiem jest szczelina, wystarczająco szeroka, by mógł się tamtędy przecisnąć kot. Pochylam się do przodu i wyteżam wzrok w ciemności, ale nie widzę nic oprócz samochodów sunących obojętnie w deszczu po Valhallavägen.

Peter

Ostatnie dni były cholernie męczące. Po pierwsze, śledztwo utknęło w miejscu, a po drugie, obecność Hanne na spotkaniach okropnie mnie denerwuje. Tylko siedzi i nic nie mówi – co prawda takie było założenie, bo musi mieć czas, żeby zapoznać się ze szczegółami sprawy. Ale tak czy inaczej, to mi przeszkadza. Poza tym w jej spojrzeniu jest coś oskarżycielskiego.

Czasami mam wrażenie, że oczekuje ode mnie, że zrobię pierwszy krok. Porozmawiam z nią. Ewentualnie wyjaśnię, dlaczego tak się stało, jak się stało. Albo może to tylko moje sumienie nie daje mi spokoju.

No cóż, tak to już jest z życiem – ciśnie i uwiera jak kolec w tyłku, a jedynym sposobem na skończenie tych męczarni jest po prostu skończenie tych męczarni.

Na razie jednak nie osiągnąłem jeszcze takiego momentu.

Samochód zatrzymuje się i Morrissey milknie.

– Hej, Lindgren! Śpisz?

Odwracam się do Manfreda, uśmiecham się i wyskakuję z auta, które właśnie zaparkował w piętrowym garażu domu towarowego NK.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy jesteś.

– Sure.

Wychodzimy po schodach na Hamngatan. Przedświąteczna gorączka już trwa, na chodnikach widać tłumy ludzi. Kapie z dachów i okiennych parapetów, po śniegu nie zostało prawie śladu. Pod murami leżą w niedużych pryzmach brudne resztki. Niebo jest niebieskie, a powietrze wydaje się czyste i świeże, jak rozwieszona na dworze pranie. Kilka promieni słonecznych przecisnęło się między fasadami domów i teraz igrają na jezdni, gdy przechodzimy na drugą stronę ulicy. Mrużąc oczy pod światło, szukam wzrokiem wejścia do głównej siedziby firmy Clothes & More.

W recepcji wita nas Agnieszka Lindén. Jest po czterdziestce i ma na sobie superpoprawny granatowy kostium. Jasne, niezbyt bujne włosy są starannie obcięte, a policzki pełne i rumiane. Wygląda na osobę zdrową i trochę przypomina mi jedną z moich nauczycielek wuefu w gimnazjum – miała na

imię Sirkka i niezmordowanie rekomendowała lodowaty prysznic co rano na pusty żołądek (po uprzednim biegu, również przed śniadaniem).

– Dzień dobry – mówi i kolejno podaje nam rękę, przez sekundę zatrzymuje wzrok na mnie, po czym wskazuje na korytarz, którego ściany pokrywają ogromne zdjęcia z wybiegów.

– Kolekcja wiosenna – bąka i wprowadza nas do niedużej salki wychodzącej na Regeringsgatan.

Siadamy na czarnych krzesłach dla gości naprzeciwko jej biurka i wyjmujemy swoje notesy. Błat biurka jest niemal zupełnie pusty; starannie uporządkowane ołówki stoją w niedużym, szarym plastikowym pojemniku. Złożywszy dłonie, Agnieszka uśmiecha się do nas.

– W czym mogę panom pomóc? Domyślam się, że chodzi o Jespera. Podobno dziennikarze dzwonią bez przerwy.

– Prowadzimy śledztwo w związku z zabójstwem w domu Jespera Orrego – zaczyna Manfred. – Słyszeliśmy od pani współpracowników, że wdrożyła pani audyt w jego sprawie. Czy mogłaby pani powiedzieć nam coś więcej na ten temat?

– Oczywiście. W czerwcu Jesper zorganizował imprezę, która była połączeniem przyjęcia z okazji jego czterdziestych piątych urodzin oraz uroczystej kolacji dla wybranych kierowników sklepów i dystrybutorów. Impreza była finansowana w połowie przez spółkę, w połowie przez Jespera. We wrześniu otrzymaliśmy anonimowe pismo, którego autor stawiał zarzut, że Jesper wykorzystał swoje stanowisko i pokrył również koszty własnego przyjęcia urodzinowego z budżetu firmy. Pracuję tu jako rewizor wewnętrzny i do moich zadań należy weryfikacja takich zgłoszeń, a następnie przedstawienie zarządowi, co udało mi się ustalić w toku postępowania.

– I co pani ustaliła w tym przypadku? – pytam.

– Jeśli panowie sobie życzą, mogę udostępnić cały raport, ale w skrócie wniosek jest następujący: nie ma nic niewłaściwego w tym, że spółka częściowo sfinansowała to przyjęcie, ponieważ wielu gości było bezpośrednio lub pośrednio powiązanych z naszą firmą i jej działalnością.

– Czyli Jesper Orre nie popełnił żadnego błędu? – docieka Manfred.

Agnieszka Lindén śmieje się z dystansem i przesuwając dłoń po blacie utrzymanego w nienagannym porządku biurka.

– I tak, i nie. Byłoby oczywiście zdecydowanie lepiej, gdyby omówił wszystko z naszym dyrektorem finansowym przed przyjęciem. Poza tym

własnoręcznie podpisał fakturę, co rzecz jasna jest niedopuszczalne i sprzeczne z naszymi zasadami.

– Jakie było stanowisko zarządu? – dąży dalej Manfred.

– Nie wiem. Nigdy nie uczestniczę w posiedzeniach. Ale słyszałam, że członkowie zarządu trochę się zdenerwowali. W ostatnim roku wokół Jespera i tak było sporo hałasu. Pewnie czytają panowie gazety? I teraz jeszcze coś takiego... Obawiam się, że jego sytuacja nie jest najlepsza, ale niech to pozostanie między nami.

Manfred kiwa głową i mówi:

– Wspomniała pani, że wokół niego było ostatnio sporo hałasu. Miał jakieś inne problemy?

Agnieszka prostuje się na krześle i lekko wzdycha.

– No cóż, pewnie i tak do tego dotrzecie. Jedna z koordynatorek projektów z działu marketingu podobno oskarżyła Jespera o pewien rodzaj molestowania seksualnego. Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale po firmie krążyła taka plotka.

– Czy możemy poznać jej nazwisko? – pytam.

– Naturalnie. Nazywa się Denise Sjöholm i jest teraz na zwolnieniu. Podam panom kontakt do niej.

Kiedy wychodzimy na Regeringsgatan, słońce schowało się już za chmury, a niebo pociemniało.

– Sorry - odzywa się Manfred. – Myślałem, że może coś nam to da.

– Chyba powinniśmy pogadać z tą Denise. Swoją drogą ciekawe, dlaczego nikt z pracowników do tej pory nam o niej nie wspomniał.

Manfred wzrusza ramionami i przepuszcza mnie przodem w drzwiach garażu.

– Pewnie nie mieli odwagi. W końcu Orre jest ich szefem – odpowiadam sam sobie.

Mój towarzysz tylko chrząka w odpowiedzi.

Jedziemy w milczeniu. Kiedy metr po metrze posuwamy się po Klara-bergsviadukten, zauważam, że Manfred dziwnie na mnie zerka. W jego spojrzeniu jest widoczny niepokój, co trochę mi przeszkadza.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie w końcu.

– Jasne – mówię.

Nie odzywa się więcej, tylko włącza muzykę.

W Manfredzie cenię jeszcze jedną ważną cechę: nie grzebie bez miłosier-

dzia w życiu uczuciowym innych (rzecz jasna poza sytuacjami zawodowymi). W przeciwieństwie do kobiet, które po prostu nie przeżyją, jeśli nie spytają: „O czym myślisz?”, i nigdy nie zadowolą się odpowiedzią: „O niczym specjalnym”. Nawet Sanchez tak robi, mimo że jest gliną. Zawsze musi spytać, jak się czuję, chociaż tysiąc razy już jej mówiłem, że świetnie.

Może to jest uwarunkowane genetycznie?

Po powrocie do komendy siadam w salce konferencyjnej, żeby przeczytać protokół zamknięcia postępowania w sprawie Calderóna. Strona po stronie, włącznie z protokołami przesłuchań, wyciągami z raportów techników. Analiza zapachu krwi, włókien, odcisków butów i zdjęć z miejsca zbrodni.

Za oknem zaczyna się ściemniać, słychać też, że wiatr wieje coraz mocniej. O szybę uderzają nieduże, zbite płatki śniegu.

Nie znaleźliśmy wspólnego mianownika łączącego obie ofiary. A jednak trudno się oprzeć wrażeniu, że mimo różnicy w czasie i przestrzeni Calderóna z wciąż niezidentyfikowaną kobietą w domu Orrego łączy niewidzialna nić. Kiedy obok zdjęcia przedstawiającego głowę Calderóna kładę fotografię z głową ostatniej ofiary, nie sposób nie zauważyć podobieństwa. Czy to możliwe, aby dwaj sprawcy popełnili do tego stopnia podobne zbrodnie? Jakie jest prawdopodobieństwo czegoś takiego?

Ktoś puka, a gdy unoszę głowę znad papierów, widzę, że w drzwiach stoi Hanne.

– Ojej, przepraszam – mówi i odwraca się na pięcie.

To czysty odruch, może wywołany tym, że wyglądała jak zbity pies, proszę ją jednak, aby weszła. Cofa się więc, zamyka za sobą drzwi i siada na jednym z krzeseł naprzeciw mnie.

– Co robisz? – pyta.

Spoglądam na dokumenty rozłożone na stole konferencyjnym. Na zdjęcia zła i brutalnej śmierci, na raporty, które mówią tak dużo, a wyjaśniają tak niewiele.

– Czytam protokół.

– Aha.

Wygląda na lekko zmieszaną. Przesuwa dłonią po włosach, jakby chciała się upewnić, że fryzura jest w porządku. (Nie jest. Jej bujne brązowo-szare włosy sterczące we wszystkich kierunkach przypominają mi pewną roślinę o ostrych igłach rosnącą na surowych skałach szkierów).

– Pomyślałam sobie... – zaczyna.

– Tak?

– Że chyba powinniśmy porozmawiać. Skoro mamy pracować razem.

– Okej. O czym?

Patrzy na mnie, a w jej ładnych, szarych oczach, które znam tak dobrze, nagle pojawia się smutek. Doskonale wiem, że jestem na najlepszej drodze, aby zrobić to znowu – zranić ją, chociaż wcale tego nie chcę.

– Przepraszam cię – mówię. – Źle się wyraziłem. Oczywiście, że możemy porozmawiać.

Wyraźnie się rozluźnia. Robi głęboki wdech i opiera drobne dłonie na kolanach.

– Wiesz co, Peter? Jesteś prawdziwym bydlakiem.

Kiwam głową.

– Nie chciałem. Nigdy nie chciałem wyrządzić ci krzywdy. Uwierz mi. Jesteś ostatnią osobą na ziemi, którą chciałbym zranić.

– A jednak to zrobiłeś. I robisz dalej, kiedy udajesz, że nic się nie stało. Nie rozumiesz tego?

Siedzę ze wzrokiem utkwionym w blacie stołu. Na próżno usiłuję zaprowadzić porządek w myślach i zapanować nad słowami, które objają mi się w głowie. Na próżno szukam sposobu, by jej to wyjaśnić. Słowa raczej nigdy nie były mi posłuszne, jakby między moim mózgiem a ustami tkwił jakiś defekt, i w rezultacie rozsypują się w bezładzie, a na koniec wychodzą z ust w zupełnie innym porządku, niż zamierzałem.

– To jest takie trudne... do wyjaśnienia. To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Myślałem, że to było najlepsze dla ciebie.

Wstydzę się. Natychmiast się wstydzę. Bo co to za idiotyczna wypowiedź! Co za żałosne, pieprzone wyjaśnienie dla kobiety porzuconej u progu nowego życia. Ale Hanne wydaje się nieporuszona – patrzy przez okno na zmierzch, który zapada nad miastem, i na śnieg z deszczem spływający po szybie.

Odkrywam, że miałbym ochotę dotknąć jej twarzy, pogłodzić ją po policzku, a potem pogłaskać po bujnych, niesfornych włosach. Impuls jest tak silny, że powstrzymuję się w ostatniej chwili. Zmuszam się, by dalej siedzieć nieruchomo na niewygodnym krześle.

– Żałujesz czasami? – pyta tak cicho, że niemal jej nie słyszę.

– Każdego dnia – odpowiadam bez namysłu i w tej samej sekundzie uzmysławiam sobie, że to prawda.

Po wyjściu Hanne zostałem jeszcze w sali. Zastanawiam się, kiedy to się zaczęło. Kiedy zawiodłem kogoś po raz pierwszy. Przecież doskonale znam odpowiedź.

Annikę. Swoją siostrę. Tamtego lata na Rönnskär.

Tamto lato zaczęło się identycznie jak wszystkie inne, ale skończyło się tragedią, która zmieniła moje życie i życie mojej rodziny na zawsze.

Zszedłem po schodach w dół na pomost niedaleko naszego letniego domku pod Dalarö. Chyba wybrałem się na poszukiwanie drobnych skarbów w skałach. W ręce miałem już znaczek VPK⁴, który znalazłem przy domku. Może liczyłem na to, że nad wodą zastanę kogoś z chłopaków z sąsiedztwa i posiedzimy sobie na pomoście albo pobawimy się w grupę Baader-Meinhof.

Fale uderzały o nabrzeżne skały, morska bryza rozwiewała mi włosy i wywoływała na moich chudych przedramionach gęsią skórę. Pamiętam, że w którymś momencie poczułem niewyraźny zapach dymu papierosowego i trochę się zdziwiłem, bo tata był przecież na górze, przy domku. I wtedy ją zobaczyłem: Annika, moja o trzy lata starsza siostra, siedziała w bikini na skale po prawej od pomostu i paliła.

Ona paliła.

Jedną nogę miała swobodnie wyciągniętą do przodu, a drugą podwiniętą, tak aby móc oprzeć o nią rękę z papierosem. Jej brązowa skóra lśniła, a jasne włosy były zebrane w kucyk na czubku głowy. Zdecydowanie za małe trójkąty stanika bikini okrywały jej sterczące piersi.

W tej samej chwili, gdy zwróciła twarz w moją stronę i mnie dostrzegła, z jej ust wydobył się jakiś nieartykułowany dźwięk, coś w rodzaju jęknienia.

Stałem jak wryty. Bo to przecież była bomba – Annika po kryjomu kurzy papierosy na skałach. To informacja sensacyjna i jak każda informacja miała swoją cenę. Można było ją wymienić na jakieś korzyści albo na milczenie, wykorzystać jako narzędzie zemsty lub w sytuacjach podbramkowych dozwalać małymi porcjami.

Pamiętam, że mimo odległości bez trudu zobaczyłem w jej oczach strach.

– Nawet o tym nie myśl – powiedziała niskim głosem, na pozór opanowanym, ale nie wolnym od paniki.

Mieć ją w ręce – to dopiero był atut. Coś takiego nie trafia się często.

Podniosła się i okryła sobie ramiona rękawnikiem. Podeszedłem bliżej – wyraźnie widziałem, że ma gęsią skórę i że sutki odznaczają się mocno pod mikroskopijnymi trójkątami stanika.

– Nawet o tym nie myśl – powtórzyła. – To będzie nasza tajemnica, okej? A tajemnica to odpowiedzialność. Stać cię na odpowiedzialność?

Ale jedyne, na co było mnie stać w tamtej chwili, to uśmiech. A im bardziej się uśmiechałem, tym mocniejszy się czułem. Cała ta sytuacja obudziła we mnie odurzającą zuchwałość, przepełniła narkotycznym poczuciem władzy. I chociaż początkowo nie miałem takiego zamiaru, ruszyłem po schodach z powrotem do domu. Najpierw biegłem powoli, a potem coraz szybciej.

Annika puściła się za mną, nadal z fajką w kąciku ust. Słyszałem jej kroki na rozklekotanych drewnianych stopniach.

– Ty pieprzony gówniarzu, wracaj mi tu zaraz!

Biegłem dalej. W bieganii byłem mistrzem. Moje nogi z zawrotną szybkością pokonywały stopnie i kamienie. Przeskakiwały wrzosy i kłujące zarośla, nie zważając na igły, które kaleczyły wrażliwą skórę między palcami stóp.

Annika została w tyle, bez tchu. Nie miała szans.

Raczej nie zamierzałem nic mówić, ale kiedy znalazłem się na górze, na tarasie domku akurat stała mama. Oparła swoje szerokie biodra o balustradę i patrzyła na morze z zagadkowym wyrazem twarzy. Odgarnęła ciemny, trochę tłusty kosmyk włosów z twarzy i założyła go za ucho.

– Annikapalinaskałach.

Mama spojrzała na mnie pustym wzrokiem z wyraźnym niedowierzaniem.

– Co ty wygadujesz?

– Annika pali papierosa. Na skałach.

W tym momencie w końcu mnie dopadła. Rzuciła się na mnie, a jej żyłaste ręce znalazły się na mojej głowie i gorączkowo próbowały zamknąć mi usta. Przydusiły mi twarz do wrzosów, różowych, suchych jak wiór. Do igieł pokrywających ziemię.

– Zamknij się, ty gnoju!

Była silna jak na dziewczynę. Trzymała mnie tak mocno, że nie mogłem się nawet ruszyć. Czułem jej pot.

– Annikapalina... Annikapalina...

– Przestań natychmiast! – Powietrze przeszył przenikliwy głos mamy. W ciągu dwóch sekund znalazła się przy nas. Nie siląc się na delikatność, chwyciła Annikę za ramię, szarpnęła do góry i odciągnęła ode mnie. Potem

zaczepnęła głęboko powietrza i wymierzyła jej ostry policzek.

Reakcja mamy była dla mnie szokiem. Wydawało mi się niepojęte, że ona, zawsze taka serdeczna i wyrozumiała, mogła wpaść aż w taki gniew, żeby kogokolwiek z nas uderzyć.

Annika znieruchomiała – stała jak sparaliżowana z twarzą odwróconą w bok, trzymając się za policzek.

– Żebyś mi się nie ważyła nigdy więcej! – syknęła mama, wpatrując się w Annikę. – Dobrze wiesz, co się ze mną dzieje, kiedy. tak się zachowujesz.

– Rujnujcie mi życie – odpowiedziała moja siostra cienkim i słabym głosem. Czerwona plama na policzku rozlewała się coraz szerzej.

– Tylko nie wyobrażaj sobie, że jesteś Bóg wie kim – rzuciła mama i lekko zachichotała.

Annika wybuchła płaczem. Szlochała tak mocno, że aż cała podskakiwała i ręcznik zsunął jej się z ramion.

– Zamknijcie się! Zamknijcie się wszyscy! – wrzeszczała. – To wasza wina. To wszystko wasza wina. Jesteście obłąkani! Nienawidzę was!

Nagle na tarasie ponad nami pojawił się tata, mając za plecami i we włosach słońce niczym żarzącą się aureolę. Rozświetlała całą jego postać.

– Anniko, chodź tu natychmiast! Słyszysz? – Jego głos był tylko na pozór spokojny, jak zawsze, gdy coś porządnie go zdenerwowało, mama zaś przyłożyła rękę do piersi – też jak zawsze, gdy się zdenerwowała.

Annika dygotała na całym ciele, po chwili wrzasnęła ze wszystkich sił, odwróciła się i puściła pędem z powrotem w stronę pomostu.

Tata wzruszył ramionami.

– Niedługo się uspokoi – westchnął i zaczął znowu słuchać radia.

Siedząc z tatą na tarasie, przez cały czas wypatrywałem Anniki na brzegu. Wreszcie ją zobaczyłem. Na samym końcu pomostu. Schyliła się i. Co? Ona zdjęła z siebie kostium? Po co?

Cisnęła bikini na zmurszałe deski i nie obejrzawszy się ani razu, zanurkowała do wody.

To był ładny skok. Taki, po którym pozostaje prawie gładka tafla. Choć z góry, z tarasu, oczywiście nie było tego tak dokładnie widać.

Po chwili się wynurzyła, spory kawałek od pomostu. Płynęła przed siebie w morze. Coraz dalej od brzegu. Coraz dalej od Rönnskär. I nagle, trudno powiedzieć, w którym dokładnie momencie, ogarnęło mnie porażające uczucie, że coś jest nie tak. Może dlatego, że wypłynęła już poza łodzie, a może z tego

powodu, że było coś niepokojącego w jej zdecydowanych i energicznych ruchach. Albo dlatego, że nagle powietrze wydało się dużo chłodniejsze.

– Tato!

Ale tata tylko uniósł rękę i jednocześnie pogłodził odbiornik.

– Tato!

Wreszcie spojrział na mnie z lekką irytacją i wielką dłonią otarł sobie pot z pomarszczonego czoła.

Nic nie powiedziałem, tylko pokazałem ręką na Annikę, która płynęła prosto na otwarte morze.

Tata podniósł się powoli i osłonił oczy przed słońcem.

– Co u diabła?!

Cisnął radio na deski tarasu i puścił się pędem w dół po schodach. Wątku drewniana konstrukcja kołysała się pod jego ciężarem.

Wreszcie tata znalazł się na pomoście.

Widziałem, jak coś krzyczy do Anniki, ale jeśli nawet go słyszała, i tak nie zareagowała, tylko płynęła dalej przed siebie. Jej głowa unosiła się i opadała, niczym boja na falach.

Nagle kątem oka zauważyłem coś jeszcze. Słoneczna Gwiazda płynęła z Utö, aby zawinąwszy po drodze na Ornö, popłynąć dalej, na Dalarö. Odbywała tę samą trasę w każde popołudnie. Tata bardzo chwalił tę nową łódź, podziwiał jej prędkość i moc silnika; poza tym na jej pokładzie znajdowała się też niewielka chłodnia, dzięki czemu sklepikarze na szkiecach mogli regularnie otrzymywać świeże towary.

Pamiętam, że zastanawiałem się wtedy, czy tata zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Wciąż stał na pomoście i wrzeszczał do Anniki. Ale w końcu się zdecydował: odwiązał łódź wiosłową i wskoczył do niej.

Wszystko odbywało się niesamowicie powoli. Annika płynęła powoli. Tata zdawał się wiosłować jeszcze wolniej. Tymczasem Słoneczna Gwiazda po lewej stronie sunęła w szybkim tempie po otwartym morzu. Nagle poczułem na ramieniu czyjąś dłoń – ścisnęła je mocno i odwróciła mnie w swoją stronę. To była mama.

– Boże drogi! Przeklęta smarkula. Co ona wyprawia?

Tata ścigał Annikę, ale wciąż dzieliło go od niej około pięćdziesięciu metrów. A mnie znowu ogarnęło to porażające poczucie nadciągającego niebezpieczeństwa. Zrobiło mi się niedobrze, lodowato zimno w środku.

– Dlaczego ona to robi? – spytała mama, jakby akurat w tym momencie

najważniejsze było ustalenie zależności przyczynowo-skutkowej, która skłoniła Annikę do tego, żeby wykonać pełen elegancji, łabędzi skok z pomostu i popłynąć prosto w kierunku szlaku żeglugowego. – Przecież nie można płynąć prosto na...

Tata stanął w łodzi. Wymachiwał rękami w powietrzu, sygnalizował niebezpieczeństwo. Po kilku sekundach rozległ się przeciągły gwizd – ryk, który zdawał się nie mieć końca.

W każdym razie obsługa łodzi zauważyła tatę.

Mimo to Słoneczna Gwiazda z nie mniejszą prędkością pruć dalej i to, co wcześniej zdawało się przebiegać w zwolnionym tempie, teraz nagle przyspieszyło. Tata stał nadal w naszej niedużej łodzi wiosłowej, tyle że teraz miał opuszczoną głowę i bezradnie zwisające po bokach ręce. A wielka łódź niewzruszenie cięła taflę wody.

I wtedy czas się zatrzymał.

Ostatnie szczegóły wryły mi się boleśnie w pamięć na zawsze: ze Słonecznej Gwiazdy jeszcze raz dobiegł przeciągły gwizd; głowa Anniki zniknęła gdzieś za albo pod białym kadłubem; ciemne sylwetki pasażerów zbiegły się na pokładzie i przechylały przez reling, żeby być świadkami dramatu; słońce schowało się za chmurę; mama upuściła szklanekę z duraleksu na kamienie; igła znaczka VPK wbijała się coraz głębiej w moją dłoń.

Potem cisza. Cisza, która zaległa dlatego, że zatrzymał się czas.

Nie wiem skąd, ale ja już wiedziałem.

Wiedziałem, że jej nie ma.

Emma

Miesiąc wcześniej

Leżę w łóżku i nie mogąc zasnąć, wsłuchuję się w ulewę za oknem. Chociaż jestem przykryta nie tylko kołdrą, ale i dwoma kocami, ciągle nie mogę się rozgrzać. Zawładnęło mną zimno, myślę sobie. Niczym okupant wtargnęło w moje ciało i nie chce go opuścić.

Szukałam bardzo długo, podejrzewałam, że Sigge jest ranny i gdzieś się schował. Zwierzęta chyba tak robią? Ale nigdzie go nie było. Zupełnie jakby przestał w ogóle istnieć, rozplynał się w nicości, wchłonięty przez zwartą czarną ziemię pod krzewami na podwórzu. Albo – co gorsza – bezmyślnie, jak na kota kanapowego przystało, wszedł między samochody na Valhallavägen i przepadł.

Czy to sprawka Jespera? Wziął ode mnie pieniądze, zabrał mi obraz, a teraz jeszcze Siggego, jedyne, co mi pozostało i miało dla mnie znaczenie. Teraz nie ma już nic do zabrania, nie ma niczego, z czego mógłby mnie ograbić, myślę.

Trzęsę się z zimna. Palce wciąż mam obolałe. Drobne rany i zadrapania pokrywają dłonie – to ślady po kolcach i igłach, którymi się pokaleczyłam, przeszukując zarośla. W ustach czuję posmak żelaza, a pod powiekami pieczenie od napływających łez. Jednocześnie odnoszę wrażenie, że popadłam w dziwne zobojętnienie. Może to normalne, kiedy nie ma się już nic do stracenia? W tej burzy emocji, w oku cyklonu, nastają cisza i spokój. Osobliwy rodzaj pocieszenia, wypływający z tego, że to, co najgorsze, już się zdarzyło. Wydaje mi się, że znam to uczucie, że już kiedyś się z nim zetknęłam, ponieważ to, co spotkało mnie ostatnio, niestety nieznośnie przypomina historię z Gwoździem. Jesper otworzył znowu wrota mojej przeszłości, którą przez minione lata tak bardzo starałam się wyprzeć.

W końcu dochodzę do wniosku, że i tak już nie zasnę. Wstaję zatem, wkładam gruby sweter i ciepłe skarpety i siadam przy biurku. Szkolne podręczniki ostrożnie przesuwam na bok, wydaję z górnej szuflady papier listowy i zaczynam pisać.

Wyjaśniam, jak się czuję, piszę, że nadal go kocham, mimo że zniknął

bez słowa wytłumaczenia, i że coś się stało i dlatego musimy się spotkać.

Zastanawiam się przez chwilę, po czym kontynuuję. Mówię o dziecku i o tym, że jeszcze nie zdecydowałam, co zrobię. Dodaję, że nie oczekuję od niego, aby odgrywał teraz rolę tatusia, ale nie ukrywam, że rzeczywiście potrzebuję wsparcia i że on też ponosi odpowiedzialność za to, co się wydarzyło.

Adresuję list na firmę, jednak wyraźnie piszę jego nazwisko i umieszczam u góry w rogu adnotację, że to list prywatny.

Potem znowu kładę się do łóżka. Naciągam kołdrę na głowę i wracam myślami do Gwoździa.

Od śmierci taty minęło dziesięć dni. Dziesięć dni, które spędziłam tylko z mamą w naszym zakurzonym i zagraconym małym mieszkanku, i dopiero potem wróciłam do szkoły. Jeszcze nie do końca wiedziałam, co czuję. Bo wszystkie emocje wciąż kłębiły się we mnie i nie opadły na swoje miejsce, kotłowały się jak strzępy papieru wirujące w jesiennym wietrze.

Usiłowałam przemyśleć to wszystko i dopuścić do siebie, że tata już nigdy nie wróci, ale na próżno. Ta myśl była za duża, by mogła pomieścić się w mojej głowie. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że odszedł, wciąż jednak miałam poczucie, że kiedyś na pewno wróci. Może zimą. Albo na moje urodziny.

Śmierć. Pogrzeb. Odejście. Na wieki wieków amen.

Czegoś takiego nie sposób sobie wyobrazić. I już.

Mama głównie leżała na podłodze w łazience. Zanosila jej tam jedzenie, a ona jadła posłusznie bez słowa. Jak zwierzątko w zoo.

Ciotka Agneta wpadała niemal codziennie. Obejmowała mnie mocno, tak mocno, że moja głowa całkiem zniknęła między jej gigantycznymi piersiami, kiedy pytała mnie, czy wszystko okej. Odpowiadałam jej zawsze, że okej, bo ciotka miała skłonność do przejmowania się wszystkim. Przynajmniej mama zwykle tak twierdziła. Potem Agneta wkładała do naszej małej lodówki porcjowane domowe jedzenie i wchodziła po cichu do mamy, do łazienki. Siedziały na zimnej kafelkowej posadzce, paliły i gadały godzinami. Kilka razy słyszałam, jak ciotka Agneta proponowała, że zabierze mnie na kilka tygodni do siebie, dopóki wszystko się nie uspokoi, ale mama chciała, żebym została w domu, ponieważ uważała, że zmiana otoczenia w takim momencie mogłaby mi tylko zaszkodzić. Dodawała jeszcze, że przecież ciotka sama dobrze wie, jak bardzo jestem wrażliwa.

Nigdy nie zrozumiałam, co mama miała tak naprawdę wtedy na myśli.

Bo ja zawsze uważałam, że jest wręcz odwrotnie. Nie byłam wrażliwa, w gruncie rzeczy byłam w pewnym sensie gruboskórna. Nieszczególnie mnie obchodziło, co inni sądzili na mój temat, i między innymi dlatego w ogóle nie czułam potrzeby, żeby kumpłować się z dziewczynami z klasy, a tym bardziej z chłopakami.

Niewrażliwa. Może nawet obojętna. Raczej tak opisałabym samą siebie.

– Emmo, mogłabyś pójść ze mną do magazynku?

Pytanie brzmiało niewinnie, toteż nikt w klasie nie zareagował. Steffe i Robin siedzieli przejęci nad jakimś modelem gilotyny czy czymś w tym rodzaju. Co za głupota, żeby budować coś takiego na zajęciach technicznych! Obok nich leżała tuba z klejem, którą pewnie zamierzali podwędzić po lekcji. Dziewczyny stały dookoła stołu stolarskiego i z czegoś chichotały. Tylko Elin popatrzyła na mnie. Kiedy wstałam, rzuciła w moją stronę długie, zagadkowe spojrzenie.

– Jasne – odpowiedziałam.

– Świetnie.

Gwóźdź dotknął lekko mojego ramienia i pierwszy ruszył w stronę drzwi magazynku. Wstałam i na trochę gumowych nogach poszłam za nim. On miał dosyć charakterystyczny chód – kołysał się jak kaczką.

– O co chodzi? – Elin poruszyła ustami w niemym pytaniu, ale ja tylko wzruszyłam ramionami, jakbym nie wiedziała, dlaczego Gwóźdź potrzebował akurat mojej pomocy na zapleczu.

Pobrzękiwanie pęku kluczy mieszało się z jego pogwizdywaniem. Zdaje się, że był w dobrym humorze. Drzwi zaskrzypiały, gdy je uchylił. Następnie machnął na mnie ręką, dając mi do zrozumienia, że mam wejść pierwsza. W jego geście kryła się pewna niecierpliwość, jakby zależało mu na tym, abym jak najszybciej znalazła się w środku. Jakby czekało tam na nas coś ważnego.

Zawahałam się przez sekundę.

W dziwny sposób przeczuwałam bowiem, że jeśli wejdem z nim do tej ciasnej komórki, to potem nic już nie będzie takie samo jak wcześniej. Że wyjdę stamtąd jako ktoś inny, świat będzie zmieniony i dawna Emma przestanie istnieć. Może powinnam się cofnąć i wrócić do mojego kurczącego się nożyka. Jednak ciekawość zwyciężyła. Tęsknota za czymś nowym, za nową Emmą wzięła górę nad lękiem.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, Gwóźdź przekręcił klucz w zamku i po-

woli podszedł do mnie. Stałam w miejscu, niepewna, co mam zrobić, zerkałam na deski i narzędzia w idealnym porządku powieszzone na ścianie. Czulałam zapach świeżego drewna. W końcu skrzyżowałam ręce na piersiach.

Gwóźdź nie odrywał ode mnie oczu i przez sekundę poczułam paralizujący strach. Nie przed tym, co może się zdarzyć, ale raczej z powodu własnej nieporadności w tej nieoczekiwanej sytuacji. Żałowałam, że nie jestem bardziej doświadczona. Bardziej cool.

Położył mi ręce na ramionach, po czym niezwykle ostrożnie i delikatnie przyciągnął mnie do siebie.

Nie protestowałam, kiedy wargami dotknął moich ust i przytulił jeszcze mocniej. Całowanie się z nim nie miało nic wspólnego z tym, co robiłam wcześniej. Jego język był śliski, ale i trochę szorstki i poruszał się w moich ustach jak trzepocząca się ryba. A ja przez cały czas biłam się z myślami, jak mam na to odpowiedzieć. Też go pocałować i zacząć się siłować z jego językiem? Przycisnąć się do niego tak samo mocno, jak on przyciskał się do mnie?

– Emmo – wykrztusił.

I to było wszystko, co powiedział. Gorączkowo przesuwając dłonie pod moim swetrem. Wędrował nimi po plecach, a potem po piersiach i ścisnął je mocno, jakby ugniatał. Uniósł mi spódnicę i wsunął rękę w majtki. Włożył palec we mnie, później dwa. Zesztywniałam, nie mając pojęcia, w którym momencie powinnam postawić granicę, jeżeli w ogóle mam to zrobić. Ale mój opór został szybko złamany. Wiedziałam, że i tak przekroczyliśmy już wszystkie możliwe bariery. I teraz jest już za późno, by się wycofać.

Popchnął mnie lekko przed siebie. Zrobiłam krok do tyłu, poddałam się jego zamiarom, pozwoliłam sobą sterować, aż wreszcie zatrzymałam się na niedużej szafce w głębi magazynku. Gwóźdź zdecydowanym chwytem uniósł mnie za biodra i posadził na blacie szafki, jednocześnie manipulując przy swoim pasku. Po chwili odpiął spodnie i przywarł do mnie.

– A jak ktoś wejdzie...

– Ciii. – Przycisnął mi dłoń do ust, a potem mnie pocałował. Znowu wsunął język głęboko między wargi i obracał nim gorączkowo, jakby czegoś szukał.

Odchyliłam głowę do tyłu.

– Nie wiem, czy.

– Emmo – wybełkotał. A potem wtargnął we mnie.

Jesper. Gwóźdź. Jesper. Gwóźdź. Imiona i twarze się zlewają. Miejsca, ciała, słowa i obietnice mieszają się jak kamyki w kalejdoskopie, twarz Jespera doklejona do tułowia Gwoździa. Strużyny z pracowni zajęć technicznych na podłodze mieszkania przy Kapellgränd. Spojrzenia koleżanek z klasy palą w plecy, nawet jeszcze dzisiaj.

Jest w pół do trzeciej. Postanawiam, że jutro powinnam koniecznie ustalić, gdzie znajduje się dom Jespera. Muszę się z nim spotkać, nie jestem w stanie czekać dłużej. Wyciągam rękę po komórkę leżącą na szafce nocnej i znajduję numer Olgi.

„Czy mogłabym jutro po pracy pożyczyć od ciebie samochód?”, piszę.

Tego ranka z metrem jest coś nie tak. Wlecze się wyjątkowo wolno między stacjami i z każdą chwilą w wagonie narasta coraz bardziej wyczuwalna irytacja. Przemoczeni podróżni przestępują niecierpliwie z nogi na nogę, wyjmują telefony komórkowe, aby napisać esemesy do kolegów z pracy, że trochę się spóźnią, bo metro szwankuje, ale nie wiadomo, o co chodzi.

Wreszcie motorniczy informuje, że przyczyną kłopotów jest usterka techniczna i że pociąg dotrze na stację końcową z całkiem sporym opóźnieniem.

Ja na szczęście nie mogę narzekać, bo udało mi się zdobyć miejsce siedzące, i gdyby nie to, że odór potu zmieszany z zapachem wilgotnych ubrań jeszcze bardziej potęguje poranne mdłości, nie miałabym nic przeciwko tej przedłużonej podróży. Za oknem powoli przesuwały się ściany czarnego tunelu. Zarysy wydrążonej skały migają za moim własnym zmęczonym odbiciem w szybie. Włosy opadają mi na usiane piegami policzki, a ciemne wgłębienia, które są moimi oczami, patrzą na mnie uważnie.

Dwie nastolatki nieustannie szemrzą między sobą. Chichoczą, coś szepczą i jeszcze bardziej chichoczą. Chyba w ogóle nie przejmują się opóźnieniem. Zalatuje od nich mocno papierosami, chociaż stoją kilka metrów dalej. Nagle moje nastoletnie lata wydają mi się nieskończenie odległe, mimo że przecież wcale nie tak dawno temu byłam w ich wieku.

Gimnazjum. Bezlitosna hierarchia i rywalizacja między dziewczynami, której w pewnym stopniu udało mi się uniknąć, prawdopodobnie dlatego, że wszyscy już zawnicowali, że jestem inna i nie biorę udziału w wyścigu. Długie korytarze z poplamionymi snusem ścianami. Kwadrat dla palaczy na tyłach szkoły. Motorynki zaparkowane rzędem od frontu.

Gwóźdź.

Nigdy nie rozumiałam, dlaczego wybrał akurat mnie. Przecież w klasie

nie brakowało dziewczyn, które były bardziej porywające niż ja, po prostu super. I na tyle pewne siebie, że zachowywały się wobec niego prowokująco. Zarzucały włosami i wypinały biust, kiedy pomagał im przy tokarce. A ja najczęściej siedziałam w kącie. Wiele osób, w tym także nauczyciele, sądziło, że jestem niesympatyczna i krnąbrna. Inni, jak mama, uznali, że mój problem polega na tym, że jestem nieśmiała.

Zajęło mi dosyć dużo czasu, zanim mnie olśniło, że Gwóźdź chyba nie przepadał za szczebiotliwymi i rozkosznymi dziewczynami, które brylowały w klasie. I że wybrał mnie może właśnie dlatego, że byłam inna i trochę wybrakowana. Myślę, że wykazał się równie niezawodnym węchem jak dzikie zwierzę, któremu udaje się wytropić ranną ofiarę. Poza tym to z pewnością nie przypadek, że zrobił to akurat tuż po śmierci taty. Musiał zauważyć mój smutek, moją bezbronność. I postanowił to wykorzystać, aby osiągnąć to, czego chciał.

Jesper, Gwóźdź. Gwóźdź, Jesper.

Znowu czuję mdłości. Tym razem silniejsze. Ciało przypomina mi, co się dzieje we mnie w środku. Jesper i ja nigdy nie rozmawialiśmy o dziecku, zakładałam jednak, że ono było niejako w pakiecie. Że nasza wspólna przyszłość, którą rzeczywiście planowaliśmy, obejmowała dwójkę dzieci i dom w odpowiedniej okolicy pod miastem.

Jak bardzo się myliłam.

Pamiętam sierpniowy wieczór, kiedy urządziliśmy sobie piknik w Djurgården. Jesper miał za sobą ciężki dzień. Jakiś szczególnie nieprzychylnie nastawiony dziennikarz zjawił się w recepcji w siedzibie zarządu i oświadczył, że musi natychmiast przeprowadzić z nim wywiad. Wręcz żądał tego.

– I co z nim zrobiłeś? – spytałam Jespera.

Spojrzał na mnie zaskoczony, jakby nie potrafił zrozumieć, skąd takie pytanie, i dolał wina z kartonu do plastikowego kubka. Mimo opalenizny wyglądał tamtego dnia na bardziej zmęczonego niż zwykle. Cienka skóra wydawała się wyjątkowo napięta na kościach policzków i na brodzie, a zmarszczki wokół oczu przypominały głębokie bruzdy wyrte ostrym nożem.

– Udzieliłem mu tego przekłętego wywiadu – powiedział.

– Ale dlaczego, skoro on zachował się... w taki sposób?

– Z nimi nie wygrasz. Wobec nich człowiek jest bezsilny. Gdybym z nim nie porozmawiał, zrobiłby z tego wielką aferę. Żeby mnie ukarać. I właśnie przez takich ludzi. no wiesz. Nie chcę, żeby widywano nas razem. Po prostu

wykończyliby mnie w mediach za to, że jestem ze swoją pracownicą.

Wyjął paczkę papierosów, wytrząsnął jednego i włożył go do ust – niezawodny sygnał, że był zdenerwowany i sfrustrowany bardziej niż zwykle.

Siedzieliśmy na kocu rozłożonym na trawie pod dużym dębem, niedaleko od drogi prowadzącej do Rosendals trädgård. Mimo ładnej pogody w parku nie było wielu ludzi. Od czasu do czasu ktoś przejechał na rowerze albo przeszedł z psem. Nad wierzchołkami drzew na wschodzie niebo zaczynało już ciemnieć.

Jesper zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i zakaszłał.

– Nie powinieneś – bąknęłam.

– Proszę cię!

– Przepraszam. Nie chciałam tylko...

Uniósł rękę.

– Nie, nie, to moja wina. Ty chcesz dobrze, a ja wyładowuję na tobie swoje rozdrażnienie. Przepraszam.

Zapadło milczenie. Z oddali słychać było śpiew ptaków. Przez cienki koc ciągnęło od ziemi wilgocią i nagle zrobiło mi się zimno.

– W porządku, nie ma sprawy.

Wziął mnie za rękę, ścisnął ją mocno i utkwiał we mnie wzrok.

– Jesteś pewna?

– Czego?

– Że możesz mi wybaczyć.

Jeszcze mocniej ścisnął mi nadgarstek i lekko przekręcił. Poczułam nie spodziewany ból, jak smagnięcie pejczem; rozszedł się aż do ramienia i jednocześnie na moment sparaliżował palce.

– Puść, to boli.

Natychmiast zwolnił uścisk i uśmiechnął się niemal speszony.

– Ups – bąknął, jakby niechcący potrącił szklankę z wodą, a nie prawie wykręcił mi rękę ze stawu.

Westchnęłam i zaczęłam rozmasowywać sobie nadgarstek.

– Zawsze musisz być taki potwornie niedelikatny?

– Wybacz mi, kochanie.

– Wybaczam ci. Wszystko.

Kiedy to powiedziałam, odniosłam wrażenie, że mu ulżyło, wyglądał wręcz na zadowolonego, chociaż jednocześnie dostrzegłam w jego spojrzeniu cień czegoś niepokojącego. Podniósł się i przykucnął, otrzepując sobie dzin-

sy.

– Chodź – szepnął.

– Dlaczego?

Wyprostował się i rozejrzał dookoła.

– Chcę ci coś pokazać.

Wobec tego wstałam. Byłam zeszywniała po siedzeniu bez ruchu na cienkim kocu. Zaczynało się ściemniać. Sierpniowy zmierzch zapadł nie wiadomo kiedy. Powietrze było przesycone wonią wilgotnej ziemi. Jesper wziął mnie za rękę i pociągnął między drzewa, za ogromny dąb.

– Co ty...?

Nic nie powiedział, tylko obróciwszy się do mnie, ujął moją twarz w dłonie i zaczął mnie całować. Miał ręce zimne jak lód. Objęłam go wpół. Kiedy pochyliłam się ku niemu, pod moimi stopami z trzaskiem pękła jakaś gałąź. Oboje znieruchomieliśmy i zachichotaliśmy. Gdzieś z oddali dobiegał odgłos łodzi płynącej w stronę szkierów.

Lodowate dłonie wsunęły się nieoczekiwanie pod mój sweter, powolnymi, okrężnymi ruchami pieściły plecy, a potem powędrowały niżej, wślizgnęły się w dzinsy i dotknęły pośladków.

– Chcę się z tobą pieprzyć tutaj, w lesie.

– Ludzie mogą zobaczyć.

– Eee tam, nie bądź taka przeczulona.

Wydawał się trochę rozdrażniony, jak niemal zawsze, kiedy nie wykazywałam dla jego różnych pomysłów takiego samego entuzjazmu jak on. Zimne dłonie nadal spoczywały na moich pośladkach jak dwa woreczki lodu, ale po chwili jedna z nich sięgnęła do zamka spodni i zaczęła je rozpinać. Potem poczułam na ustach jego wargi. Pocałunek smakował winem i papierosem. Odsunęłam się nieco.

– Musisz uważać. W tym tygodniu kilka razy zapomniałam wziąć tabletki.

Wzruszył ramionami.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– No pewnie, że ma. Przecież mogę zajść w ciążę.

Odchylił się nieco do tyłu, tak by móc spojrzeć mi w oczy.

– No właśnie o to chodzi. Czy to ma jakieś znaczenie?

Hanne

Dziś rano wyprowadziły mnie z równowagi dwie rzeczy. Po pierwsze, obudziłam się zlaną zimnym potem i z nierówno kołującym sercem, co zwykle zdarza mi się tylko wtedy, kiedy podczas kolacji wypiję za dużo wina. Na dodatek nie wiedziałam, gdzie jestem – rozglądałam się po pokoju gościnnym Gunilli, jakbym była w nim po raz pierwszy. Białe ściany, kolorowe poduszki, pelargonie smutno więdące w oknie – wszystko wyglądało zupełnie obco. I w którymś momencie poczułam się tak, jakbym spadała w przepaść, ponieważ strach spowodował, że dostałam zawrotu głowy. Bałam się, że pamięć na dobre odmówiła mi posłuszeństwa.

Po minucie lub dwóch przypominałam sobie, czyje to mieszkanie. Ale strach już zdążył wycisnąć mi z oczu łzy. Gunilla przybiegła z kuchni i próbowała mnie uspokoić i pocieszyć.

Nie powiedziałam, dlaczego płaczę. Nie chciałam jej przerażać. Poza tym może to nie choroba dała o sobie znać, tylko stres. Na szczęście przyjaciółka nie pytała o nic. Pewnie pomyślała, że w ten sposób przeżywam odejście od Owego.

Po drugie, kiedy chciałam wyprowadzić Fridę, przed domem spotkałam Owego. Ledwie wyszłam z bramy, wyskoczył zza zaparkowanego samochodu i zaczął krzyczeć, że muszę wrócić z nim do domu, że nie jestem zdolna żyć samodzielnie i że on zadba o to, abym znalazła się pod profesjonalną opieką zgodnie z przepisami o przymusowym dozorze nad osobami chorymi psychicznie. (Co oczywiście było kompletną bzdurą, bo od razu po powrocie na górę sprawdziłam to dokładnie w internecie).

Również i tym razem Gunilla okazała się niezawodna. Wybierała się właśnie do pracy i akurat wyszła z domu, kiedy my awanturowaliśmy się na chodniku. Z udawanym zdziwieniem uniosła wysoko brwi, w sposób właściwy tylko jej, i skrzyżowawszy ręce na piersi, stanęła przed Owem w szerokim rozkroku.

Wyglądało to niemal komicznie. Bo mimo butów na wysokim obcasie była od niego o dwie głowy niższa, lecz emanowała takim spokojem i godno-

ścią, że wyraźnie go rozdrażniła.

– Owe, a co ty tu robisz? – spytała typowym dla niej flegmatycznym tonem.

– Przyszedłem, żeby zabrać Hanne do domu. Ona nie wie, co jest dla niej najlepsze.

– Co ty powiesz?

Gunilla spojrzała na mnie i spytała:

– Hanne, wiesz, co jest dla ciebie najlepsze?

Byłam tak wzburzona, że nie potrafiłam wykrztusić słowa, więc jedynie skinęłam głową.

– No widzisz – stwierdziła Gunilla. – Chyba powinieneś wrócić do domu, Owe.

– Nigdzie nie pojedę.

Gunilla westchnęła głośno.

– Wobec tego będę musiała wezwać policję.

– Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy – warknął Owe. – To są nasze problemy rodzinne i sami je rozwiążemy.

– Niech cię diabli, Owe, odczep się od niej. Nie widzisz, że ona nie chce z tobą mieszkać? Jest już tak serdecznie zmęczona tobą, że jak tylko wspomnę twoje imię, to od razu zgrzyta zębami i ma ochotę coś potłuc. Lepiej zostaw ją w spokoju. Daj jej trochę czasu. Wtedy może do ciebie wróci.

– Już ci powiedziałem, że to jest sprawa między mną a Hanne.

W tym momencie Gunilla wyjęła komórkę z torebki i spojrzała na nas oboje znużonym wzrokiem.

– Dzwonię po policję.

Owe zrobił dwa duże kroki w moją stronę, wyszarpnął mi z ręki smycz i odwrócił się na pięcie.

– Przekłete wariatki – wybełkotał. – Przynajmniej nie pozwolę na to, żebyś zmarnowała psa. Zabieram ją.

Po czym ruszył w kierunku Brännkyrkagatan, ciągnąc za sobą Fridę, która przez całą drogę w dół ulicy oglądała się za mną wystraszona.

No i stało się.

Wybuchłam płaczem. Gunilla dzielnie próbowała dodać mi otuchy, już drugi raz tego ranka.

– Nie przejmuj się, wszystko się ułoży – przekonywała. – Ciesz się, że nie macie dzieci, bo wtedy to naprawdę byłby problem.

Na co ja oczywiście rozplakałam się jeszcze bardziej, z żalu, że nie było mi dane zostać matką.

Ale tego też nie mogłam powiedzieć Gunilli. Pożegnawszy się z nią, wróciłam na górę do mieszkania, wzięłam prysznic i zrobiłam sobie staranny makijaż. Twarz miałam nabrzmiąłą, a na szyi, rękach i we wszystkich tych miejscach, gdzie wiek daje o sobie znać, skóra wydawała się jeszcze bardziej zwiotczała niż zwykle. Stwierdziłam na chłodno, że wyglądam odrażająco i że moje ciało stało się naprawdę brzydkie. Dojrzały wiek u kobiety (nie przepadam za tym określeniem, ponieważ dojrzałość kojarzy mi się z gnijącym owocem), czy jakkolwiek nazwać ten okres, nie jest atrakcyjny. Odbiera nam urodę, mimo że każda z nas desperacko robi, co może, aby ukryć tę rozpaczliwą brzydotę pod szminką i Bóg wie iloma warstwami ubrania.

No i tyle. Tak więc mam pięćdziesiąt dziewięć lat, początki demencji, obwisłe piersi, tłuszcz na brzuchu i jestem w separacji. Gdy ten obraz zaczyna coraz głębiej zapadać we mnie, zadaję sobie pytanie, czy rzeczywiście dobrze zrobiłam, pakując swoje rzeczy i rezygnując ze względnego bezpieczeństwa na Skeppargatan. Ale jednocześnie wiem z druzgocącą pewnością, że życie z Owem nie jest żadnym wyjściem w tej sytuacji. Bo jakkolwiek nieprzewidywalna i groźna mogła wydawać się przyszłość, powrót do niego nie był możliwy.

W tej sytuacji najłatwiej byłoby po prostu położyć się na kanapie i naciągnąć koc na głowę. Nie zrobiłam tego jednak. Głównie dlatego, by nie przyznać Owemu racji. Postanowiłam udowodnić, że jestem w stanie poradzić sobie sama, bez jego kurateli. Kolejny raz powtórzyłam w duchu powody, dla których nie mogłam z nim wytrzymać:

Jest samolubny.

Egocentryczny.

Narcystyczny.

Chce dominować.

I brzydko pachnie.

Po czym poszłam do pracy.

Pierwszą osobą, którą spotykam w komendzie, jest Peter. Siedzi przed swoim komputerem w pozycji, która wygląda – zwłaszcza w przypadku kogoś tak wysokiego jak on – na niewygodną, i wpatruje się w monitor. Kiedy mnie zauważa, zrywa się z krzesła, podchodzi i bierze mnie pod ramię, jakbyśmy byli najlepszymi kumplami, jakby nasza krótka rozmowa poprzednie-

go wieczoru w jakiś magiczny sposób zatarła fakt, że on jest mężczyzną, który zmarnował mi życie.

Jego dłoń jest ciepła i sucha. Dziwnie czuję się z tym, że dotyka mojego przedramienia. Jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

– Chodź – mówi. – Zaraz będę rozmawiał z jedną ze współpracownic Jespera Orrego. Oskarżyła go o molestowanie seksualne. Powinnaś posłuchać.

– Okej – zgadzam się. – I tak na razie nie mam nic szczególnego do roboty.

Denise Sjöholm ma dwadzieścia osiem lat i jest z wykształcenia ekonomistką. Kiedy na nią patrzę, odnoszę wrażenie, że wygląda na tak młodą, że chyba nie sprzedano by jej alkoholu w monopolowym. Ale to pewnie wynika z tego, że ja sama się postarzałam – kolejny przykład na to, że wraz z upływem czasu nasz punkt odniesienia ulega przesunięciu, chociaż sami tego nie zauważamy. Dopiero po chwili uzmysławiam sobie, że ja w jej wieku byłam już od kilku lat po ślubie z Owem.

Prawie jako dziecko.

Siedzi w pokoju przesłuchań, wydaje się trochę zagubiona, jakby bezbronna. Jest ubrana w rozciągnięty sweter robiony na drutach, w znoszone dzinsy i nie ma w ogóle makijażu. Duże piwne oczy są wylęknięte, czemu raczej trudno się dziwić. Domyślam się, że oskarżając swojego najwyższego szefa o molestowanie seksualne, musiała ściągnąć sobie na głowę niezłe kłopoty.

Peter chyba też zauważył, że jest przerażona, bo wyjaśnia jej jak dziecku, że nie jest o nic oskarżona i że chcemy ją jedynie przesłuchać w związku z zabójstwem dokonany w mieszkaniu Orrego oraz zniknięciem jego samego.

Denise Sjöholm kiwa głową i zaczyna bawić się strzępkiem nitki zwisającej z dzinsów.

– Jak długo pracowała pani w Clothes & More? – pyta Peter.

– Rok.

– Na czym polegają pani obowiązki?

– Byłam... jestem... kierowniczką projektów w dziale marketingu. Zajmuję się kampaniami reklamowymi i tak dalej. Na przykład odpowiadam za aktualną kampanię świąteczną w telewizji. To znaczy, odpowiadałam, zanim poszłam na zwolnienie.

Nieustannie przenosi spojrzenie to na mnie, to na Petera, jak niespokojny

ptak, który nie ma odwagi nigdzie usiąść.

– Kiedy poznała pani Jespera Orrego?

– Prawie od razu. W głównej siedzibie nie pracuje wiele osób, a on miał zwyczaj zawsze wstępować do naszego działu i sprawdzać, co robimy. Uważałam, że ma sporo uroku. Poza tym był dosyć wyluzowany, chociaż krążyły plotki, że potrafi nieźle zaleźć za skórę i być bezwzględny. Mówiono, że wyrzucał ludzi z pracy na prawo i lewo.

– A co wydarzyło się później?

Denise wbija wzrok w podłogę, cienkie brązowe włosy opadają jej na twarz.

– Spytał mnie, czy nie chciałabym się wybrać na imprezę. To było ubiegłej wiosny.

– Co to za impreza?

– No właśnie. Nie powiedział mi tego; umówiliśmy się, że spotkamy się na Stureplanie w sobotę wieczorem. I rzeczywiście przyjechał punktualnie, tyle że nigdzie nie poszliśmy, a on zawiózł mnie do siebie do domu. A tam nie było nikogo. Jedyne on i ja. Ale okej. Pogadaliśmy trochę, poczęstował mnie owocami morza i szampanem. Byłam pod wrażeniem, że zaprosił akurat mnie na kolację, bo w końcu Jesper Orre mógłby umówić się, z kim by tylko zechciał. – Na chwilę milknie i kręci powoli głową. – Jaka ja byłam naiwna – mówi dalej. – Jak tylko zjedliśmy, oczywiście zaraz chciał zaciągnąć mnie do łóżka.

– I co pani zrobiła?

Kobieta wygląda na odrobinę zdezorientowaną, jakby nie rozumiała pytania.

– Przespałam się z nim. Potem spotykaliśmy się od czasu do czasu. Ale ponieważ dosyć szybko zrozumiałam, że jemu ani trochę nie zależy na prawdziwym związku, mniej więcej po dwóch miesiącach zerwałam, czy jak to nazwać, bo przecież w gruncie rzeczy nie byliśmy razem.

– Jak on zareagował?

– Wściekł się. Powiedział, że to on decyduje, czy już pora na koniec, czy nie. I że pożałuję, jeśli to do mnie nie dotrze.

– I jak się pani zachowała?

Znowu kręci głową, a potem cicho się śmieje.

– Rzeczywiście powinnam była zrozumieć, że z nim nie wygram. Zamiast potulnie się z nim zgodzić, wpadłam w furję i powiedziałam mu, że

może iść sobie w diabły, bo o tym, z kim chcę spać i kiedy, decyduje ja sama, na co on już się w ogóle nie odezwał i poszedł. A później, w pracy, zaczął się na mnie odgrywać. Na spotkaniach zadawał mi cholernie trudne pytania, na które nie mogłam znać odpowiedzi, deprecjonował wszystkie moje propozycje i nie dopuszczał mnie do żadnych ciekawych projektów. Po prostu mnie karał. I wtedy poszłam do dyrektora personalnego, poskarżyłam się, no i zaczął się cały ten cyrk. W obecności Orrego musiałam odpowiadać na pytania pracowników działu personalnego. Czułam się paskudnie, kiedy musiałam opowiadać o naszej... relacji, zwłaszcza gdy on tego słuchał. W końcu lekarz wypisał mi zwolnienie z pracy.

– Kiedy to było?

– Poszłam do lekarza. – Denise liczy na palcach. - .osiem tygodni temu. Nie, jutro będzie dziewięć.

Peter zapisuje coś w swoim notesie.

– Przepraszam, może to pytanie zabrzmiało dziwnie, ale czy on był brutalny w łóżku?

Denise robi nieco zakłopotaną minę i zakłada ręce na piersi.

– Neeee. Raczej nie.

– A nie ukraść pani nigdy bielizny?

– Bielizny?

– No tak, czy zdarzyło się, że zabrał pani majtki?

– Nie. W każdym razie nic o tym nie wiem.

– Czy po pójściu na zwolnienie odzywał się do pani?

– Ani słowem.

– A czy orientuje się pani, czy tak samo jak z panią postępował z innymi kobietami z firmy?

– Nie. Chociaż wcale bym się nie dziwiła, gdyby tak było. On jest pieprzony.

– A czy słyszała pani, żeby w tym samym czasie spotykał się z innymi kobietami?

– Nie, ale jak już powiedziałam, on jest porąbany.

Kiedy odprowadzamy Denise do wyjścia, nie mogę się powstrzymać i kładę jej rękę na ramieniu, patrząc głęboko w oczy.

– Proszę pamiętać, że nie zrobiła pani nic złego – zwracam się do niej. – On panią wykorzystał, ponieważ umożliwiała mu to jego pozycja.

Młoda kobieta spogląda na mnie długo i wreszcie odpowiada:

– Może. Ale i tak załuję, że poszłam z tym do personalnego. Bo przecież on wcześniej czy później by się mną znudził. – Powiedziawszy to, wychodzi ze spuszczoną głową na dwór.

– Co za pieprzona menda – mówię do Petera, gdy Denise zniknęła już we mgle. Na co on lekko wzrusza ramionami i zerka na mnie, a ja dodaję w duchu: Jak ty, Peter, dokładnie jak ty.

Jakby czytał w moich myślach, odwraca wzrok wyraźnie speszony, a następnie rusza w stronę wind, mamrocząc pod nosem:

– O ile mi wiadomo, to nie było niezgodne z prawem.

Kiedy trzy godziny później idę spacerem z powrotem do mieszkania Gu-nilli, jest już ciemno. Zimny wiatr wciska się pod ubranie, temperatura znacznie spadła. Wilgotna jezdnia i chodniki pokryły się twardą i śliską powłoką lodu, w związku z czym idę bardzo wolno, żeby nie upaść.

Tęsknię za Fridą, nie mam jednak pojęcia, jak mogłabym ją odzyskać. Przecież nie złożę zawiadomienia na policję, że Owe mnie okradł, bo ona jest także jego psem, a nie da się ukraść czegoś, co się posiada. A może?

Owe nigdy szczególnie nie przepadał za Fridą. Uważał, że ujada i cuchnie (jakby on nie cuchnął). Zabrał ją nie po to, aby ochronić ją przede mną, tylko żeby mnie ukarać. Podobnie jak Jesper odegrał się na tej biednej dziewczynie za to, że nie chciała być jego seksualną niewolnicą.

Władza, przemyka mi przez głowę. Zawsze chodzi o władzę.

Za każdym razem, gdy przechodzę obok kiosku z gazetami, przystaję i przyglądam się uważnie. Naszkicowany portret kobiety znalezionej w domu Orrego widnieje na każdej stronie tytułowej w całym mieście, a nagłówki tłustym drukiem krzyczą z daleka: Kim jest kobieta zamordowana w domu króla mody?

Jeśli i teraz nie zdołamy ustalić jej tożsamości, to nie wiem, co jeszcze może nam pomóc.

Kiedy dochodzę do Slussen, znowu zaczyna padać śnieg. Nieduże, zbite płatki boleśnie zacinają w policzki. Dzwoni komórka, więc instynktownie odwracam się od wiatru i wyjmuję ją, żeby odebrać.

To Peter.

– Posłuchaj – zaczyna. – Właśnie rozmawiałem z centralnym laboratorium. W domu Orrego użyto tej samej maczety, którą zabito Calderóna. Na kręgach szyjnych obu ofiar znaleziono ślady wskazujące na tę maczetę. Zagłębienia pozostawione po uderzeniach precyzyjnie odpowiadają jej ostrzu.

Rozumiesz chyba, co to znaczy?

Emma

Miesiąc wcześniej

– Ale po co miałyby zabijać twojego kota? Tego nie rozumiem.

Olga marszczy czoło i bawi się swoimi ciężkimi bransoletkami wysadzonymi strasem. Obejmuję wzrokiem pusty sklep i zamyślam się na chwilę. Z głośników jak zwykle płynie muzyka. Mahnoor nigdzie nie widać – pewnie jest zajęta swoimi nowymi, ważnymi dla firmy obowiązkami administracyjnymi.

– Jeżeli jest tak, jak mówiłaś, czyli że on jest psychopata, to może próbować mi jakoś zaszkodzić.

Olga nie wygląda na przekonaną. Łatwiej jej chyba przyjąć, że Jesper mógłby chcieć wyłudzić ode mnie pieniądze albo wykorzystać mnie w łóżku, niż okazać się prawdziwym sadystą. I w pewnym sensie jestem w stanie ją zrozumieć. Bo mnie też trudno uwierzyć, że obrał sobie za cel zniszczenie mi życia, nie potrafię jednak znaleźć innego wyjaśnienia jego postępowania.

– Ale kot? Co kot może mieć z tym wspólnego?

– Sigge dużo dla mnie znaczy. Jeśli coś mu się stanie, to tak, jakby stało się mnie.

– No chyba że tak – stwierdza Olga, podając mi nową rolkę papieru do wymienienia w kasie.

– No przecież mówię.

– A nie sprawdziłaś go? Może robił coś takiego już wcześniej? Albo siedział w więzieniu czy w psychiatryku.

Ta wizja jest niemal zabawna; natychmiast mam przed oczami konkretne obrazy: Jesper Orre, prezes wielkiej firmy, w której obie pracujemy, w kaftanie bezpieczeństwa na oddziale zamkniętym. Lub w pasiastym kombinezonie, jak jeden z Beagle Boys, za grubą żelazną kratą.

– Może on kogoś zabił – szepcze Olga, jakby się bała, że ktoś usłyszy ją w pustym sklepie.

Spoglądam na nią, nic nie mówiąc. Sprawia wrażenie wystraszonej.

– Sorry, kochana. Jasne, że nikogo nie zabił. Chciałam tylko powiedzieć, że czasami nam się wydaje, że znamy ludzi, a okazuje się, że wcale ich nie

znamy.

– Rozumiem – mówię, myśląc po cichu, że Olga nawet nie zdaje sobie sprawy, do jakiego stopnia ma rację.

– I co zamierzasz zrobić? Pójdiesz na policję?

Zamykam wieko kasy i wyciągam końcówkę rolki.

– Najpierw wolałabym z nim porozmawiać.

– Zamierzasz go szukać?

Potakuję głową i rzucam okiem na sklep. W rogu, przy stoisku z dzinsami, kręci się dwóch nastolatków, przyglądają mi się uważnie, a mnie przemyka przez głowę, że chyba próbują coś zwędzić. To widać od razu, a przynajmniej u dzieciaków, które jeszcze nie nauczyły się zachowywać kamiennej twarzy; poza tym prawie nigdy nie kradną w pojedynkę, jakby złodziejstwo to był sport zespołowy.

– Wiem, co powinnaś zrobić – oznajmia Olga, robiąc nieoczekiwanie uradowaną, a jednocześnie chytrą minę. – Musisz się zemścić. Pokazać mu, kto tu ma ostatnie słowo. Jestem w tym dobra, mówię ci, ja nigdy nie przegrywam. Nie żebym się podwyższała, ale tak jakoś się dzieje.

– Wywyższała.

– Co? – Olga patrzy na mnie zdezorientowana.

– Mówi się: wywyższała.

– Wszystko jedno. Słówka możemy poćwiczyć później. Teraz weź się w garść i zrób porządek z tym szambem. Ustal, gdzie on może się podziewać, idź tam i zażądaj odpowiedzi. Tylko nie pozwól mu się wykręcić. Pokaż, kto tu pociąga za sznurki!

Wyrostki przy ladzie z dzinsami ruszają w stronę wyjścia. Jeden z nich ma podejrzenie wypchany plecak. Olga też to widzi, ale chyba brak jej energii na to, żeby coś z nimi zrobić.

– Czyli według ciebie powinnam się zemścić?

Kiwa głową. W tej samej chwili w drzwiach pojawia się jakiś mężczyzna i od razu zmierza do kasy. Wygląda na to, że dokładnie wie, czego chce. Tak zwykle bywa z nieco starszymi panami. Oni nie płaczą się po sklepie, żeby sprawdzić, co nowego przyszło, tylko idą prosto do nas i proszą o skarpetki, koszule czy slipy. Potem biorą po pięć sztuk każdej z tych rzeczy, płacą i natychmiast wychodzą.

– Dzień dobry! W czym mogę panu pomóc? – pyta Olga zgodnie z instrukcją i uśmiecha się mechanicznie, obracając na nadgarstku swoje branso-

letki ze strasem.

– Szukam Emmy Bohman – odpowiada mężczyzna, nie odwzajemniając jej uśmiechu.

– Możemy usiąść tutaj?

Jego twarz jest pozbawiona wyrazu. Ma bardzo krótko ostrzyżone, rudawe włosy i pełne policzki, chociaż sam jest szczupły, wręcz chudy. Podnosi teczkę, starą aktówkę z naturalnej skóry upstrzoną tłustymi plamami, i wyciąga z niej plik papierów.

Przedstawia się jako Sven Ohlsson, dyrektor personalny regionu wschodniego, i w tej samej sekundzie, gdy wypowiada swoje nazwisko, od razu wiem, o co chodzi.

– Była pani u nas przez trzy lata, Emmo.

Potakuję skinieniem głowy, chociaż nie jestem pewna, czy to pytanie, na które mam odpowiedzieć, czy też on jedynie stwierdza fakt, odczytując informację ze swoich dokumentów. Następnie wyjmuje okulary w rogowej oprawie oraz niedużą niebieską szmatkę i w milczeniu czyści szkła.

– Napije się pan kawy? – pytam. Głównie dlatego, że nie bardzo wiem, co innego mogłabym powiedzieć.

– Chętnie – odpowiada, nie odrywając wzroku od okularów.

Cykanie zegara w rogu raptem brzmi wyjątkowo niepokojąco, a zapach kawy jest tak wszechobecny, że trudno mu się oprzeć. Stawiam kubek przed gościem, siadam na krześle naprzeciwko i czuję, jak ogarnia mnie bezsilność.

Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek nastąpi ta chwila. Takie rzeczy zdarzają się innym, ale nie mnie. Przez cały czas bardzo uważałam, może poza ostatnimi tygodniami, kiedy kropki przy moim nazwisku na tablicy obecności na ścianie zaczęły czerwienić się jak grono jarzębiny.

– Stoimy wobec poważnego ekonomicznego wyzwania – zaczyna, po czym wkłada okulary na nos i pierwszy raz patrzy na mnie. Jego oczy są wypłowiałoszare i nie zdradzają żadnych emocji. Ten człowiek jest uprzejmym biurokratą spełniającym zabójczą misję, wydelegowanym przez facetów z zarządu. Z namaszczeniem chowa niebieską szmatkę do teczki i kontynuuje: – Brakuje pracy. W najbliższych miesiącach będziemy zmuszeni zamknąć dwa z naszych sklepów.

Nadal nie mam pojęcia, co powiedzieć. Więc jedynie kiwam głową. Mężczyzna milknie. Może rzeczywiście jest zmęczony. Może w gruncie rzeczy jest całkiem sympatyczny.

– Brakuje pracy? – powtarzam za nim, jakbym chciała go pospieszyć.
Znowu spogląda na mnie. Wciąż nie okazuje choćby najmniejszych emocji.

– Tak, brakuje pracy. Jak twierdzi Björn Franzén, świetnie się tu pani spisywała, ale kierownictwo niestety postanowiło, że musimy obniżyć koszty związane z zatrudnieniem personelu, aby zagwarantować przetrwanie firmy w dłuższej perspektywie.

– Rozumiem.

– Tu nie chodzi personalnie o panią, Emmo. To tylko kwestia ekonomicznej rzeczywistości, do której musimy się dostosować.

Wolałabym, żeby przestał posługiwać się moim imieniem. Nie znam go i nie życzę sobie być dla niego Emmą.

– Oczywiście – mówię.

– To kwestia ekonomii.

– Rozumiem. Tu nie chodzi o... – Zataczam ręką łuk w kierunku tablicy obecności wiszącej na ścianie. Przerażliwie czerwone kropki rzucają się w oczy jak paskudne pryszczki na jasnej skórze.

Uśmiecha się, pierwszy raz od początku spotkania. Nieznacznie i jakby trochę smutno.

– Każdy ma prawo zachorować – stwierdza. – Albo zostać w domu, żeby zająć się chorym dzieckiem. To nie powód do wypowiedzenia. Wbrew temu, co piszą o nas media. To jedynie podłe plotki.

Siorbie kawę, a ja uświadamiam sobie nagle, że chciałabym, aby ten człowiek się oparzył. Jednak moje pragnienie niestety nie ma szans się spełnić, ponieważ kawa z naszego automatu jest w najlepszym razie letnia, i tak już dzieje się od roku, kiedy Björnemu odbiło i kopnął w maszynę.

Następnie kładzie na stole plik papierów, które do tej pory trzymał w ręce, i jednym palcem powoli przesuwa je w moją stronę.

– Musimy teraz porozmawiać o konkretach, Emmo.

– Kto to był? – pyta Mahnoor, odprowadzając wzrokiem śmiesznego mężczyznę o krótkich rudych włosach i w okularach w rogowej oprawie, nieco przypominającego podstarzałego Tintina, który uciekł ze świata komiksów.

– To facet z personalnego. A gdzie jest Olga?

Nie mam ochoty rozmawiać o spotkaniu, które właśnie się skończyło, o stosie papierów zawierających warunki mojego zwolnienia: przestaję pra-

cować natychmiast, dostaję pensję za dwa miesiące, a swoją kartę identyfikacyjną mam odesłać do centrali w ofrankowanej kopercie.

– Olga? – Mahnoor powtarza obojętnie.

– Tak, co z nią?

– Nie mam pojęcia – odpowiada, wzruszając ramionami. – Pewnie szuka w internecie nowej szminki albo bielizny, ta mała mizoginka.

– Co takiego?

Mahnoor tylko macha ręką.

– Nic, nieważne.

– Kiedy widziałam ją ostatnio, czytała książkę – mówię i przypominam sobie Olgę, jak przy stoliku w kuchni czytała jakieś kieszonkowe wydanie tuż po wyjściu człowieka z działu personalnego.

Mahnoor unosi starannie wydepilowane brwi.

– Pewnie jakąś szmirę z Coopa.

Drażni mnie ta jej źle ukrywana pogarda dla Olgi.

– A może to całkiem normalna, dobra książka – sugeruję.

– Chyba żartujesz? Nie sędzę, żeby ona była w stanie rozpoznać dobrą książkę.

Mahnoor przebiera między spinkami do włosów i zawieszkami na stojaku przy kasie. Poprawia te, które się przekrzywiły, i po chwili pyta obojętnym tonem:

– A czego chciał ten facet z HR-u?

Waham się przez sekundę.

– Nic specjalnego. Był ciekaw, jak dajemy sobie teraz radę, kiedy Björne jest na zwolnieniu.

– I co mu powiedziałaś?

– Powiedziałam, zgodnie z prawdą, że bez niego jest okej.

Siedzę w samochodzie Olgi. Deszcz bębni o dach, a w ciasnej kabinie czuć wilgoć. Co jakiś czas muszę przecierać od wewnątrz zaparowaną szybę, żeby móc cokolwiek widzieć.

Jest po szóstej i czekam już ponad godzinę. Miałabym pecha, gdyby dzisiaj go w ogóle nie było. Może być na służbowym wyjeździe albo na spotkaniu zupełnie gdzie indziej.

Piję łyk cytrynowej wody mineralnej, która smakuje jak płyn do mycia naczyń, i przypominam sobie rudego faceta z centrali – w staromodnych okularach i z wytartą teczką. Patrząc na niego, nigdy bym nie pomyślała, że pra-

cuje w branży modowej.

Czy to też sprawka Jespera? Czy to kolejny puzzle jego diabelskiej układanki? Jeśli tak, to trzeba przyznać, że całkiem sprytnie sobie to obmyślił, bo pozbawił mnie następnej rzeczy, która jest dla mnie ważna: pracy. Nawet nie pomyślałam o tym wcześniej, kiedy użalałam się nad sobą, sądząc, że ograbił mnie już ze wszystkiego, co ma dla mnie wartość. Może znajdzie się coś jeszcze, co będzie mógł mi odebrać, coś, co w ogóle nie przysłoby mi do głowy, bo jest zbyt oczywiste. Mieszkanie? Zdrowie?

Moje życie?

Ta ostatnia myśl przeszywa mnie dreszczem.

Przypominam sobie mieszkanie przy Kapellgränd. Kolorowy dywanik w przedpokoju i czerwone krzesła równo ustawione pod ścianą jak na torze przeszkód. Widzę, jak Jesper leży nagi na puszystym dywanie w salonie. Ze wszystkich stron otaczają go namalowane żółte kwiaty, jakby wypoczywał na polu pełnym słoneczników. Jest odprężony, ma pogodną twarz, przypomina bez troskie dziecko. Jego klatka piersiowa unosi się i opada w rytmie oddechu. Siedzę w deszczu w samochodzie, ale myślami jestem w mieszkaniu przy Kapellgränd i przyglądam się Jesperowi. Usiłuję zrozumieć, dlaczego ten mężczyzna, chłopiec, człowiek, który tam leży i wygląda tak niewinnie, chce mnie skrzywdzić.

Jakaś męska postać przebiega przez ulicę zaledwie kilka metrów przed moim samochodem. Pochyliłam się do przodu, ścieram z szyby parę, żeby móc się lepiej przyjrzeć. To nie Jesper – Jesper jest wyższy i nie ma jasnych włosów. Nieznajomy kieruje się w stronę centrum handlowego Gallerian, po czym szybko znika w ciemności.

A gdybym mogła teraz przyjrzeć się samej sobie w taki sposób, jak przed chwilą przyglądałam się Jesperowi, co bym zobaczyła? Kobietę z obłądem w oku, wypatrującą w ciemności swojego ukochanego przed jego biurem? Czy to znaczy, że jestem na prostej drodze do obłąkania?

A może to on robi wszystko, żebym zwariowała? Największa zbrodnia to doprowadzenie drugiego człowieka do paranoi.

Znowu dają o sobie znać mdłości, wypijam więc łyk tej ohydnej wody mineralnej.

Jeżeli to jest spektakl, który on sam starannie wyreżyserował, czy w takim razie wie, że jestem tutaj? Czy wymyślił już następny krok? Czy śledząc go, dojdę do prawdy, czy też odkryję jedynie tę część rzeczywistości, którą

on zamierza mi pokazać?

Pytania nie mają końca. Każdy wniosek rodzi nowy znak zapytania. To tak, jakby patrzeć w lustro, które odbija się w kolejnym lustrze, a to w jeszcze następnym. Wariuję, kiedy próbuję zrozumieć, co się stało i dlaczego. A na dodatek nawet jeszcze nie zaczęłam zastanawiać się nad tym, jak rozwiązać swoje konkretne i palące problemy: dziecko, rachunki, praca, którą właśnie straciłam za sprawą rudego faceta z centrali.

Może Olga ma rację? Może powinnam się zemścić?

Może on właśnie tego chce?

Ogarnia mnie poczucie nierealności. Mam wrażenie, jakby to był film. Niby sama kieruję swoim zachowaniem, tymczasem w istocie ktoś inny już dawno temu zdecydował za mnie, jak mam postąpić. Jakbym runęła w przepaść i nie miała już żadnej kontroli nad własnym życiem. Spoglądam na pierścionek, który błyszczący na moim palcu. I myślę: przecież on jest prawdziwy i stanowi dowód, że jednak nie zwariowałam.

Wtedy go zauważam.

Skulony przemyka w deszczu, poły płaszcz powiewają za nim niczym porwany żagiel, identycznie jak poprzednim razem, kiedy stałam tu w ciemności. Jego kroki są energiczne i zdecydowane. W pierwszej chwili mam ochotę wyskoczyć z samochodu, dopaść go i spytać, do czego on, u diabła, zmierza, coś mnie jednak powstrzymuje. Muszę się dowiedzieć, co on ukrywa, i ustalić, gdzie mieszka. Zanim mu się pokażę, pragnę zdobyć więcej informacji.

Kilka minut później z parkingu wytacza się duży czarny SUV. Przekręcam kluczyk i ruszam za nim, starając się zachować bezpieczną odległość. Na każdym czerwonym świetle gaśnie mi silnik, bo nie jestem przyzwyczajona do jazdy samochodem bez automatycznej skrzyni biegów. Przeklinam i uruchamiam go na nowo, bojąc się śmiertelnie, żeby nie zgubić Jespera, skoro w końcu go namierzyłam.

Na wysokości Roslagstull ruch wyraźnie gęstnieje. Jestem tuż za jego

SUV-em w morzu aut wracających w ciemności do domu. Jedzie E18 w kierunku północnym i odbija na Djursholm. Kiedy zwalnia, robię to samo, aby zwiększyć odległość od niego. Przed nami ani za nami nikt nie jedzie. Mijamy ogromne wille z oświetlonymi ogrodami wielkości parków. Po lewej stronie wyłania się nieduże centrum handlowe: sklep Coop i księgarnia, mały placzyk z kilkoma bezlistnymi drzewami. I znowu pojawia się to dziwne uczu-

cie: jestem na planie filmowym i przemieszczam się przez opustoszałe kulisy, zmierzając do czegoś w rodzaju wyzwolenia. Nie mam jednak pojęcia, co to za film. Dramat, thriller? Tragedia?

Zbliżamy się do wody. Czarna błyszcząca tafla rozpościera się przede mną w mroku nocy niczym płachta jedwabiu. Jesper skręca w prawo, a ja za nim. Narasta we mnie ciekawość i nasila się poczucie, że jestem bardzo blisko takiego lub innego rozwiązania. Przez chwilę jedziemy tuż nad wodą. Tu wille są jeszcze bardziej okazałe, niemal jak pałace; zaczynam się zastanawiać, czy mieszkają w nich zwykli ludzie, czy może raczej są zajęte przez firmy lub ambasady.

Nie zauważam, gdy znacznie zwalnia, i o mały włos nie wjeżdżam w czarny bagażnik. Skręca w prawo, ja zaś odczekuję kilka sekund i jadę za nim. Nieduża uliczka okolona jest po obu stronach szpalerami cisów, bukszpanu i tui. Wilgotne liście leżą usypane w kupki na wąskich chodnikach. Stojące tu domy są mniejsze, wyglądają jak domy zwykłych ludzi. Wyłączam światła i powoli posuwam się za nim. Gdy skręca znowu, robię to samo. Ta nasza gra zaczyna mnie niemal bawić. Jeszcze nigdy nie śledziłam nikogo w ten sposób.

Zatrzymuje się przed białym domem o prostej architekturze. Z okien pada ciepłe światło, malując trawnik i leżące na nim mokre jesienne liście na żółto. Wyłączam silnik. Czekam. Obserwuję, jak bierze z samochodu swoją czarną teczkę, podchodzi do żelaznej furtki i podnosi rękę, żeby ją otworzyć, ale nagle rozmyśla się, robi krok do tyłu i idzie chodnikiem kilka metrów w moją stronę.

W pierwszej chwili ogarnia mnie przerażenie, że zaraz mnie odkryje, szybko jednak się uspokajam, widząc, dokąd zmierza.

Przy parkanie leżą sterty mokrych desek. Jedna z nich jest okryta zieloną brezentową plandeką. Jesper omija kilka dech i podchodzi do świeżo postawionego budynku na prawo od furtki. Może to ma być garaż? Ściany nie są jeszcze pomalowane, a tam, gdzie powinny być drzwi, łopocze na wietrze foliowa płachta. Przykuca, sprawdza coś na fasadzie. Potem wstaje, odwraca się i idzie w stronę domu.

Natychmiast przebiega mi przez głowę myśl: czy właśnie mam przed sobą swoje utracone pieniądze? To one pokryły koszt budowy tego obiektu, który widzę? Czy wszystkie moje oszczędności zamieniły się w garaż dla jego dużego czarnego auta?

Zatrzymuje się przed drzwiami wejściowymi. Kiedy naciska dzwonek, zamiast samemu je otworzyć, ogarniają mnie wątpliwości. On tu mieszka czy tylko przyjechał z wizytą? Po chwili wyjmuje klucz, wkłada do zamka, ale w tym samym momencie drzwi otwierają się od wewnątrz. W wejściu stoi kobieta. Ma ciemne włosy, jest wysoka i ładna, widzę to wyraźnie mimo sporej odległości, jaka dzieli mnie od niej. Emanuje pewnością siebie właściwą wyłącznie pięknym kobietom, jakby całą sobą komunikowała światu swoją wartość.

Pochyla się nieco i Jesper ją całuje. Ale nie jest to żaden przelotny całus w policzek, zarezerwowany dla przyjaciół i członków rodziny, tylko długi i czuły pocałunek.

Potem nic już nie widzę. Dom znika, odgłos deszczu bębniącego w dach ustaje. Dookoła robi się nieznośnie ciemno i cicho.

Biegnę przez ciemność. Ktoś krzyczy. Słysząc rozdzierający serce przeciągły wrzask – dopiero po kilku sekundach uświadamiam sobie, że to ja krzyczę. Gałęzie smagają mi twarz. Po karku spływa lodowata woda. Nagle wyrasta przede mną nie wiadomo skąd fotel ogrodowy. Odskakuję w bok, ale mimo wszystko wpadam na niego i go przewracam. Przyspieszam, czuję się jak ścigane zwierzę. Nie pamiętam, co ja tu w ogóle robię, w tej ciemnicy, wiem jedynie, że muszę uciekać. Uciekać przed czymś straszliwym, przed czymś, co zagraża mojej całej egzystencji.

Buty zapadają mi się w błocie, potykam się, ale zachowuję równowagę, pędzę dalej z rękami wyciągniętymi przed siebie jak niewidoma.

I znowu wyrasta przede mną przeszkoda – tym razem płot. Nie jest wysoki, ma co najwyżej metr. Niewiele myśląc, wdrapuję się na niego, dźwigam ciało na drugą stronę i w tej samej chwili czuję, że się zaklinowałam, że zaczepiłam o coś kurtką. Spadam bezwładnie na ziemię i mocno uderzam się w bok. Ból jest nieopisany, nie mogę oddychać ani myśleć, nagle ciemnieje mi przed oczami.

Coś dotyka mojego policzka. Otwieram oczy. Próbuję zebrać myśli. Przypomnieć sobie.

Jest ciemno. Leżę na ziemi na działce wokół jakiejś willi. Kilka metrów przede mną znajduje się piaskownica. Wiaderka, łopatki i małe samochodziki żółcą się jak kurki na zboczu wzgórza, porozrzucane w piasku i trawie.

Jak długo już tu jestem? Próbuję usiąść, lecz zamieram w połowie ruchu. Mój brzuch napina się w bolesnym skurczu. Zginam się wpół, zwijam się

w kulkę, ale ból nie chce minąć. Zerkam w lewo, na swoją rękę. Zegarek pokazuje kilka minut po dziewiątej, czyli leżę tu od godziny.

Gdy w końcu udaje mi się przykucnąć, trzęsę się z zimna. Dotykam dłonią twarzy, usuwam z niej błoto i gałazki. Próbuję zrozumieć.

Stopniowo, ale nieubłaganie odzyskuję pamięć. Jestem w Djursholmie, gdzieś niedaleko domu Jespera Orrego – domu, który chyba dzieli z piękną, ciemnowłosą kobietą. Czyli zostałam oszukana bardziej, niż mogłabym sobie kiedykolwiek wyobrazić. Zostałam oszukana podwójnie i poniżona. Ograbiona z pieniędzy i z miłości. Na dodatek przez tego, którego kocham.

Jesper ma inną i z pewnością był z nią także wtedy, kiedy się spotykaliśmy. To dlatego nie chciał ujawnić naszego związku. I dlatego tak bardzo zależało mu na tym, żeby nie widywać się ze mną nigdzie indziej poza jego małym mieszkaniem przy Kapellgränd albo u mnie.

Mimo to nie rozumiem. Gdyby szukał jedynie przygody i seksu, to po co by się ze mną zaręczał? Dlaczego zabrał mi Siggego, pieniądze i obraz? I dlaczego wyleciałam z pracy?

Jest jeszcze coś, co mnie męczy. Dobrze pamiętam słowa Olgi: „Twój facet to psychopata”.

Czy on chce mnie upodlić? Zniszczyć? Czy jego plan przewidywał także to, że bym zobaczyła go szczęśliwego z jego dziewczyną?

Znajduję szczelinę między sztachetami i przeciskam się przez nią. Mam szczęście, bo chyba teraz nie dałabym rady wdrapać się na ten niezbyt wysoki płot. Ból w brzuchu jest tak silny, że przez następną działkę idę zgięta w pół. Gdy dostrzegam w ciemności przed sobą przewrócone krzesło ogrodowe, uspokajam się, że się nie zgubiłam.

Na koniec mijam jeszcze starą drewnianą willę w żółtym kolorze. Przez okno dostrzegam kobietę i dwójkę dzieci siedzących na kanapie przed telewizorem. Jedzą popcorn i wyglądają na szczęśliwych. Na szczęśliwych i udanych.

W przeciwieństwie do mnie.

Drzwi samochodu nie są zamknięte, a kluczyki tkwią w stacyjce. Opatdam na siedzenie kierowcy i zatraskuję drzwi. Widok mojej brudnej i nabrzmiałej twarzy w lusterku przeraża mnie. Wyglądam na obłąkaną. Niebezpieczną. Chustką do nosa próbuję zetrzeć z policzków błoto, ale tylko jeszcze bardziej je rozmazuję.

Jadę powoli z powrotem do miasta. Unikam nagłego hamowania i doda-

wania gazu, bojąc się, że to mogłoby nasilić ból brzucha. Parkuję przed swoim domem, a idąc do wejścia, modlę się, by nie natrafić na żadnego sąsiada, bo nie byłabym w stanie wymyślić wytłumaczenia, dlaczego wyglądam tak, jak wyglądam. Na szczęście nie spotykam nikogo. Na klatce schodowej utrzymuje się wciąż ten sam zgniły, nieświeży zapach. Schody giną w ciemności, nie słychać żadnych odgłosów. Można by pomyśleć, że nikt tu nie mieszka. Dom widmo.

Winda zatrzymuje się z piskiem na piątym piętrze. Wsiadam, otwieram drzwi swojego mieszkania i wchodzę w ciepło. Po omacku odpinam guziki kurtki, ściągam ją i upuszczam na podłogę. Z przyzwyczajenia rozglądam się za Siggem i dopiero po chwili uzmysławiam sobie, że go nie ma. Zsuwam z nóg botki i wlokę się do łazienki. Dżinsy mam przemoczone i zabłocone. Ale coś jeszcze zwraca moją uwagę, gdy je zdejmuję. Duża plama w kroczu. Pochyliłam się, aby zobaczyć dokładnie, ale i tak już wiem, co się stało.

To krew.

Straciłam dziecko.

Peter

Śledztwo zmieniło kierunek, z dnia na dzień obrało inny kurs, jak to czasami bywa ze śledztwami. Informacja otrzymana z centralnego laboratorium, zgodnie z którą maczetę można powiązać zarówno z morderstwem w domu Jespera Orrego, jak i z zabójstwem Miguela Calderona, była jak bomba wrzucona do komendy. Nadal prowadzone są gorączkowe czynności, ale dotychczasowe zwątpienie przynajmniej częściowo ustąpiło miejsca oczekiwaniu. Wielka tablica w sali, w której wszyscy siedzimy, wyklejona zdjęciami z domu Orrego, mapami i fotografiami jego współpracowników i znajomych, została uzupełniona jeszcze jedną, prezentującą podobny materiał związany z przestępstwem sprzed lat.

Sanchez musiała chyba pracować pół nocy, żeby wgrzyźć się w sprawę Calderóna, i teraz dwoi się i troi, aby znaleźć punkty wspólne Calderóna i Orrego, co moim zdaniem może okazać się trudne, ponieważ wszystko wskazuje na to, że ich życie bardzo się różniło i oni dwaj raczej nigdy się nie spotkali.

Calderón miał dwadzieścia pięć lat, kiedy we wrześniu dziesięć lat temu został znaleziony martwy w wynajmowanej kawalerce na sztokholmskim Södermalmie. Za życia miał się różnych zajęć. Pracował między innymi jako kucharz, osobisty asystent, roznosiciel prasy i wolontariusz w służbie zdrowia. Nie miał dziewczyny, a jego siostra przypuszczała, że był gejem. Pięć lat przed śmiercią otrzymał wyrok za pobicie i kradzież, nic jednak nie wskazywało na to, żeby w okresie bezpośrednio poprzedzającym zabójstwo mógł mieć jakieś powiązania ze światkiem przestępczym. Nie są również dostępne żadne informacje, z których by wynikało, że obracał się w tych samych kręgach i miejscach co Orre, czyli w Sandhamnie, Verbier, Marbelli bądź w klubach nocnych wokół Stureplanu.

Ponadto, ponieważ Orre nadal jest nieuchwytny, coraz więcej przemawia za tym, że to on zamordował tamtą kobietę – i w konsekwencji mógł też pozabawić życia Calderóna. Tyle że kilka par ukradzionych damskich stringów i bezwzględne postępowanie w pracy to jeszcze nie wystarczający dowód je-

go winy. Musimy znaleźć powiązanie między nim a Calderónem. A jeśli ono istnieje, to znajdziemy je na pewno. Choćbyśmy musieli prześwietlić każdy centymetr kwadratowy nędznego życia ich obydwu.

I właśnie na tym etapie ogarniają mnie dobrze mi znane smutek i rezygnacja. Mam dość takich ciągnących się w nieskończoność dochodzeń. Gdyby ktoś spytał mnie jakieś dziesięć lat temu, pewnie bym powiedział, że nie ma bardziej ekscytującego wyzwania dla utalentowanego dochodzeniowca niż wgrzanie się powoli w tego rodzaju sprawy. Dziś jednak czuję jedynie obezwładniające znużenie. Najchętniej kupiłbym sobie sześciopak piwa, pojechał do domu i zaległ przed telewizorem, oglądając sport. Nie sądzę, by ktokolwiek, kto nie jest policjantem, był w stanie zrozumieć, ile pracy wymaga obnażenie życia człowieka. Ile setek godzin przesłuchań trzeba odbyć, ile nagrzebać się w różnych rejestrach i ile odwalić papierkowej roboty, aby zaczął wyłaniać się jakiś obraz i ukazało się to, co istotne.

No i jeszcze Hanne.

W pewnym sensie to dobrze, że udało nam się porozmawiać, chociaż właściwie ja nie mówiłem wiele. Ale po tamtej rozmowie coś między nami się zmieniło. Czuję to wyraźnie, chociaż nie potrafię dokładnie tego nazwać. To przypomina głęboki, wibrujący ton, który nieustannie jest obecny, odkąd ona się tu pojawiła. Coś w rodzaju szumu usznego. Którego nijak nie umiem się pozbyć.

Czasami łapię się na tym, że przyglądam się jej, jak siedzi za biurkiem w swoim sfilcowanym swetrze i z przeplecionymi siwizną włosami zebranyymi w niedbały kucyk. Wczoraj, gdy dotknąłem jej przedramienia, stwierdziłem w duchu, że ona nadal jest najpiękniejszą kobietą, jaką spotkałem. I może jedyną, którą kiedykolwiek traktowałem poważnie.

Nie wiem dlaczego, ale uważam, że cholernie trudno jest rozmawiać z ludźmi o ważnych rzeczach, zwłaszcza z kobietami. A może po prostu nie mam odwagi dopuścić do siebie kogoś bardzo blisko, przynajmniej zawsze tak mówiła mi Janet. Albo dzieje się tak dlatego, że nie mam wiele do powiedzenia i w gruncie rzeczy jestem zupełnie nieinteresujący.

Jednak z Hanne zawsze miałem o czym mówić. To znaczy wtedy, kiedy byliśmy razem. Mogliśmy godzinami leżeć w łóżku i gadać o polityce albo o miłości lub o śmiesznych, drobnych rzeczach, na przykład dlaczego łopatki do żółtego sera są tylko w Szwecji. A czasami ona opowiadała mi o Grenlandii i Inuitach, którzy żyją tam od tysięcy lat w idealnej harmonii z naturą.

Mówiła mi też o swoim marzeniu, aby tam pojechać, pływać kajakiem między blokami lodu i polować na fokki.

Inuici podobno nie znają czegoś takiego jak ślub. Po prostu żyją ze sobą i wszystko jest jasne. Czasami żartowaliśmy, że z inuickiego punktu widzenia możemy uważać się za małżeństwo.

Pamiętam, że miałem ją za osobę pełną radości życia i wyjątkowo beztroską jak na swój wiek. Jest o dziesięć lat starsza ode mnie.

W ogóle mi to nie przeszkadzało, chociaż nigdy mi nie wierzyła, kiedy jej o tym mówiłem, tylko bez przerwy powtarzała, że nigdy nie będziemy mogli mieć dzieci, co powinienem wziąć pod uwagę, i że zestarzeje się dużo wcześniej ode mnie. I czy w związku z tym chcę być ze starą babą?

Chciałem. I mówiłem jej to wprost.

A mimo wszystko nie potrafiłem tego zrealizować. Mimo wszystko kazałem jej na próżno czekać tamtego wieczoru na ulicy. A sam siedziałem u siebie w domu jak przymurowany do łóżka, z kluczykami samochodowymi w dłoni i butelką wódki między kolanami. Zlany zimnym potem ze strachu i niezdolny się ruszyć. Kiedy do mnie zadzwoniła, nie odebrałem. Nie byłem w stanie nawet podnieść pieprzonej słuchawki i powiedzieć, jak się sprawy mają. Że nie jestem gotów się związać.

Nie jestem gotów się związać.

Co za parszywe określenie. Co za nieopisane żalosna wymówka i wytłumaczenie tego, co gniotło i uwierało mnie w środku.

Bąłem się. Najzwyczajniej w świecie się bąłem.

Gdybym tak zdołał to powiedzieć. Prostymi słowami i bez upiększeń wyjaśnił, co mnie dręczy.

Może moje życie wyglądałoby dzisiaj inaczej.

Manfred podchodzi do mojego biurka i marszczy nos.

– Wyglądasz jak gęsie gównno, Lindgren.

– Wielkie dzięki. A ty, widzę, wybierasz się na polowanie?

Rechocze i obciąga sobie kamizelkę w kratkę. Jak zwykle jest ubrany bez zarzutu – żywy anachronizm z trzeciego piętra komendy policji w swoim trzyczęściowym tweedowym garniturze z jedwabną poszetką w kieszonce marynarki.

– Robię, co mogę.

– Coś nowego?

– Po publikacji portretu dostaliśmy całą masę informacji. Zespół Berg-

dahla pomoże nam je przejrzeć. Ale po Orrem dalej ani śladu. Za to zadzwonił facet, który ma warsztat szklarski w Mörby centrum. Podobno niedawno wymieniał u niego szybę w piwnicy. Orre twierdził, że ktoś się włamał, ale niczego nie ukradł. Co by może wyjaśniało, dlaczego nie było żadnego zgłoszenia.

– Trzeba to sprawdzić. Poproś Sanchez, żeby się z nim spotkała – mówię.

– Boże drogi, co my byśmy zrobili bez tej naszej Sanchez.

Manfred wypowiada jej nazwisko śpiewnym tonem z silnym vibrato, jak – nie przymierzając – śpiewak operowy, i jednocześnie teatralnym gestem unosi prawą rękę ponad głowę.

Sanchez rzuca nam od biurka cierpkie spojrzenie, powstrzymuje się jednak od komentarza.

Wychodzę z komendy około ósmej. W końcu są pewne granice godzin nadliczbowych, nawet w samym środku ważnego dochodzenia. Nikt nie podziękuje glinie za to, że rezygnuje z własnego życia dla pracy.

Kiedy parkuję samochód przed kamienicą, w której mieszkam, mam dziwne uczucie, że coś jest nie tak. Na klatce schodowej pali się światło, a drzwi wejściowe są lekko uchylone, jakby ktoś zapomniał je za sobą zamknąć. Biorę pizzę, którą kupiłem po drodze, i ruszam schodami na górę.

Dom pochodzi z lat pięćdziesiątych; ma ściany w kolorze irytującej pistacji i podłogę w ciapki, która wygląda tak, jakby ktoś na chybił trafił wysypał na cement małe czarne i białe kamyki. Na każdym piętrze jest po czworo drzwi obitych drewnianą okleiną oraz obowiązkowy zsyp na śmieci. Mieszkam na samej górze, co może wydawać się przywilejem, ale kiedy trzy lata temu złamałem nogę, musiałem skakać po schodach z kulami w ręce.

Pod moimi drzwiami siedzi Albin z deskorolką. Jest ubrany w zdecydowanie za cienką bluzę z kapturem i džinsy zwisające nisko na biodrach. Trzyma sfatygowaną reklamówkę z Coopa. Jasne włosy opadają mu na twarz, a pomiędzy kosmyków wystają nieco odstające uszy, które ma po Janet.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiadam. – A co ty tu robisz?

– Pokłóciłem się z mamą. Mogę się przekimać u ciebie?

Jestem w szoku. Albin nigdy dotąd u mnie nie spał.

– No nie wiem. Może lepiej zadzwonimy do mamy – proponuję, po czym wydaję klucze i otwieram drzwi. Na podłodze w przedpokoju leży stos brudnych ubrań, slipów i T-shirtów, które zamierzałem wyprać dziś wieczor-

rem. Zamykam drzwi z powrotem.

– Nie wpuścisz mnie?

Albin wstaje i patrzy prosto na mnie. Wygląda na trochę niepewnego i zdezorientowanego. Nie bez powodu ma wątpliwości, czy może liczyć na własnego ojca, czy nie.

– Wpuszczę. Jasne, że wpuszczę... Chodzi tylko o to, że... trochę mam bałagan.

– Spoko.

– Okej.

Znowu otwieram drzwi i wchodzimy do środka. Smukła postać Albina przemyka jak cień obok mnie do pokoju i znika na kanapie.

– Posłuchaj – zaczynam. – Super cię tu widzieć, ale nie jestem pewny, czy to dobry pomysł, żebyś u mnie spał.

– Bo co?

– Bo.

– No co?

– Bo nie mam dla ciebie łóżka.

– Mogę położyć się tutaj – oświadcza Albin, poklepując dłonią kanapę. Po czym kładzie się, zsuwa sneakersy i opiera nogi na podłokietniku. Zwracam uwagę, że wygląda na strasznie wychudzonego, i zastanawiam się, czy nie powinienem go spytać, czy jada jak należy. Zdaje się, że tak się robi, gdy się jest rodzicem.

– Jutro rano muszę wstać bardzo wcześnie, więc nie najlepiej się składa – rzucam.

– No i? Przecież mogę zostać sam. Mamie odbiło i nie wrócę do domu.

– Poza tym muszę popracować wieczorem.

– Nie będę ci przeszkadzał.

Chodzę tam i z powrotem po pokoju, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Wreszcie stawiam pizzę na ławie przed kanapą.

– A Janet wie, że tu jesteś?

Albin zasłania sobie oczy, jakby miał już dość pytań.

– Nie.

– No co ty. Na pewno potwornie się denerwuje. Zadzwońię do niej.

Janet zjawia się godzinę później. Jest rozszczębiotana i chyba już dawno nie była w tak dobrym humorze. Pewnie jest zadowolona z nowego kursu, na który chodzi. Będzie manikiurzystką. Kiedy pokazuje mi swoje długie, prze-

rażliwie różowe paznokcie, mówię, że ładne, chociaż wcale tak nie myślę.

Janet i Albin przez chwilę rozmawiają ze sobą szeptem. Potem ona mocno go ściska, co każe mi przypuszczać, że się pogodzili.

Bynajmniej nie musiałem się trudzić, żeby ją namówić do przyjazdu do mnie. Wystarczyło, że jej oświadczyłem, że nie mam miejsca dla Albina, nie tego wieczoru. Nie wydawała się ani zdziwiona, ani oburzona. Bo właściwie dlaczego miałoby ją to dziwić czy oburzać? Przecież w moim życiu nigdy nie było miejsca dla Albina.

Stoję w oknie i obserwuję, jak idą do jej małego czerwonego golfa. Tuż przed wejściem do samochodu Albin zatrzymuje się, obraca i spogląda w górę. Nie bardzo wiedząc dlaczego, robię krok do tyłu i stoję za zasłonką. Zaciśkam mocno powieki i otwieram je dopiero wtedy, gdy słyszę oddalający się warkot silnika.

Kiedy Albin był młodszy, czasami nachodziła mnie myśl, że może jednak powinniśmy mieć ze sobą więcej kontaktu. Na przykład wybrać się co jakiś czas do parku rozrywki Gröna Lund albo na mecz piłki nożnej. Ale gdy tylko próbowałem wyobrazić sobie nas razem, od razu coś się we mnie skręcało. Nie wiedziałem, jak miałbym się przy nim zachowywać.

Wmówiłem sobie, że lepiej poczekać, aż podrośnie i będzie więcej rozumiał. Ludzie dorośli przynajmniej wiedzą, jak ze sobą rozmawiać.

Lecz z każdym mijającym rokiem było coraz trudniej. No bo jak zacząć spotykać się po tylu latach z własnym synem, którego w ogóle się nie zna? Co, u diabła, miałbym powiedzieć obcemu chłopakowi, będącemu jednocześnie moją krwią i moim ciałem i pewnie czującym do mnie nienawiść za to, że nigdy mnie nie było? Teraz już nawet mecz piłkarski nie wydawał się rozwiązaniem. Mielibyśmy stać na trybunie, w wymuszonej, sztucznej wspólnocie, każdy z puszką piwa w ręce, i udawać, że jesteśmy kumplami? Czy też powinienem się rozkleić i pochlipując, wyjaśnić, dlaczego nie znalazłem dla niego miejsca w swoim życiu?

Oczywiście nigdy nic nie wyszło z tego meczu.

Następnego dnia rano wybieram się razem z Manfredem do domu Jespera Orrego. Niebiesko-biała taśma odgradzająca, której jeszcze nikt nie zerwał, łopocze i szeleści w podmuchach wiatru, kiedy pokonujemy krótki odcinek od furtki do drzwi wejściowych. Manfred szuka wśród kluczy, które dostał od techników, otwiera i zapala światło.

Krwi już nie ma i hol wygląda zupełnie zwyczajnie. Ale gdy przyjrzeć się

dokładnie, można dostrzec słabe rdzawobrazowe plamy w fugach między kamiennymi płytkami posadzki i między listwami a ścianami. Śmierć ma to do siebie, że wżera się mocno, przemyka mi przez głowę. Jakby nie chciała wyjść się z miejsc, które odwiedziła. Wgryza się w ściany i podłogę i pozostawia wyraźny zapach przemijalności, którego nie da się usunąć. Większość ludzi po takim zdarzeniu jak to decyduje się przemałować albo całkiem odnowić swój dom.

– Czego szukamy? – pytam.

– Żebym to ja, kurde, wiedział. Czegokolwiek, co przeoczyli technicy.

Zaczynamy metodycznie przeczesywać wszystkie pomieszczenia. Idziemy od pokoju do pokoju, robimy zdjęcia, grzebiemy w ubraniach, naczyniach i starych lekarstwach. Zdjęcia mają wesprzeć naszą własną pamięć, bo te oficjalne z miejsca przestępstwa zrobili już wcześniej technicy.

Dom jest zadbane i porządnie wysprzątany, niemal sterylnie czysty, ale nie ma w nim specjalnie dużo przedmiotów o charakterze osobistym. Jedyna fotografia, jaką znajdujemy – przedstawiająca Orrego i kilka kobiet na plaży – stoi na półce w salonie.

Manfred wskazuje na nią głową.

– Jest w raporcie techników. Nie musisz robić fotki.

– Dlaczego szkło jest pęknięte? – pytam, przesuwając palcem po ostrym kawałku szybki siedzącej nadal w ramce.

Manfred wzrusza ramionami.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Może któraś z tych kobiet to ofiara.

– Może. Ale i tak nie da się rozpoznać. Zdjęcie jest nieostre.

Jak zawsze podczas przeszukiwania domów czuję się nieswojo. Po prostu jak intruz. W przetrząsaniu używanej bielizny i bobrowaniu w resztkach jedzenia innego człowieka jest coś odstręczającego, czuję się wtedy jak sęp, chociaż wiem, że to konieczne.

Manfred sprawdza regał, na którym oprócz niewielu książek stoją pojedyncze ozdoby i leży masa pism fachowych. Odsuwa na bok kilka tomów i pochyła się do przodu.

– Nie zgadniesz, Lindgren, co znalazłem za książkami!

Podchodzę do niego. Trzyma w ręce film DVD. Na obwolucie widoczna jest związana naga kobieta leżąca na plecach z rozłożonymi nogami. Mężczyzna z pejcem stoi nad nią odwrócony tyłem do fotografa.

– O kurwa...

– Mówiłem, że to jakiś świr – mamrocze Manfred.

– Chcesz to sobie wziąć do domu?

Spogląda na mnie i uśmiecha się krzywo.

– Afsaneh obcięłaby mi jaja, gdyby znalazła u mnie coś takiego. Ale może tobie przydałoby się trochę rozrywki?

– Jasne. Pornosy, zwłaszcza z użyciem przemocy, zawsze wprawiają mnie w dobry humor.

Odkładamy film na miejsce i przechodzimy do kuchni. Lśniące czarne szafki i metalowe blaty przywodzą mi na myśl sale sekcyjne w zakładzie medycyny sądowej w Solnie. Nawet zlew i kran z wyciąganą i przypominającą prysznic końcówką też kojarzą się z tamtą instytucją.

– Niezbyt to fajne – mówi Manfred, kręcąc nosem.

Zgadzam się z nim. Jestem mu wdzięczny za to, że nigdy nie chciał obejrzeć mojego mieszkania, mimo że już tyle lat pracujemy razem. Domyślam się bowiem, że uznałby je za wyjątkowo nędzne. On i Afsaneh mieszkają w kamienicy z przełomu wieków z kafłowymi piecami i dziełami sztuki na ścianach. Mają firanki, poduszki, kolorowe dywaniki, książki i wszystko to, czego mnie nigdy nie udało się zdobyć. Blaszkę do ciasta, butelki ze smoczkami, maszynki do lodów i sokowirówki cisną się w kuchennej szafce. A zaproszenia na różne imprezy wiszące na lustrze w przedpokoju obwieszają, wręcz krzyczą, jak bardzo są lubiani.

– Może zejdziemy jeszcze do piwnicy? – pyta Manfred i rusza do holu, nie czekając na moją odpowiedź. Idę więc za nim po schodach, które trzeszczą pod jego ciężarem.

Na dole czuć mieszaninę stęchlizny i zapachu proszku do prania; z daleka dochodzi jednostajne buczenie. Nie wiadomo dlaczego raptem zaczyna mi się kręcić w głowie i robi mi się trochę słabo, i chociaż najchętniej bym gdzieś usiadł, posłusznie wchodzę do pralni za Manfredem, który zapala światło i otwiera szafę. Ręczniki i prześcieradła leżą starannie złożone obok kosza z damską bielizną, którą technicy znaleźli schowaną w jednej z szafek. Manfred ostrożnie wyjmuję jedną rzecz po drugiej i rozkłada na stoliku obok pralki. Czarna koronka i czerwony jedwab, różyczki i błyszczące sztuczne diamenty. Oto one – wszystkie trofea Jespera.

– Popatrz no – odzywa się, podnosząc mikroskopijne figi z perełkami naszytymi w kroczu. – Wyglądają na kurewsko niewygodne. Czy to coś. ten

rzemyk z perłami.. .ma być. w tyłku? Między półdupkami?

Nic nie mówię, tylko myślę sobie, że nigdy nie widziałem Hanne w czymś takim i raczej już nie zobaczę.

Odkładamy damskie fatałaszki na miejsce i przechodzimy do drucianych koszyków z brudnymi rzeczami Jespera. Identyczne białe koszule i bokserki leżą skłębione z ręcznikami i ubraniami sportowymi. Wyciągam wytarte dżinsy i unoszę je wyżej. Wyglądają normalnie, nie mają żadnych nietypowych plam czy uszkodzeń, które wskazywałyby na coś podejrzanego. W chwili gdy zamierzam je wrzucić z powrotem do kosza, wyczuwam coś w tylnej kieszeni. Niewielką wypukłość, jakby ktoś przez zapomnienie zostawił w niej banknoty albo paragony.

Wyciągam złożoną kilka razy kartkę wielkości połowy A4 z odręcznym tekstem. Charakter pisma jest miękki, litery są nieco pochylone do tyłu, wyglądają niemal jak pisane ręką dziecka.

Jesper,

piszę do Ciebie, ponieważ uważam, że jesteś mi winien wyjaśnienie. Rozumiem, że miłość może się skończyć, naprawdę rozumiem. Ale to, że nie przyszedłeś na naszą zaręczynową kolację i zostawiłeś mnie samą, to już nie jest w porządku. A potem jeszcze, kiedy próbowałam się z Tobą skontaktować, zachowywałeś się tak, jakbym w ogóle nie istniała – jak Twoim zdaniem mogłam się czuć? Jeśli chciałeś mnie zranić, to rzeczywiście Ci się udało.

Chcę Ci powiedzieć, że jestem w ciąży. Niezależnie od tego, co do mnie czujesz, musimy porozmawiać o dziecku. Nie oczekuję, że weźmiesz na siebie odpowiedzialność jako ojciec, ale muszę obgadać z Tobą tę nową sytuację. Myślę, że jesteś mi to winny.

Emma

Emma

Miesiąc wcześniej

Leżę w łóżku z bolącym brzuchem i myślę o Gwóździu i o tym, jak Elin nas nakryła.

Staliśmy w magazynku przy sali zajęć technicznych i wtedy zadałam mu pytanie:

– Czy zdarzyło ci się kiedyś, że czułeś się tak, jakby właściwie nic nie było prawdziwe? Jakby twoje życie było jedynie filmem?

– Co za dziwne pytanie. Co masz na myśli?

Powiesił młotek na haku na ścianie. Przyległa sala była pusta, ponieważ o tej porze, czyli o wpół do dwunastej, wszyscy poszli albo do stołówki, albo na boisko.

– Chodzi mi o to, że życie czasami wydaje się takie nierzeczywiste. Nigdy tak nie miałeś?

– Nie – odparł krótko i przyjrzał mi się badawczo. – A może to wynika z tego, że niedawno straciłaś ojca – dodał trochę łagodniejszym tonem.

Milczałam. Nie chciałam myśleć o tacie. O mężczyznach, którzy przyszli i go zabrali, ani o mamie, która po jego odejściu spała w łazience.

Gwóźdź wziął szczotkę i zaczął zamiatać podłogę. Pęk kluczy pobrzękiwał lekko przy jego każdym ruchu. Cofnęłam się o krok pod ścianę, aby zajmować jak najmniej miejsca; czułam chłód betonu na plecach. Po chwili odstawił szczotkę, oparł się o szafkę, spojrzał na mnie i nieznacznie wzruszył ramionami.

– Będzie lepiej.

– Skąd wiesz? Wszyscy tak mówią, ale skąd mogą to wiedzieć?

Gwóźdź otrzepał z dżinsów pył drzewny.

– Bo wiem. Mój ojciec też zmarł, kiedy byłem w twoim wieku. Przetrwał dyktaturę, ale kiedy przyjechaliśmy do Szwecji, zmarł na zawał. Idiotyczne, co?

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

– Myślałem, że jestem silny – ciągnął. – Że to udźwignę, ale wpadłem po uszy w gówno. Szkoda, że nie miałem wtedy nikogo, z kim mógłbym poroz-

mawiać. Kto by mnie wysłuchał i zrozumiał.

– Co ci się stało?

Gwóźdź spojrzał na swoje dłonie i wyciągnął je przed siebie, jakby chciał sprawdzić, czy nie są brudne. Na jednym kciuku miał paskudne zadrapanie, które zaczynało się już goić, a na małym palcu drugiej ręki tkwił brudny plaster.

– Skaleczyłem się.

– Jak?

– Zadałem się z niewłaściwymi typami. Niewiele brakowało, a zrujnowałbym sobie własną przyszłość. Dużo czasu mi zajęło... naprawienie szkód, które wyrządziłem przez te lata.

– Zrobiłeś komuś krzywdę?

Roześmiał się, jakby powiedział coś głupiego, i przeczesał sobie włosy palcami.

– Samemu sobie. Ale tobie to nie grozi. Dobra z ciebie dziewczyna. Rozumiesz, co mam na myśli? Mieszkasz w porządnej dzielnicy, masz rodzinę i przyjaciół, którzy się o ciebie troszczą. Na pewno sobie poradzisz.

Oblała mnie fala rozczarowania. Nie chciałam być „dobrą dziewczyną”. Chciałam być kimś innym, kimś ważniejszym i większym, i może niebezpiecznym. Mówiąc wprost: chciałam coś znaczyć. Chciałam, żeby było jak poprzednim razem w magazynku. Czekałam na swoje imię w jego ustach, na jego dotyk na mojej skórze.

Zrobiłam ostrożny krok w jego stronę.

– Emmo?

Spojrzał na mnie z wyraźnym zdziwieniem.

Przysunęłam się jeszcze bliżej, otoczyłam go ramionami i przytuliłam się mocno do jego ciepłego ciała. Poczułam od niego zapach papierosowego dymu i odór potu. Stał sztywny jak kołek, ale po chwili położył mi rękę na ramieniu i poklepał mnie po nim, jak poklepuje się posłusznego psa.

– Wszystko się ułoży, Emmo. Zobaczysz.

Jego słowa mnie sprowokowały. A kto mu powiedział, że ja chcę, żeby wszystko się ułożyło? Odchyliłam się odrobinę do tyłu, tylko tyle, żeby móc go widzieć, spojrzeć mu w twarz. Nie jestem pewna, ale odniosłam wrażenie, że był wręcz przestraszony, a w jego oczach dostrzegłam jakby cień pytania czy coś w rodzaju niepokoju.

Wspięłam się więc na czubki palców, pochyliłam do przodu i go pocało-

wałam. Jego wargi były martwe i zaciśnięte, zupełnie inne niż poprzednim razem. Stał nieruchomo, jak zmrożony, lecz po chwili ocknął się i trzęsąc się, zdecydowanie odsunął mnie od siebie.

– Emma! Co ty.?

W sali obok nagle skrzypnęły drzwi i zaraz się zatrzasnęły. Odwróciłam się i w wejściu do magazynku ujrzałam cień.

To była Elin. Stała pochylona do przodu, jakby na brzegu basenu starała się zachować równowagę tuż przed skokiem do wody. Miała na wpół otwarte usta, a w ręce trzymała puszkę z jakimś napojem gazowanym

– Elin! – krzyknął Gwózdź. – Chodź! Chcę z tobą porozmawiać.

Elin stała dalej jak wryta, ale puszka powoli wyślizgiwała się jej z dłoni. Minęła niemal cała wieczność, zanim upadła na podłogę i płyn rozlał się po linoleum.

– Elin! – zawołał jeszcze raz, ale ona już się odwróciła i pędem puściła się przez salę. Jej wytarta skórzana kurtka i czerwona czapka zniknęły w drzwiach wraz z oddalającym się odgłosem jej obcasów.

Około trzeciej łykam tabletkę przeciwbólową. Brzuch wciąż mnie boli i nadal krwawię. W końcu osuwam się w półsen. Nie wiem, czy mi się to śni, czy rzeczywiście leżę tak długo, że wreszcie pora wstać.

Z brzuchem jest już lepiej, właściwie ból minął. Za to zaczyna mnie ogarniać zupełne odrętwienie. Jakbym zamieniała się w kamień – zimny, twardy i nieczuły na to, jak traktuje mnie otoczenie. Okna są czarne, a w pokoju jest zimno. Wizja pozostania w łóżku wydaje się nęcąca, wiem jednak, że muszę się podnieść. Najwyższy czas, żeby jakoś rozwiązać tę moją sytuację. Nie mogę być dłużej zabawką, którą Jesper przestawia, jak chce.

Postanawiam pojechać do pracy, mimo że nie jestem tam już mile widziana, ale wmawiam sobie, że muszę się tam wybrać, ponieważ powinnam oddać Oldze samochód.

– Cześć – mówi, nie odrywając wzroku od wieczornej gazety.

Siadam naprzeciw niej.

– Cześć.

Przewraca stronę i jedną ręką wygładza papier, a w drugiej trzyma niezapalonego papierosa. Wyjmuję kluczyki i kładę je na gazecie.

– Dzięki za autko.

– To jakieś chore z tymi eliminacjami do Eurowizji.

Nie odpowiadam.

– Pójdiesz? – pyta, unosząc wymownie papierosa.

– Jasne – rzucam ze wzruszeniem ramion.

Wychodzimy na korytarz, który prowadzi do pomieszczenia na zapleczu. Choć palenie jest tam surowo zabronione, nikt się tym nie przejmuje. Stosy zgniecionych kartonów leżą pod ścianą. Wózek magazynowy stoi oparty o drzwi.

– Zapalisz?

Olga wyjmuję z kieszeni paczkę papierosów. Kręczę jednak głową.

– Nie, dzięki.

Patrzy na mnie oczami wielkimi jak spodki i przypala sobie papierosa. Po chwili pochyla się ku mnie i dotyka palcem mojego policzka.

– A co ci się tu stało?

– Przewróciłam się w krzaki.

Spogląda na mnie z powątpiewaniem.

– To znowu on? Ten twój facet? Uderzył cię? W takim razie powinnaś zgłosić to na policję.

– Nikt mnie nie uderzył. Ale wczoraj go wyśledziłam. I wiem już, gdzie mieszka. Ja...

Zacinam się, czuję, że zbiera mi się na płacz. Olga obejmuje mnie mocno, wbijając mi przez sweter swoje długie paznokcie w ramię.

– Co się stało, Emmo? Opowiedz mi. To zawsze dobrze robi, jak człowiek wyrzuci z siebie to, co go męczy.

– On. on ma duży dom w Djursholmie i mieszka tam z inną dziewczyną. Czyli od samego początku mnie oszukiwał. Mówił, że nie możemy się zdradzić z naszą znajomością ze względu na jego pracę i że to dlatego nie powinniśmy pokazywać się razem. Ale tak naprawdę chodziło o coś zupełnie innego. On miał kogoś. Rozumiesz? To jakieś. zupełnie chore. I potem przypomniałam sobie to, co ty podejrzewałaś: że może on chce mnie skrzywdzić, bo kto wie, czy nie jest psychopata. Nie mam pojęcia, co teraz robić. Zapaskudził mi życie, a ja zupełnie nie wiem, jak sobie z tym poradzić.

Olga wzdycha, opiera się o betonową ścianę i kieruje spojrzenie na nieosłoniętą jarzeniówkę na suficie. Słysząc głucho dudnienie kolejki metra przejeżdżającej gdzieś głęboko pod nami. W nozdrza wciska się zapach wilgotnego betonu i zgnilizny.

– Posłuchaj, Emmo – odzywa się wreszcie i powoli zaciąga papierosem. Po chwili długa smuga dymu wzbija się ponad naszymi głowami, aby potem

rozpląnąć się w powietrzu. – Musisz się od niego uwolnić. On. zdobył nad tobą władzę. Jeśli taki miał cel, to mu się udało.

– Uwolnić się?

– No tak, iść dalej. Zanim całkiem zagonisz się w kozi róg.

– Zapędzisz się w kozi róg.

Olga nie zwraca uwagi na moje słowa.

– Wypnij się na niego. Znajdź sobie jakiegoś innego faceta. On nie jest ciebie wart. Musisz o nim zapomnieć i iść dalej.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie? – rzuca tonem pełnym niezgody.

– Bo on. Bo on nie tylko mnie oszukał. Ale zabrał mi też pieniądze, kota i.

– Jesteś pewna, że zniknięcie kota to jego sprawka?

– Nie, ale.

– A na te pieniądze, które mu pożyczyłaś, chyba podpisałaś z nim jakąś umowę?

– No co ty, jasne, że nie. Kto podpisuje umowę z własnym facetem?

– Czyli nigdy mu tego nie udowodnisz. I możesz mieć pretensje tylko do siebie.

Nagle czuję się wkurzona na Olę. Czasami potrafi być wyjątkowo gruboskórna, po prostu zero empatii. Lecz jakby w ogóle nie zauważała mojej irytacji, wydaje się nad czymś zastanawiać. Z korytarza dochodzą czyjeś kroki. Gdy są coraz bliżej, jej twarz się rozpromienia.

– Może mogłabyś go oskargować?

– Oskargować?

– No tak, w sądzie.

– Oskarżyć? O co?

– Na pewno coś znajdziesz.

Otwierają się drzwi i do środka zagląda Mahnoor. Ciemne włosy ma upięte w kok na czubku głowy, a oczy podkreśliła grubymi czarnymi kreskami. Wygląda jak gejsza.

– Chyba wiecie, że tu nie wolno palić?

– Co ty powiesz – bąka Olga.

– Dajcie spokój, przecież nie możecie robić sobie przerwy dwie naraz i zostawiać mnie samą w sklepie.

Nie czekając na naszą odpowiedź, wycofuje się, a ciężkie stalowe drzwi

zamykają się za nią z metalicznym kliknięciem.

– Wypisz wymaluj Björne – zauważyła Olga z pełnym irytacji prychnięciem.

– A co tak naprawdę stało się z twoim ojcem?

Szliśmy z Jesperem brzegiem wody w parku Tantolunden. To był jeden z tych niewielu dni, kiedy wybraliśmy się razem na spacer. Tamtego popołudnia zrobiło się tak ciepło i słońce grzało tak kusząco, że nie byliśmy w stanie usiedzieć w czterech ścianach małego mieszkania przy Kapellgränd.

– Umarł.

– To wiem, ale dlaczego? Ile miałaś wtedy lat?

– Piętnaście.

– Trudny wiek.

Pamiętam, że się wtedy zastanowiłam. Czy rzeczywiście trudniej jest, kiedy ma się lat piętnaście niż dwanaście czy osiemnaście? Może on powiedział to tylko przez grzeczność, żeby okazać mi empatię?

– Dosyć.

– Chorował?

Jesper zatrzymał się przy jakimś letnim domku. Pelargonie w różnych kolorach i porcelanowe figurki zwierząt wypełniały niewielki ogródek. Nagle nie wiadomo skąd wyskoczył nieduży pies, podbiegł do nas i zaczął głośno szczekać.

– Powiesił się.

– Boże drogi, Emmo! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie pytałeś.

– Powinnaś była mi powiedzieć.

Przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił.

– Czy to by coś zmieniło? – wymamrotałam w jego tors.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale mógłbym ci pomóc. Być wsparciem.

– Wsparciem?

Nie chciałam, aby to zabrzmiało ironicznie, ale mimo woli chyba tak zabrzmiało. Myśl o tym, że on, który nie chciał, by choćby widziano nas razem w mieście, nagle tak bardzo troszczy się o mnie i chce być dla mnie wsparciem, wydała mi się absurdalna. Ale chyba nie dostrzegł nuty ironii w moim głosie, bo pocałował mnie przelotnie i wziął za rękę.

– Chodź.

Szliśmy dalej brzegiem w milczeniu. Wszędzie pełno było wyletnionych

sztokholmczyków, którzy wylegli na dwór na piechotę, na rowerach albo pływali łódkami. Nieco dalej dwaj mężczyźni o wschodnich rysach łowili ryby, ale robili to bez specjalnego zapachu, o czym świadczyły spławiki kołyszące się spokojnie na wodzie przy pomocy – może oni też mieli wakacje.

Jesper splótł swoje palce z moimi. Ścisnął mi dłoń tak mocno, że aż zabolowały mnie kostki, nic jednak nie powiedziałam, zadumawszy się nad rodziną, która nagle przestała istnieć. Myślałam o tacie i mamie, a także o naszym mieszkaniu i o wszystkich upchniętych w nim rzeczach: uszkodzonych meblach, strzępach zużytych ręczników i dywaników, pustych butelkach, słoikach różnej wielkości z zakrętkami lub bez. Właściwie dlaczego mieliśmy tyle tych rupieci? Kto tak naprawdę je zbierał? Chyba mama, bo po śmierci taty nic pod tym względem się nie poprawiło. Myślałam też o wszystkich drobiazgach, o które się kłóciliśmy: kto ma pozmywać naczynia, czy mogę wrócić do domu dopiero o jedenastej, czy nie, jak trzeba kroić kawałek żółtego sera, żeby się nie zamienił w stok narciarski, i dlaczego mama musiała koniecznie wypić kilka piw, żeby się odprężyć i znowu być człowiekiem.

A teraz nic z tego już nie ma. Jedynie szczątkowe wspomnienia o czasie, który dawno minął, o ludziach, którzy odeszli i rozplynęli się w powietrzu. Wspomnienia miejsc i rzeczy. Marzeń i obietnic, planów, miłości i smutków.

– Dlaczego odebrał sobie życie?

– Tak naprawdę nie wiem. Trochę pił, mama zresztą też, ale nie jestem pewna, czy to był ten powód. To takie strasznie dziwne. Mam wrażenie, że w mojej pamięci jest dziura. Zupełnie jakby kilka lat rozplynęło się nie wiadomo gdzie. Jakby ich nie było.

– Bo chyba tak już jest. Po prostu się zapomina.

– Tak uważasz?

Nie odpowiedział. Kiedy dotarliśmy do niewielkiego pomostu, nic nie mówiąc, przeszliśmy na sam jego koniec i usiedliśmy na nieco zmurszałych deskach pachnących smołą. Za ledwie kilkadziesiąt centymetrów pod naszymi stopami promienie słońca kładły się na tafli wody pomarszczonej lekką bryzą. Na przeciwległym brzegu z bujnej zieleni tu i ówdzie wystawały korpusy domów w Årsta, jak dzieci bawiące się w chowanego.

– Jeśli nie chcesz, to nie odpowiadaj, ale kto go znalazł?

Odchyliłam się mocno do tyłu i oparłam łokciami o chropowate deski pomostu, po czym położyłam się na nich i spojrzałam prosto w niebo. Nieduże białe obłoczki jak z widokówki powoli szybowały nad nami. Ponad wodą

krążyły mewy i skrzeczały w charakterystyczny sposób.

– Mama. Powiesił się w dużym pokoju. Wzięła nóż z kuchni i sama go odcięła. Gdy wróciłam do domu, wciąż leżał na dywaniku w pokoju ze sznurkiem wokół szyi.

– Widziałaś go?

– Tak.

– Niech to szlag. Powinnaś była powiedzieć.

Milczałam. Kiedy opuściłam powieki, natychmiast zobaczyłam go przed sobą – jak leżał na boku na dywaniku w żółte słoneczniki, utkany przez jedną z ciotek. Niebieski plastikowy sznur był ciasno ściągnięty, twarz miała dziwny kolor, a z na wpół otwartych ust wystawał język. A przy nim mama siedziała w kucki i kołysała się w przód i w tył, bełkocząc coś bez ładu i składu.

Jesper wyciągnął się obok mnie, zmrużył oczy w słońcu i położył rękę na mojej piersi.

– Biedna mała Emma – bąknął. – Zaopiekuję się tobą.

I w tamtej chwili, czując słońce na twarzy, odurzona porywającym pięknem sztokholmskiego pejzażu, wierzyłam mu.

Naprawdę wierzyłam w jego słowa.

– Pamiętaj o czapkach i szalikach.

Mahnoor pokazuje na miejsce obok kasy. Potakuję głową, nic nie mówiąc. Przez cały dzień kręcę się po sklepie, spodziewając się, że w każdej chwili ona albo Olga poproszą mnie, żebym poszła do domu, czyli przypomną mi, że dostałam wypowiedzenie.

Ale żadna z nich nic takiego nie mówi, toteż w miarę upływu godzin nabieram coraz większego przekonania, że nie wiedzą o moim zwolnieniu, czyli że przepływ informacji między działem personalnym a samym personelem nie działa jak należy – jakby na przekór nazwie działu. Odnoszę dziwne wrażenie, że mogłabym zostać w swojej bańce mydlanej tak długo, jak tylko bym chciała, jakby to od mojej decyzji zależało, kiedy tak naprawdę przestanę tu pracować.

Zaczynam powoli ciągnąć stojak z czapkami i rękawiczkami od kasy w stronę wejścia. To ciągłe przestawianie regałów i przekładanie rzeczy jest potwornie męczące. Wiem oczywiście, że chodzi o to, żeby więcej sprzedać, ale trudno chyba o coś bardziej bezsensownego niż przekładanie góry dzinsów z jednego końca sklepu w drugi.

Olga mi pomaga. Przynosi szaliki i wyklada je obok czapek i rękawiczek. Zaglądam do instrukcji otrzymanej z centrali i sprawdzam, czy nowa ekspozycja jest z nią zgodna.

– Teraz chyba jest okej.

Olga zagląda mi przez ramię, żeby zobaczyć szkic.

– Pokaż.

Patrzy na przemian na kartkę i na stojak, po czym kiwa głową.

– Chyba powinno być tak – mówi i odrobinę przesuwając czapki.

Zdarza się, że mamy niezapowiedziane kontrole z centrali. Sprawdzane jest wtedy wszystko: począwszy od okien wystawowych po porządek w kuchni i czystość w toalecie dla personelu. Jeśli wynik inspekcji nie jest zadowolający, sklep otrzymuje minus, co nie pozostaje bez wpływu na premie pracowników, czyli nas. Niezależnie od tego, co myślimy o szefach z centrali, trzeba przyznać, że ten ich diabelski system kontroli okazuje się dość skuteczny.

– Słuchaj, Olga. Kiedyś mi powiedziałaś, że powinnam się zemścić. To znaczy, co miałabym zrobić?

Olga krzyżuje ręce na piersi i marszczy brwi.

– Czy ja wiem... Spotkaj się z nim, rozmów się ostro? – Podnosi parę rękawiczek, które zsunęły się ze stojaka na podłogę. Gdy spogląda na mnie znowu, dostrzegam irytację w jej twarzy. – A skąd ja mam to wiedzieć?

Zaskakuje mnie nagła agresja w jej głosie.

– Nie, no jasne. Ale kiedyś wspomniałaś coś takiego, więc myślałam, że może wpadłaś na jakiś dobry pomysł.

Nie odpowiada. Udaje bardzo zaaferowaną zawieszaniem czerwonych skórzanych rękawiczek na właściwym miejscu. Od strony kasy dobiega miękki śmiech Mahnoor, która rozmawia z jakimś klientem. Waham się przez chwilę, w końcu jednak się decyduję:

– On jest mi winien sto tysięcy. Czy to znaczy, że mam prawo ukraść mu sto tysięcy?

Olga robi niewyraźną minę, ale nie patrzy na mnie.

– Dlaczego nie?

Poprawiam czapki, sprawdzam, czy wiszą jak trzeba na małych metalowych haczykach.

– A jeżeli na przykład on ma psa – mówię. – Mogę mu go zabrać? I wywlec do lasu dziesięć kilometrów dalej?

Olga zamiera w pół ruchu i w końcu spogląda w moją stronę. W jej oczach widać wyraźną odrazę.

– Dlaczego miałabyś zabierać mu psa? To dopiero byłoby naprawdę chore.

– Ale przecież on wziął mi kota!

– Nie wiesz, czy to on. Może kot po prostu ci zwiął.

Wiem na pewno, że to był on, ale nie mam siły sprzeczać się teraz z Olgą. Niech sobie myśli, co chce.

Nagle czuję zapach perfum i po chwili obok mnie staje Mahnoor. Delikatnie kładzie mi dłoń na ramieniu.

– O czym gadacie?

– Ach, tak o wszystkim i o niczym – kłamie Olga i oddaje jej szkic przysłany z centrali. – Dobrze ułożyłyśmy? Wszystko gra?

Mahnoor porównuje ekspozycję na stojaku z projektem.

– Bardzo dobrze – odpowiada, podczas gdy Olga odwraca się na pięcie i drobi na swoich niebotycznie wysokich obcasach w stronę kuchni.

Dochodzę do wniosku, że niezależnie od tego, jaki rodzaj zemsty byłby najlepszy, koniecznie muszę coś zrobić. Wiem, że nie zaznam spokoju, jeśli się na to nie zdobędę. Wiem to całą sobą.

Tylko co ja mogę zrobić komuś takiemu jak Jesper Orre? Człowiekowi, który ma wszystko: sukcesy, pieniądze, kobiety. Logika by nakazywała, żeby odplacić mu tą samą monetą, pięknym za nadobne – oko za oko, ząb za ząb. Wślizgnął się do mojego domu i ukradł mi moją własność i mojego kota. Pozbawił mnie pracy, pieniędzy, dziecka. Ale może Olga ma rację, twierdząc, że raczej nie mogę zrobić mu tego samego?

Czy na pewno?

Poprawiając jedną z czapek, która się przekrzywiła, spoglądam mimo woli na pierścionek iskrzący się na moim palcu i nagle dokładnie wiem, co powinnam zrobić.

Cały sklep wypełniony jest od podłogi po sufit zegarkami, biżuterią i najrozmaitszymi wyrobami ze srebra. Światło jest przytłumione, ale na ladzie przede mną znajduje się kilka jasno świecących lampek. Za moimi plecami stoi wytarta skórzana kanapa w kolorze bordowym, a na niej siedzi ciemnowłosa kobieta w czerwonym płaszczu, z foliową torbą na kolanach. Kiedy oglądam się za siebie, kieruje spojrzenie w bok.

Zwracam się z powrotem do kobiety za ladą. Jest około sześćdziesiątki,

ma krótkie rozjaśnione włosy i ubrana jest w tak zwany bliźniak i delikatnie plisowaną wełnianą spódnicę. Dzięki temu strojowi wydaje się jak wyjęta z żurnala mody z lat pięćdziesiątych – podstarzała Doris Day dorabiająca sobie w lombardzie. Podnosi wyżej pierścionek i przygląda mu się uważnie przez coś, co przypomina mikroskopijną lunetkę.

– Bardzo piękny – mówi. – Wyjątkowo piękny kamień.

– Rozstaliśmy się – wyjaśniam.

Spogląda zza lunetki i niemal niezauważalnie unosi dłoń, jakby chciała zamknąć mi usta i dać do zrozumienia, że nie muszę jej mówić, dlaczego chcę sprzedać pierścionek. Ta informacja nie jest dla niej istotna.

– Klienci przynoszą nam dużo pierścionków zaręczynowych – bąka, znowu przykładając lunetkę do oka. Kiedy stoi przede mną z lekko pochyloną głową, mogę dokładnie dostrzec nitki siwych włosów przeplatające gęsto jak chwasty jej ciemne odrosty. Nie odrywając wzroku od pierścionka, oznajmia:

– Może pani dostać za niego dwadzieścia tysięcy.

– Tylko tyle? Kosztował dużo więcej.

Kobieta nagle wygląda na znużoną. Odkłada lunetkę na ladę, a pierścionek umieszcza na małej granatowej poduszeczce z aksamitu.

– Nie mogę zaoferować pani więcej. Przykro mi.

Zapada cisza. Kolejny raz rozglądam się po lokalu. Na jednej ze ścian wisi gitara elektryczna, gibson. Zastanawiam się, czy jest na sprzedaż. Na półeczce po prawej leży mnóstwo złotych pierścionków. Pewnie też zaręczynowych. Świadcstwa setek zawiedzionych marzeń wystawione na pokaz w szklanej gablotce. Kobieta na skórzanej kanapie nie rusza się z miejsca. Znowu ucieka wzrokiem w bok.

– Okej – zgadzam się.

Doris Day dystyngowanie kiwa głową i jedną ręką poprawia sobie fryzurę.

– Wobec tego wystawię pani kwit zastawny. W tym celu będę potrzebowała od pani kilku informacji. – Wyjmuje jakiś formularz i kładzie go przede mną. Zaznacza krzyżykami wybrane kratki. – Tutaj, tutaj i jeszcze tutaj proszę wpisać swoje dane. No i oczywiście muszę mieć pani dowód.

Podaję go jej i stwierdzam w duchu, że ani trochę się nie wstydzę, że tu jestem. Przecież to nie moja wina, że wylądowałam w takim bagnie, i nie zamierzam się czerwienić tylko dlatego, że w końcu próbuję się z niego wydostać. Wręcz uważam, że powinnam to specjalnie podkreślać: nie mam się

czego wstydzic.

– Jak to dobrze, że będę mogła opłacić wszystkie rachunki. Znowu uruchomię mi telefon, włączą telewizję. No i ureguluję czynsz, oczywiście. Prawie bym zapomniała i jeszcze by mnie wyrzucili na bruk. To by dopiero było!

Doris Day milczy, jedynie lekko kiwając głową. Pewnie słyszała coś takiego już nieraz. Kobieta na kanapce ma czerwone policzki i wygląda tak, jakby chciała uciec ze swoją foliową torbą.

– Do widzenia – mówię do niej. – Mam nadzieję, że uda się pani dostać dużo za to, co pani przyniosła.

Nic nie odpowiada, tylko obejmuje mocniej reklamówkę.

Hanne

Gunilla podrzuca mnie do Skeppargatan. Jest ciemno, mimo że nie ma jeszcze czwartej, i zdradziecko ślisko. Parkuje na Kaptensgatan, wyłącza silnik i odwraca się w moją stronę. Jasne włosy lśnią w blasku ulicznej latarni niczym aureola wokół jej głowy.

– Chcesz, żebym z tobą poszła?

Zastanawiam się.

– Tak, jeśli dla ciebie to nie problem. O tej porze nie powinno go być w domu, ale nigdy nie wiadomo...

– Jasne. Zabierzemy Fridę.

Przemierzamy kilkadziesiąt metrów dzielące nas od wejścia do budynku.

Jakie to dziwne. Byłam tu zaledwie kilka dni temu, a mimo to dom wyda się w pewien sposób zmieniony. Jest ciemniejszy i bardziej niegościnnie, jakby przestał już być moim domem – wypowiedział mi umowę i wyrzucił na bruk. A przecież w rzeczywistości jest inaczej, myślę sobie. To ja opuściłam mieszkanie przy Skeppargatan.

Wbijam kod przy wejściu i drzwi otwierają się z przytłumionym brzęczeniem.

W windzie grzebię w torebce w poszukiwaniu kluczy, a kiedy wreszcie natrafiam na nie, czuję, jak drżą mi palce. Wychodząc z kabiny, upuszczam cały pęk na podłogę. Gunilla podnosi go i przykłada dłoń do mojego policzka, jakby chciała sprawdzić, czy przypadkiem nie mam gorączki.

– Skarbie, ty przecież drżysz.

– To tylko.

Chwyta mnie za ramię i prowadzi do drzwi, po czym bierze klucze i otwiera. Frida natychmiast wybiega ku nam, skacze dookoła moich nóg. Przykucam i nie mogąc powstrzymać łez, tulę twarz do jej kudłatej czarnej sierści, ona zaś liże mnie po policzkach i lekko popiskuje.

Bezwarunkowa psia miłość. Co ja właściwie zrobiłam, aby sobie na nią zasłużyć, zastanawiam się. I dlaczego miłości między ludźmi zawsze towarzyszy żądza podporządkowania i dopasowania drugiego człowieka? Dlaczego

go nie potrafimy po prostu kochać, nie rosząc sobie pretensji do posiadania siebie nawzajem?

Wchodzę do przedpokoju i zapalam światło. Wszystko wygląda tak jak zwykle. Moje rzeczy wiszą porządnie na wieszaku, a buty stoją w rzędzie. Listy leżą na kupce na komodzie pod lustrem. Gunilla przegląda je uważnie i wyjmuje kilka, które pewnie są przeznaczone dla mnie.

Zaglądam do kuchni. Moje żółte karteczki nadal tkwią przyklejone do szafek. Lekko drżą w powietrzu ciągnącym od nieszczelnego okna.

Przypominajki.

Tykanie kuchennego zegara nagle brzmi przeraźliwie głośno, wręcz dzwoni w uszach. Odwracam się i idę do salonu. Wiodę wzrokiem po regale z książkami. Zastanawiam się przez moment, po czym sięgam po pamiętniki Halvorsena, w których opisuje swoją ucieczkę na Grenlandię na początku ubiegłego stulecia, oraz po zbiór esejów poświęconych Inuitom, prezent od mojego ojca na początek studiów. Potem spoglądam na bibeloty: maski, figurki i inne dekoracyjne przedmioty. Nieoczekiwanie czuję obrzydzenie, a nawet coś w rodzaju mdłości, gdy uprzytamniam sobie, dlaczego właściwie je dostałam.

– Nie wystarczy ci tych książek, które już masz u mnie? Może lepiej wzięłabyś trochę ubrań – proponuje Gunilla.

Kręcę głową.

– I tak muszę kupić sobie nowe.

Zapada cisza i odgłos zegara z kuchni na nowo rozsadza mi czaszkę. Dudni między skroniami i drąży nieduże, ale głębokie dziury bólu w mojej świadomości. Nagle cały pokój wydaje się kołysać, przekrzywia się, a mnie zbiera się na wymioty. Robię kilka kroków ku Gunilli i chwytam ją za rękę.

Patrzy na mnie zaniepokojona, marszcząc czoło.

– Rzeczy z łazienki? Potrzebujesz czegoś?

Znowu kręcę głową.

– Niczego – mówię. – Nie potrzebuję stąd niczego.

Po powrocie Gunilla robi mi herbatę i jednocześnie się pakuje. Wybiera się ze swoim nowym facetem na dwudziestoczęterną wyprawę żeglarską. Z tym, który sprawia, że czuje się znowu młoda.

Napalona. Jej były mąż już od wielu lat tak na nią nie działał.

Frida leży na kanapie na kocu i śpi. Błogo nieświadoma wszystkich ludzkich problemów. Gunilla podśpiewuje sobie pod nosem, nie słysząc co do-

kładnie, ale jest przytulnie, domowo i przypominają mi się stare czasy. Czasy, które zapomniałam albo może wyparłam pamięć o nich, ponieważ była zbyt bolesna.

Czy to możliwe, aby być tak beztrosko szczęśliwym człowiekiem? Zakochanym, napalonym i pełnym namiętności, mimo że jest się na emeryturze i ma dorosłe dzieci? Wybierać się na żagle, jadać romantyczne kolacje i chodzić do łóżka z kimś, kogo naprawdę się kocha? Z pożądania, a nie z przyzwyczajenia czy ze względu na lojalność albo wręcz obowiązek.

Czy między Owem a mną kiedyś tak było? Gdy byliśmy jeszcze młodzi?

Tak naprawdę tylko ja byłam młoda, kiedy się poznaliśmy. Miałam dziewiętnaście lat. A on prawie trzydzieści, był już raz żonaty i skończył specjalizację. Nie da się ukryć, że w pewien sposób spod jednej kurateli – rodziców – trafiłam pod drugą. Jedną podległość zastąpiłam inną.

Ale chyba namiętność też była?

Próbuję sobie przypomnieć, lecz jak zwykle gdy myślę o sobie i o Owem, mnóstwa rzeczy nie pamiętam. Tyle jest dziur w tej delikatnej tkaninie pamięci, że nawet we wspomnieniach nie potrafię ożywić uczucia z tamtych lat. Może dlatego, że od razu włącza się wszystko inne: politowanie w spojrzeniu Owego, kiedy patrzy na moje karteczki poprzyklejane do kuchennych szafek, słaby, ale jednak wyczuwalny odór gotowanej kapusty, pozostawiany przez jego ciało, i jego szkaradne swetry, z których nie rezygnuje nawet przy gościach. I ta jego maniera zagłuszania innych swoimi nadętymi tyradami na temat filozofii czy teatru – chociaż tak naprawdę w ogóle nie wie, o czym mówi.

– Poradzisz sobie? – pyta Gunilla, stawiając w przedpokoju swoją niedużą walizkę i wkładając futro.

– Oczywiście.

– Ale zadzwonisz, gdyby coś się działo?

Wychodzę do niej do przedpokoju i ściskam ją serdecznie. Wciągam zapach perfum i przez sekundę przytulam policzek do miękkiego futra.

– Baw się dobrze – mówię, mając nadzieję, że Gunilla nie ma wątpliwości, iż naprawdę jej tego życzę.

Z ociąganiem odsuwa się ode mnie, potem unosi dłoń na pożegnanie, uśmiecha się, bierze walizkę i wychodzi.

Nalewam wody do szklanki, żeby połknąć swoje lekarstwa: jedną żółtą i dwie białe tabletki. Myślę sobie: oto siedzę tutaj i żyję nadliczbowo.

W kuchni Gunilli, daleko od Owego na Östermalmie.

Życie jest dziwne i nie staje się wcale mniej dziwne dlatego, że się starzejemy. Na szczęście człowiek przyzwyczaja się do tych dziwności, uczy się je akceptować. Cały myk polega na tym, aby pogodzić się z tym, że życie nie jest dokładnie takie, jak je sobie wyobrażaliśmy.

Jest dwadzieścia po dziewiątej wieczorem, wicher smaga szybę kuchennego okna i gwizdże naokoło domu. Ale w środku jest ciepło i przytulnie. Kwaciaste poduszki, kolorowe zasłonki z falbankami – wszystko to, czego nie znosił mąż Gunilli, teraz zdobi kuchnię. Jörn był budowlańcem, chociaż najchętniej uważałby się za architekta. Ich wspólny dom był utrzymany w bieli i różnych odcieniach szarości i wydawał się chłodny i minimalistyczny jak laboratorium medyczne. Wszelkie próby Gunilli, aby nieco ożywić ten surowy wystrój wesołymi poduszkami czy ręcznie malowaną porcelaną, były torpedowane równie szybko, co bezwzględnie.

Wyglądam przez okno i zastanawiam się, jak Gunilla poradzi sobie na Morzu Alandzkim w tym wichrze.

Owe przysłał mi dzisiaj trzy esemesy. W pierwszym przepraszał za swoje wczorajsze zachowanie przed mieszkaniem Gunilli. Oświadczył, że mnie kocha i że z Fridą wszystko w porządku. I że oboje tęsknią za mną. Druga wiadomość była już mniej ugodowa. Odkrył, że Frida zniknęła, i napisał, że „przynajmniej mogłam go uprzedzić”. W tym krótkim esemesie czuć było między wierszami frustrację, że utracił nade mną kontrolę. Pobrzmiwała w nim jak przytłumiony, ale groźny ton w utworze muzycznym.

Trzecia przyszła przed godziną i ziała hamowaną furią:

Proponuję spotkanie w KB o 20.00, żeby omówić naszą sytuację. Zakładam, że przyjdiesz. Owe.

Widzę go oczami wyobraźni, jak siedzi w barze z kieliszkiem chablis w dłoni. Wściekły, że się nie zjawiam, z siwymi włosami sterczącymi mu na wszystkie strony.

Z komórki znowu dochodzi charakterystyczne brzęknięcie. Biorę ją do ręki, ale gdy czytam kolejną wiadomość od niego, czuję jedynie znużenie.

Nie licz na JAKIEKOLWIEK wsparcie z mojej strony. Pomogłem Ci OSTATNI raz. Twoje postępowanie jest NIEODPOWIEDZIALNE. Teraz musisz sobie radzić sama.

Przenoszę spojrzenie na blat kuchennego stołu zarzucony papierami. Chaotycznie przeglądam raporty dotyczące sprawy Calderona. Patrząc nie

wiadomo który raz na odrąbaną głowę z przyklejonymi do oczodołów powiekami. Czytam własne słowa:

Można przypuszczać, że głowa została specjalnie umieszczona w widocznym miejscu przed drzwiami wejściowymi, z podniesionymi za pomocą taśmy powiekami. Prawdopodobnie po to, aby ewentualne osoby wchodzące zobaczyły ją i spotkały wzrok ofiary. Potencjalnym powodem...

Gdzieś głęboko w świadomości wykluwa się pewna myśl, ale na razie jest tak mało konkretna, że niemal mi ucieka. Sięgam po protokół techników, którzy pracowali w domu Orrego, kartkuję go. Zatrzymuję wzrok na spisie przedmiotów znalezionych na podłodze w holu i widzę to, czego szukałam: dwie złamane zapalki leżały obok głowy zamordowanej kobiety.

Biorę telefon i wybieram numer Petera. Odbiera niemal natychmiast, jakby czekał na mój telefon gdzieś daleko w tę nie pogodę.

– Hanne? – odzywa się.

– Wpadłam na coś.

– Wpadłaś na coś?

– Tak, w raporcie techników z domu Orrego.

Milczenie. W tle słychać muzykę.

– Aha. A możemy spojrzeć na to jutro rano? Właśnie wracam do domu.

Znowu milczenie.

– A gdzie jesteś? – pytam.

Piętnaście minut później rozlega się dzwonek do drzwi. Peter ma śnieg we włosach i na grzbiecie garbatego nosa, chciałabym pochylić się ku niemu i mu go zetrzeć, ale powstrzymuję się w ostatniej sekundzie.

– Wejdz.

Ściąga buty i wiesza swoją kurtkę na wieszaku obok mojej. Rozgląda się po jasnym przedpokoju. Jego chude policzki są zarumienione od zimna, a w jasnych brwiach pobłyskują kropelki wody.

– Sympatyczne mieszkanko. Twoje?

Kręcę głową.

– Nie. Od niedawna mieszkam u przyjaciółki.

Wchodzę pierwsza do kuchni i wskazuję mu krzesło.

– Siadaj. Napijesz się herbaty?

– Nie, dziękuję. Nie trzeba.

Siadam więc obok niego i kartkuję raport z domu Orrego.

– Czy ta sąsiadka – zaczynam – dotykała ofiary?

Peter patrzy trochę zdezorientowany.

– Ta baba? Która ją znalazła?

– Tak.

Przeczesa sobie dłonią włosy i unosi spojrzenie na sufit.

– Tak. Dotykała. O ile dobrze pamiętam, powiedziała, że chciała sprawdzić, czy ona rzeczywiście nie żyje. Jakby można mieć jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości.

– Czyli dotykała głowy?

– Bardzo możliwe, że tak.

– Poruszyła nią?

Patrzy prosto na mnie. Jego zielone oczy są zaczerwienione, jakby płakał albo może mocno zabalował. Skłaniam się ku tej drugiej ewentualności.

– Czy nią poruszyła? Nie, nie sądzę, ale prawdopodobnie dotknęła jej.

– Czyli na miejscu przestępstwa mogło się... coś zmienić.

– Niestety. Zwłaszcza że ta baba dreptała tam w kółko.

– Bo tutaj jest napisane. – Wiodę palcem po tekście, szukając fragmentu, który zwrócił moją uwagę, i kontynuuję: – Jest napisane, że na podłodze obok głowy znaleziono dwie złamane zapałki.

Peter pochyla się nad stołem. Czyta protokół.

– Tak. Dwie zapałki, jednokoronówkę, zapalniczkę i błyszczyk do ust marki Chanel. Te rzeczy były prawdopodobnie w kieszeniach ofiary i wypadły na podłogę podczas szarpaniny.

– A jeżeli te zapałki nie były tam przez przypadek? – wtrącam.

– Jak to?

– Jeżeli zabójca wetknął je ofierze pod powieki, żeby miała otwarte oczy?

Peter przygląda się szkicowi sporządzonemu przez techników.

– Zapałki znaleziono w tym miejscu – mówię i wskazuję na rysunek. – Przy głowie. Jeśli zabójca rzeczywiście umieścił je w oczach ofiary, mogły wypaść na podłogę, kiedy tamta kobieta dotknęła głowy.

Peter wzdycha i podpira sobie ręką czoło.

– Próbujesz powiedzieć, że zabójcy zależało na tym, aby ofiara miała otwarte oczy, podobnie jak w przypadku Calderóna? Czy tak?

– Właśnie tak.

– Żeby ten, kto wejdzie, spotkał jej wzrok.

– Zastanawiałam się nad czymś innym. Czy przypadkiem nie było od-

wrotnie.

– Odwrotnie?

– Czy to ofiara nie miała być przymuszona do tego, żeby patrzeć?

– Przecież ofiara była martwa.

– Jasne. Ale symbolicznie. Morderca zabija i odcina głowę ofierze. Jednak to mu nie wystarcza. Po zabójstwie za pomocą albo taśmy, albo zapalek otwiera jej oczy, aby musiała patrzeć, jak on wychodzi. Skrajne upodlenie. Odebrałem ci życie, a teraz idę sobie, jakby nic się nie stało. I zmuszam cię, żebyś to widziała czy widział.

Peter wygląda na nieprzekonanego.

– A jaka to różnica? – pyta w końcu.

– Gigantyczna. Otwarcie oczu po to, aby mieć pewność, że pierwsza osoba, która tam wejdzie, spotka wzrok ofiary, to zachowanie agresywne skierowane przeciwko otoczeniu albo przeciwko tej konkretnej osobie. Natomiast otwarcie oczu po to, aby to ofiara musiała obserwować, jak sprawca opuszcza ją albo jego, jest czynem skierowanym przeciwko ofierze. To ekstremalna zemsta. Z jakiegoś powodu mordercy bardzo zależało na tym, aby ofiara widziała, jak on wychodzi. Jakby chciał się od niej wyzwolić.

– A co to oznacza praktycznie?

– Prawdopodobnie to, że zabójca i ofiara byli ze sobą w bliskiej relacji.

– Jakiego rodzaju?

– Nie wiem. Może miłosnej.

Jeszcze przez godzinę siedzimy w kuchni Gunilli i rozmawiamy o sprawie. Peter wciąż nie jest przekonany do mojej teorii. Wprawdzie jest skłonny przyjąć, że zapalki mogły zostać umieszczone pod powiekami ofiary z premedytacją, ale mimo kilkakrotnych wyjaśnień nie do końca rozumie, dlaczego to takie ważne, że to raczej ofiara, a nie kto inny, miała być zmuszona do tego, by patrzeć.

Wreszcie przechodzimy do rozmowy na inne tematy. O pogodzie i kolegach z komendy. O polityce i o tym, jak zmieniło się miasto w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Zadajemy ostrożne pytania o życie – żadne z nas jednak nie dotyka tego osobliwego faktu, że my dwoje, sami, siedzimy w kuchni Gunilli, i to po godzinach pracy. Że po tylu latach naprawdę znowu ze sobą rozmawiamy.

Pozwalam sobie nawet na coś w rodzaju żalu za tym, co nigdy się nie spełniło. Za życiem, które moglibyśmy wieść razem.

Około wpół do jedenastej Peter oznajmia, że musi już iść. Bo jutro rano musi wstąpić, żeby przejrzeć informacje, jakie nadeszły o tej nieznanym kobiecie. Kiedy wstaje, idzie do przedpokoju i wkłada kurtkę, nie sposób nie zauważyć w jego postaci pewnej bezradności. Schyla się i wciąga na nogi sneakersy, obuwie zdecydowanie zbyt cienkie jak na środek zimy.

Zawsze ubierał się zbyt lekko, przemyka mi przez głowę; przypominam sobie jego dawną czarną skórzaną kurtkę, którą nosił niezależnie od pogody. W końcu była już tak sfatygowana, że niemal dosłownie się rozpadła. Może powinnam była kupić mu coś cieplejszego, ale przecież nie robi się czegoś takiego wobec kochanka. Taki rodzaj troski jest zarezerwowany dla męża.

– No dobrze – mówi. – To widzimy się jutro, tak?

– Tak – odpowiadam.

Stoimy naprzeciw siebie w przedpokoju Gunilli. Zdecydowanie za blisko, bym mogła się czuć komfortowo. Tak blisko, że czuję dym po papierosach i widzę zmarszczki, które zaznaczają upływ czasu na jego twarzy.

Przez sekundę niemal mam wrażenie, że zaraz mnie pocałuje, ponieważ lekko pochyla się ku mnie. Ale w końcu tylko wyciąga rękę.

Ujmuję ją pospiesznie i przez sekundę znowu to czuję, to desperackie wzburzenie i żal, że wtedy mnie zawiódł. I złość. Wściekłość z tego powodu, że jego dotyk jeszcze dziś przypomina mojemu ciału, jak było wtedy.

A potem znika. I wówczas przychodzi mi do głowy jedynie to, że podał mi rękę na pożegnanie. Co za dziwaczny sposób żegnania się z kimś, z kim było się tak blisko. Czy nie mógł po prostu mnie uścisnąć, jak robią to normalni ludzie?

On podał mi rękę.

Emma

Miesiąc wcześniej

Przypomina mi się wieczór, kiedy mama zabiła motyla.

Wiele rzeczy wskazywało na to, że ten wieczór nie będzie normalny. Najpierw mama strasznie hałasowała w kuchni naczyniami. Talerze, szklanki i sztućce obijały się z brzękiem o siebie. I kieliszki do wina. Słyszałam z całą pewnością, że to były kieliszki. Bo one wydają zupełnie inny dźwięk niż szklanki, głębszy, pełniejszy i bardziej złowróżbny.

Poza tym po mieszkaniu rozchodził się zapach zapiekanki z kurczakiem i świeżych ziół.

Podsumowując: zapowiadało się źle. Bo zwyczajny wieczór był przewidywalnie monotony, natomiast taki z winem i dobrym jedzeniem mógł się skończyć różnie. W najlepszym razie tata i mama mogli zasnąć na kanapie przed telewizorem, ale bardziej prawdopodobne, że gorące dyskusje przejdą w awanturę, aby w rezultacie, na finał, zakończyć się rozbijaniem naczyń o ściany i na podłodze.

Któregoś razu zapukała do nas policja, ponieważ sąsiedzi się poskarżyli. Wstydziłam się wtedy tak strasznie, że aż ukryłam się pod łóżkiem. Ale ci, którzy najbardziej powinni byli się wstydzić, niespecjalnie przejęli się tą wizytą. Postarali się sprawiać wrażenie niemal trzeźwych i niskimi, pełnymi skruchy głosami oświadczyli, że będą już cicho. Owszem, pokłócili się i byli trochę za głośni, ale to się już nie powtórzy. Ależ skąd, nie pili, w każdym razie nieprzesadnie dużo. Co najwyżej kilka kieliszków wina. Co to w końcu jest?

– Emmo, chodź jeść – krzyknęła mama z kuchni.

Wzięłam słoik z niebieskim motylem i poszłam. Tata siedział już przy stole z kieliszkiem wina w ręce i piwem obok. Mama stała przy kuchence z zawiązanym na biodrach fartuchem i mieszała w dużym czerwonym garnku. Wyglądała jak prawdziwa mama, taka, jaką można zobaczyć w telewizji. To mnie zaniepokoiło, bo podobne próby tworzenia na siłę atmosfery domowej zwykle kończyły się źle.

– Siadaj – warknęła, wskazując krzesło.

Kiedy usiadłam, stwierdziłam z ulgą, że jest zła i rozdrażniona. Może jednak wszystko będzie jak zwykle? Ostrożnie postawiłam słoik obok siebie na stole, żeby jedząc, móc na niego patrzeć. Minęła dokładnie doba od chwili, gdy pękł kokon, a teraz duży motyl wciąż jedynie siedział na jednej z gałązek i od czasu do czasu ostrożnie poruszał swoimi kobaltowymi skrzydełkami.

– Wiesz już, co chcesz z nim zrobić? – spytał tata.

Pokręciłam głową. Najlepszym wyjściem byłoby wypuszczenie go na wolność, tak uważał tata, a mama się z nim zgadzała. Motyl wróciłby wtedy do natury i żył na wolności. Rozumiałam to, ale kiedy wyobraziłam sobie, że już nigdy nie będę mogła patrzeć na ten nieduży czarny tułów i na skrzydełka, które wyglądały tak, jakby były z pergaminu, coś się we mnie ścisnęło. To tak, jakby poprosić małe dziecko, żeby oddało swoją ulubioną lalkę. I na tym właśnie polegał problem – przecież ja nie byłam już małym dzieckiem. Powinnam więc umieć zapanować nad pragnieniem posiadania motyla i wybrać to, co słuszne, bo ta druga opcja oznaczała zabicie go albo odczekanie, aż sam umrze. A wtedy moglibyśmy przypiąć go szpilką do ściany i w ten sposób zatrzymałabym go przy sobie na tak długo, na ile bym chciała. Lecz myśl o tym, że miałabym przebić to małe ciało długim ostrzem, wydała mi się tak barbarzyńska, że aż zrobiło mi się niedobrze.

– Nie wiem – odpowiedziałam.

Tata opróżnił całą szklankę piwa, nie odrywając od niej ust.

– Musisz myśleć szybko. Bo on długo nie wytrzyma w tym zamknięciu.

Pochyliłam się nad słoikiem, żeby do niego zajrzeć, ale mój oddech pokrył szkło parą i niewiele widziałam. Motyl wyglądał jak niewyraźny niebieski obłoczek, który zdawał się unosić we wnętrzu.

– Czy to musi stać tutaj? – odezwała się mama ostrym, pełnym irytacji tonem, jaki zawsze przybierała, kiedy wpadała w gniew. Jednocześnie postawiła zapiekankę na stole tak zamasyście, że gorący płyn wylał się z naczynia.

– A co to przeszkadza? – prychnął tata i wypił jeszcze kieliszek wina. Mama otworzyła kolejną butelkę. Nawet kłąsnięcie korka przy wyciąganiu brzmiało ostro i zaczepnie.

– To jest owad.

– Ale siedzi w słoiku – powiedział tata.

– Nie chcę mieć żadnych robali przy jedzeniu.

– Oj, przestań, zostaw słoik na stole – poprosił tata.

Mama zebrała noże i włożyła je z hałasem do zlewu. Nad Sztokholmem zapadał sierpniowy, granatowy zmierzch. Przez na wpół otwarte okno do mieszkania wlewało się łagodne wieczorne powietrze. Czuć je było wilgotną ziemią i psimi kupami.

– Emmo, kochanie, zanieś słoik do swojego pokoju – zwróciła się do mnie mama.

Spojrzałam na tatę, próbując wysondować, czy mam jej posłuchać, czy nie.

– Zostaw słoik na stole – rzekł złowroźnie głuchym głosem, a ja odniosłam wrażenie, że mówi to raczej do mamy, chociaż patrzył na mnie.

Mama usiadła przy stole. Usta miała zaciśnięte w cienką kreskę i masowała sobie jedną skroń. Skóra marszczyła się pod jej palcami, jakby była z pergaminu. Wstrzymałam oddech i zaczęłam liczyć w duchu. Jeśli udało mi się nabrać naprawdę dużo powietrza, potrafiłam nie oddychać nawet do pięćdziesięciu. Dragan dochodził nawet do dwóch i pół minuty, a Marie z klasy specjalnej wytrzymywała tak długo, że aż mdlała, ale Elin twierdziła, że to dlatego, że jest chora na porażenie dziecięce.

– Co ty robisz? – spytała mama, odkładając widelec i patrząc na mnie z dezaprobatą.

– Nic. Ja tylko...

– Natychmiast przestań! To wygląda tak, jakbyś miała tiki.

Nie wiedziałam, co to są tiki, ale nie miałam odwagi zapytać.

Mama odwróciła się do taty. Miała czerwone policzki i widziałam, że lewą dłoń zaciska mocno, jakby trzymała w niej coś niedużego i cennego.

– Zapłaciłeś dzisiaj czynsz?

Tata grzebał widelcem w swojej porcji zapiekanki i milczał.

– Obiecałeś – powiedziała szeptem mama. – Nie wiem, jak ja mogłam liczyć na ciebie. Jesteś tak samo oderwany od rzeczywistości i pokręcony jak. jak. dzieciak.

Wpatrywałam się w talerz, na którym kilka samotnych kawałków kurczaka pływało w klarownym bulionie. Gdybym chciała, mogłabym w tamtym momencie doprowadzić mamę do furii. Wystarczyłoby, gdybym jej przypomniała, że przecież równie dobrze może sama opłacać rachunki, nawet jeśli nie umie porządnie czytać. Ale oczywiście nic takiego nie powiedziałam.

– Nie wciągaj w to Emmy.

– Jesteście do siebie podobni jak dwie krople wody. Tak samo bezna-
dziejni – sprecyzowała.

– Wiesz co, a ty jesteś zgorzkniałą cipą.

W głosie taty słychać było triumf i ulgę, jakby wreszcie odkneblował so-
bie usta i wygłosił upragnioną prawdę.

– Zgorzkniała cipa – powtórzył, akcentując każdą sylabę.

– Tylko uważaj! – krzyknęła mama. – Dobrze wiesz, że nie muszę tego
znosić. Nie brakuje mężczyzn, którzy byliby szczęśliwi, gdybym z nimi była.
Znalazłoby się dość kandydatów.

– Kandydatów? In your dreams. Kto chciałby być z zapijaczną jędrą
z cyckami do kolan, która nic innego nie potrafi, jak tylko drzeć japę?

– Teraz już przegiąłeś! Jak ci nie odpowiada, to odejść. Zobaczysz.

– Mówisz to za każdym razem.

– Emmo, idź do swojego pokoju.

Wstałam i pobiegłam do siebie.

– I zabierz ze sobą tego cholernego robala – dodała.

Odwróciłam się dokładnie w momencie, kiedy mama cisnęła słoik w po-
wietrze. Pofrunął wysokim łukiem nad moją głową i chociaż wyciągnęłam
ręce, żeby go złapać, nie miałam szansy. Z głośnym brzękiem roztrzaskał się
o ścianę kuchni.

Przykucnęłam.

Kawałki szkła rozsypały się po całej podłodze. Gniazdko ze starych, wy-
schniętych gałązek leżało tuż pod ścianą, a obok leżał motyl. Jedno skrzydeł-
ko złamało się na dwie części, a odwłok był dziwnie spłaszczony. Z waha-
niem wyciągnęłam palec i dotknęłam go ostrożnie.

Niebieski motyl był martwy.

Idę w deszczu z powrotem do domu. Drzewa przy Karlavägsallén wycią-
gają nagie gałęzie wysoko, jakby próbowały dosięgnąć nieba. Na ziemi leżą
sterty zgniłych liści. Może gdzieś tutaj jest Sigge? – zastanawiam się. Koło
domu na pewno go nie ma. Kilkakrotnie schodziłam na podwórze i szukałam,
ale nie natrafiłam na choćby najmniejszy ślad po jakimkolwiek kocie. Nie
znalazłam go też na Valhallavägen. Czy zabłąkał się w mokrym od deszczu
chaosie ulic i alej Sztokholmu? Czy też leży gdzieś ranny i niezdolny wrócić
do domu? A może ktoś się nim zajął?

Nie sędzę.

Myślę, że to Jesper go zabił. Przystaję na chwilę, zamykam oczy, podno-

sze twarz ku deszczowi i próbuję sobie wyobrazić, jak Jesper swoimi dużymi dłońmi chwytając kota za kark i wyrzuca go przez okno.

Nie udaje mi się.

Nie potrafię przywołać takich obrazów. Widzę jedynie, jak Jesper śpi błogo na kolorowym dywanie. Na polu słoneczników. Jego tors unosi się i opada w rytm oddechu. Ma na w pół otwarte usta.

Ruszam dalej w stronę domu. Przede mną rozpościera się w ciemności Karlaplan. Wkoło nie widać ani żywej duszy. Na dnie fontanny zalega warstwa liści. Część mnie miałaby ochotę też się tam położyć i przycisnąć twarz do mokrego kobierca, ale pozostała część burzy się przeciwko temu. Coś niepokornego, buntowniczego i nieposkromionego obudziło się w moim wnętrzu. Może dlatego, że oddałam pierścionek do lombardu i w ten sposób kupiłam sobie trochę czasu. I może też dzięki temu, że przestał mnie boleć brzuch.

Albo po prostu miałam już dość.

Mniej więcej na wysokości zejścia do metra nagle słyszę coś za plecami. Lekkie pacnięcie, jakby ktoś upuścił na ziemię książkę albo torbę z mąką. Odwracam się, ale w cieniu drzew nic nie widać. Mimo wszystko wcale się nie boję, raczej ogarnia mnie złość. Bo jestem przekonana, że to on stoi w ciemności i czeka na mnie. I to doprowadza mnie do szału.

– Halo! – wołam, lecz nic się nie dzieje. Słyszę jedynie szum deszczu, który pada i pada bez końca, oraz odgłos jakiegoś samochodu znikającego w oddali. W jednym z domów przy Erik Dahlbergsallén ktoś ma otwarte okno; rozbrzmiewa z niego gwar głosów zmieszany z muzyką.

Ruszam w kierunku drzew. Światło latarni oślepia mnie, opuszczam więc wzrok na mokry asfalt.

– Wyłaż, ty zasrany tchórze! Wiem, że tam jesteś.

I wtedy jakiś cień wyłania się z mroku i przemyka wzdłuż Erik Dahlbergsallén w kierunku Valhallavägen. Odgłos szybkich kroków odbija się echem od murów i coraz bardziej przycicha.

Nogi nagle odmawiają mi posłuszeństwa. Spoglądam na swoje botki na wysokich obcasach i uzmysławiam sobie, że i tak nie miałabym szansy dogonić tego cienia, który już zniknął.

– Ty tchórzliwy draniu! Dopadnę cię! – wrzeszczę.

W tym momencie czuję czyjąś dłoń na ramieniu. Odwracam się. Starsza pani w płaszczu przeciwdeszczowym patrzy na mnie z niepokojem. Jej dwa

jamniki też przyglądają mi się uważnie.

– Czy ktoś panią napadł, dziecinko?

– Nie, to tylko...

– Mam wezwać policję?

Jej oczy są okrągłe jak spodki. Domyślam się, że to najbardziej emocjonująca chwila, jaka przytrafiła się jej od dawna, może od wielu lat. Jeden z jamników powarkuje cicho.

– Nie – odpowiadam. – Nie trzeba. Nic się nie stało.

Peter

Ide Brännkyrkagatan i całą drogę odczuwam wstyd. Dlaczego, u diabła, nie mogę zdobyć się na to, żeby nie tylko wziąć ją za rękę? Zupełnie jakbyśmy byli nieznajomymi. Ale w Hanne jest coś takiego, co kompletnie odbiera mi pewność siebie. Zastanawiam się, czy ona to wie i sprytnie wykorzystuje, tak jak kiedyś robiła Janet.

Nigdy nie można ufać kobietom.

Nie dlatego, że są inteligentniejsze od mężczyzn, a jedynie dlatego, że my, faceci, nie umiemy zadać sobie trudu i wydedukować, co one zamierzają. I w konsekwencji z własnej winy jesteśmy ciągle na gorszej pozycji w porównaniu z nimi.

Samochód stoi nieprawidłowo zaparkowany przy Hornsgatan. Kiedy wkładam klucz do zamka, ogarniają mnie wątpliwości: może powinienem wrócić i ją przeprosić? Ale właściwie za co? Za to, że wziąłem ją za rękę, chociaż chciałem zrobić coś zupełnie innego? Że nie przyszedłem tamtego wieczoru dziesięć lat temu, czy że nie odezwałem się przez następne lata?

Sporo jest rzeczy, za które należą się jej przeprosiny.

Wsiadam do samochodu, uruchamiam silnik i zastanawiam się jeszcze chwilę. Następnie wyjmuję komórkę i szybko wybieram numer Manfreda, żeby przypadkiem się nie rozmyślić.

Odbiera dopiero po siedmiu sygnałach.

– Lindgren, do jasnej cholery. Już prawie wpół do dwunastej. Mam nadzieję, że to coś ważnego.

– Dobry wieczór.

Manfred jest zły, ale nie wściekły. Chociaż z ojcami małych dzieci nigdy nie wiadomo – bronią swojego nocnego odpoczynku z taką samą żarliwością, jak inni faceci chronią jaja. Ale co ja mogę o tym wiedzieć? Chyba nie mam prawa się z tego nabijać, skoro przez całe swoje życie nie zmieniłem ani jednej pieluchy.

– Masz protokół z zakładu medycyny sądowej?

– Ale który?

– Z obdukcji tej kobiety zamordowanej u Orrego.

Wzdycha głośno.

– Tak. W komputerze. Poczekaj chwilę.

Mniej więcej po minucie odzywa się znowu. W tle słyszę płacz dziecka. Przenikliwy pisk unosi się i opada, jak popsuta syrena strażacka.

– Przepraszam, jeśli was obudziłem – bąkam.

– Mogłeś o tym pomyśleć, zanim zadzwoniłeś – odburkuje. – Co chcesz wiedzieć?

– Czy ofiara miała jakieś ślady lub uszkodzenia w oczach albo naokoło nich? Na przykład na powiekach?

Zapada cisza. Czekam, obejmując wzrokiem Hornsgatan. Pojedynczy wieczorni przechodnie oddalają się w stronę Södermalmstorg. Na Mariatorget widzę mężczyznę, który mociuje się z wiatrem, ciągnąc psa na smyczy. Mija mnie jakiś samotny samochód jadący w kierunku Hornstull.

– W oczach, powiadasz? No, rzeczywiście. Obroniłeś się. Podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdce, że to Fatima Ali robiła obdukcję, a nie te patałachy z Borås. Znalazła... dwie małe punktowe ranki po wewnętrznej stronie lewej i prawej górnej powieki i małe skaleczenie osiemnaście milimetrów pod prawym okiem. Te ranki miały jeden do dwóch milimetrów średnicy i były tylko powierzchniowe. Tkanka podskórna nie została naruszona. Fatima nie stawia żadnej hipotezy, co mogło spowodować te obrażenia. A o co chodzi?

Hanne otwiera dopiero po dłuższej chwili. Jest ubrana w spodnie od dresu i sprany T-shirt, a w ręce trzyma szczoteczkę do zębów. W jej spojrzeniu widać zaskoczenie, ale też cień lęku, czemu raczej trudno się dziwić. W końcu jest to podejrzane, gdy ktoś obcy puka do drzwi w środku nocy.

A jeszcze bardziej podejrzane, jeśli nie jest obcy.

– Miałaś rację – mówię.

Nie odpowiada, tylko z ociąganiem robi krok do tyłu. Wpuszcza mnie do ciepłego mieszkania.

Budzę się około siódmej. W ciemności słychać jedynie miarowy oddech Hanne i szum kaloryfera przy łóżku. Niezwykle ostrożnie przysuwam się do niej, tak by moje ciało dotknęło jej skóry, a jej ciepło wniknęło we mnie. Kładę dłoń na jej chudym biodrze i wciągam jej zapach: cynamonu i lekkiego potu. Chwila jest doskonała, czysta. Jak woda źródłana albo rześkie jesienne powietrze wśród skał nad morzem po gwałtownym deszczu. Ulotna chwila, zasługująca na to, by zapamiętać ją na zawsze, razem z całym tym bara-

chłmem, które tłoczy się w meandrach pamięci. A ponieważ dobrze siebie znam, przeraźliwie się boję, aby tego nie zniszczyć. Nie zbrukać i nie zszargać, tak samo jak zawsze brukam i szargam to, co piękne i czyste.

Miłość i uroda przemijają.

Wieczne jest tylko barachło. A wśród niego czasami pojawiają się małe, jasne chwile szczęścia. A jeśli trafi się na jedną z takich chwil, najlepszą rzeczą, jaką można zrobić, jest nic nie robić.

Leżę więc nieruchomo w ciepłe kołdry i oddycham najciszej, jak potrafię. Opuszkami palców muskam delikatną skórę po wewnętrznej stronie jej ud, dotykam kręconych włosów na łonie.

Kiedyś, gdy Hanne należała do mnie naprawdę, gdy sama oddawała mi swoje ciało, nigdy nie byłem taki ostrożny. Ale to też jedna z lekcji, jakich udziela nam życie: nie doceniamy wartości tego, co mamy, dopóki tego nie stracimy. Wiem, że to wytarta klisza, ale przecież taka jest prawda. Poczucie braku jest doskonałą miarą wartości tego, co straciliśmy – walutą tak niezawodną jak żadna inna.

Około wpół do ósmej wymykam się z łóżka, ubieram, piszę parę zdań na kartce i kładę ją na stole w kuchni. Wyjaśniam, że muszę być w komendzie o ósmej, i wyrażam nadzieję, że zobaczymy się później. Zastanawiam się przez chwilę, czy powinienem dodać „Całusy”, czy może podziękować za wczoraj, ale w końcu, nie wiadomo dlaczego, postanawiam nie robić ani jednego, ani drugiego.

Sanchez i Manfred są już na miejscu. Siedzą przy stole, popijając kawę. Manfred wygląda na zmęczonego; bardzo możliwe, że po naszej rozmowie nie mógł już zasnąć. Po chwili dołącza do nas Bergdahl, który pomagał nam zebrać nadsyłane przez ludzi informacje o zamordowanej kobiecie. W jednej ręce trzyma plik papierów, a w drugiej opakowanie snusu.

Manfred nie bez wysiłku podnosi się z krzesła i sapie.

– Może ty zacznij – mówi, wskazując na mnie. – Zdaje się, że wczoraj wieczorem znalazłeś coś nowego, tak?

Kiwam głową i opowiadam o zapałkach, małych rankach w okolicy oczu ofiary oraz o teorii Hanne, według której zabójca chciał zmusić ofiarę, aby to ona widziała, a nie odwrotnie.

– Interesujące – wtrąca Sanchez, a sądząc po jej minie, chyba naprawdę tak uważa. Właściwa jej ironia gdzieś się ulotniła.

– Mówiłem przecież, że ta czarownica zna się na tym swoim szajsie –

mamrocze Manfred.

– Czyli, jeśli dobrze rozumiem, motywem mógł być jakiś rodzaj zemsty?
– sugeruje Sanchez.

– Tak mi się wydaje – odpowiadam. – Ale chyba najlepiej będzie, jeśli ona sama wyjaśni swój tok rozumowania.

– Wiesz, o której przyjdzie? – pyta Sanchez.

Wzruszam ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Okej – odzywa się Bergdahl, który chyba wstydzi się swojej łysiny, ponieważ prawie nigdy nie widziałem go bez czapki – wełnianej albo z daszkiem – w biurze. Dziś ma na głowie czarną, dużą, robioną na drutach. – Chciałbym powiedzieć trochę o sugestiach, jakie dostaliśmy po opublikowaniu w gazetach przybliżonego portretu ofiary i pokazaniu go niemal we wszystkich stacjach telewizyjnych. Napłynęło prawie sto odpowiedzi. Większość, bo około osiemdziesięciu, mogliśmy zweryfikować od razu, ponieważ udało nam się ustalić adresy wskazanych osób i się z nimi skontaktować. Pozostało jeszcze osiemnaście. Podzieliliśmy je na dwie grupy, głównie ze względu na stopień fizycznego podobieństwa do ofiary. Sprawdzimy je dzisiaj w ciągu dnia.

W korytarzu rozlegają się kroki i po chwili do salki wchodzi Hanne. Zdejmuje płaszcz i nie patrząc na mnie, siada obok Sanchez. Ja jednak nie mogę się powstrzymać, by nie zerknąć na nią. Wilgotne włosy opadają jej na ramiona, jakby właśnie wyszła spod prysznic, a zmechacony sweter jest jak zawsze za duży. Czuję, jak zaciska mi się żołądek.

– To ile mamy interesujących kandydatek? – pyta Sanchez.

– Trzy – odpowiada Bergdahl i przykleja do tablicy trzy niewyraźne zdjęcia. Wskazuje na pierwsze i mówi: – Wilhelmina Andrén, dwadzieścia dwa lata, urodzona w Sztokholmie. Dwa tygodnie temu wyszła na przepustkę z oddziału psychiatrycznego szpitala w Danderydzie i od tamtej pory ślad po niej zaginął. Jest chora na schizofrenię i zgodnie z przepisami podlega przymusowej opiece psychiatrycznej. Ale według jej rodziny nigdy nie była agresywna. Cierpi na paranoję. Podobno wierzy, że potrafi komunikować się z ptakami. Już wcześniej zniknęła kilka razy i najczęściej znajdowano ją w jakimś parku z jej kumplami.

– Czyli ptakami? – upewnia się Manfred.

– Tak jest. Akurat ona może najmniej odpowiada wizerunkowi ofiary, ale

jeszcze ją sprawdzimy. Potem mamy Angelicę Wennerlind, dwudziestoseściocioletnią przedszkolankę z Brommy. W dniu, w którym dokonano przestępstwa, wyjechała na urlop ze swoją pięcioletnią córką i od tamtej pory się nie odezwała. Jej rodzice twierdzą, że wynajęła gdzieś domek, ale nie wiedzą gdzie. Niewykluczone, że akurat w miejscu, w którym przebywa, nie ma zasięgu i tylko dlatego milczy. Ale jest bardzo podobna do ofiary. Ponieważ zwłoki są w zbyt złym stanie, nie możemy poprosić rodziców o identyfikację i musimy poczekać na opinię odontologa.

– A trzecia? – niecierpliwi się Sanchez.

Bergdahl poprawia sobie śmieszoną czapkę i wskazuje na trzecie zdjęcie.

– Emma Bohman, dwadzieścia pięć lat. Jeszcze kilka tygodni temu pracowała jako ekspedientka w jednym ze sklepów Clothes & More. Czyli była zatrudniona w firmie, której szefem jest Jesper Orre. Podobnie jak dwa tysiące innych osób, zatem ten fakt nie musi jeszcze nic znaczyć. Mieszka sama przy Värtavägen w śródmieściu. Rodzice nie żyją. Jej ciotka zgłosiła jej zaginięcie trzy dni temu i skontaktowała się z nami ponownie, kiedy zobaczyła portret w gazecie. Szukała jej przez tydzień bez skutku. Twierdzi jednak, że siostrzenica w gruncie rzeczy nie jest podobna do kobiety z portretu. Na przykład ma znacznie dłuższe włosy. Ale przecież mogła je sobie ostatnio obciąć, dlatego nią też będziemy jeszcze się zajmować. Zamówiliśmy pantomogramy wszystkich trzech kobiet.

Prawdopodobnie dostaniemy je w ciągu dnia. Na ich podstawie odontolodzy dosyć szybko stwierdzą, czy któraś z nich to nasza ofiara.

– Emma – mówi Manfred.

– Czyli ta, która napisała list – dodaję, patrząc na zapisaną odręcznie kartkę papieru przypiętą do tablicy obok innych dokumentów.

– Co? – pyta Bergdahl zdezorientowany.

– W domu Orrego znaleźliśmy list – wyjaśniam. – Jego autorka podpisała się jako Emma. Wynika z niego, że ta dziewczyna miała z Orrem bliską relację i zaszła w ciążę.

Bergdahl kiwa z wolną głową.

– Okej. Został napisany niedawno?

– Tego nie wiemy. Koperty nie znaleźliśmy, tylko sam list. Był w kieszeni jego džinsów.

– Czy możemy porównać charakter pisma tego listu z charakterem pisma Emmy Bohman? – pyta Manfred.

– Jasne – odpowiadam. – Ale może odontolog szybciej rozstrzygnie nasze wątpliwości.

Sanchez odkłada na stół swój notatnik i mówi:

– Fatima Ali wspomniała, że ofiara kiedyś urodziła albo była w ciąży. Angelica Wennerlind ma dziecko, a te dwie pozostałe kobiety?

– Tylko Angelica ma dziecko – mówi Manfred. – Ale oczywiście nie wiemy, czy któraś z tamtych nie była kiedyś w ciąży. Jeżeli Emma Bohman to Emma z listu, to znaczy, że ona też była w ciąży.

Manfred przerywa na chwilę, a potem kontynuuje:

– Rozmawiałem też ze szklarzem, który dwa tygodnie temu w willi Orrego wstawiał szybę w oknie w piwnicy, od zachodniej strony. Orre opowiadał mi, że ktoś się do niego włamał, ale nic nie ukradł. Poza tym niczego ciekawego się od niego nie dowiedziałem. Wspomniał jeszcze, że Orre zrobił na nim wrażenie zarozumiałego i zestresowanego, ale to w końcu nie jest karalne.

Kątem oka widzę, że Hanne zapisuje coś w notesie, który zawsze nosi ze sobą. Chyba z czasem zrobiła się dużo bardziej skrupulatna, bo nieustannie robi notatki, jakby nie chciała uronić ani jednego słowa z tego, co się mówi. Trochę mnie to dziwi, ponieważ kiedy byliśmy ze sobą, odbierałem ją raczej jako bałaganiarę i osobę mało zorganizowaną. Niemal nonszalancką. Nigdy nic nie zapisywała, a mimo to wszystko pamiętała.

Sanchez wstaje z krzesła i obciąga sobie bluzkę.

– Dzwonili też do nas z policji wojewódzkiej. Jak wiecie, lokalna policja badała sprawę pożaru garażu Orrego i potwierdziła podejrzenia firmy ubezpieczeniowej, że ogień został podłożony. Technicy z centralnego laboratorium znaleźli ślady benzyny na miejscu, poza tym w garażu znajdowało się kilka wypalonych kanistrów. Podobno tamtego wieczoru Orre był w podróży służbowej, w Rydze, aby spotkać się z bałtyckimi szefami sklepów. Tak więc nie dokonał podpalenia osobiście, jeżeli nawet zależałoby mu na pieniądzach z ubezpieczenia.

– Mógł kogoś wynająć – sugeruję.

Sanchez potakuje i prostuje się, niechcący odsłaniając płaski, wytatuowany brzuch, ponieważ jej jedwabna bluzka niesfornie podjeżdża do góry.

– Jasne. Ale nic nie wskazuje na to, że Orre potrzebował pieniędzy. Poza tym jedna z sąsiadek zeznała, że widziała, jak jakaś kobieta stała na ulicy i przyglądała się pożarowi. Nie była w stanie jej opisać, ale jest pewna, że to

była kobieta i że odeszła stamtąd, jak jeszcze się paliło.

– Może po prostu tamtędy przechodziła? – pyta Manfred.

– Niewykluczone. Ale mógł to być też ktoś, kto podpalił garaż Orrego. Tego dziś nie rozstrzygniemy. Wiadomo tylko, że była tam, stała na ulicy i przyglądała się przez jakiś czas, jakby to było ognisko w noc Walpurgii. Tak powiedziała ta sąsiadka.

Emma

Trzy tygodnie wcześniej

– Mam wizytę u lekarza i muszę wyjść o czwartej. Przykro mi, ale naprawdę muszę – mówię, starając się wyglądać na zmartwioną.

Mahnoor unosi swoje niezmiennie starannie wydepilowane brwi i kiwa powoli głową, jakby zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

– Oczywiście. Ale będziesz miała minus – odpowiada, wskazując kalendarz.

– Wiem, mimo wszystko muszę.

Olga, która siedzi przy stoliku z kubkiem herbaty w ręce, wznosi oczy do góry, na co Mahnoor odwraca się błyskawicznie w jej stronę:

– Widziałam.

– Co takiego? – odparowuje Olga, robiąc minę niewiniątka. Wybałusza oczy i przechyla głowę na bok, tak że rozjaśnione włosy opadają jej na jedno ramię.

– Daj spokój, nie jestem ślepa. Na twoim miejscu byłabym trochę bardziej potulna. Masz już... – Mahnoor podchodzi do kalendarza i wiedzie palcem po kolumnie opatrzonej nazwiskiem Olgi - .pięć minusów w tym miesiącu – mówi z satysfakcją, po czym opuszcza pokój rekreacyjny, nie komentując tego faktu. Jej kroki stopniowo cichną, giną w znajomych dźwiękach muzyki dudniącej z głośników.

– Ciekawe, co ona dziś jadła na śniadanie? – mamrocze Olga, przygryzając sobie paznokieć wskazującego palca.

– Nie przeginaj – zwracam się do niej. – To nie jest najfajniejsza praca świata, ale jednak praca.

Wzrusza ramionami.

– No i? W razie czego mogę pracować w firmie Aleksieja. Tam zawsze coś się znajdzie.

– Chcesz sprzątać fińskie promy?

Olga wykrzywia usta.

– Już wolę to, niż każdego dnia jeść gówno nożem i widelcem.

– Daj spokój. Przecież ta robota jest całkiem w porządku. Masz jakieś

wykształcenie? Albo doświadczenie zawodowe? Naprawdę myślisz, że jak stąd wylecisz, to zaraz następnego dnia znajdziesz coś nowego?

Olga kuli się na krześle i nagle wygląda na dużo starszą, niż jest.

– Ale z ciebie zrzędliva piczka.

– Oj, przestań. Wcale nie jestem zrzędliva, tylko próbuję ci pomóc. Nie chcę, żebyś straciła pracę jedynie dlatego, że Mahnoor przeszła na drugą stronę i teraz pilnuje interesów centrali. Nie warto. Spróbuj zachowywać się bardziej taktycznie. Gwiżdż na nią, kiedy się tak wymądrza. Olewaj ją i idź dalej. Nie bądź taka cholernie dumna.

– Jak ty?

Chociaż powiedziała to szeptem, nie da się nie zauważyć, że jest zła.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Ty i ten twój facet. Bez przerwy o nim nadajesz. Mówiłam ci już, co myślę. Czasami nie tak łatwo jest iść dalej. Wiesz, co ci powiem? Mam już dość wysłuchiwanie tego głędzenia o tobie i o tym gościu. Po dziurki w nosie. Znajdź sobie teraz kogoś innego i katuj go opowieściami o swoim smutnym życiu.

Siedzę oniemiała. Jesper ukradł mi moje życie, zaledwie kilka dni wcześniej straciłam dziecko, a ta mała, wytapetowana komunistyczna pinda siedzi naprzeciwko mnie i mówi mi, że ma dość mojego głędzenia? Co ona sobie wyobraża? Jak ja się z tym mogę czuć?

– To zupełnie co innego – mówię.

– Jesteś jak opętana. Może już najwyższa pora przestać o nim ciągle nawijać? Każda miłość kiedyś się kończy i trzeba to zaakceptować. Znajdź sobie jakieś hobby albo idź się pobawić ze znajomymi. Get a life. - Powiedziawszy to, Olga wstaje i przeciąga się jak kotka. – Idę na fajkę.

Po czym znika w korytarzu i nie ogląda się ani razu.

Kiedy wchodzi do wypożyczalni samochodów, jest czwarta. Wszyscy pracownicy, sami mężczyźni, wyglądają tak, jakby nie mieli jeszcze osiemnastu lat i należeli do jednej drużyny piłki ręcznej. Są wysocy, chudzi i pozbawieni zarostu.

– Chcę wynająć samochód na dobę – oznajmiam niejakiemu Seanowi (jak widnieje na jego wizytówce). – Nie musi być duży, ale z pojemnym bagażnikiem.

– To może kombi – proponuje chłopak i gładzi się po swojej pryszczatej brodzie.

– Okej.

Podaję mu swoją kartę kredytową i prawo jazdy, on tymczasem recytuje warunki wynajmu: auto trzeba oddać najpóźniej o osiemnastej dnia następnego. Musi być zatankowane do pełna, a kluczyki mogą wrzucić do skrzynki na listy. Czy mam jakieś pytania?

Kręcę głową.

– Wobec tego życzę miłej podróży.

– A kto powiedział, że wybieram się w podróż?

– Okej. Ale proszę jeździć ostrożnie.

– Oczywiście – odpowiadam i wykrzywiam usta w wymuszonym uśmiechu. Chyba numer sześć.

Kiwa głową, nic nie mówiąc, a kiedy wychodzę z wypożyczalni, obsługuje już następnego klienta.

W sklepie jest mnóstwo ludzi. Wyziębieni jesiennymi chłodami sztokholmczycy stoją w kolejkach, żeby kupić drewno do kominka, olej do lamp i gwiazdy bożonarodzeniowe. Deszcz zacina w szyby, ale atmosfera jest niemal pogodna, jakbyśmy wszyscy stali w kolejce przed wejściem na pokład samolotu czarterowego, a nie w sklepie.

– Co za pogoda – mówi otyła pani w wełnianym płaszczu trzymająca na smyczy jamnika.

Uświadamiam sobie, że jest bardzo podobna do kobiety, którą spotkałam kilka dni temu wieczorem, kiedy Jesper chował się przede mną w cieniu drzew wokół Karlaplanu. A może w tej okolicy wszystkie starsze panie mają jamniki? Pikowane kurtki, jamniki i tweedowe kapelusze? Wyglądają, jakby były dziedziczkami z folwarku.

Stawiam dwie puszki na ladzie. Dłonie pieką mnie od wrzynających się metalowych rączek i mięśnie drżą mi z wysiłku. Mężczyzna za kasą spogląda z powątpiewaniem na pojemniki i jednocześnie wsuwa sobie pod wargę odrobinę snusu. Potem przenosi wzrok na mnie, jakby chciał się upewnić, czy nie zwariowałam.

– Są mniejsze opakowania – mówi z ociąganiem. – Jednolitrowe.

– Te są odpowiednie. Dziękuję.

Wzrusza ramionami, uznawszy chyba, że to mój problem, jeśli nawet kupuję za dużo. Drzwi sklepu otwierają się znowu i jamnik wita kolejnego klienta ujadaniem.

– Okej, jak pani chce.

Przechyla pojemnik, żeby móc zeskanować kod kreskowy, po czym pyta:
– To ile puszek pani bierze?

Spoglądam na podłogę, gdzie między moimi nogami stoją jeszcze dwie.
– W sumie cztery – odpowiadam.

Prowadzę ostrożnie, bo temperatura spadła prawie do zera i obawiam się, że jezdnia może być śliska. O dziwo, wcale nie błędzę. Zupełnie jakby moje ciało zapamiętało wszystkie zjazdy, jakby wszystkie zakręty i rozwidlenia w tej ekskluzywnej dzielnicy willowej zapisały mi się gdzieś w rdzeniu, i teraz nie muszę się nawet zastanawiać – wystarczy, że słucham swojego ciała.

Wypasione auta stoją zaparkowane na zadbanych podjazdach. Przypominające pałace domy królują wśród pięknie zaaranżowanej zieleni. Potem budynki stają się znowu mniej imponujące i wtedy wiem, że zaraz będę na miejscu.

Wreszcie dostrzegam w ciemności jego dom. Nie pali się w nim światło, nie ma też żadnego samochodu. Stosy desek przykryte brezentem leżą wciąż na chodniku obok nowo zbudowanego garażu.

Parkuję nieco dalej, pamiętając o bezpieczeństwie.

Puszki są naprawdę ciężkie i niewygodne do niesienia. Muszę obrócić dwa razy, aby przytargać je na miejsce. Podchodząc do furtki Jespera, rozglądam się czujnie, ale nigdzie nie widać żywej duszy. W domach palą się światła, na szczęście na zewnątrz nie ma nikogo.

Przyglądam się nowej budowli. Otwór w ścianie frontowej, który ostatnio był zakryty foliową płachtą, został wypełniony prawdziwymi drzwiami garażowymi, lecz małe okienko na lewo od wejścia nadal zieleje pustką. Wspinam się na czubki palców, pochylam się do przodu i zerkam do środka. Gdy po kilku sekundach wzrok oswaja się z mrokiem zalegającym wewnątrz, rozpoznaję dwa auta – nieduże czerwone sportowe i porsche starszego modelu. Widzę, że masz słabość do starych samochodów, myślę sobie. Jeszcze jedna tajemnica, którą się ze mną nie podzieliłeś.

Cofam się od okienka, otwieram pierwszą puszkę i zaczynam wylewać jej zawartość po ścianie. Po chwili ciężar się zmniejsza, dzięki czemu łatwiej mi manipulować pojemnikiem. Staram się łać płyn najwyżej, jak tylko mogę dosięgnąć. Następnie robię to samo z trzema pozostałymi puszkami. Nie jestem pewna, ile potrzeba, a przecież nie mogłam spytać faceta w sklepie o radę.

Okazuje się, że wykonanie mojego planu wymaga całkiem sporego wy-

siłku. Po kilku minutach czuję, że jestem spocona jak mysz. Zaczął padać drobny deszcz, niemal niezauważalne krople zwilżają mi twarz i dłonie.

Opróżniwszy wszystkie pojemniki, wrzucam jeden po drugim przez okienko do środka. Upadają na posadzkę z głuchym łoskotem. Odsuwam się od ściany i sprawdzam, czy na pewno mam kluczyki do samochodu. Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to zostać tutaj albo być zmuszona uciekać bez samochodu.

Wyjmuję pudełko zapalek, pochylam się, żeby osłonić je swoim ciałem przed deszczem i wiatrem, zapalam jedną. Nieduży płomyk rozbłyskuje w ciemności.

To za pieniądze, które mi ukradłeś, ty draniu.

Śpię tej nocy lepiej niż kiedykolwiek. Zapach dymu wgryzł mi się w skórę i we włosy, mimo że po powrocie do domu dwukrotnie wzięłam prysznic. Gdy się budzę, mam przed oczami obraz płomieni, widzę, jak niemal natychmiast rozświetliły jesienną noc, i przypominam sobie żar palący mnie w twarz, chociaż stałam dosyć daleko. Było to w pewien sposób oczyszczające doznanie. Nie wiem, czy za sprawą ognia, czy też faktu, że odebrałam sobie coś, co było moje, a z czego on mnie ograbił.

Wstaję, znowu biorę prysznic, ubieram się i jem jogurt z płatkami, a jednocześnie czeszę się i robię makijaż. Może to tylko złudzenie, ale wydaje mi się, że wyglądam trochę pogodniej. Silniej. I być może tak właśnie jest – kto wie, czy ta kobieta, która spogląda z lustra, nie jest kimś innym. Może poprzedni wieczór jednak mnie zmienił.

Przed wyjściem odnajduję jeszcze w stosie rachunków w chlebaku małą wizytówkę dziennikarza i wsuwam ją do kieszeni. Uznaję, że nadeszła pora, aby do niego zadzwonić.

Idąc do metra, stwierdzam, że jakoś w ogóle jest inaczej. W pierwszej chwili nie wiem, skąd takie poczucie, ale potem wszystko staje się jasne: po raz pierwszy od tygodni świeci słońce. Zatrzymuję się, zamykam oczy i zwracam twarz ku niebu. Chłonę ciepło i światło. Stoję tak długo, dopóki nie poczuję gorąca na policzkach i pieczenia pod powiekami. Przez głowę przemyka mi myśl, że życie nie jest mimo wszystko takie złe.

Nie wiadomo dlaczego akurat w tym momencie przypominam sobie tatę. W wieczór przed śmiercią. Jak leżał cicho na swoim łóżku w ciemnym pokoju. Mama człapała niespokojnie tam i z powrotem pod drzwiami. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego ona, która przecież ogromnie go nienawidziła, tak

bardzo się zamartwiała, kiedy zachorował. Zupełnie jakby знаła tylko dwa rodzaje uczucia: złość i trwogę. Właśnie wtedy była potwornie wystraszona.

Przez niemal całe przedpołudnie wisała na telefonie i gadała prawie ze wszystkimi ciotkami. Ja odrabiałam pracę domową z fizyki i przysłuchiwałam się jej długim, prowadzonym szeptem rozmowom o zdrowiu taty. Określenia, takie jak „kompletnie bierny” i „zupełnie stracił chęć życia”, mieszały się z teatralnymi westchnieniami i standardową gadką o braku pieniędzy, jej nudnej pracy i egocentrycznym szefie. A za każdym razem wszystko kończyło się stwierdzeniem, że zasługiwała na coś lepszego, z czym ciotki chyba się zgadzały, ponieważ po tych słowach ani razu nie doszło do żadnej dyskusji.

Zastanawiałam się nad tym, co ona właściwie miała na myśli, mówiąc, że zasługuje na coś lepszego. Czy mama nie była zadowolona ze swojego życia? Wolałaby mieć inne? I czy w takim razie można sobie na to jakoś zasłużyć, mieć do tego prawo, jeśli jest się lepszym człowiekiem? Czy mama była w istocie lepsza ode mnie i od taty? A jeżeli ja jestem taka zła, to na co zasługuję?

Usiadłam ostrożnie na łóżku obok taty. W mrocznym pokoju czuć było dymem papierosowym, potem i jeszcze czymś innym, dławiącym, przypominającym zapach starych rzeczy; uświadomiłam sobie, że wcale nie muszę się bać, że tata pozna, że chwilę przedtem paliłam po kryjomu z Elin papierosa.

Nie rozumiałam, dlaczego upierał się, aby rolety były opuszczone, dlaczego chciał leżeć w ciemności przez całe dni. Łóżko ugięło się trochę, kiedy na nim usiadłam, chociaż starałam się zachowywać jak najdelikatniej.

– Moja mała Emma – wymamrotał i odwrócił się w moją stronę.

Później wziął mnie za rękę. I to wszystko. Nie powiedział nic więcej, tylko leżał bez ruchu i ciężko oddychał, jakby każde zaczerpnięcie powietrza było walką. Zastanowiłam się, co mogłoby go rozweselić. Normalnie proponowałam mu, żebyśmy zrobili coś razem, na przykład poszli na spacer czy coś ugotowali. Domyślałam się jednak, że tym razem to nie zadziała.

– Czujesz się trochę lepiej? – spytałam.

– Tak – odpowiedział po niepokojąco długim milczeniu. Nawet jego głos brzmiał inaczej. Był pusty, bezbarwny. Jakby dochodził ze studni. – Moja mała Emma – powtórzył i mocniej ścisnął mi rękę. – Chciałbym, żebyś wiedziała, że bardzo cię kocham i że jesteś wspaniałą dziewczynką.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Czułam się nieswojo w tej sytuacji. Nigdy nie widziałam, żeby tata był taki słaby. Mógł być zmęczony, zo-

bojętniały albo zły i nieopanowany czy nawet pijany i nieprzewidywalny, ale nie słaby. Mężczyzna, który był moim idolem, od kiedy nauczyłam się chodzić, nie był słaby. Po prostu.

– Tatusiu...

– Emmo – przerwał mi – pamiętasz tamtą larwę motyla, którą trzymałaś w słoiku, jak byłaś mniejsza?

– Tak.

Byłam ciekawa, do czego on zmierza.

– Nie mogę sobie wybaczyć, że pozwoliłem mamie stłuc ten słoik. Wiedziałem, czym skończy się tamten wieczór, a mimo to nie zrobiłem nic, żeby ją powstrzymać.

– Daj spokój, to tylko śmieszny robal. Poza tym to było wieki temu.

– Robal, wiem, ona tak go nazywała. Ale to nie był jedynie motyl, tylko twój mały projekt, twoja mała własność, nad którą czuwałaś przez całe lato. Jedyna rzecz, która wtedy była dla ciebie ważna, a mimo to, albo właśnie dlatego, ona to zniszczyła. I ja na to pozwoliłem, czyli jestem tak samo winny.

Nie miałam pewności, ale chyba usłyszałam w mroku pociągnięcie nosem.

– Pamiętasz, jaki był piękny – ciągnął. – Z całkiem niepozornej larwy przekształcił się w fantastycznego motyla. W jednym miejscu miał na skrzydłkach taki niebieski odcień, który jakby sam świecił. Pamiętasz?

Kiwnęłam głową, chociaż on i tak nie mógł zobaczyć tego w ciemności. Miałam gulę w gardle i nie wiedziałam, czy byłabym zdolna wykrztusić choć słowo.

– Chciałbym, żebyś wiedziała, że ty jesteś jak ten kokon. Pewnego dnia też zamienisz się w pięknego motyla. Nigdy o tym nie zapominaj. Niezależnie od tego, co mówią ci ludzie. Obiecuj mi to.

– Ale tatusiu. – Zachichotałam mimo woli, bo cała ta sytuacja wydała mi się nagle nedorzeczna. Jakbym znalazła się w jakimś melodramacie. – Prze stań tak mówić, bo zacznam się bać. Słyszysz?

Nie odpowiedział. Przez chwilę w pokoju słychać było tylko jego ciężki oddech.

– Jeśli ktoś ci powie, że jesteś inna, masz wtedy pomyśleć o tamtym motyłu. Pamiętaj! Bo inna nie znaczy gorsza. Inna może równie dobrze znaczyć lepsza. Obiecuj mi, że będziesz o tym pamiętać.

– Jasne, ale...

Gula w gardle stawała się coraz większa. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby tata mówił takie rzeczy. I w żaden sposób nie potrafiłam mu pomóc. Żadna wyjątkowa kolacja czy wspólny długi spacer nad wodą nie rozwiązałyby tego problemu.

– Bardzo bym chciała, żebyś był. taki jak dawniej – szepnęłam. Specjalnie nie użyłam słowa „zdrowy”, bo to by znaczyło, że jest chory, a nic takiego nie powiedziała mu ani razu mama. Ani ja.

– Jakoś tak się rozsypałem – odezwał się nagle ożywionym głosem, jakby właśnie powiedział jakiś żart. – Rozsypałem.

I to były ostatnie słowa taty. Następnego dnia mama znalazła go nieżywego.

Hanne

Zanim zaczęłam interesować się behawioryzmem, studiowałam antropologię kulturową. Zaczytywałam się w pracach Franza Boasa i Bronisława Malinowskiego i marzyłam o tym, aby wyjechać na północ Grenlandii i przez rok prowadzić wśród tamtejszych Inuitów prace badawcze. Być może wzięło się to stąd, że jako dziecko obejrzałam stary film dokumentalny Nanuk z Północy. Ale to było w latach siedemdziesiątych, tymczasem w następstwie coraz głośniejszego wyrażanego zapotrzebowania na antropologię bardziej zaangażowaną zainteresowanie malowniczym ludem pierwotnym pozbawionym jakiegokolwiek znaczenia geopolitycznego zdecydowanie zmalało.

Po prostu Eskimosi przestali być modni.

Ja natomiast wciąż miałam słabość do antropologii. Może właśnie dlatego Owe przywoził mi czasami drobne oryginalne upominki, gdy wyjeżdżał gdzieś daleko w świat.

W latach osiemdziesiątych na przykład, po pobycie na kongresie lekarzy w Miami, podarował mi ozdobioną perłami maskę wykonaną przez Indian Huichol z zachodniego Meksyku. Innym razem dostałam starą tabakierkę używaną przez członków plemienia Khosa z Afryki Południowej, gdzie Owe przebywał na międzynarodowej konferencji psychiatrów. W końcu niemal cały regał był zastawiony tymi pamiątkami z podróży.

Dopiero mniej więcej po dziesięciu latach zrozumiałam, że te prezenty służyły kompensacji czegoś zupełnie innego. Nie pamiętam dokładnie, jak doszłam do tego wniosku; być może wątpliwości powstały we mnie dlatego, że niekiedy w środku nocy dzwonił telefon, a gdy odbierałam, nikt nie odpowiadał. Zdarzało się też, że przychodziły listy z adnotacją na kopercie „do rąk własnych”. Ale chyba największe podejrzenia wzbudziła Evelyn.

Evelyn, Amerykanka po czterdziestce, była terapeutką Owego, co samo w sobie nie wydawało się niczym szczególnym, ponieważ w naszym środowisku każdy miał terapeutę. Co najmniej jednego. I wizyty kilka razy w tygodniu u własnego psychoanalityka były czymś zupełnie normalnym, wręcz stanowiły o statusie. Tak więc Owe spędzał znaczną część swojego wolnego

czasu na wałkowaniu własnego dzieciństwa na kozetce w gabinecie Evelyn przy Odenplanie.

Pamiętam, że kiedy wracał do domu, nierzadko był wykończony. Rozkojarzony i z nieobecnym wzrokiem osuwał się na kanapę w salonie i chciał, abym zostawiła go w spokoju. Tymczasem ja zawsze wtedy okazywałam mu wyjątkowo dużo serdeczności, ponieważ przypuszczałam, że podczas spotkania roztrząsali akurat coś bardzo bolesnego. Na przykład śmierć jego ojca czy słabość mamy do tabletek przeciwbólowych i uspokajających. Ale pewnej nocy w grudniu – byliśmy małżeństwem już od dziesięciu lat – nakryłam go. Pamiętam, że obudziłam się z powodu zimna. Kaloryfery w naszym mieszkaniu nie działały najlepiej, a kołdra jakoś zsunęła się ze mnie. Kiedy zauważyłam, że Owego nie ma w łóżku, wstałam, żeby sprawdzić, czy nic się nie stało. W przedpokoju usłyszałam dochodzący z kuchni szept i sama nie wiem dlaczego, podeszłam bliżej na palcach, starając się nie zdradzić swojej obecności.

Mówił po angielsku. I nie była to rozmowa służbowa. Dostyc szybko się zorientowałam, że po drugiej stronie słuchawki jest Evelyn i że między nimi dwojgiem jest zupełnie inna relacja, niż sądziłam.

W pierwszym odruchu miałam ochotę wpaść do kuchni, wyrwać mu telefon z ręki i uderzyć go w twarz albo cisnąć czymś o podłogę, ale w końcu wróciłam do sypialni i naciągnęłam sobie kołdrę na głowę, pełna nieopisanej pogardy. Odczuwałam pogardę – nie żal, nie złość, nie zazdrość. Nie potrafiłam pogodzić się z tym, że on zawsze grał takiego cholernie niewinnego i nieskazitelnego, podczas gdy mnie nieustannie wypominał moje skoki w bok.

Bo ja oczywiście też nie byłam mu wierna. I to nawet kilkakrotnie. Zwłaszcza na początku naszej znajomości. Ale wtedy były inne czasy, ludzie mieli „otwarte”, poligamiczne i Bóg wie jeszcze jakie związki, toteż nigdy nie ukrywałam swoich drobnych grzeszków. Bywało, że lądowałam w łóżku z jakimś facetem po mocno zakrapianej imprezie, a reakcja Owego była zawsze taka sama: zabierał mnie do domu – w razie potrzeby nawet niósł – i przemawiał mi do rozsądku. Traktował mnie jak dziecko, które złamało zakaz wychodzenia z domu albo coś zwędziło. Oczywiście tego rodzaju zdarzenia osłabiały moją pozycję wobec niego, co on skrzętnie wykorzystywał, bzykając się trzy razy w tygodniu z Evelyn na jej kozetce w gabinecie przy Odenplanie.

To chyba wtedy zaczęłam go nienawidzić.

Gdy więc spotkałam Petera, uznałam, że nie ma powodu, abym zrezygnowała z prawdziwej miłości. Bo niby dlaczego? Skoro Owe pozwolił sobie zakochać się w tym amerykańskim babsku?

Sądzę poza tym, że zbliżenie się do mężczyzny takiego jak Peter było wyrazem swego rodzaju buntu. On bowiem nie należał do intelektualistów, mieszkał w niedużym mieszkanku na przedmieściach i najbardziej lubił spędzać czas, oglądając transmisje sportowe. Krótko mówiąc: nasi przyjaciele z uśmiechem pobłażania na ustach uznaliby go za niewykształconego, przeciętnego Svenssona. Którego marzenia nie sięgają dalej niż wyjazd na kolejny urlop czy kupno nowego samochodu i który jest przekonany, że Czechow to marka wódki.

Swoją drogą nie potrafiłam go do końca rozgryźć, zwłaszcza gdy mi opowiedział, że jego mama angażowała się politycznie i działała w ruchu FNL oraz że jako dziecko chodził z nią na zebrania i uczestniczył w pochodach. Kiedy to usłyszałam, przebiegło mi przez myśl, że na dobrą sprawę mógłby wyrastać wśród moich własnych przyjaciół. Mimo takiej przeszłości nie wykazywał jednak najmniejszego zainteresowania polityką. Chyba często tak bywa, że świadomie wybieramy zupełnie inne życie niż to, jakie mieli nasi rodzice.

Rozbuchane ego mojego męża zostało poważnie zranione, gdy w końcu zrozumiał, że ja całkiem serio rozważałam odejście od niego – mimo że Peter zmył się stosownie i tamtego wieczoru na schodach przy Skeppargatan pozostawił mnie własnemu losowi.

Ale moje rozzalenie wobec Owego, które osiągnęło punkt kulminacyjny tamtej nocy, stopniowo przeszło w rezygnację i swego rodzaju pasywność. Zakochać się na nowo, zaufać innemu mężczyźnie, tak jak zaufałam Peterowi – i może znowu przeżyć zawód – nie, nie, to wydawało się niewyobrażalne.

W ostateczności więc zostałam, z braku lepszego wyjścia.

Tak to już bywa.

I oto on na nowo wkradł się w moje życie.

On. Peter.

Jedyny człowiek, który w ciągu ostatnich piętnastu lat rzeczywiście coś dla mnie znaczył. Wypalony glina z nadszarpniętym poczuciem własnej wartości i chorobliwym lękiem przed związaniem się z kimś na stałe. Zaledwie kilka godzin temu był tu w łóżku obok mnie. Na mnie. We mnie. A teraz nie

potrafię myśleć o niczym innym jak tylko o tym, kiedy znowu go zobaczę.

Może stanie się ze mną to samo co z Gunillą, myślę sobie i przywołuję w pamięci jej słowa: „Jesteśmy tak niesamowicie sobą... zafascynowani, a mówiąc wprost: najzwyczajniej w świecie napaleni. Czy w naszym wieku to dozwolone?”.

Oczywiście to niemożliwe, aby nasza relacja mogła zamienić się znowu w poważny związek. Nie tylko dlatego, że bałabym się kolejnego zawodu, ale przede wszystkim z tej prostej przyczyny, że jestem na progu choroby, na którą nie ma lekarstwa. Czekam mnie ciemny tunel zapomnienia i rozkładu. Czuję się trochę tak, jakbym była grotolazem i przygotowywała się do wejścia do wnętrza góry przez wąską szczelinę, chociaż wiem, że ona będzie robić się coraz węższa i węższa i w końcu pozostaną tam uwięziona na zawsze.

I nawet Peter nie będzie w stanie mi pomóc.

Koledzy w komendzie pracują nad informacjami i sugestiami otrzymanymi po opublikowaniu przybliżonego portretu zamordowanej. Oglądam fotografie młodych kobiet, mając nadzieję, że żadna z nich nie jest ofiarą z domu Orrego. Ale ktoś jednak musi nią być, to nieuchronne. Przecież w lodówce zakładu medycyny sądowej w Solnie leży ktoś i czeka na odzyskanie nazwiska i życiorysu. Nawet po śmierci.

Staram się nie patrzeć na Petera. Bynajmniej nie żałuję tego, co się stało ostatniej nocy, tylko nie wiem, co miałabym powiedzieć ani jak się zachować. Już dawno nie znajdowałam się w takiej sytuacji. Zupełnie jakbym była nastoletnią siksą. „No, przespaliśmy się wczoraj, ale nie mam pojęcia, co on o mnie myśli ani czy spotkamy się znowu”.

To naprawdę śmiechu warte. Chyba najbardziej komiczna historia, jaka wydarzyła mi się od wielu lat.

Właściwie kiedy ja ostatnio się kochałam? Dokładnie nie pamiętam, ale chyba pięć lat temu. Zazwyczaj mówiłam Owemu, że boli mnie głowa. Używałam tej wymówki nie dlatego, że uważałam ją za dobrą – wręcz przeciwnie, wykręcanie się od seksu w ten sposób to moim zdaniem najżałośniejsza rzecz na świecie, liczyłam więc na to, że w końcu do niego dotrze, że ja po prostu już nie chcę się z nim kochać.

I dotarło.

Stopniowo przestał się mną interesować pod tym względem. Kładł się bez słowa do łóżka, gasił lampkę i nawet nie dawał mi całusa na dobranoc. Oczywiście domyśliłam się, że chciał mnie w ten sposób ukarać. Tyle że

mnie to bardzo odpowiadało. Już wtedy bowiem zupełnie się od niego oddałam, chociaż nigdy nie rozważałam na poważnie, by znowu spróbować od niego odejść.

A potem pojawiły się pierwsze objawy choroby. Zaczęło się od tego, że zapominałam nazwisk, na przykład przyjaciół, z którymi przyjaźniliśmy się od wielu, wielu lat. Albo – jeszcze częściej – nazw miejscowości.

Sundsvall, Söderhamn, Sollefteå.

Örebro, Örkelljunga, Örgryte.

Arboga, Abisko, Arvika.

Ale kto, u licha, by je wszystkie pamiętał? Gdyby moje ubytki w pamięci zatrzymały się na tym, Owe prawdopodobnie niczego by nie zauważył. Jednak później zdarzało mi się coraz częściej nie przychodzić na umówione spotkania, zapominałam oddzwonić do znajomych albo nie wiedziałam, gdzie podziałam swoją kartę kredytową lub telefon komórkowy.

Któregoś dnia zostawiłam Fridę przed sklepem spożywczym, a kiedy dotarłam do domu, nie pamiętałam już, gdzie z nią byłam. Spanikowana zadzwoniłam do Owego, który tydzień później zmusił mnie, abym poszła do lekarza, a on od razu wypisał mi skierowanie do Kliniki Pamięci.

Klinika Pamięci.

Powtarzam sobie to określenie. Brzmi poetycko i jednocześnie absurdalnie. Jak tytuł sztuki Kristiny Lugn albo książki Vonneguta.

Jednak w samej klinice nie było wcale ani poetycko, ani niedorzecznie.

Poddano mnie masie testów i badań i po kilku miesiącach lekarze doszli do wniosku, że rzeczywiście mam początki demencji, nie potrafili jednak powiedzieć jakiej. Nie byli też pewni, jak szybko choroba będzie postępować ani czy tabletki, które mi przepisali, pomogą.

Patrzę na kolegów siedzących przy swoich biurkach i zastanawiam się, co by pomyśleli, gdyby wiedzieli, że ich współpracowniczka cierpi na „łagodne zaburzenia poznawcze”. Że doświadczona badaczka zajmująca się behawioryzmem, wspierająca ich za dziewięćset koron za godzinę jako konsultantka, jest bliska osunięcia się w otchłań zapomnienia. I że być może za dwa miesiące nie będzie potrafiła odróżnić banana od batona.

Wtedy raczej nie zwróciliby się do mnie z prośbą, abym wskazała im mordercę wśród niewinnych ludzi.

Po kilku minutach podchodzi do mnie Manfred, jak zawsze wystylizowany niczym paw indyjski, i pochyla się lekko nad moim krzesłem.

- Super, że wpadłaś na ten szczegół z zapalkami – mówi.
- Dzięki.
- Czyli twoim zdaniem morderca i ofiara się znali?
- Sposób działania zabójcy by na to wskazywał. Według mnie łączyła ich bliższa relacja i sprawca zemścił się za coś na ofiarach. W obu przypadkach.
- A jakiego rodzaju relacja to mogłaby być?
- W grę musiały wchodzić silne emocje. Na jednej szali była nienawiść, ale na drugiej inne, równie intensywne uczucie. Nienawiść nigdy nie powstaje w próżni.
- Czyli co to mogło być?
- Zastanawiam się krótko.
- Na przykład miłość.

Mniej więcej w porze lunchu dostaję esemesa od Owego. Przeprasza mnie za swoje zachowanie i za to, że mi groził. Píše, że czuje się dobrze, kocha mnie i chyba nie potrafi bez mnie żyć.

To na pewno prawda. Ale mu nie odpowiadam. Kupuję sobie sałatkę i siadam w salce konferencyjnej razem z Sanchez i Manfredem, którzy przepytują dochodzeniowców pracujących dalej nad informacjami wciąż przysyłanymi w odpowiedzi na opublikowanie przybliżonego portretu ofiary. Właściwie moja obecność tam nie jest wcale potrzebna, mogłabym wrócić do mieszkania Gunilli i usiąść na kanapie z książką w ręce, ale nie mam na to ochoty.

Młodsza ze śledczych, o imieniu Simone i z warkoczykami rasta sięgającymi aż do talii, przekrzywia na bok głowę i mówi:

– Możemy wyłączyć z dochodzenia Wilhelminę Andrén, tę, która uciekła z oddziału psychiatrycznego szpitala w Danderydzie. Jakiś właściciel psa znalazł ją dziś rano zamarznąłą na śmierć nad Brunnsviken w Solnie. Rodzice już ją zidentyfikowali, nie ma więc żadnych wątpliwości co do jej tożsamości.

– Biedaczka – bąka Manfred, pocierając sobie brodę pokrytą rudawym zarostem.

Simone kiwa głową i kontynuuje:

- Pozostają Angelica Wennerlind i Emma Bohman. Kartoteki dentystyczne poszły już do Solny, odpowiedź dostaniemy najpóźniej jutro.
- Myślałem, że dziś wieczorem – wtrąca Manfred.
- Odontolog sądowy jest w Skövde i wróci dopiero za kilka godzin – wy-

jaśnia Simone.

W tej samej chwili otwierają się drzwi i do salki wchodzi Peter. Ma rumiane policzki i trochę śniegu na skórzanej kurtce. Nie zdejmuje jej ani nie siada przy stole, tylko wskazując na mnie i na Manfreda, mówi:

– Chodźcie. Przyszła koleżanka, która twierdzi, że spotkała Emmę Bohman dwa tygodnie temu. Podobno Emma i Jesper Orre mieli romans.

Emma

Dwa tygodnie wcześniej

– Muszę zapłacić kilka rachunków. Mogę usiąść na chwilę przy komputerze w biurze?

Mahnoor wzrusza obojętnie ramionami i jednocześnie nakłada sobie palcem błyszczący na usta. Dzisiaj jest ubrana w luźne w kroku dżinsy, które opadają jej niebezpiecznie nisko z bioder, odsłaniając brzeg koronkowych fig.

– Jasne.

Jestem zdziwiona, że nie protestuje. Normalnie miałyby całą masę zastrzeżeń, dlaczego muszę robić to akurat teraz, tuż przed otwarciem. Tymczasem tylko uśmiecha się słodko i znika w głębi sklepu. Słyszę z daleka, jak rozmawia z Olgą, chyba się śmieją, co zmusza mnie do zastanowienia.

Mam wrażenie, że jest jakoś inaczej. Wszystko wydaje się inne. Sklep zrobił się jakby jaśniejszy, Olga i Mahnoor są w lepszym humorze. Nawet na zewnątrz wyjrzało słońce. Ale przecież w gruncie rzeczy nic tak naprawdę się nie zmieniło oprócz tego, że odzyskałam kontrolę nad własnym życiem.

Może to wszystko, czego mi było potrzeba?

Znalezienie w sieci tego, czego szukam, okazuje się łatwiejsze, niż myślałam. Muszę jednak poświęcić trochę czasu na wczytanie się w ofertę, bo przecież nie mam zielonego pojęcia, który model jest najlepszy ani ile woltów jest potrzebnych. Po dwudziestu minutach zamawiam małe urządzenie przypominające telefon komórkowy. Sprzedawca zapewnia dostawę w ciągu dwudziestu czterech godzin, ale mnie w zupełności wystarczy, jeśli otrzymam swój zakup w ciągu trzech najbliższych dni. Następnie wyjmuję z kieszeni spodni małą wizytówkę.

„Anders Jönsson. Dziennikarz freelancer”.

Podchodzę do drzwi, uchylam je lekko i zerkam na wnętrze sklepu. Olga obsługuje jakiegoś klienta przy kasie, a Mahnoor składa dżinsy, kołysząc się w rytm muzyki z głośników.

Anders Jönsson odbiera po trzecim sygnale. W pierwszej chwili nie przypomina mnie sobie, więc wyjaśniam mu wszystko po kolei: jak odwiedził

mnie jakiś czas temu w sklepie, ale ja nie chciałam z nim wtedy rozmawiać, jestem jednak gotowa zrobić to teraz. Na moment w słuchawce zalega cisza, a po chwili mój rozmówca potwierdza gorączkowo, że bardzo chętnie się ze mną spotka. I to najszybciej, jak to możliwe. Może dzisiaj?

Jakie to proste, myślę sobie. Dziecinnie proste.

Lato wybuchło mnóstwem tonów zieleni za oknem. Szliśmy korytarzem, a echo naszych kroków odbijało się od betonowych ścian jak piłeczki ping-pongowe. Starłam się nadążyć za nim, ale on szedł coraz szybciej. Zmierzał w kierunku wyjścia, gdzie promienie słońca wpadały przez duże szklane drzwi. W ich świetle brudnobrązowa posadzka jarzyła się czerwienią.

– To przecież jasne, Emmo, że nie możemy się spotykać. Chyba sama rozumiesz?

Zatrzymał się przed pracownią fizyczną i odwrócił do mnie. Szare ściany zdawały się przybliżać, miałam wrażenie, że korytarz się kurczy, nie mogłam oddychać. Sufit obniżał się złowroźnie, usiany czarnymi kropkami po snusie. Skąd snus na białym suficie, zdziwiłam się.

Gwóźdź położył mi dłoń na przedramieniu i poklepał je lekko. Poczułam się znowu jak małe dziecko. Czy on nie pojmuję, jak poniżający i upokarzający jest ten drobny i prosty gest?

Policzki mi pały. Ze wstydu, ale nie tylko. Również z wściekłości. Że mnie wykorzystał, zabawił się mną. Lizał mnie, wchodził we mnie, całował i pieścił, i robił całe mnóstwo różnych rzeczy. A potem już nie chciał. Już się nie nadawałam. Wziął sobie to, na co miał ochotę, i już. To mu wystarczyło.

A ja zostałam z tym wszystkim sama.

– Jak to nie możemy się spotykać? – spytałam i niemal od razu pożałowałam tych słów, bo za żadne skarby świata nie chciałam, aby odbierał mnie jako rozkapryszoną, natrętą gówniarę.

Spojrzał na mnie osłupiały i zrobił krok do tyłu, jakby nagle odkrył, że cuchnę.

– Wcześniej nie widziałeś w tym problemu – dodałam.

– Nie rozumiem – powiedział w tej samej chwili, gdy rozległ się dzwonek i wszystkie drzwi się otworzyły. Wyglądał na szczerze zmartwionego. Autentycznie zatroskanego.

Uczniowie wylewali się z klas, przepływali tuż obok, szeroka rzeka nastoletnich ciał, lecz jego wzrok utkwiony był niezmiennie we mnie.

– Chcę ci pomóc, Emmo, ale nie w ten sposób.

I w tym momencie się rozsypałam.

Korytarz walił się wokół mnie, a usiany snusem sufit runął w dół. Umierałam. Kończyłam życie w chmurze betonowego pyłu. Rozpadałam się na kawałki. Ból rozrywał mi ciało, dudnił w każdej komórce. Atomy mojego organizmu ulegały zniszczeniu, przestawały istnieć. Jedyne, co pozostało, to pulsujący ból i wstyd.

Na Lützengatan brodzę przez sterty żółtych klonowych liści. Zupełnie jakbym szła przez głęboki śnieg. Zapach jesiennej gnijącej roślinności drażni moje nozdrza. Podmuchi wiatru podrywa kilka liści w górę, szybują nade mną jak jaskółki. Przystaję na środku ulicy i jak zahipnotyzowana przyglądam się temu spektaklowi.

Zapomniałam, że życie może być takie piękne. Takie idealne.

Tak jak obiecywał, stoi przed cukiernią przy Valhallavägen. Poznaję go. Ma na sobie tę samą znoszoną parkę, a wiatr rozwiewa jego jasnożółte włosy, nadając mu dosyć komiczny wygląd. Witamy się i wchodzimy do środka, gdzie jak zwykle jest trochę mrocznie i ciasno. Pod ścianami stoi kilka stolików; siadamy przy jednym z nich, kupiwszy sobie uprzednio kawę i kardamonową bułeczkę.

– No to jak tam jest u pani w pracy?

Stara się, by pytanie brzmiało jak najbardziej obojętnie. Jakbyśmy byli starymi znajomymi, którzy spotykają się na kawie i opowiadają sobie wydarzenia ostatnich miesięcy.

– Jest w porządku.

– Serio?

Unosi jasne brwi i robi zdziwioną minę. Postanowiłam nie mówić mu, że zostałam zwolniona, bo to za bardzo pachniałoby zemstą, co w gruncie rzeczy byłoby zgodne z rzeczywistością.

Twoja praca za moją pracę, Jesper.

– No przecież sam pan wie, jak jest.

Potakuje ruchem głowy i połyka pół drożdżówki za jednym kęsem.

– Jest koszmarne.

Akcentuje każdą sylabę, jakby chciał podkreślić, że doskonale się orientuje, jak fatalne są warunki pracy w Clothes & More.

– Hm.

– I jak pani to wytrzymuje?

– To jest moja praca. A potrzebuję pieniędzy.

– Niech żyje kapitalizm – bąka pod nosem, przybierając pełen goryczy wyraz twarzy.

– Nie mam wyboru.

Powoli kiwa głową.

– Rozumiem. Dlatego to bardzo odważne z pani strony, że przyszła tu pani dzisiaj. Co chce mi pani opowiedzieć?

Nagle sprawia wrażenie jedynie zaciekawionego. Zatroskana mina znika w ułamku sekundy, na co ja przechylam się przez mały stolik, zniżam głos, aby kobieta za ladą broń Boże mnie nie usłyszała.

– O Jesperze Orrem. Wiem co nieco o nim.

– Wobec tego słucham – odpowiada dziennikarz i przysuwa się jeszcze bliżej, tak blisko, że dostrzegam drobinki cukru w kącikach jego ust i czuję zapach kawy w jego oddechu.

Usiłuję przybrać zatroskany wyraz twarzy, kulę się na krześle.

– Właściwie to nie jestem pewna. Bo to trochę nie w porządku tak opowiadać to panu.

Wbija we mnie swe wyblakłe oczy i chwyta mnie lekko za rękę.

– To naprawdę super, że jest pani taka lojalna i w ogóle, ale niech pani pomyśli o swoich koleżankach i wyobrazi sobie, co z nimi będzie. Bo jemu jest wszystko jedno, dla Jespera Orrego liczą się tylko pieniądze, i szczerze mówiąc, was, pracowników, ma w dupie. Niech pani o tym nigdy nie zapomina. Jesper Orre ma panią w dupie, Emmo.

Wzdycham i spoglądam na dziennikarza. Gdyby on wiedział, jak bardzo ma rację.

– No dobrze, to powiem panu. W końcu wszyscy o tym gadają. Wczoraj spalił się jego dom czy może garaż. Podobno policja podejrzewa, że to on sam podłożył ogień.

Kiedy pochyla się ku mnie, w kąciku jego jednego oka coś jakby drgnęło. Spojrzenie wyraźnie się ożywiło i cała postać jest pełna wyczekiwania. Zupełnie zapomniał o swojej drożdżówce, którą odłożył na talerzyk. Ponieważ wciąż nie puszcza mojego przedramienia, ostrożnie próbuję uwolnić się z uchwytu.

– Przepraszam – bąka, gdy to zauważa. – A wie pani, dlaczego to zrobił?

Wzruszam ramionami i obrzucam go jak najbardziej niewinnym spojrzeniem.

– Nie mam pojęcia. Zdaje się, że w garażu stały same drogie auta.

– Czyli chodziło o ubezpieczenie?

Powoli kręcę głową.

– Nie wiem. Ale chyba mało prawdopodobne, żeby to on podpalił garaż, zwłaszcza że trzymał w nim swoje cenne samochody.

Dziennikarz uśmiecha się z politowaniem, a ja odnotowuję z zadowoleniem, że dał się nabrać na moją udawaną naiwność.

– Czy zna pani kogoś, kto mógłby to potwierdzić?

– Nie, ale policja chyba wie najlepiej?

Nic nie mówiąc, kiwa głową.

– A czy wiadomo pani coś więcej o Jesperze? To bardzo ważne.

– Co pan ma na myśli?

– No, czy ma na przykład problemy innego rodzaju?

Usiłuję sprawiać wrażenie, że zastanawiam się intensywnie i szukam w najgłębszych zakamarkach pamięci. Po chwili mówię:

– Ewentualnie to dochodzenie.

– Dochodzenie?

– No tak. Dział finansowy sprawdza go dokładnie.

– Wie pani dlaczego?

Lekko przekrzywiam głowę, otwieram szeroko oczy i zaczynam się bawić kosmykiem włosów.

– Mówi się, że za firmowe pieniądze urządził sobie przyjęcie urodzinowe. Ale to pewnie tylko zwyczajne plotki. No bo kogo jak kogo, ale jego raczej stać na to, żeby wyprawić sobie urodziny za własne pieniądze, prawda?

Wieczorem zapraszam samą siebie na wino i pizzę z dostawą do domu. Zapalam świeczkę – tę samą, którą przygotowałam na naszą zaręczynową kolację. Włączam muzykę i nagle wszystko wydaje się łatwiejsze. Bardziej przewidywalne. Jakby stało przede mną wyraźnie określone zadanie: zaprowadzić sprawiedliwość. Może zamieniłam się w swego rodzaju narzędzie. Jest w tym jednak coś wyzwalającego: podporządkowanie się czemuś większemu i ważniejszemu wyzwala. Poświęcenie się określonej sprawie uwalnia od podejmowania masy decyzji, ponieważ droga ku celowi jest już wyznaczona.

Nie mogę wypić za dużo, upominam samą siebie. Nie wolno mi się upić. Nie powinnam być powolna ani otępiała, nie teraz. Każda godzina, każda minuta, wręcz każda sekunda jest bezcenna, jeśli mam przeprowadzić to, co do mnie należy.

Dyscyplina. Opanowanie. Koncentracja.
Sprawiedliwość.

Po drugim kieliszku mocno wciskam korek do butelki, po czym nachyłam się nad zlewem w kuchni i piję zimną wodę z kranu. Włosy opadają mi na twarz, lśnią w świetle lampy pod sufitem. Jakże ja mam piękne włosy, stwierdzam w duchu.

Idę do łazienki. Patrzę na swoje odbicie w lustrze i niemal zapiera mi dech. Włosy płoną, skóra jest blada, zdaje się niemal błyszczeć. I nagle to widzę: jestem ładna. Naprawdę jestem ładna. Dlaczego zawsze, kiedy widziałam siebie w lustrze, myślałam, że jestem gruba, nudna i dziecinna? Dlaczego nigdy nie zobaczyłam siebie naprawdę? Niezależnie od tego, ile razy Jesper mówił mi coś przeciwnego, i tak mu nie wierzyłam. Ale teraz potrafię dostrzec to sama.

Jestem silna. Ładna. I nikogo nie potrzebuję. Nawet Jespera.

Zwłaszcza Jespera.

Metro się spóźnia, ale w ogóle się tym nie przejmuję, tylko siedzę na peronie z nosem utkwionym w gazecie. Wiodę palcem po linijkach tekstu, jakbym nie chciała przegapić żadnego słowa. Kontrowersyjny szef podejrzewany o podpalenie i nielojalność wobec zarządu - czytam. Poniżej następuje tekst opisujący sporą liczbę nadużyć, na których trop rzekomo wpadł dziennikarz. Chaos wokół króla mody narasta, stwierdza, po czym kończy artykuł, spekulując, jak długo jeszcze właściciele akcji i zarząd pozwolą Jesperowi Orremu stać na czele firmy. Wykres zamieszczony obok tekstu pokazuje czarno na białym, jak głęboko zanurkował kurs akcji Clothes & More w ciągu ostatnich miesięcy. Na samym dole widnieje nazwisko dziennikarza, który z okruciami drożdżówki dookoła ust z takim zainteresowaniem wysłuchał tego, co miałam mu do powiedzenia.

To było aż za proste, myślę. On kupił wszystko, dosłownie wszystko, wręcz rozpaczliwie chciał uwierzyć w każde słowo, które ode mnie słyszał. A może to co innego?

Kosmiczna równowaga?

Idę lekkim krokiem przez rynek. Delikatne podmuchy wiatru pieścą mi włosy. Chmury pędzą po niebie, ale między nimi przebłyskują pasma błękitu. Przed sklepem rozsiadła się już stara gwardia, każdy rozpija swoją pierwszą flaszkę. Kiedy patrzę na nich, widzę ludzi, którzy nie potrafią przejąć kontroli nad własnym życiem, ludzi, którzy poddali się losowi, zamiast podnieść się

i odparować cios. Gdybym nie zemściła się na Jesperze, być może stałabym się taka jak oni: złamana, zdruzgotana. Wrak człowieka, pozbawiony celu, kręcący się w kółko jak liść na wietrze.

Olga stoi przed sklepem i pali. Ale jest coś dziwnego w jej postawie i sposobie, w jaki podnosi papieros do ust i po chwili cofa z nim rękę. Jej ruchy są sztywne i kanciaste. Wydaje się zdenerwowana. Poza tym ona nigdy nie pali na zewnątrz, na dymka zawsze chodzi na zaplecze. Zwłaszcza że zgodnie z instrukcjami z centrali nie wolno nam wystawać przed sklepem z papierosem. Bo to podobno źle wygląda.

Kiedy mnie zauważa, zaczyna wymachiwać w moją stronę obiema rękami ponad głową. Rzuca na ziemię niedopałek, który natychmiast zostaje porwany przez wiatr i poniesiony dalej, obok żłopiących wódkę pijaczków w znoszonych kurtkach puchowych, ku murkowi wokół zniszczonej fontanny pośrodku rynku.

– Cześć – witam Olę.

– Policja jest w środku – informuje mnie teatralnym szeptem, szeroko otwierając jasnoniebieskie oczy. Jej włosy rozwiewają się na wietrze, odsłaniając ciemne odrosty.

– Policja?

– Chcą rozmawiać z tobą.

– Ze mną?

– Tak. Z tobą.

– O czym?

– Nie mam pojęcia. Myślałam, że wiesz.

Wzruszam ramionami, starając się wyglądać na obojętną, ale kiedy przekraczam próg sklepu, czuję, jak przyspiesza mi puls, a między łopatkami ścieka strużka potu. Czuję na plecach palący, przenikliwy wzrok Olgi. I teraz rozumiem, że to nie zdenerwowanie skłoniło ją do wyjścia na zewnątrz i czekania na mnie, tylko nieopanowana ciekawość.

Funkcjonariusze stoją z Mahnoor przy kasie. Mężczyzna i kobieta po czterdziestce, oboje ubrani po cywilnemu. Wyglądają tak zwyczajnie, że równie dobrze mogliby być klientami. Mężczyzna jest całkiem niski, mocno zbudowany, o bardzo krótko ostrzyżonych, jasnych włosach przyprószonych siwizną. Wygląda na zmarnowanego, ale w atrakcyjny sposób. Jak jakiś bandyta z filmu akcji. Kobieta jest wysoka, chuda i przygarbiona. Ma rozjaśnione, długie i niezbyt gęste włosy. Zsuwają jej się z ramion, kiedy obraca głowę

i przygląda mi się badawczo krytycznym wzrokiem.

– Emma Bohman? – pyta, wyciągając do mnie chudą dłoń, której uścisk okazuje się zaskakująco mocny. – Nazywam się Helena Berg i jestem policjantką. Chcielibyśmy z panią porozmawiać.

Jej kolega przysunął się do mnie z lewej strony tak dyskretnie, że nawet tego nie zauważyłam.

– Johnny Lappalainen – przedstawia się. I na tym koniec. Nie pada żadna funkcja, żadne stanowisko, żadne wyjaśnienie.

Za plecami mężczyzny stoi Mahnoor. Jej oczy są szeroko otwarte; domyślałam się, że zadaje sobie pytanie, o co tu chodzi. Kręcę więc głową w jej stronę, dając do zrozumienia, że nie mam pojęcia, czego może chcieć ta dwójka.

– Proponujemy, aby udała się pani z nami do komendy na przesłuchanie – odzywa się chuda kobieta, patrząc na mnie bez wyrazu. Już zapomniałam, jak ona się nazywa. W tym momencie w mojej świadomości nie ma miejsca na takie detale. Wszelkie zakamarki i kryjówki są zajęte. Z desperacją próbuję uporządkować w głowie wydarzenia ostatniego tygodnia. Przypomnieć sobie wszystkie krytyczne momenty. Czyżby ktoś zauważył mnie tamtego wieczoru przed garażem Jespera? Czy sprzedawcy w sklepie z farbami wydał się podejrzany mój zakup i skontaktował się z policją? A może Olga coś powiedziała? Ale przecież ona nie wie, co ja zrobiłam. Wie jedynie, co mi zrobił Jesper. I to też nie wszystko, bo nie opowiadałam jej ze szczegółami.

– Czy to konieczne? – pytam.

– Tak – odpowiada krótko mężczyzna. – Nie zajmiemy pani wiele czasu.

Znowu spoglądam na Mahnoor, która nic nie mówi, tylko kiwa głową, jakby zależało jej na tym, abym wykonała ich polecenie.

Policjantka ze sterczącymi włosami siedzi naprzeciw mnie w niewielkim pokoju o białych ścianach i z białymi meblami. Na stole między nami stoi laptop, i to wszystko. Z bliska wygląda na starszą, głębokie bruzdy biegną od kąćków ust w dół brody, pasemka siwizny przebłyskują w farbowanych włosach.

Mężczyzna siedzi obok niej, milcząc. Od czasu do czasu przygląda sobie krótkie włosy, jakby chciał się upewnić, czy ciągle jeszcze je ma, i patrzy przez okno. Podążam za jego spojrzeniem: blade jesienne słońce świeci nad placikiem i wyłączoną fontanną. Zwiędłe liście tańczą dookoła w lekkich podmuchach wiatru.

– Czy zna to pani? – pyta kobieta, otwierając brązową kopertę, z której ze

szczękiem wypada coś na biały blat stołu: nieduża foliowa torebka z małym przedmiotem w środku. Biorę torebkę do ręki i po chwili wahania otwieram ją.

Jest w niej pierścionek.

Mój pierścionek.

– Tak – mówię. – To jest mój pierścionek zaręczynowy.

– Jest pani pewna? – pyta mężczyzna.

Potakuję głową.

– Raczej tak. Nie wygrawerowaliśmy na nim napisu, ale wygląda jak mój.

Tak.

– Kiedy widziała go pani ostatni raz? – policjant zadaje następne pytanie i odchyła się do tyłu tak mocno, że krzesło aż skrzypi, jakby chciało zaprotestować przeciwko jego ciężarowi.

– Jak zastawiłam go w lombardzie przy Storgatan. Potrzebowałam pieniędzy.

Mężczyzna i kobieta naprzeciw mnie wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– A kiedy i gdzie go pani kupiła? – chce wiedzieć policjantka.

– Przecież już mówiłam: to jest pierścionek zaręczynowy. Nie kupiłam go, tylko dostałam w prezencie.

– Okej, wobec tego kiedy i gdzie go pani dostała? I od kogo?

Wzdycham. Nie rozumiem, do czego oni zmierzają. Spoglądam przez okno i nagle żałuję, że nie mogę siedzieć na ławce w parku w zniszczonej kurtce puchowej, ściskając w ręce butelkę wódki. Jak stara gwardia przed sklepem dziś rano. Wszystko byłoby lepsze niż to, co dzieje się teraz.

– Dostałam go od swojego chłopaka, narzeczonego. Dwa tygodnie temu. Ale on potem zerwał ze mną, a ponieważ naprawdę potrzebowałam pieniędzy, zastawiłam pierścionek w lombardzie. To chyba nie jest niezgodne z prawem?

Mężczyzna kręci głową.

– Oczywiście, że nie. Tylko sprawa tak wygląda, że ten pierścionek został skradziony ze sklepu jubilerskiego przy Linnégatan jakieś dwa tygodnie temu. Czy wiadomo pani coś na ten temat?

– Skradziony?

– Tak. Ze sklepu. Wszystkie lombardy mają obowiązek sprawdzać zasta-

wiane w nich przedmioty z naszą listą rzeczy skradzionych i dzięki temu bardzo szybko odkryto ten pierścionek. A lombard miał pani dane. I dlatego jest pani teraz tutaj.

Czuję, jak oblewa mnie fala zimna. Pełźnie od stóp coraz wyżej, dosięga klatki piersiowej i głowy, wreszcie zakuwa całe moje ciało w lodowatym uścisku. Czy Jesper ukradł pierścionek? A jeśli tak, to dlaczego? Czy jedynie nie chciał wydawać na mnie pieniędzy, czy też jest to kolejny element układanki, jakiegoś chorego planu, którego nie potrafię nawet się domyślić?

Kobieta pochyla się nad stołem i lustruje mnie jeszcze ostrzejszym spojrzeniem. Dostrzegam drobne włoski nad jej górną wargą. Mam ochotę jej powiedzieć, żeby już się do mnie nie przybliżała. Bo z każdym centymetrem coraz bardziej ściska mi się żołądek. Jakby cała ta sytuacja za bardzo mnie osaczała, wdzierала się we mnie. Muszę zachować dystans. Odległość. Nie wytrzymam tej nachalnej bliskości.

– Podejrzewamy, że to pani ukradła pierścionek ze sklepu.

Nie jestem w stanie nic powiedzieć, zaschło mi w gardle, a usta mam jakby pełne piasku. Język przywarł mi do podniebienia. Jedyne, na co się zdobywam, to nieznaczące kręcenie głową. Mężczyzna o fińskim nazwisku wzdycha ciężko. Domyślam się, że w swojej karierze nasłuchiwał się wszelkich możliwych wymówek. Nie wierzy mi. Żadne z nich mi nie wierzy.

– Proszę spojrzeć na to.

Odwraca laptop w moją stronę. Na monitorze widać ziarniste czarno-białe zdjęcie. W pierwszej chwili nie dociera do mnie, co na nim jest, ale potem rozpoznaję wnętrze sklepu jubilerskiego. W prawym górnym rogu widnieje data i godzina. Policjantka wciska jeden z klawiszy i obraz ożywa. Ekspedientka rozmawia z kimś, kto jest odwrócony plecami do kamery. Gestykuluje, jej ruchy są kanciaste, wreszcie podnosi niedużą kasetę. Następnie wskazuje ręką na mały stolik z dwoma krzesłami i siada na jednym z nich tyłem do kamery. Druga osoba, klientka, idzie za nią, zajmuje miejsce na drugim krześle, po czym zdejmuje rękawiczki i czapkę.

To jestem ja. Ta klientka to ja.

Kobieta siedząca naprzeciwko sprzedawczyni to ja.

Później osoba będąca mną zaczyna przymierzać pierścionki. Wsuwa na palec jeden za drugim. Wyglądam tak, jakbym się uśmiechała, jakbym upajała się tą sytuacją.

– Przymierzam pierścionki – mówię. – Jesper i ja przymierzamy pier-

ścianki.

– No tak – odpowiada mężczyzna. – Ale ja widzę tam tylko panią.

Nie rozumiem. Przecież to niemożliwe.

– Zaraz, zaraz, niech pan zatrzyma – proszę.

Policjant wzrusza ramionami, ale zatrzymuje nagranie.

– Oglądaliśmy to wiele razy.

– Niech pan cofnie o kilka sekund.

Wykonuje również tę prośbę i uruchamia film na nowo.

– Tutaj ! – wykrzykuje. – Proszę zatrzymać.

Na ukos ode mnie dostrzegam rozmyty cień zwrócony w moją stronę.

– To on – oznajmiam. – To jest on.

Policjanci wymieniają między sobą długie, obojętne spojrzenia. Kiedy kobieta w końcu się odzywa, wyraźnie słyszę znużenie w jej głosie.

– Twierdzi pani zatem, że w sklepie był z panią ktoś jeszcze?

– Oczywiście. Przecież nikt nie przymierza pierścionka zaręczynowego sam.

– I tym kimś był...?

– Jesper Orre. Mój narzeczony.

– Ten Jesper Orre?

– Tak. Ten Jesper Orre.

Peter

Hanne i Manfred idą za mną do małej salki konferencyjnej i witają się z Heleną Berg, która przedstawia się i wyjaśnia, że pracuje na komisariacie policji na Östermalmie. Jej chuda postać, ostre rysy i niezbyt bujne, jasne włosy wydają mi się dziwnie znajome. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie spotkaliśmy się już przy jakiejś okazji, ale ona chyba mnie nie rozpoznaje.

Czasami zadaję sobie pytanie, czy w moim wyglądzie nie ma przypadkiem czegoś takiego, co sprawia, że ludzie w ogóle nie zwracają na mnie uwagi. Może jestem po prostu zbyt zwyczajny, by wywierać jakiegokolwiek wrażenie na osobach, które spotykam. Jestem zwykłym gliną, którego i tak nikt nie zapamięta, nawet gdybym siedział naprzeciw niego dzień w dzień przez cały tydzień w autobusie. W przeciwieństwie do Manfreda, którego nie sposób nie zauważyć. Ale przecież taki właśnie jest cel jego wystudiowanego sposobu ubierania się.

Hanne i Manfred siadają obok Heleny, ja zaś naprzeciwko niej. Zerkam na Hanne. Wygląda tak samo jak zawsze: skupiona, z notesem na kolanach. Ma obojętny wyraz twarzy. Po wczorajszej intymności ani śladu – mogłaby być równie dobrze jednym z pasażerów tego autobusu patrzących na mnie jak na powietrze.

Janet czasami tak robiła – ignorowała mnie, jakbym w ogóle nie istniał. Najczęściej chciała mnie w ten sposób za coś ukarać, na przykład za to, że zapomniałem o jej urodzinach albo nie chciałem spędzić całego weekendu na oglądaniu mieszkań z ogłoszenia.

Ale Hanne to nie Janet.

Rzeczywiście trudno o dwa bardziej przeciwstawne typy kobiet. Nie ma więc najmniejszego powodu, by porównywać Hanne z Janet. A przynajmniej jeśli naprawdę zależy mi na tym, aby zrozumieć sposób myślenia Hanne.

Zwracam się do Heleny Berg, policjantki z dzielnicowego komisariatu, która chciała nam opowiedzieć o swoim spotkaniu z Emmą Bohman.

– Dziękuję, że przyszedłś – mówię.

Wzruszwszy ramionami, uśmiecha się nieznacznie.

– To przecież oczywiste. Żałuję tylko, że wcześniej nie dodałam dwóch do dwóch. Ale sami wiecie, jak to jest, w naszej pracy natykamy się na takie dziwolągi...

Kiwam głową. Wszyscy przy stole doskonale wiemy, jak to jest w dzielnicowych komisariatach, bo każdy z nas kiedyś tam zaczynał. Z wyjątkiem Hanne rzecz jasna.

– Opowiedz jeszcze raz – zwracam się do niej. – Hanne i Manfred uczestniczą w śledztwie. Na razie nic im nie powiedziałem o twoim przesłuchaniu Emmy Bohman.

– Okej. No więc dobre dwa tygodnie temu dostaliśmy zgłoszenie z lombardu na Östermalmie. Któregoś dnia przyjęli w zastaw bardzo cenny pierścionek z brylantem, a kiedy sprawdzili naszą listę przedmiotów skradzionych, okazało się, że kilka tygodni wcześniej ten właśnie pierścionek zniknął ze sklepu jubilerskiego przy Linnégatan w Sztokholmie. Do lombardu przyniosła go niejaka Emma Bohman, zamieszkała przy Värtavägen. Ta ulica leży tuż przy Karlaplånen, w pobliżu sklepu jubilerskiego. Ja i mój kolega Johnny Lappalainen przesłuchaliśmy Emmę Bohman dwa tygodnie temu i podczas rozmowy pokazaliśmy jej nagranie z kamery monitoringu, potwierdzające jej obecność w sklepie w czasie, gdy dokonano kradzieży.

– I jak ona na to zareagowała? – pytam.

– Przyznała, że rzeczywiście była w sklepie, ale nie sama. Twierdziła, że przyszła tam ze swoim facetem, Jesperem Orrem, żeby obejrzyć pierścionki zaręczynowe. Powiedziała też, że tego pierścionka ani nie ukradła, ani nie kupiła, tylko dostała go od Orrego później, przy innej okazji.

– Potrafiła to udowodnić?

Helena znowu wzrusza ramionami.

– Nie za bardzo. Wskazała kogoś, kto ledwie mignął na filmie, mówiąc, że to Orre. Nie dało się jednak tego potwierdzić, ponieważ nagranie było bardzo kiepskiej jakości, a osoba, która rzekomo miała być Jesperem Orrem, była widoczna jedynie na samym skraju kadru. Mimo to skontaktowaliśmy się telefonicznie z Jesperem Orrem, żeby zweryfikować jej wersję, i dowiedzieliśmy się, że nigdy nie słyszał o tej dziewczynie, a tym bardziej nie kupił jej żadnego pierścionka. Dodał jeszcze, że różni dziwni ludzie nieustannie oskarżają go o wszystko, co się da. I że ma już szczerze dość bycia osobą publiczną. No i... na tym się skończyło. Mamy tyle roboty na co dzień, że dochodzenie w tej sprawie odłożyliśmy na półkę. Ale kiedy zobaczyłam portret tej za-

mordowanej dziewczyny i usłyszałam, że Orre zniknął, pomyślałam sobie, że chyba najlepiej będzie was o tym poinformować. Przesłałam wam e-mailem protokół przesłuchania i nagranie z monitoringu, na wypadek gdybyście chcieli je sobie obejrzeć.

Wyjmuję z teczki portret zamordowanej kobiety, kładę go na stole i wyglądam ręką.

– Czyli widziałaś już ten portret?

– Tak – potwierdza Helena, po czym marszcząc czoło, pyta: – Czy to prawda, że ona miała odciętą głowę?

Potakuję bez słów.

– Niech to szlag. Co za cholerni kretyni chodzą po tym świecie. Kiedy porównuję ten portret z żywą Emmą Bohman, muszę powiedzieć, że one raczej nie są identyczne. Jeśli dobrze pamiętam, Bohman miała dłuższe włosy. Ale może je sobie podcięła? Kto wie.

Po wyjściu Heleny Berg siedzimy nadal przy stole. Sanchez jest mocno ożywiona, jak zwykle, kiedy w śledztwie następuje jakiś zwrot, który może pchnąć je do przodu. Bębniąc palcami o blat, zwraca się do nas:

– No i co o tym myślicie?

Manfred odchrząkuje i zdejmuje okulary z nosa.

– Logiczny wniosek byłby chyba taki, że Jesper Orre miał romans z Emmą Bohman, ale nie chciał się do niego przyznać. Można sobie wyobrazić, że dziewczyna odwiedziła go w jego domu i próbowała przyprzeć go do muru, za co on ją zamordował, a potem uciekł.

Hanne pochyla się do przodu i patrzy Manfredowi prosto w oczy.

– A co z tym drugim facetem?

– Jakim drugim facetem?

Nagle Hanne wydaje się dezorientowana, a na jej policzkach wykwitają wyraźne rumieńce.

– No tym, który został zamordowany... dziesięć lat temu. Przecież chyba tak było? Nie pamiętam.. Jak to on się nazywał? Tamten Chińczyk?

– Chińczyk? – powtarza Sanchez zaskoczona.

– No ten. ten drugi bez głowy.

– Chodzi ci o Calderóna? – upewnia się Sanchez.

Hanne wygląda na wyjątkowo zakłopotaną. Pociąga za włosy i szybko mruga powiekami, jakby broniła się przed płaczem.

– No właśnie, o Calderóna.

– On nie był Chińczykiem, tylko Chilijczykiem.

– Przepraszam, przejęczyłam się. No więc dlaczego Jesper Orre miałby zamordować również jego i też odrąbać mu głowę?

– Tego nie wiemy – odpowiada Manfred. – Na razie. Ale jeśli tylko wystarczająco pogrzebiemy w przeszłości Orrego, na pewno znajdziemy jakieś powiązania.

Po krótkim namyśle postanawiam wykorzystać szczenięcą energię, która zdaje się rozsadać Sanchez i którą dobrze znam ze swoich początków w policji, choć już jej nie mam od wielu, wielu lat.

– Rodzice Emmy Bohman nie żyją – zwracam się do niej. – Ale żyje ciotka, bo zgłosiła jej zaginięcie. Mogłabyś wybrać się do niej i ustalić, co wie o znajomości swojej siostrzenicy z Orrem? Popytaj też koleżanki z Clothes & More. Nie wiadomo, czy Emma była blisko z ciotką.

Sanchez kiwa głową i wychodzi z salki, a za nią człapie Manfred. Zostaję sam z Hanne.

– Pójdziemy na spacer? – pytam.

Idziemy w padającym śniegu przez Kungsholmstorg w kierunku Norr Mälarstrand. Wiatr wciska się pod moją cienką kurtkę, a śnieg zalegający na ulicy wsypuje mi się do sneakersów, przypominając, że ciągle nie kupiłem sobie zimowych butów. Hanne idzie obok mnie, milczący cień w niezbyt zgrabnym płaszczu. Doszedłszy do Norr Mälarstrand, skręcamy w lewo, w stronę sztokholmskiego ratusza. Śnieg wiruje nad zatoką Riddarfjärden, zbija się nad wodą w białą mgłę i zaciera kontury domów na południowym brzegu.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Hanne odwraca głowę i patrzy na mnie niezgłębionym spojrzeniem.

– A dlaczego miałoby nie być w porządku?

W jej głosie wyczuwam jakąś obcość, jakby była gotowa w każdej chwili zaznaczyć dystans wobec mnie.

– Miałem na myśli to, co... zdarzyło się wczoraj.

Zatrzymuje się, staje tyłem do wiatru i naciąga sobie kaptur na głowę. Patrzy na mnie smutnym wzrokiem. Płatki śniegu topią się na jej policzkach, mam ochotę wyciągnąć rękę i zetrzeć wilgoć z jej skóry, wiem jednak, że nie wolno mi tego zrobić. Bo ona nigdy nie pozwalała na coś takiego.

– To, co zdarzyło się wczoraj. – zaczyna – było ładne. Podobało mi się. Ale muszę być wobec ciebie całkiem szczerą. Między nami już nigdy nic nie

będzie. Przynajmniej tak na poważnie. Jeśli chcesz, możemy znowu się spotykać, ale nigdy nie będziemy razem. Rozumiesz?

Z jakiegoś powodu jej słowa przeraźliwie mnie rozczarowują. Chociaż nie do końca wiem dlaczego. No bo czego ja właściwie się spodziewałem? Że zostaniemy parą po jednej wspólnie spędzonej nocy? Że to, co zrobiłem dziesięć lat temu, zostanie zapomniane i wybaczone?

– Mogę spytać dlaczego?

Odwraca się i rusza w stronę nabrzeża. Potem przystaje i patrzy na wodę. Dołączam do niej i zatrzymuję się obok. Nad zatoką krążą duże czarne ptaki. Może to jakaś odmiana kawek albo wron.

– Myślisz, że jest im zimno? – pyta.

– Myślę, że marzną jak diabli.

– Jestem chora – mówi, odwracając się do mnie. – Poważnie. I nie mogę obarczać cię tym problemem. To byłoby niewłaściwe.

Kiedy słyszę, że jest chora, od razu myślę o mamie. Widzę, jak siedzi na tarasie i pali papierosa na jednym ze starych ogrodowych krzeseł. W grubym swetrze mimo ciepła i z jedwabnym szalem ciasno owiązanym wokół głowy.

Coś mięknie we mnie na wspomnienie tej chudej kobiety, która była moją mamą, a właściwie jej nędznych resztek. Powracają też zapachy: mydła, dymu papierosowego oraz te inne. Towarzyszące chorobie: środków dezynfekcyjnych i jątrzących się ran. Zapachy, które tak dobrze znam. Szpitalnych korytarzy, zasikanych prześcieradeł, gotowanych ziemniaków w mundurkach i zaparowanych w folii kanapek z żółtym serem.

Wszystkie zapachy zbliżającego się końca.

– Masz raka? – pytam. Sam nie wiem dlaczego, to było silniejsze ode mnie.

Hanne wybucha śmiechem.

– Nie – odpowiada. – Dlaczego akurat raka?

– Nie mam pojęcia. Wiele ludzi... choruje na raka.

Nie komentuje mojego dziwnego podejrzenia, tylko patrzy na mnie pytającym wzrokiem z uśmiechem igrającym w kącikach ust.

W tym momencie przypomina mi się Janet. Jakiś rok temu była przekonana, że ma guzek na piersi. Zadzwoiła do mnie i zalewając się łzami, prosiła mnie, żebym w razie jej śmierci zajął się Albinem. Nawet się wtedy nie zaniepokoiłem. Myśl, że matka mojego dziecka może być śmiertelnie chora, pozostawiła mnie całkiem obojętnym.

Ciekawe, o czym to świadczy.

– Więc co to jest? – pytam.

– Nie chcę o tym mówić – odpowiada i odwraca się znowu, po czym rusza w śnieżnej zamieci w kierunku komendy tak zdecydowanym krokiem, że nie ośmielam się iść za nią.

Gdy w końcu postanawiam też wrócić, dzwoni moja komórka. To Janet. Jej głos jest jeszcze bardziej niespokojny niż zwykle, toteż domyślam się od razu, że coś musiało się stać.

– Musisz porozmawiać z Albinem – oświadcza bez zbędnych wstępów.

Podchodzę do jakiejś bramy, aby osłonić się przed wiatrem.

– O czym?

– O. on zaczyna znikać mi z domu. I zadaje się z tą nieciekawą bandą ze Skogås, no wiesz, opowiadałam ci o nich.

Wciskam się we wnękę tuż przy drzwiach, chcąc osłonić się też przed śniegiem. Ogrzewam sobie jedną dłoń o szyję. Palce mam sztywne i zmarznięte jak kawałki lodu.

– Rozumiem. Zadaje się z paczką ze Skogås. I dlaczego akurat ja miałbym z nim o tym rozmawiać?

Sam słyszę, jak to brzmi, i natychmiast żałuję swojego pytania. Nie miałem zamiaru zbywać Janet, ale zawsze jest tak samo. Jak tylko pojawia się jakiś problem z Albinem, ona od razu dzwoni do mnie. Chociaż jeszcze na długo zanim się urodził, ustaliliśmy, że będzie wychowywać go sama. Ponieważ urodziła go wbrew mojej woli.

– Bo jesteś policjantem i znasz się na tych sprawach. Na narkotykach i podobnych rzeczach. I wiesz, jak kończą takie dzieciaki. No i poza tym jesteś jego ojcem – dodaje szybko i niemal szeptem, jakby wypowiedziała jakieś zakazane słowo.

Patrzę na padający śnieg i zastanawiam się, jak dać jej wreszcie do zrozumienia to, co już dawno powinna była zrozumieć, i jednocześnie nie być dla niej niemiłą. Jakich użyć argumentów, żeby raz na zawsze uciąć jej gadaninę.

– To na pewno nic groźnego – mówię, chyba jednak trochę zbyt łagodnie.

– Skąd możesz to wiedzieć?! – krzyczy w słuchawce. – Zawsze jest tak samo. Nie chcesz wziąć choćby najmniejszej odpowiedzialności za Albina. Nie pomagasz. Mimo że cię proszę. Czy ty chociaż masz pojęcie, jakie to dla mnie trudne, żeby zadzwonić do ciebie i poprosić o coś takiego? Wiesz, jak długo się wahałam, zanim sięgnęłam po komórkę i wybrałam ten twój choler-

ny numer? Jesteś w stanie to sobie wyobrazić?

Przełykam ślinę i uznaję, że nie jest to właściwy moment, aby przypominać jej o naszej umowie sprzed ponad piętnastu lat.

– Okej – odzywam się, ogrzewając sobie drugą dłoń o szyję.

– No dobra. To kiedy?

– Co kiedy? Na pewno nie dzisiaj. Jestem w trakcie śledztwa w sprawie morderstwa.

– Jutro?

– Jutro... nie. Nie dam rady jutro. Może w przyszłym tygodniu.

– Wiesz co, Peter? To właśnie cały ty. I po co ja do ciebie dzwoniłam? Zakop się w tej swojej cholerniej pracy i idź sobie w jasną cholerę! Ja i Albin nie chcemy cię więcej widzieć! Słyszysz? Wynoś się do diabła!

Jeszcze dłuższą chwilę stoję w bramie i patrzę na płatki śniegu. Obserwuję czarne ptaki szybujące nade mną w zamieci. Myślę o mamie i siostrze śpiących na cmentarzu Leśnym i zastanawiam się, czy one tam marzną, zakopane dwa metry pod ziemią. A potem przemyka mi jeszcze przez głowę, że to koszmarnie niesprawiedliwe, że straciłem Hanne, kiedy właśnie znowu ją odzyskałem. Wiem, wiem – to nie ja ją odzyskałem, mówiąc szczerze, jednak w jakimś sensie można odnieść takie wrażenie.

Ale już w następnym momencie przypominają mi się wszyscy, których utraciłem, chociaż nie odeszli i nie umarli, jak Albin i Janet. Wszyscy ci, których odtrąciłem, okłamałem albo od nich uciekłem. I kiedy zastanawiam się nad tym trochę głębiej, dochodzę do wniosku, że zasłużyłem sobie na to – to odpowiednia kara dla mnie, że Hanne nigdy nie będzie moja.

Emma

Dwa tygodnie wcześniej

To jakaś kompletna bzdura. Ja, która nigdy w życiu nie ukradłam choćby kawałka czekolady, jestem oskarżona o kradzież drogiego pierścionka. Siadam na jednym z moich zielonych foteli i kładę nogi na stoliku. Nagle czuję, jak bardzo brakuje mi Siggego. Jasne, że to tylko kot, ale był moim wiernym towarzyszem i swoją obecnością sprawiał, że to mieszkanko stawało się prawdziwym domem. Bez niego wydaje się strasznie puste i zimne. Może powinnam sobie kupić drugiego kota, jednak to byłoby w pewnym sensie nie w porządku. Uważam, że ze względu na żalobę po Siggem musi upłynąć jeszcze trochę czasu, zanim sprowadzę tu nowe zwierzę.

Podręczniki do fizyki leżą nietknięte i porastają kurzem. Przez Jespera straciłam wiele tygodni nauki. A przecież to on tak nalegał, żebym skończyła liceum. A potem, jeśli będę chciała, uczyła się dalej. Zamykam oczy i opieram głowę na oparciu.

Próbuję sobie przypomnieć.

– Ale dlaczego wyleciałaś ze szkoły?

– Jezu, czy naprawdę musimy gadać o tym teraz?

Jesper wyszedł ze mnie i przekręcił się na bok. Potem zwinął sobie poduszkę i oparł na niej głowę. Kiedy pozbyłam się jego ciężaru, mogłam wreszcie łatwiej oddychać. Zaczerpnęłam głęboko powietrza i spojrzałam na niego.

– Nie lubisz o tym rozmawiać, co?

– Mówiąc szczerze, jakoś szczególnie mi to nie przeszkadza, tyle że to nie jest raczej romantyczny temat. Nie uważasz?

– Ale chciałbym wiedzieć. Kocham cię i chciałbym wiedzieć, dlaczego tak postąpiłaś.

– Czy koniecznie trzeba wiedzieć o sobie nawzajem wszystko?

– Oczywiście, że nie.

Przez sekundę miał niezwykle poważną minę, i to do tego stopnia, że nawet się przestraszyłam. Jakby nieoczekiwanie zwrócił spojrzenie ku swemu wnętrzu, ku jakiejś mrocznej tajemnicy, która kryła się gdzieś głęboko. Ale

to szybko minęło i znowu wyglądał jak zwykle. Westchnęłam w końcu, zdając sobie sprawę z tego, że nie uda mi się wykręcić.

– Dlaczego zrezygnowałaś ze szkoły? – spytał znowu, podkreślając każdą sylabę.

– Nie zrezygnowałam, bo nigdy jej nie zaczęłam. Kiedy umarł tata...

Pauza.

– Tak?

Pochylił się i obejmując delikatnie dłonią moją pierś, pocałował mnie. Czułam wilgotne ciepło promieniujące z jego ciała.

– Po prostu w moim życiu zaczął się chaos. Najpierw umarł tata, potem zdarzyła się ta historia z Gwoździem. To było wiosną w dziewiątej klasie. Nie miałam siły chodzić dłużej do szkoły. Skończyłam więc dziewiątą klasę i po wakacjach przez pół roku nic nie robiłam. A potem zaczęłam pracować.

Raptem puścił moją pierś, jakby się o nią oparzył.

– Czyli to była wina tego cholernego Gwoźdza?

– Nie wiem. Chyba nie tylko.

Roześmiał się sucho.

– Nie, kochanie. Przecież ty byłaś jeszcze dzieckiem, a on był dorosłym facetem. To, co ci zrobił, było odrażające i podłe. po prostu obrzydliwe. Przekląty pedofil.

– Ale przecież ja się na to godziłam.

Jesper usiadł gwałtownie, naciągając sobie kołdrę na biodra. Nagle wyglądał na bardzo zagniewanego.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że po tych wszystkich latach sobie przypisujesz winę za to, co się stało?

– Nie chcę już o tym mówić.

Westchnął.

– Przepraszam. Ale po prostu jestem wściekły, kiedy sobie uświadomię, jak on cię wykorzystał. Byłaś niepełnoletnia, zależna od niego i on po prostu cię zgwałcił.

– Daj spokój! To przecież nie był gwałt.

– Nazywaj to sobie, jak chcesz. To było złe i on powinien był to wiedzieć.

– Wobec tego jak nazwiesz to między nami?

Znieruchomiał.

– Nie nadążam.

– No bo czy ja nie jestem zależna od ciebie? Pracuję w firmie, której jesteś szefem. Ale nie masz żadnego problemu, żeby się ze mną pieprzyć.

– Przecież to zupełnie co innego. Oboje jesteśmy dorośli i kochamy się. Żadne z nas nie wykorzystuje drugiego. To jest co najwyżej... Sam nie wiem. Co najwyżej nieprofesjonalne z mojej strony.

Chociaż brzmiało to w miarę przekonująco, zauważyłam, że dotknęłam czułego punktu. Odsunął się trochę i po omacku sięgnął po papierosy leżące na nocnej szafce.

– Bądź szczery, Jesper. Uważasz, że to jest całkiem normalna relacja między dwojgiem równych sobie ludzi?

Nie odpowiedział.

Leżę w łóżku wyciągnięta na plecach, kompletnie ubrana, i patrzę w sufit. W jednym kącie sieć pajęczna drży w powietrzu, które ciągnie od okna. Sufit przecina na ukos długie pęknięcie, biegnące od jednego rogu do drugiego. Wiem, że za jakiś czas trzeba będzie odnowić mieszkanie, ale skąd ja wezmę na to pieniądze?

To wina Jespera.

Wszystko jest winą Jespera. Znowu czuję się przegrana. Po ożywieniu i energii, jaka mnie przepelniała, kiedy podpaliłam garaż Jespera, nie pozostał nawet ślad. Mam wrażenie, jakbym kolejny raz runęła głową w dół w głęboką czarną dziurę. Na dodatek nad Sztokholmem znowu pada. Nawet niebo płacze.

Nagle ogarnia mnie nieprzeparta ochota, by stanąć twarzą w twarz z Jesperem. Chcę go przyprzeć do muru i zmusić do odpowiedzi, dlaczego tak ze mną pogrywa. Jeśli to zrobię, jeśli będę silna i zdołam spotkać się z nim jak równa z równym, wtedy być może odzyskam kontrolę nad swoim życiem i odzyskam własną godność.

Musi się udać, postanawiam. Przecież z Gwoździem się udało.

Na biuro dyrektorki składały się niewielki korytarzyk z dwoma wytartymi fotelami obitymi aksamitem oraz właściwy gabinet za drzwiami z mleczną szybą. Na jednym z foteli siedziałam ja, a na drugim – mama. Przed nami stał niski stolik z brzozonej sklejki zawalony plikiem czasopism. Przejrzałam je pobieżnie: „Współczesna Szkoła”, „Pismo Pedagogiczne”. Nic ciekawego. Za szybą dawały się zauważyć jakieś ruchy, ale nie sposób było zgadnąć, kto się tam znajduje.

Mama przebierała palcami po swojej nowej szafirowej torbie i w którymś

momencie mimo woli syknęła, co oznaczało, że jest wściekła.

– Nie rozumiem, dlaczego nie chcą nam powiedzieć, o co chodzi. Mam robotę i nie mogę tu tkwić cały dzień, jeśli sprawa nie jest strasznie poważna. Powiedziałam to dyrektorce, jak zadzwoniła. Mam nadzieję, że to naprawdę coś bardzo pilnego, bo czeka na mnie robota i muszę myśleć o pogrzebie męża. Poza tym...

– Mamo, proszę cię. Przestań, ktoś może usłyszeć.

Obrzuciła mnie lodowatym spojrzeniem.

– Obyś tylko czegoś nie odstawiła. Zrobiłaś coś?

– Skąd mam to wiedzieć? Nie mam pojęcia, dlaczego tu jesteśmy.

Spojrzałam na zegar na ścianie. Cienka czarna wskazówka sekundnika przypominała nogę pająka poruszającą się po tarczy. Kiedy doszła do dwunastki, wskazówka pokazująca minuty drgnęła i poruszyła się odrobinę do przodu.

– Gadałaś na lekcji?

– Przestań. Przecież wiadomo, że nie gadałam.

– Wagarowałaś?

– Daj spokój. Nie wagarowałam.

– To czy wobec tego możesz mi wyjaśnić, dlaczego siedzę tutaj, a nie jestem w pracy?

Mama z upodobaniem podkreślała, że ma pracę, tak aby wszyscy o tym wiedzieli. Od kiedy zaczął jej dolegać kręgosłup, przez wiele lat była bezrobotna, toteż otrzymanie teraz pracy znaczyło dla niej bardzo dużo.

Zerknęła na zegar na ścianie, który pokazywał dziesięć minut po jedenastej.

– Mam trzydzieści minut. I ani jednej więcej.

Splotła swoje tłuste dłonie na kolanach. Zaległa cisza. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Za mleczną szybą rozległo się szuranie krzeseł o podłogę.

– Emmo – odezwała się znowu mama.

– Tak?

– Chyba nie palisz haszyszu?

W tej samej chwili otworzyły się drzwi gabinetu i Britt Henriksson, dyrektorka szkoły, pokazała nam swoją opaloną twarz. Cienka letnia sukienka z Marimekko wisiała jak worek na jej chudym ciele.

– Cieszę się, że mogłyście przyjść. Zapraszam!

Zrobiła krok do tyłu i szeroko otworzyła drzwi. Mama weszła pierwsza i powiedziała dzień dobry, a ja z ociąganiem ruszyłam za nią. Dyrektorka uśmiechnęła się do mnie sztucznie, biorąc mnie za rękę.

Na obrotowym fotelu naprzeciwko biurka siedział Sigmund, nazywany Freudem, psycholog szkolny. Jego ciemne, krótko obcięte włosy, bujna broda i obfita powłoka cielesna czyniły go raczej podobnym do taty Fizi Pończoszanki niż do surowego niemieckiego psychologa. Obok Sigmunda siedziała Elin. Miała purpurowe policzki i uparcie patrzyła w podłogę.

– Dziękuję, Elin, możesz już iść. W razie czego poprosimy cię jeszcze raz – powiedziała dyrektorka.

Elin wstała, ani na chwilę nie odrywając wzroku od linoleum, i opuściła gabinet.

– Ależ dzisiaj ciepło – rzuciła Britt. – Drogi Sigmundzie, czy mógłbyś otworzyć okno?

Dyrektorka miała rację. W pokoju było duszno i zajeżdżało nieświeżymi skarpetami. Psycholog szkolny nie bez wysiłku wstał z obrotowego fotela, poczłapał do okna i otworzył je. Wpuścił do niewielkiego pomieszczenia trochę lata.

– O wiele lepiej – zapiszczała Britt. – Napijecie się soku?

Skinęłam głową, ale mama podniosła rękę i powiedziała:

– Ja dziękuję. Spieszę się do pracy.

Britt nalała soku do białego plastikowego kubka i podała mi go. Takie same kubki są w stołówce, stwierdziłam w duchu nie bez zdziwienia. Wyobrażałam sobie bowiem, że nauczyciele i dyrektorka mają prawdziwą porcelanę i szklanki. Że w pokoju nauczycielskim i w gabinecie dyrektora wszystko jest ładniejsze i doskonalsze.

Britt poprawiła sobie sukienkę z Marimekko i usiadła bardzo ostrożnie na krześle, jakby się bała, że mogłoby się rozpaść.

– Emmo, chyba wiesz, dlaczego się tutaj dzisiaj spotykamy?

Pokręciłam przecząco głową. Niby skąd miałabym to wiedzieć?

Britt odchrząknęła i opuściła wzrok. Nie ulegało wątpliwości, że czuła się niezręcznie w tej sytuacji. Sigmund nie odzywał się wcale, tylko bawił się swoją brodą i z rozmarzeniem patrzył w okno.

– Co takiego ona zbroiła? – spytała mama.

– Nie, nie – zaoponowała Britt. – Emma nie zrobiła nic złego. Dowiedzieliśmy się tylko, że jeden z naszych nauczycieli... że pewien nauczyciel

zbliżył się do Emmy.

– Co takiego? – rzuciła mama, puszczając rączkę swojej szafirowej torebki, która z hukiem upadła na podłogę.

– Chodzi o jednego z naszych młodych pracowników, nauczyciela zajęć technicznych. No cóż, to bardzo pracowity i zdolny człowiek, ale. według uzyskanych informacji. Emmo, może powiedziałaabyś sama? Czy to prawda? Czy on rzeczywiście zbliżył się do ciebie?

Nie byłam w stanie się odezwać, ponieważ czułam się tak, jakbym w buzi miała pełno piasku, a w gardle zbitą kulę.

– Emmo – rzekł Sigmund swoim nosowym szwedzkim z niemieckim akcentem. – To bardzo ważne, abyśmy się dowiedzieli, co się stało. Ze względu na ciebie i na pozostałą młodzież w szkole. Czy on kiedykolwiek zbliżył się do ciebie?

Zawahałam się chwilę, po czym skinęłam głową. Mama syknęła i podniosła torebkę z podłogi.

– A co konkretnie zrobił? – spytała Britt łagodniejszym tonem, kładąc swą kościstą dłoń na mojej dłoni. Cofnęłam ją, nic nie mówiąc. Obok mojego kubka z sokiem pełzła biedronka z dwiema kropkami. Jak to było? Czy żeby wypowiedzieć jakieś życzenie, wystarczy jedna biedronka, czy potrzeba ich więcej? – Przykro mi, Emmo, ale musimy się tego dowiedzieć. Czy on cię pocałował?

Biedronka dotarła do brzegu stołu. Była tak blisko, że mogłabym jej dotknąć. Wyciągnęłam rękę, żeby się przekonać, czy przypadkiem nie wejdzie mi na palec.

– Emmo. – Głos dyrektorki był surowy. – Czy cię pocałował? Próbował czegoś więcej?

Skinęłam głową, nie odrywając wzroku od biedronki. W pokoju zaległa cisza. Tak głęboka, że słychać było odgłos samochodów przejeżdżających główną drogą i odgłosy śmiejących się dzieci na boisku.

– Czy wy... – Britt zawahała się. – Czy odbyliście ze sobą... stosunek? Stosunek. Zadrzałam. To słowo brzmiało jak jakaś choroba zakaźna.

Dotknęłam niewielkiego pomarańczowego robaczka palcem wskazującym.

– Tak – powiedziałam. – Tak.

Biedronka zmieniła kierunek i ruszyła z powrotem w stronę kubka.

Gdy mleczne drzwi zamknęły się za nami, mama włożyła na siebie za-

kiet. Każdemu zaczerpnięciu powietrza towarzyszyło głośne pojękiwanie. Miała czerwoną twarz. Z całych sił przyciskając torbę do piersi, odwróciła się do mnie.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Może gderania, jak strasznie trudne jest dla niej to wszystko. Albo złości, że straciła tyle swojego cennego czasu w pracy, bo musiała przyjść w środku dnia do szkoły.

Mocne uderzenie padło bez ostrzeżenia i spowodowało, że niemal się zachwiałam. Przez sekundę wszystko wokół zawirowało, a potem po policzku rozlał się piekący ból.

– Dziwka – syknęła mama i ciężkim krokiem poszła korytarzem.

Hanne

Wracając do komendy, gubię drogę. Nie wiem, czy to pod wpływem wzburzenia po rozmowie z Peterem, czy też wskutek choroby.

A może jedynie zawiniła pogoda. Śnieg pada tak gęsty, że widać zaledwie na kilka metrów, a wszystkie budynki rozmywają się w białej mgle. Oczywiście na domach znajdują się tabliczki z nazwami ulic, ale ja kompletnie tracę orientację, jakby raptem cała sieć ulic na Kungsholmen została wygumkowana z mojej pamięci.

Płatki śniegu wpadają mi za kołnierz i rozpuszczają się, zamieniając w strużkę wody spływającą po dekolcie. Dłonie mam lodowato zimne, a panika przyczaiła się gdzieś na wysokości klatki piersiowej i przygniata ją niczym zaciśnięta pięść. Mogłabym oczywiście po prostu spytać któregoś z mijających mnie przechodniów o drogę, na przykład tę młodą kobietę pchającą wózek dziecięcy albo mężczyznę z torbą tenisową przewieszoną przez ramię czy parę zakochanych obściskującą się bez żenady w bramie. Ale nie mogę, nie jestem w stanie przyznać się sama przed sobą, że nie umiem trafić z powrotem do komendy.

Wiatr nawiewa pod kaptur nieduże twarde grudki, które smagają mi policzki. Wszystko dookoła jest białe. Wszędzie tylko śnieg i lód. Jest chyba równie zimno jak u Inuitów na Grenlandii.

Przychodzą mi na myśl ludzie, którzy próbowali zdobyć obszary polarne, nierzadko z tragicznym rezultatem: Amundsen, Andrée, Strindberg i Nansen. Ale przede wszystkim Claus Paarss, duńsko-norweski oficer, który wybrał się na Grenlandię w 1728 roku, aby odszukać potomków osadników sprzed dwustu lat.

Przed ekspedycją naiwnie uznano, że młodzi mężczyźni dobrze jeżdżący na nartach są w stanie przemierzyć nieznany kontynent we wszystkich kierunkach bez większych problemów.

Paarss zabrał ze sobą na wyprawę na Grenlandię dwudziestu żołnierzy, dwunastu skazańców, garstkę prostytutek i dwanaście koni. Po dotarciu na miejsce zaczęła się nieuchronna walka z naturą i z własnymi ludźmi. W eki-

pie wybuchł bunt, a zanim Paarsz zdążył go zdławić, jego towarzysze zaczęli wymierać na skorbut i czarną ospę. Padały również konie. Paarszowi dwukrotnie nie udało się przemierzyć kontynentu na piechotę. W końcu jego marzenie, aby zaludnić Grenlandię duńskimi arystokratami i ich rodzinami, leżało w gruzach.

Skąd bierze się w ludziach dążenie do ujarznienia świata? Zresztą ono nie ogranicza się jedynie do przyrody – w każdym z nas tkwi pragnienie do panowania również nad sobą nawzajem, zarówno w obrębie społeczeństwa, jak i w relacjach bezpośrednich.

Nie trzeba szukać daleko: na przykład Owe przez całe życie usiłował podporządkować mnie sobie, jednak to mu się nie udało. Ponieważ zastosuję taktykę znaną z przyrody i wycieńczę go swoim nieustępliwym chłodem, aż w końcu się podda i znajdzie sobie kogoś innego do zniewolenia.

Mrugam gorączkowo, próbując bronić się przed gęstym śniegiem. Jeszcze raz próbuję zaczepić na czymś spojrzenie, znaleźć jakąś wskazówkę w tej białej scenerii. Z jednej strony trochę mnie nawet kusi, żeby zadzwonić do Owego, bo wiem, że natychmiast rzuciłby wszystko, wskoczył do samochodu i przyjechał po mnie. Aby mnie uratować w taki sam sposób, jak robił to zawsze, kiedy coś popsułam.

Kilka minut później zadymka mija i w oddali wyłaniają się znajome kontury Kliniki Okulistycznej Świętego Eryka. Oddycham z ulgą. Już wiem, gdzie jestem i jak mam wrócić do ciepłego budynku komendy. Ale to przerażające i paraliżujące poczucie bezsilności wciąż jest we mnie. Nie chce mnie opuścić, nawet gdy siedzę już za biurkiem i patrzę przez szybę na Kungsholmsgatan. I chociaż wypijam trzy kubki gorącej herbaty, nadal dygoczę z zimna.

Zerkam na Petera. Siedzi kilka metrów dalej, tyłem do mnie, ze wzrokiem utkwionym w ekranie komputera. Ma wilgotne włosy, a na podłodze dookoła jego śmiesznie cienkich sportowych butów utworzyły się małe kałuże.

Żałuję, że nie choruję na raka, bo wtedy mogłabym mu wszystko powiedzieć. Ale nie można przecież wyznać, że ma się początki demencji. Zwłaszcza komuś, z kim właśnie wylądowało się w łóżku. To coś tysiącrotnie gorszego niż jakakolwiek choroba weneryczna. I w pewnym sensie coś bardziej upokarzającego. Utrata pamięci i otępienie umysłowe są obrzydliwe. Odpychające. Powoli zaczną się zamieniać w osobę bezwolną i wymagającą stałej

opieki, a z kimś takim przecież nikt nie chciałby być.

Poza Owem oczywiście.

Może więc to jednak jest miłość. Być z kimś niezależnie od tego, co się dzieje. Przypominają mi się słowa z Pierwszego Listu św. Pawła do Koryntian:

Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma.

Ale ja nie chcę, aby Owe mnie znosił i wszystko przetrzymał. Pragnę jedynie, żeby zostawił mnie w spokoju.

Może powinnam wybrać się na Grenlandię? Odbyć wreszcie tę podróż, na którą nigdy się nie zdobyłam. Teraz, kiedy jest jeszcze na to czas. Ale zamiast tego siedzę tutaj, w komendzie policji kryminalnej, w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło i gdzie być może wszystko się skończy.

Gunilla zawsze mi powtarza, że nie powinnam tracić nadziei.

No proszę, kolejne nieuchronne upokorzenie: nie tracić nadziei. Nikt, kto jest poważnie chory, nie powinien nigdy porzucać nadziei, bo to jest niewybaczalna zdrada wobec najbliższych i lekarzy. Wręcz wobec całego społeczeństwa, które opiera się na przekonaniu, że wszystkie problemy da się rozwiązać i wszystkie choroby da się wyleczyć.

Gunilla mówi także, że dopóki trwa życie, jest też nadzieja. Bo kto wie, czy jutro naukowcy nie wynajdą jakiegoś lekarstwa.

A jeśli człowiek nie jest w stanie mieć nadziei? Co wtedy?

Nadzieja jest przereklamowaną boją ratunkową; od chorych ludzi oczekuje się, aby trzymali się jej kurczowo z rześkim i pełnym wdzięczności uśmiechem na ustach. Puszczenie jej jest podobno nie tylko nieroztropne, ale i niesolidarne.

A ja jestem już piekielnie zmęczona koniecznością bycia solidarną.

Po lunchu odsłuchuję przesłuchanie Emmy Bohman. Nie potrafię tego określić, ale coś mi przeszkadza, coś, co nie do końca zgadza się z naszą teorią. Jeśli założymy, że kobieta znaleziona w domu Jespera Orrego to rzeczywiście Emma Bohman, to wciąż bez odpowiedzi pozostaje pytanie, dlaczego Orre miałby ją zamordować. Jeżeli mieli romans, a on chciał go skończyć, to raczej nic nie stało na przeszkodzie, ponieważ trudno go raczej podejrzewać, by był szczególnie mocno zaangażowany w ten związek. Po co więc zabija ją w ten sposób? Metoda działania sprawcy, umieszczenie głowy w określonym miejscu na podłodze, uniesienie powiek – to wszystko sugeruje, że za-

bójca żywił ogromną nienawiść do ofiary. Nie rozumiem jednak, za co Orre mógłby aż do tego stopnia nienawidzić Emmę Bohman. W każdym razie na podstawie tej ograniczonej wiedzy, jaką posiadam na ich temat.

Poza tym: gdyby Orre rzeczywiście chciał zamordować tę dziewczynę, dlaczego zrobił to we własnym domu, a potem nie ukrył jej ciała? Przecież musiał zdawać sobie sprawę, że znalezienie zwłok będzie równoznaczne z jego zdemaskowaniem.

I wreszcie: jeżeli jednak posunął się do tego i ją zabił – w przystępie sza-leństwa czy pod wpływem przypadkowego zaburzenia psychotycznego – to dlaczego opuścił dom, nie zabierając ze sobą portfela ani telefonu komórkowego? Gdzie można się podziać w środku zimy bez pieniędzy i telefonu?

Za oknem zaczyna zmierzchać i żółty blask ulicznych latarni odbija się w szybie. W biurze zapanował spokój. Jedyne od czasu do czasu słychać od-głosy pojedynczych przyciszonych rozmów oraz skrzywienie biurka Sanchez, kiedy pisze coś na swoim komputerze.

Przeglądam dalej raport ze śledztwa. Czytam zeznania współpracowni-ków i przyjaciół Jespera. Nigdzie nie znajduję choćby najmniejszej aluzji, że miał jakiegokolwiek problemy psychiczne. Nikt nie wspomina, by kiedykol-wiek zachowywał się agresywnie. I w tym tkwi szkopuł. Bo tego rodzaju zbrodni nie popełniają ludzie zdrowi, mający normalne życiorysy. Popełnie-nie brutalnego morderstwa wymaga niejako odpowiednich predyspozycji. Ich pierwsze oznaki widać już w młodym wieku – odbiegające od normy zacho-wanie, drobne przestępstwa czy stosowanie przemocy wobec zwierząt albo młodszych dzieci. To, że Jesper Orre lubił ostry seks i podkradał damską bie-liznę, należy uznać w tym kontekście za rzecz zupełnie normalną. Większość z nas ma drobne mroczne tajemnice, o których wolimy nie mówić, ale tylko nieliczni mordują innych ludzi i odrąbują im głowy.

Ta historia jest tak odmienna, że wymaga zupełnie innych modeli obja-śniających.

No i mamy jeszcze Calderóna. Który nie jest Chińczykiem. Swoją drogą skąd, u diabła, wytrzasnęłam tego Chińczyka? To kolejna z idiotycznych rze-czy, które ostatnio zdarzyło mi się chlapać mimo woli. Może pierwszy raz w życiu zrobię się naprawdę zabawna, kiedy już rozchoruję się na dobre? I będę jedną z tych pacjentek, dzięki którym personel w domu opieki będzie skręcał się ze śmiechu, a innym pensjonariuszom jedzenie w postaci niemow-łęcej papki utkwi w gardle.

Tak czy owak, mimo że Sanchez wzięła pod lupę całe śledztwo w sprawie Calderóna i na nowo przesłuchała jego bliskich, nie znalazła żadnego powiązania między nim a Orrem.

Nagle z zamyślenia wyrywa mnie hałas dochodzący od biurka Sanchez. Manfred mówi bardzo głośno i wymachuje rękami, a po kilku sekundach podchodzi do nich Peter. Manfred wkłada marynarkę, Sanchez też wciąga żakiet, wsuwa komórkę do kieszeni i nerwowym ruchem gasi lampkę na biurku.

Peter odwraca się i rusza ku mnie. Jego szczupła postać zdradza nerwość i zniecierpliwienie. Natychmiast się domyślam, że musiało się coś stać.

– W pobliżu domu Orrego znaleziono zabitego mężczyznę. Pojedziesz z nami?

Jesteśmy na terenie zielonym kilkaset metrów na zachód od Willi Jespera Orrego. Śnieg pada już trochę słabiej, a niebieskie światła policyjnych radiowozów rozświetlają biały krajobraz rozmywający się w zmierzchu. Gałęzie drzew uginają się pod ciężarem świeżego puchu. Manfred unosi niebiesko-białą taśmę i daje mi znak, abym przeszła pod nią. Sanchez i Peter są już przy grupce ludzi zgromadzonej jakieś dziesięć metrów dalej. Poza taśmą tłoczy się kilku ciekawskich gapiów. Niektórzy rozgrzewają się, uderzając energicznie rękoma o tułów, inni robią zdjęcia telefonami komórkowymi. Policjanci w mundurach nie pozwalają im podejść bliżej. Wyjaśniają, że nie ma nic do oglądania, i apelują, aby poszli do domu.

Kiedy idę w stronę grupki funkcjonariuszy i techników kryminalnych stojących pod dużym drzewem, z daleka widzę tkwiącą w śniegu znajomą zieloną skrzynię z napisem „PIASEK”.

– Znalazło go kilkoro dzieciaków – mówi Manfred, patrząc na mnie. – Dlaczego to zawsze dzieci muszą odkrywać umarłaków? Pewnie zamierzały wleźć do skrzyni i się w niej schować, a odkryły zwłoki. Zamarznięte na kość.

Podchodzę do zebranych. Kiwam głową ku niektórym znanym mi osobom, a potem próbuję dojrzeć, co kryje się we wnętrzu pojemnika na piasek. Na samym dnie widzę zarys męskiej postaci. Leży skulony jak embrion, ubrany w dzinsy i cienki sweter. Twarz, pokryta poczerniałą krwią i szronem, wydaje mi się dziwnie znajoma.

To jest Jesper Orre.

Emma

Dwa tygodnie wcześniej

Grzebię chaotycznie w swojej prowizorycznej skrzynce na narzędzia. Decyduję się na młotek i dłuto, po czym wrzucam je do torby. Temperatura jest bliska zeru, wkładam więc grubą kurtkę i zimowe botki, następnie opuszczam mieszkanie i wychodzę na Valhallavägen, żeby złapać taksówkę.

Zimno mi, chociaż mam i czapkę, i rękawiczki. Kilku właścicieli psów, kuląc się przed wiatrem, spaceruje w paltach albo puchowych kurtkach. Nie widać wielu samochodów. Oczywiście mogłabym zamówić taksówkę telefonicznie, nie chcę jednak zostawiać żadnych śladów po sobie w systemie rezerwacji.

Po mniej więcej dziesięciu minutach nadjeżdża wolne auto, macham więc na nie, aby podjechało do chodnika. Szyba jest pokryta kryształkami lodu. Podaję adres kilka ulic dalej od Jespera. Ostrożności nigdy za wiele. Kierowca ma na imię Jorge i jest chorobliwie gadatliwy. Odpowiadam zdawkowo na jego pytania, mając nadzieję, że zrozumie, co mu chcę w ten sposób powiedzieć. I rzeczywiście załapuje. Po chwili zalega cisza. Słychać jedynie warkot silnika i dobiegającą z radia muzykę klasyczną.

Jak to w ogóle możliwe? Jak można całymi miesiącami, całymi latami prowadzić podwójne życie? Jak Jesper mógł być jednocześnie ze mną i z inną kobietą? To jakaś zabawa, sport, którego celem było oszukiwanie otoczenia – albo mnie – tak długo, jak się da? Czy on naprawdę chciał mnie skrzywdzić, zrujnować mi życie?

Wciąż nie znam odpowiedzi, a pytań mnoży się coraz więcej.

Poza tym kto powiedział, że ja jestem jedyna? Może jest dużo więcej takich oszukanych dziewczyn? Opieram policzek o zimną szybę i zamykam oczy. Próbuję sobie wyobrazić te inne, w ich samotnych mieszkankach rozsianych po Sztokholmie, ale mi się nie udaje. Nie mogę ani nie chcę uwierzyć, że mogłoby tak być. No bo skąd on wzięłby czas na to wszystko?

Taksówka zwalnia przed czerwoną drewnianą willą. Wyjmuję portfel, płacę gotówką i wychodzę na zimno. Jorge znika w ciemności, a ja pozostaję sama na wąskiej uliczce. Gdzieś daleko słyszę szczekanie psa.

Zaczynam iść w wiadomym kierunku. Po kilku metrach przez nieuwagę wchodzę w kałużę. Cienka warstwa lodu pęka z trzaskiem. Po obu stronach uliczki stoją okazałe domy, w większości zbudowane na przełomie wieków. W oknach pali się światło. Przemyka mi przez głowę, że w każdej z tych willi żyje jakaś rodzina o własnej, niepowtarzalnej historii. Oczywiście nie sądzę, by wszyscy, którzy mieszkają w tych pięknych, ogromnych domach, byli szczęśliwi. Bo czy pieniądze i władza są stuprocentową gwarancją szczęścia?

Poprzeczna uliczka jest tak wąska, że niemal jej nie zauważam. Znajdujące się przy niej domy są już nowsze, prawdopodobnie z lat pięćdziesiątych, i nieco mniejsze. Na chodniku leżą sterty liści zamienione przez mróz w zdradziecko śliskie języki lodu. Po prawej stronie wysoko na niebie widać księżyc w pełni, idealnie okrągły i połyskujący złociście, jak dorodny, dojrzwały owoc.

Rozpoznaję dom od razu. Osmalone kikuty sterczą w ziemi na miejscu garażu, a słaby śwąd zwęglonego drewna wciąż zdradza, co się tutaj wydarzyło. Niebiesko-biała taśma z napisem „Policja” opasuje spalony budynek jak wstążka zawiązana na ogromnym prezencie. Trochę łopocze na wietrze. Czuję, jak przyspiesza mi puls. A jednak zdołałam wpłynąć na jego życie, dobrałam się do niego, co prawda nie tak, jak sobie wyobrażałam.

Sam wybrałaś, stwierdzam w duchu. Wcale nie musiało tak być.

Zza szyby w drzwiach wejściowych pada słaba smuga światła, ale poza tym w całym domu od strony lasu jest ciemno. Po sekundzie wahania otwieram furtkę i idę w kierunku wejścia. Zwiędłe i ścięte przymrozkiem kwiaty obrzeżają wąską ścieżkę, poza którą rozpościera się trawnik. Tu i ówdzie tkwią samotne sosny. Działka nie prezentuje się atrakcyjnie. Dbanie o rośliny i ogród nie leży chyba w jego zainteresowaniach. Ale co ja właściwie wiem o jego zainteresowaniach i o nim samym?

Mam pod palcami zimną mosiężną klamkę. Przez sekundę ogarnia mnie poczucie, jakbym stała w obliczu czegoś niezwykle doniosłego, jakbym przez naciśnięcie tej klamki podjęła nieodwołalną decyzję. Odsuwam jednak tę myśl jako śmieszna. Przecież to wszystko zaczęło się dawno temu. Moja obecność tutaj jest naturalnym następstwem tego, co zrobił mi Jesper.

Ale może właśnie to było jego celem?

Ta myśl nie sprzyja moim zamiarom, staram się więc ze wszystkich sił, aby nie doprowadziła mnie do nieuchronnego wniosku. Naciskam guzik dzwonka. W tej samej sekundzie po drugiej stronie drzwi rozlega się wście-

kłe buczenie. Serce wali mi mocno, a żołądek zaciska się w bolesnym skurczu. Nie jestem pewna, co bym zrobiła, gdyby niespodziewanie otworzył mi drzwi i stanęlibyśmy twarzą w twarz. Może powinnam była lepiej się przygotować, zrobić sobie notatki, wątpię bowiem, że przypomniabym sobie wszystkie te ważne rzeczy, które powinny zostać powiedziane.

Stoję przez chwilę bez ruchu na schodkach, z palcem na dzwonku, i obserwuję, jak para wydobywająca się z moich ust zamienia się w małe białe obłoczki rozdmuchiwane przez wiatr. Poza tym nic się nie dzieje. Naciskam dzwonek jeszcze raz. Znowu rozlega się buczenie, które rozrywa ciszę głębokim, ohydny szarpnięciem.

Rozglądam się dookoła.

Po drugiej stronie ulicy stoi jeden dom ukryty w ciemności, a za nim, dalej w kierunku zatoki, znajduje się ich więcej. W oknach widać światła, z kominów unosi się dym, ale na dworze jest pusto – nie widać ani ludzi, ani samochodów.

Po kilku minutach schodzę ze schodków i ruszam za róg domu. W bocznej ścianie białego budynku są nisko umieszczone dwa okienka od piwnicy. Przykucam i zaglądam do środka. Lampa się nie pali, ale słaby snop światła wpada przez otwarte drzwi na korytarz. Po chwili rozpoznaję w mroku zarys pralki. Idę dalej, sprawdzając kolejne okna. Wygląda na to, że w środku nie ma nikogo. Zastanawiam się i rozważam ryzyko. Oczywiście nie można wykluczyć, że dom wyposażony jest w alarm, ale jeśli się włączy, to przecież go usłyszę. Poza tym nie zauważyłam żadnych szyldów ani informacji o urządzeniu alarmowym.

Kiedy wracam pod okienko do piwnicy, stwierdzam, że jest doskonale osłonięte przed wzrokiem przypadkowych przechodniów. Boczna ściana domu leży bowiem w cieniu niedużego wzgórza porośniętego koślawymi sosnami. Między ich gałęziami przebija się blask księżyca, zapewniając wystarczająco dużo światła, abym mogła sobie poradzić bez latarki. Zaglądam więc jeszcze raz do środka. Pralka stoi idealnie pod oknem, powinno się więc udać. Wyjmuję z torby dłuto i młotek i stwierdzam w tym momencie, że nie mam zielonego pojęcia, jak wyważa się okno. Wbijam dłuto na chybił trafił za pomocą młotka we framugę i próbuję ją wyłamać.

Nic z tego. Uzyskuję jedynie tyle, że na ramie powstaje paskudna rysa.

Ocieram pot z czoła. Następnie unoszę młotek i nie bez ociągania uderzam nim w szybę. Szkło sypie się na ziemię i do piwnicy. Wałę drugi raz

i kolejny. Usuwam każdy widoczny kawałek szyby tkwiący jeszcze w ramie. Potem przykucam, wstrzymuję oddech i nasłuchuję ewentualnych kroków albo podniesionych głosów.

Nic się nie dzieje.

Jest cicho i spokojnie jak do tej pory. Światło księżyca odbija się w odłamkach szkła rozrzuconych po ziemi, jakby niebo rozsypało się na tysiące kawałków i spadło do moich stóp.

Przysuwam się do okienka i zaglądam do ciemnego pomieszczenia. Wystarczy dać nura do środka i zeskoczyć prosto na pralkę. Po chwili wahania chowam młotek i dłuto do torby i wrzucam ją do piwnicy. Łąduje z głuchym pacnięciem na posadzce. Następnie przekładam nogi przez okno, siadam na blaszanym parapecie, chwytam się rękami ramy i zeskakuję na dół.

To było łatwiejsze, niż sądziłam. Stojąc już pośrodku piwnicy Jespera, żałuję, że nie dostałam się tutaj wcześniej. Czuć proszkiem do prania i trochę wilgocią. Naprzeciwko pralki stoi duża suszarka, a w rogu leży stos brudnej bielizny.

Niezbyt to imponujące.

Kiedy otwieram drzwi, zauważam, że mam krew na dłoni. Musiałam się zranić, wdrapując się przez okno. Między kciukiem a palcem wskazującym dostrzegam głębokie przecięcie, z którego leci czerwona strużka.

Podchodzę do szafki obok pralki, otwieram ją i widzę kosz. Wygląda na to, że jest pełen bielizny. Wyciągam coś białego. Dopiero kiedy owijam sobie dłoń niedużym kawałkiem materiału, zauważam, że to damskie majtki. Wzdrygam się, ale mimo wszystko używam ich do opatrunku, po czym idę na górę.

Jestem trochę zaskoczona. Dom sprawia wrażenie nieco zużytego. Białe ściany nie są już idealnie białe, a parkiet wygląda na porysowany. Tu i ówdzie brak nawet klepki. Ale wystrój jest typowy dla Jespera: surowy duński design, lampy jak żywcem wyjęte z magazynów poświęconych architekturze wnętrz. Gładkie, chromowane i lakierowane powierzchnie odbijają blask księżyca. Na ścianach wiszą duże czarno-białe fotografie zwierząt i rozebranych kobiet. Pęka mi serce. Przecież to mógłby być nasz dom.

Nagle wybucham płaczem, który ściska mi krtań od chwili, gdy tylko wszłam do środka. Osuwam się na czarną skórzaną kanapę i pozwalam łzom płynąć. Miękkie światło księżyca pada na podłogę. W powietrzu unosi się lekki zapach papierosowego dymu. Może to jednak nie był dobry pomysł,

aby się tu włamywać. Bo teraz, gdy jestem w jego domu, wszystko jest takie namacalne i bolesne. Zdrada wydaje się jeszcze większa i jest zupełnie nie do pojęcia.

Rozglądam się po pokoju. Na regale stoi zdjęcie: Jesper i grupka kobiet na plaży. Kobiety są w bikini, drobne i piękne, i mają nieduże, kształtne piersi – zupełnie niepodobne do moich balonów. Jakaś ciemnowłosa stoi bardzo blisko niego. Za blisko. Tak blisko, że od razu jest jasne, że musi być kimś więcej niż tylko znajomą.

Odwracam się w drugą stronę i znowu czuję, jak ściska mi się żołądek.

Czy ona – ta ciemnowłosa kobieta – wie, że on ją oszukuje, czy też żyje w złudnym przekonaniu, że jest tą jedyną? Może powinnam jej wszystko wyjaśnić? Nagle uderza mnie myśl, że prawdopodobnie ona wie o mnie, bo być może Jesper opuścił mnie dla niej, żeby nie oszukiwać nas obu. Niewykluczone, że doskonale wiedziała, co robi, kiedy związała się z Jesperem. Może nawet z premedytacją mnie wymanewrowała.

Ta druga.

To by tłumaczyło jego nagłe zerwanie i brak jakichkolwiek wyjaśnień. Raptem jestem pewna, że właśnie tak musiało być. Ta piękna kobieta odebrała mi Jespera i niezależnie od tego, czy wiedziała o mnie, czy nie, to ona jest przyczyną, że go straciłam. Ogarnia mnie wściekłość na nią. Jednym ruchem strącam zdjęcie z półki. Upada na podłogę. Odgłos roztrzaskującego się szkła wypełnia pokój, podczas gdy ja odwracam się na pięcie i wychodzę z niego.

W kuchni wszystko jest nowe i błyszczące. Czarne meble nie mają żadnych uchwytów ani rączek i dopiero po chwili dociera do mnie, że szuflady i szafki otwiera się, lekko je dotykając. Naczynia też są czarne, a smukłe kieliszki do wina tkwią wciśnięte obok talerzy i żaroodpornych misek. Dwie czarne tace w małe białe słoniki stoją za chromowanym kranem przypominającym prysznicowy wąż.

Wiodę dłonią po nierdzewnym chromowanym blacie. Ani jednego okrucha, ani jednej drobinki kurzu. Goła, klinicznie czysta powierzchnia. Jedyne, co odróżnia tę kuchnię od sali w prosektorium, to matowy czarny stół i rysunek wiszący na ścianie. Domyślałam się, że przedstawia bałwana, ale nie jestem pewna. Nie jest zbyt udany. Aby się nim zachwycić, trzeba chyba być rodzicem. Nad bałwanem widnieje napis „Dla Jespera”, nagryzmołony niezgrabnymi niebieskimi literami.

No jasne. Już wiem, jak to było. Ta ciemnowłosa kobieta ma dziecko, ale

Jesper nie jest jego ojcem. Musieli spotkać się wtedy, gdy ja i Jesper byliśmy już razem. A potem on zostawił mnie dla niej.

Dla nich.

W jednej z błyszczących czarnych szafek kryje się lodówka. Sprawdzam jej zawartość: mleko, sok, masło, jajka, pół butelki białego wina z niedociśniętym korkiem. Nic szczególnie ciekawego. Na samym dole stoi plastikowy pojemnik z jakimiś resztkami. Biorę go ostrożnie do ręki i uchylam pokrywkę. W środku są klopsiki i makaron. W rogu leży samotny, zaschnięty kleks keczupu.

Kładę pudełko na stole, podchodzę znowu do lodówki i wydaję wino. Stawiam je obok makaronu i zastanawiam się przez chwilę. W oknie, obok zwiędłego bluszczu rozpiętego na łuku, stoi nieduży odtwarzacz z wmontowanym iPodem. Włączam go i przewijam playlisty, wybieram coś na chybił trafił i naciskam klawisz. Następnie siadam przy stole.

Frank Sinatra śpiewa dla mnie piosenki bożonarodzeniowe, podczas gdy ja zajadam zimne klopsiki i popijam chardonnay Jespera. Kiedy słyszę słowa „the happy season”, budzi się we mnie wściekłość. Do tej pory ani razu nie miałam możliwości ujrzeć tak wyraźnie, do jakiego stopnia jego lśniąca na wysoki połysk, dostatnie życie różni się od mojej niemal pustelniczej egzystencji w małym mieszkanku. To niesprawiedliwe i ktoś musi mu to uświadomić. A tym kimś mogą być jedynie ja.

Jego łóżko jest miękkie, szerokie i wydaje się luksusowe. Wypróbuję je – okazuje się, że mieszczę się i na długość, i na szerokość. Prześcieradło pachnie delikatnie mydłem albo jakimiś perfumami. Na nocnej szafce leży kieszonkowe wydanie jakiegoś kryminału i kilka pism fachowych. Otwieram ostrożnie szufladę: widzę ładowarkę do komórki, pomadkę do ust i tubkę z intymnym żelem nawilżającym.

Czuję, że po raz kolejny coś skręca się we mnie w środku. Znadto przybliżyłam się do prawdy, której szukałam, i teraz muszę zapłacić wysoką cenę za własną ciekawość. Prawda jest bardziej bolesna, niż byłam w stanie przewidzieć. To oczywiste, że chciałam się dowiedzieć, co stało się z Jesperem i dlaczego się nie odzywa. Ale nie chciałam oglądać jego zdjęć, na których jest razem z tą ciemnowłosą kobietą, czuć zapachu ich prześcieradła i grzebać w ich brudnych rzeczach.

Pod powieki cisną mi się łzy, nie hamuję ich. Ukrywam twarz w puchowej poduszce i wybucham głośnym płaczem. Daję ujście rozpacz, którą tak

długo nosiłam w sobie.

Kiedy się budzę, jest już jasno. W pierwszej chwili nie wiem, gdzie jestem, a potem mój wzrok pada na dłoń. Białe majtki, którymi owinęłam ranę, są niemal całkowicie przesiąknięte zaschniętą krwią.

Siadam na łóżku i ostrożnie zdejmuję prowizoryczny opatrunek. Przynajmniej rana przestała krwawić. Wrzucam zakrwawione figi za szczyt łóżka z nieokreślonym poczuciem niesmaku, ale także ze smutkiem, ponieważ nagle przypomina mi się dziecko, które straciłam.

Wstaję i dopiero wtedy przekonuję się, jak bardzo zeszywniałam. Gdy próbuję podejść do okna, ciało jakby nie chce mnie słuchać. Nie mam pojęcia, która jest godzina ani jak długo spałam, ale na dworze jest widno i świat jest oślepiająco biały. Cienka warstwa śniegu pokrywa ziemię i drzewa. Z daleka widzę nadjeżdżający samochód.

Stoję dalej przy oknie i dopiero po kilku sekundach uświadamiam sobie, co za chwilę może się wydarzyć. Auto, które dzieli ode mnie już zaledwie dwadzieścia metrów, to miejski SUV Jespera. Ogarnięta paniką rozglądam się po pokoju, chwytam torbę i kurtkę, zbiegam błyskawicznie po schodach na dół i pędzę do piwnicy. Nie mam pojęcia, ile mi zostało czasu. Minuta? Trzydzieści sekund? Nie oglądając się za siebie, rzucam torbę przez okienko, a potem przeciskam się przez nie na zewnątrz. Nie jestem pewna, ale mam wrażenie, że gdy stanęłam na ziemi, w tym samym momencie w domu zatrzasnęły się drzwi wejściowe.

Puszczam się pędem między sosnami i domami w kierunku zatoki. Po kilku minutach dostrzegam składzik stojący samotnie na niewielkim pagórku zapewniającym swobodny widok na dom Jespera. Zaglądam do środka przez brudne szyby. Ogrodowe meble piętrzą się ustawione jedne na drugich, w rogu leży popsuty przenośny grill, a na samym środku stoi stara, wysiedziana kanapa. Odwracam się i patrzę na dom, do którego należy ta szopka. Wygląda na opuszczony. Okna na parterze zabite są płytą pilśniową, a pod delikatną warstwą śniegu rozpoznaję zarys rynny, która odpadła od fasady i leży w dzioko rosnącej trawie.

Kiedy zostawiam za sobą ten opuszczony dom, mam poczucie, że dokonałam ważnego odkrycia.

Przyszły nowe rachunki. Siedzę przy stole w kuchni i patrzę na plik, który w ciągu zaledwie kilku dni stał się niemal dwa razy większy. Nie wiem, co mam zrobić, ponieważ nie posiadam już żadnej biżuterii ani innych cennych

rzeczy. A obraz, który wisiał nad moim łóżkiem i z niejasnego dla mnie powodu był tak wartościowy, zniknął. Przypominam sobie nieporadnie namalowanych piłkarzy w pastelowych kolorach, tłoczących się wokół piłki. Jeśli to prawda, co usłyszałam, kiedy odziedziczyłam go po ciotce, był wart co najmniej trzysta tysięcy. Ale jakie ma to teraz znaczenie, skoro Jesper mi go zabrał. Nagle przychodzi mi do głowy, że powinnam była porządnie przeszukać jego dom, zamiast zabijać stres makaronem, a potem wylewać łzy w jego łóżku i uciekać w sen.

Za oknem pada śnieg i coraz bliżej jest Boże Narodzenie. To będą pierwsze święta bez mamy; wciąż nie mam pojęcia, jak powinnam je spędzić. W gruncie rzeczy nie są dla mnie szczególnie ważne, jeśli o mnie chodzi, pizza i film z wypożyczalni są równie dobre jak tradycyjne świętowanie. Może nawet lepsze, bo w Bożym Narodzeniu jest coś takiego, co wywołuje słaby, ale wyraźnie odczuwalny lęk. Chyba odczuwałam go już jako mała dziewczynka, chociaż wtedy chodziło oczywiście o inne rzeczy: na przykład żeby ucieszyć się z prezentów pod choinką tak bardzo, aby mamie i tacie nie było przykro, a przede wszystkim żeby po puszczanym co roku o tej porze w telewizji filmie Wigilia Karla-Bertila Jonssona stać się niewidzialną, ponieważ wtedy oboje rodzice byli już pijani i nieprzewidywalni.

Biorę rachunki do ręki, zastanawiam się chwilę i odkładam je z powrotem do chlebaka. Kłapa zamyka się ze skrzypnięciem, które brzmi jak ciężkie westchnienie.

Idę do łazienki i zaczynam szcزتkować swoje długie włosy. Dochodzę do wniosku, że nie poznaję kobiety, która patrzy na mnie z lustra. Wygląda na starszą, niż jestem. Zgorzkniałą i słabą w kobiecy, nieco poddańczy sposób. Jak bohaterka z filmu kostiumowego, która wymaga opieki i obrony. Doprowadza mnie to do furii, ponieważ na niczym mi tak nie zależy jak na tym, aby nie być słabą. Zamykam oczy i przypominam sobie poczucie siły i władzy, jakie miałam po pożarze, i nagle wiem, że muszę stać się taka znowu: silna, skoncentrowana i nieustraszona. Muszę się zmienić, wewnętrznie, ale być może także zewnętrznie.

Pod lustrem leżą nożyczki do obcinania paznokci. Są stare i tępe, mimo to sięgam po nie i unoszę nad lewe ucho, następnie lewą ręką chwytam pasmo włosów i odcinam je nie bez wysiłku. Włosy sypią się na podłogę tak samo, jak za oknem padają płatki śniegu. Biorę następne pasmo i kolejne. Posadzka znika stopniowo pod ich grubą warstwą, a postać w lustrze zmienia

się na moich oczach.

Początkowo nie jestem zadowolona. Obcięte w miarę równo włosy sięgają mi do brody i odnoszę wrażenie, że wyglądam jak staroświecka nauczycielka albo bibliotekarka. Uznaję, że moja fryzura powinna być o wiele krótsza. Sięgam więc znowu po małe nożyczki i mozolnie przycinam włosy na całej głowie. Kciuk i palec wskazujący palą mnie od ucisku, ale na koniec jestem usatysfakcjonowana.

Wreszcie stałam się kimś innym.

Peter

Nad Sztokholmem szybko zapada ciemność. Kiedy jadę z Djursholmu w kierunku centrum, z każdą minutą robią się coraz większe korki. Myślę o zamrożonych na kość zwłokach Jespera Orrego w zielonej skrzyni na piasek. O zakrwawionej twarzy pokrytej szronem. I jak zawsze, kiedy natrafiam na Śmierć, od razu mam przed oczami swoją siostrę Annikę: jak opalała się na skałach w tamte wakacje wiele lat temu. Widzę jej chude ciało, które właśnie zaczynało przybierać kobiece kształty, czuję zapach papierosowego dymu unoszący się ponad suchymi wrzosami i przypominam sobie ostre igły pod swoimi dziecięcymi stopami.

Co by było, gdybym nie powiedział mamie, że Annika kurzy po kryjomu na brzegu? Czy żyłaby dzisiaj?

Mama chyba podejrzewała, że męczy mnie poczucie winy za śmierć Aniki, ponieważ bez przerwy mówiła, że to było nieszczęście, któremu nikt nie mógł zapobiec. Powtarzała to jak mantrę. Być może przyjęcie do świadomości, że jej córka dobrowolnie wybrała śmierć, było dla niej zbyt bolesne.

Annika jako pierwsza nauczyła mnie, że życie nie jest wieczne. Potem przyszli następni: Petter, rudy chłopak z 7B, który wjechał skuterem w drzewo za budką z kiełbaskami i leżał w śpiączce przez cztery tygodnie, dopóki jego ojciec nie odłączył respiratora, a potem spakował walizkę, wyjechał do Tajlandii i nigdy nie wrócił. Marie, koleżanka ze szkoły policyjnej, która w wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat dostała raka. Obiecywała nam wszystkim, że niedługo wróci, chociaż leżała już w hospicjum.

No i mama, oczywiście.

Po niej przestałem liczyć. Bo wydawało mi się, że wszyscy dookoła mnie wymierali, co było cholernie nieprzyjemnym uczuciem, a poza tym budziło obawę, że następnym razem przyjdzie kolej na mnie. A wszystko to, czemu poświęcałem swój czas – tropienie zabójców, pizza przed telewizorem i pornografia w internecie, na którą patrzyłem beznamyślnie – było właściwie pozbawione sensu. Na dobrą sprawę mógłbym spokojnie rzucić się z Västerbron, bo nikt by po mnie nie płakał. Ledwie zniknęłyby kręgi na wodzie,

a już by o mnie zapomniano.

Taka jest prawda: nie ma na świecie ani jednego człowieka, który by ode mnie zależał. Który rzeczywiście by mnie potrzebował. Ani koledzy. Ani Janet. Ani Albin.

Nikt.

Ale z drugiej strony... Można odebrać sobie życie, jednak można też sięgnąć po piwo. I mając alternatywę Västerbron albo pub, zawsze wybierałem pub.

Sanchez staje przed tablicą, zbiera wilgotne włosy w cienką kitkę i mówi:

– Zgłoszenie przyjęto tuż po trzeciej od Amelie Hökberg, zamieszkałej przy Strandvägen w Djursholmie. Ta kobieta jest mamą dziesięcioletniego Alexandra Hökberga, który razem ze swoim kolegą Pontusem Gerloffem znalazł zwłoki w pojemniku na piasek. Chłopcy bawili się po południu na dworze i gdy Alexander chciał ukryć się w skrzyni, znalazł w niej Orrego. To miejsce znajduje się czterysta metrów na zachód od jego domu, na terenie zielonym, około siedmiu minut na piechotę.

Sanchez wskazuje na mapę przypiętą do tablicy.

– Jak długo tam leżał? – pyta Manfred.

– Fatima na razie jeszcze nie może nic powiedzieć na ten temat. Aby to stwierdzić, musi przeprowadzić sekcję, ale najpierw zwłoki muszą rozmarznąć. Prawdopodobnie potrwa to dobę.

– A co innego może powiedzieć? – rzucam.

– Że ma obrażenia na głowie, dokładnie na czole. Został uderzony albo doznał innego wstrząsu. I przypuszczalnie zamarznął na śmierć.

Zerkam na Hanne. Wygląda na osobliwie spokojną, niemal pogodną, gdy tak siedzi przy małym oknie z lat siedemdziesiątych ozdobionym adwentowym świecznikiem. Wcale nie sprawia wrażenia chorej, przemyka mi przez myśl; jednocześnie przypominam sobie znowu wychudzone i zżerane przez nowotwór ciało mamy.

– Okej. Orre zabija Emmę Bohman – zaczyna Manfred i pręży swoje potężne ciało, powodując, że kamizelka niebezpiecznie napina się na brzuchu. – To po jakie лихо, do jasnej cholery, ląduje potem w tej skrzyni?

Przez chwilę zalega cisza.

– Może się w niej ukrył? – sugeruje Sanchez. – Uciekł z miejsca zbrodni, był ranny i w szoku, natknął się na kogoś i schował w skrzyni. A potem.

Milknie. Słychać jedynie szum urządzeń wentylacyjnych. Jest ósma wie-

czorem i większość kolegów poszła już do domu. Jedyne śledczy siedzi gdzieś w głębi sali przed swoim komputerem, na pozór całkowicie czymś pochłonięty. Za oknem na tle czarnego zimowego nieba jarzą się światła Kungsholmen.

– No więc Orre zabija Emmę Bohman, przynajmniej taka jest nasza hipoteza – kontynuuje Manfred. – Odrąbuje jej głowę. Wtyka zapalniczki pod powieki i ucieka z miejsca przestępstwa bez portfela, komórki i jakiegokolwiek wierzchniego okrycia. Nie zabiera nawet używanych damskich majtek do obwąchiwania. A potem idzie i kładzie się w skrzyni na piasek, żeby umrzeć. Po prostu zajebicie, że udało nam się ustalić pieprzony przebieg wydarzeń. Kto na ochotnika dzwoni do prokuratora?

Sanchez wzdycha głośno.

– Nie musisz być od razu taki... cholernie krytyczny. Nie powiedziałam, że tak było. Próbuję jedynie znaleźć jakieś wyjaśnienie, które odpowiadałoby dowodom.

– Tylko problem polega na tym, że my nie mamy żadnych dowodów. Nie stwierdziliśmy nawet tożsamości tej kobiety. Więc jak, do kurwy nędzy, możemy wypowiadać się o tym, co tam tak naprawdę się stało? Możesz mi na to odpowiedzieć?

Sanchez krzyżuje ręce na piersiach i mocno zaciska usta. Podnosi wzrok na sufit i szybko mruga powiekami. Przez chwilę wygląda tak, jakby zaraz miała się rozpląkać. Wiem, że wszyscy jesteśmy pod wielką presją, i nagle robi mi się jej żal. Biedaczka stara się, jak może. Ona zawsze stara się, jak może, po prostu taka już jest. Pies nie potrafi być niczym innym, tylko psem. A Sanchez może być tylko Sanchez. Pewnego dnia zostanie fantastycznym śledczym i chyba to tak bardzo irytuje Manfreda.

– Wiesz co, Manfred? Nie muszę wcale wysłuchiwać od ciebie tego wszystkiego. Wolę pojechać do Solny i znaleźć tego odontologa. Odezwę się, jak coś znajdę.

Odwraca się na pięcie i znika na korytarzu. Odgłos jej wysokich obcasów powoli przycicha.

– Czy to było konieczne? – rzucam, patrząc na Manfreda.

– Niech to szlag, Lindgren! Chyba mi nie powiesz, że kupujesz te idiotyzmy?

– Ona bardzo się stara.

Manfred kręci powoli głową.

– Przykro mi, ale to nie wystarczy.

Podnosi się z krzesła, sięga po marynarkę, która wisi na krześle, i dodaje:

– Muszę wpaść na trochę do domu i zmienić Afsaneh. W razie czego dzwońcie. Jeśli nic się nie wydarzy, wrócę za dwie, trzy godziny.

Wychodzi, zostawiając mnie i Hanne samych. Spojrzenie jej szarych oczu kieruje się na mnie.

– Co? – pytam.

– Nic. Tak tylko się zastanawiam. Czy wy zawsze tak się wspieracie?

Wzruszam ramionami.

– To nie jest kurs indywidualnego rozwoju personalnego.

Dostrzegam cień uśmiechu na jej wymizerowanej twarzy.

Milczymy przez chwilę. Jarzeniówki migoczą pod sufitem i Hanne zamyka powieki, jakby chciała uwolnić się od ich zimnego światła. Teraz wygląda dużo starzej. Jest nadal tak samo ładna, ale starsza i chyba bardziej zmęczona, jak to zwykle bywa z wiekiem.

– Jak się czujesz? – pytam.

Otwiera oczy i zaczyna chichotać. I nagle przypomina nastolatkę – być może sprawia to jej niesforny śmiech albo sposób, w jaki wznosi oczy do nieba.

– Możesz się nie martwić. Czuję się całkiem dobrze.

– Pamiętam, co mi mówiłaś, więc myślałem, że...

– Spokojnie. To dochodzenie też przeżyję.

Nie jestem w stanie już dłużej siebie kontrolować. Uzmysławiam sobie, ile ona dla mnie znaczy, i świadomość tego po prostu mnie poraża. Ona jest pierwszym i jedynym człowiekiem, na którym mi zależy, co sprawia, że jest ważniejsza niż cokolwiek na świecie, tyle że wcześniej tego nie rozumiałem. A teraz, gdy powiedziała mi, że jest chora, nagle to do mnie dotarło, ponieważ zdałem sobie sprawę, że czas nie jest już nieskończony. Został zredukowany do pewnej liczby krótkich chwil, skondensowanych w dni i tygodnie, które wkrótce mogą minąć.

– Kocham cię, Hanne – wyznaję. I w tej samej chwili, gdy wypowiadam te słowa, czuję, że naprawdę tak myślę. Być może pierwszy raz w swoim życiu.

Hanne lśnią oczy.

– Co ty mówisz, Peter? Nie możesz tego wiedzieć. Przecież nie widzieliśmy się przez dziesięć lat.

– Masz rację. Ale ja kochałem cię także wtedy, tylko byłem zbyt głupi, żeby to zrozumieć.

Po jej policzkach spływa kilka samotnych łez, nie zwraca na nie uwagi.

– To nie ma już znaczenia – szepcze i patrzy na swoje dłonie, które spoczywają spokojnie na jej kolanach. – Jestem chora i nie możemy być razem.

– Ale co z tego, że jesteś chora? Mogę się tobą opiekować. Ja chcę się tobą opiekować.

Podnosi na mnie wzrok.

– Nie chciałbyś. Uwierz mi.

Śledczy siedzący w drugiej części sali najwyraźniej skończył już pracę, bo wstaje, wkłada skórzaną marynarkę, gasi lampkę na biurku i wychodzi.

– Chcę, naprawdę chcę.

Hanne wzdycha i znowu przenosi wzrok na jarzeniówki na suficie. W ich ostrym świetle skóra pod jej oczami wydaje się bardzo cienka i połyskuje niebieskawo jak masa perłowa. Albo jak delikatna skóra na brzuchu ryby.

– Rany boskie, Peter. Jesteś uparty jak dziecko. Zaczynam. tracić pamięć. Możliwe, że niedługo nie będę nawet wiedziała, jak się nazywam. Nie możesz być moim pielęgniarzem, chyba to rozumiesz.

– Tracisz pamięć? Co to znaczy? Czy to alzheimer?

Hanne chowa twarz w dłoniach.

– Muszę już iść – mówi i wstaje, w ogóle nie patrząc na mnie.

– Poczekaj ! Mogę pójść z tobą?

Odwraca się. Bierze się pod boki i powoli kręci przecząco głową.

– Nie. Daj spokój ! Już ci powiedziałam, że nic z tego nie będzie.

Nie wiem, czy jest zła, czy po prostu uważa, że jestem zbyt natarczywy.

Przed wyjściem z sali zatrzymuje się jeszcze przed tablicą i dosyć długo przygląda się zdjęciu Emmy Bohman, po czym w końcu odwraca się i żegna ze mną, unosząc rękę.

Ciemność za szybą nagle wydaje się jeszcze czarniejsza i bardziej nieprzenikniona. Stoję przy oknie i wypatruję sylwetki Hanne, ale dostrzegam jedynie pług śnieżny, który nadjeżdża wymarłą ulicą.

Zastanawiam się, czy to prawda, co mi powiedziała: że stopniowo traci pamięć. Ale z drugiej strony dlaczego miałaby mnie w takiej sprawie okłamywać?

Nagle przepełnia mnie smutek. Przypominam sobie jej kruche ciało, piegi na ramionach jarzące się w świetle brzasku. Jej zachłanne pożądanie, gdy się

kochaliśmy, i głośny, swobodny śmiech potem, kiedy leżeliśmy blisko siebie w wąskim łóżku i rozmawialiśmy. Wręcz słyszę jej lekkie pochrapywanie, przypominające odgłos poskrzypywania łodzi zacumowanej na spokojnym morzu.

Odgłos kojarzący się z poczuciem bezpieczeństwa.

Ale przede wszystkim rozmyślam o tym, jak ja czułem się przy niej. Nagle stałem się niesamowicie otwarty, delikatny i lekki.

Jak piórko.

Kto powiedział, że nie może znowu tak być? Kto zdecydował, że to nie może się powtórzyć?

Życie to pasmo strat, zwykła mówić mama, kiedy stała z papierosem pod wyciągiem kuchennym. Najpierw tracimy niewinność dziecka, z którą wszyscy się rodzimy, potem tracimy tych, których kochamy, własne zdrowie i sprawność fizyczną, a na koniec – rzecz jasna – tracimy życie.

I jak zawsze miała rację.

Około dziewiątej dzwoni Manfred. W jego głosie jest podniecenie i coś jeszcze, co doskonale rozpoznaję: zdecydowanie.

– Jesteś jeszcze w biurze? – pyta.

– Tak. Właśnie miałem się zbierać.

– Bergdahl rozmawiał z jedną z koleżanek Angeliki Wennerlind.

Zerkam na tablicę, na której zdjęcie Angeliki wisi obok fotki Emmy Bohman.

– No i co?

– Nigdy byś nie zgadł, co ona powiedziała. Właśnie jedzie do komendy z jednym z naszych ludzi. Za dwadzieścia minut sobie z nią pogadamy.

Annie Bertrand jest niskiego wzrostu, ma blond włosy i ubrana jest w dres, jakby wracała prosto z siłowni. Spotykamy się z nią w niedużej salce przesłuchań, w której czuć stęchlizną i środkami czystości. Manfred kupił kawę i szafranowe bułeczki w 7-Eleven, ale ona dziękuje grzecznie i wyjaśnia, że nie jada chleba.

Wygląda na to, że ostatnio zapanowała moda na niejedzenie glutenu, cukru czy mąki. Sanchez też wyeliminowała je ze swojej diety. Twierdzi, że jej żołądek nadyma się jak balon już na sam widok bułeczki.

– Dziękuję, że zechciała pani przyjść – zaczyna Manfred. – Zwykle nie zapraszamy nikogo tutaj o tej porze, ale śledztwo w sprawie zabójstwa w domu Jespera Orrego jest w takiej fazie, że nie chcemy tracić ani chwili. Proszę

nam powiedzieć, skąd zna pani Angelicę Wennerlind.

– Znamy się jeszcze z liceum w Brommie. Wtedy spędzałyśmy ze sobą bardzo dużo czasu, ale teraz widujemy się może raz w miesiącu. Ona mieszka poza miastem, pracuje jako przedszkolanka w Ålsten, a ja mieszkam w centrum. Poza tym jest przecież Wilma, więc nie ma wiele wolnego...

Nagle jej głos przygasa.

– Wilma to jej córka? – pyta Manfred.

– Tak. Najśłodsze dziecko na świecie. Ale i dosyć absorbujące oczywiście. Ma dopiero pięć lat.

– Angelica nie jest z ojcem Wilmy?

– Nie. To Amerykanin. Żyje w Nowym Jorku. Można powiedzieć, że Wilma była małą wpadką. Angelica poznała Chrisa na urlopie, w gruncie rzeczy nigdy nie byli parą. Ale kiedy zaszła w ciążę, postanowiła jej nie usuwać. Ona kocha dzieci.

Manfred zapisuje coś w swoim notesie.

– Proszę nam opowiedzieć o nowym partnerze Angeliki Wennerlind.

Annie Bertrand popija łyk kawy.

– To była wielka tajemnica. Chyba tylko ja wiedziałam o tej znajomości. Angelica spotykała się z Jesperem Orrem i wyglądało na to, że to coś poważnego, bo on nawet widywał się z Wilmą. Ale na razie woleli się nie afiszować, biorąc pod uwagę to, że media wciąż polowały na Jespera. Zdaje się, że Angelica nie wspomniała o nim nawet swoim rodzicom. No bo przecież gazety przedstawiały go jako zimnego drania, który zmienia kochanki jak rękawiczki. Swoją drogą Angelice musiało nie być wesoło, kiedy czytała o nim takie rzeczy w brukowcach. Ale według mnie byli ze sobą szczęśliwi. W każdym razie ona tak twierdziła. Podobno Jesper powiedział jej, że pierwszy raz w swoim życiu naprawdę się zakochał. Chciał razem z nią zamieszkać i zbudować wspólne życie. Zacząć od nowa. Myślał nawet o rezygnacji z pracy. Miał dość ciągłego stresu i bycia na widelcu. Planowali wyjechać w tamtym tygodniu. Zdaje się, że wynajęli gdzieś domek, ale nie wiem gdzie. Chcieli uciec od całego tego zgiełku. Mieć trochę spokoju.

Manfred, nic nie mówiąc, spogląda na mnie i energicznie zamyka swój notes.

Emma

Osiem dni wcześniej

Zmiotam włosy z posadzki i płaczę. Nie dlatego, że je obciąłam, ale raczej z tej przyczyny, że w końcu doznałam przemiany, której w głębi ducha zawsze się spodziewałam. To, co się ze mną stało, wydaje się nieuniknione, smutne, a jednocześnie wspańiałe, i budzi we mnie wspomnienie kokonu, który kiedyś nosiłam w słoiku, czekając, aby przeobraził się w motyla.

Pamiętam, że spytałam tatę, dlaczego gąsienica nie może pozostać gąsienicą, a on mi wtedy odpowiedział, że ona nie ma wyboru: musi się zmienić albo umrzeć, takie są prawa natury. I teraz ja: stoję zmieniona i jakby na nowo narodzona. Już nie Emma, tylko ktoś inny, ktoś silniejszy, kto nie chce być ofiarą niczego ani nikogo. Ktoś, kto odzyskał władzę nad swoim życiem i pomści zdradę i oszustwo.

Włosy lądują w koszu na śmieci. Następnie wyjmuję z chlebaka rachunki i kładę je wszystkie w zlewie. Zapałki znajduję w dolnej szufladzie. Waham się zaledwie ułamek sekundy, po czym podpalam jedną z kartek. Ogień szybko obejmuje cały plik, po chwili płomień jest niepokojąco wysoki, ale niedługo potem przygasa, a na dnie zlewu pozostają jedynie spopielone resztki moich długów. Lekkie jak piórko strzępy zwęglonego papieru przypominają czarne płatki kwiatów.

W łazience jest ciepło i wilgotno. Podkreślam sobie oczy bardzo grubą czarną kreską i przyglądam się swojemu nowemu wizerunkowi w lustrze. Emmy już nie ma. Umarła albo zniknęła, albo po prostu zgasła zmęczona tym, że była nieudacznikiem. Dziewczyna naprzeciw mnie jest kimś innym. Nagle uświadamiam sobie, jak bardzo to wszystko jest komiczne, bo w pewnym sensie to przecież Jesper stworzył mnie taką, jaka jestem teraz. Jego zdrada wymusiła na mnie przemianę. On był naturą, a ja gąsienicą.

I oto jestem.

Pakuję się. Do plecaka trafiają tylko niezbędne rzeczy: bielizna termoaktywna, ciepłe skarpety, które Agneta podarowała mi na ostatnią Gwiazdkę, i lornetka należąca kiedyś do taty. No i duży nóż z rzeźbioną rękojeścią, który tata dostał od dziadka marynarza. Potem odsłuchuję pocztę głosową w ko-

mórcie. Mam tylko jedną wiadomość. Z policji. Chcieliby spotkać się ze mną znowu na rozmowę o pierścionku. Określenie „rozmowa” wywołuje we mnie irytację, ponieważ brzmi tak, jakbyśmy usiedli sobie przy stole i pokonwersowali o czymś przyjemnym. Na przykład o ostatnich wakacjach czy o cenach mieszkań w śródmieściu. Jeśli chodzi im o przesłuchanie, mogliby chyba powiedzieć to wprost?

Zmienić się albo umrzeć.

Podchodzę do okna w kuchni, otwieram je i patrzę w dół. Do środka wpada zimne powietrze pełne drobnych, lśniących kryształków lodu. Śnieg kładzie się cieniutką powłoką na mojej skórze i niemal natychmiast się topi. Gdzieś tam na dole przepadł Sigge, myślę. Wiem, że tak było, chociaż nigdy go nie znalazłam. Sięgam po komórkę i wyciągam rękę za okno. Otwieram dłoń i upuszczam telefon na ziemię. Po kilku sekundach słyszę trzask dochodzący z podwórza.

Nie potrzebuję już telefonu.

– Jakiego rodzaju śpiwór? Na jak niskie temperatury?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Wolałabym nie zdradzać, do czego chcę go wykorzystać. Przez sekundę mam wrażenie, że sprzedawczyni dziwnie mi się przygląda, ale może to tylko z powodu niezbyt fachowo obciętych włosów czy zbyt mocnego makijażu. Nie, wmawiam sobie głupoty, bo czy nie tak właśnie wygląda połowa Szwecji? Przecież to oczywiste, że ona patrzy na mnie tak samo jak na każdego innego klienta. Wykonuje swoją pracę, i tyle.

– Chodzi o temperaturę na zewnątrz panującą o tej porze roku – mówię w przypiływie olśnienia i lekko grzebię w ranie, którą mam na dłoni po włożeniu przez okno do piwnicy Jespera.

– Hm. – Dziewczyna z pszeniczną kitką kiwa głową i idzie do regału przy oknie. Obok plecaków i kijków do chodzenia po lodzie leży długi rząd śpiworów. – Poleciałabym ten – zwraca się do mnie, wskazując jeden z nich, w żółtym kolorze. – Jest z syntetycznego materiału, dzięki czemu szczególnie dobrze sprawdza się w wilgotnych warunkach. Zapewnia ciepło w temperaturze do minus dziesięciu stopni, z tym że oczywiście trzeba mieć bieliznę termoaktywną i czapkę na głowie.

Potakuję, jakbym dokładnie wiedziała, o czym ona mówi.

– Wobec tego wezmę go.

– Czy coś jeszcze?

– Tak, chwileczkę, tylko muszę sprawdzić.

Wyjmuję listę i odczytuję kolejne potrzebne mi rzeczy. Dziesięć minut później wychodzę na ulicę uboższa o kilka tysięcy. Już prawie nie mam pieniędzy. Zostało mi zaledwie parę setek na jedzenie i wynajęcie samochodu.

Ciągle pada, ale zamiast drobnych i ostrych kryształków lodu na ziemię sypią się teraz bezgłośnie duże jak strzępiaste pióra płatki. Zaczęło też zmierzchać, miasto spowija szaroniebieska mgła, a na ulicach zapaliły się już latarnie.

Mimo ciężkich toreb, które dźwigam, czuję się lekka i silna. Dokładnie wiem, co mam robić, i odczuwam z tego powodu ogromną ulgę. Wstępuję do sklepu spożywczego przy rynku i zgarniam z półek to, co jest mi potrzebne. Pewnie wyglądam teraz jak jakaś bezdomna wlokąca ze sobą cały swój dobytek w wielkich siatkach, na dodatek włosy stoją mi dęba. Nikt jednak nie zwraca na mnie uwagi. Może rzeczywiście stałam się niewidzialna, jak Frodo, kiedy nosi pierścień.

Dzisiaj żaden z przyszczatych chłopców za ladą w wypożyczalni samochodów nie wita mnie od drzwi. Najwyraźniej mnie nie rozpoznali. No i dobrze. Bardzo dobrze. Nie patrząc na moje gigantyczne torby, Peter – jak wynika z plakietki na jego piersi – wpisuje do komputera moje dane osobowe i adres.

– Na jak długo go pani potrzebuje?

– Na dobę – odpowiadam, chociaż tak naprawdę nie mam pojęcia. Ale na tyle wystarczy mi pieniędzy.

Podaje mi kluczyki.

– Trafi pani na parking?

– Trafię.

Czuję się niemal tak, jakbym wracała do domu. Znam każde skrzyżowanie, każdy skręt. Mimo ciemności doskonale wiem, jak jechać. Parkuję trzy przecznice dalej. Idiotyzmem byłoby zostawienie samochodu w pobliżu domu Jespera. To mogłoby wzbudzić niepotrzebne zainteresowanie.

Ale moim celem nie jest jego willa. Zmierzam do opuszczonego budynku położonego na wzniesieniu. Stoi w śniegu ciemny i ponury, jak stary, wyrzucony na brzeg wrak statku. Przemykam ostrożnie przez biały dywan świeżego śniegu do składziku w ogrodzie. Pozostawiam za sobą wyraźne ślady, ale na szczęście śnieg wciąż pada, i to dosyć gęsty, więc za kilka minut zasypie odciski moich stóp, jakbym nigdy tędy nie przechodziła.

Dostaję się do środka bez większych problemów. Chociaż nie mam latar-

ki, w ciągu niecałej minuty znajduję klucz schowany pod sztuczną pelargonią na drewnianych schodkach. Kwitnąca pelargonia pokryta śniegiem wygląda bardzo dziwnie. Jedno z drugim się kłóci i mózg nie chce zaakceptować tego widoku. Delikatne różowe kwiaty i kilkucentymetrowa warstwa białego puchu wykluczają się nawzajem. Tworzą fałszywy obraz.

Równie fałszywy jak widok Jespera całującego ciemnowłosą kobietę.

W środku jest ciemno i czuć zgnilizną. Muszę przestawić kilka ogrodowych krzeseł, żeby zrobić miejsce na swoje manatki. Ręce mnie boją po dźwiganiu tych wszystkich pakunków i jestem złana potem, mimo że jest poniżej zera.

Rozkładam żółty śpiwór na starej wytartej kanapie tkwiącej na samym środku. Jedzenie stawiam na ogrodowym stoliku w rogu, a resztę rzeczy wsuwam pod grill. Potem siadam na prowizorycznym posłaniu z lornetką w ręce i próbuję spojrzeć przez okno, lecz przez padający śnieg trudno jest cokolwiek dojrzeć.

Opieram się plecami o kanapę i zamykam oczy. Coś czai się na progu świadomości, walczy, aby się przebić, wyłonić. Coś ważnego.

I nagle sobie przypominam.

Jesper stał obok mnie w zatłoczonym autobusie. Nie patrzyliśmy na siebie, ale kąciakiem oka widziałam, że się uśmiecha. To wszystko było jednym wielkim teatrem. Zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy się nie znali, ale już po chwili on miał dyskretnie przesunąć rękę w dół i ostrożnie dotknąć moich ud. Ale najważniejsze: mnie nie wolno było zareagować, choćby najdrobniejszym grymasem zdradzić, że czuję jego dotyk.

Potem jego dłoń miała wśliznąć się za brzeg spodni albo spódnicy czy pod sweter i musnąć moją skórę. Nie chodziło o brutalne macanie, tylko o lekkie dotknięcie, jakby to wszystko działo się przez przypadek. W tym momencie ja mogłam się ewentualnie trochę wyprostować, rozsunąć nogi, ułatwić mu działanie. Następnie on miał przycisnąć się do mnie, abym poczuła, że jest już gotowy. Tak więc wśród podskakiwania i kołysania się autobusu na wszystkie strony mieliśmy dać upust naszej żądzy, jedynej rzeczy, która nas wiązała.

A ja mogłam jeszcze ewentualnie rzucić na niego okiem, mimo woli, jakbym właśnie wyglądała przez okno, sprawdzała, gdzie jesteśmy. Nasze spojrzenia miały się spotkać, lecz jego twarz miała być równie obojętna i pozbawiona wyrazu, jak moja.

Ale tym razem stało się inaczej, niż planowaliśmy. Bo w momencie, gdy poczułam jego palce na swoim pośladku, w przedniej części autobusu rozległ się czyjś głos:

– Jesper! A niech to! Kopę lat!

Zamarł za mną. Jego dłoń natychmiast zniknęła.

– Cześć!

W naszą stronę przepychał się mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna w garniturze. Płynął przez morze pasażerów i wreszcie zatrzymał się tuż obok nas.

Czułam, jak Jesper odsuwa się ode mnie, odwraca, i natychmiast zrozumiałam, że nie wolno mi choćby jednym słowem zdradzić, że się znamy. Bo to było jego inne życie. Prawdziwe życie: obejmujące pracę, przyjaciół, jego przeszłość i przyszłość.

Dla mnie i dla niego pozostawała jedynie teraźniejszość.

– ...super! W porównaniu z Austrią jest oczywiście drożej, ale mimo wszystko warto. Nie wiem, co ty myślisz o tych wszystkich czarterowych wycieczkach, ale mnie robi się od nich niedobrze. W końcu człowiekowi należy się prawdziwa jakość i coś wyjątkowego. W Sankt Anton tego nie znajdziesz. Po prostu. No i żarcie. Tylko Francuzi potrafią tak gotować.

Znajomy Jespera trajkotał dalej o trasach narciarskich, najlepszych restauracjach i strefie afterski z masażystkami, które krążyły między stolikami ubrane w krótkie spódniczki.

– A wy? Gdzie spędziliście ferie zimowe?

Zimno mi. Nogi trzęsą mi się jak galareta, sięgam więc po litrowy termos z gorącą kawą. Mimo światła księżyca przecinającego smugami brudną szybę w ciasnym składziku jest tak ciemno, że wyciągając rękę po termos, niechęcący przewracam karton zupy z dzikiej róży.

Powiedział „wy”.

Znajomy Jespera nie spytał, co on robił, tylko co oni robili w ferie. Dlaczego wcześniej nie zwróciłam na to uwagi? Może wtedy nie rozumiałam, że to ważne. Bo „wy” mogło oznaczać Jespera i któregoś z jego przyjaciół albo kolegów z pracy. „Wy” to mógł być byle kto. Ale było inaczej.

„Wy” to kobieta o ciemnych włosach.

„Wy” to powód, dla którego Jesper mnie zostawił i także wszystko inne się zawaliło.

Po kilku sekundach wahania wstaję, podchodzę do okna i rękawem kurtki

przecieram dwie dolne szybki. Przestało padać. W księżycowej poświacie ogród rozpościera się otulony niewinną bielą. Kilkucentymetrowa warstwa śniegu spoczywa na krzewach i drzewach. W dole stoi dom Jespera. Okna zapraszają ciepłym światłem. Widok jest rzeczywiście sielankowy. Jak ilustracja wypraw narciarskich, o których Jesper i jego znajomy rozmawiali w autobusie.

Widzę ich. Siedzą w kuchni i jedzą. Dzięki lornetce jestem tak blisko ich idylli rodzinnej, że aż dygoczę. Jesper jest odwrócony do mnie plecami, ona siedzi naprzeciw niego. Ma na sobie T-shirt i sprawia wrażenie, jakby prowadziła z nim jakąś dyskusję, bo gestykuluje z ożywieniem i pochyla się ku niemu, wyciągając przed siebie widelec, chyba z nabitym kawałkiem mięsa.

Mniej więcej sześciolatnia jasnowłosa dziewczynka siedzi obok kobiety. To pewnie jej córka, przebiega mi przez głowę.

Nagle robi mi się niedobrze i znowu czuję w piersi przygniatający ciężar.

Hanne

Gunilla otula mnie kocem i robi herbatę. Mówi o odpowiedzialności, którą – jak to ona określa – ponoszę wobec siebie.

– Jeśli on ciebie kocha, a ty kochasz jego, to nie rozumiem, dlaczego się tak upierasz i odpychasz go od siebie.

– Bo jestem chora – próbuję ją przekonać.

– Proszę cię. Przestań to ciągle powtarzać. Bardzo możliwe, że przez wiele lat w ogóle ci się nie pogorszy. I chcesz do tej pory tkwić tu sama? Ze mną i z Fridą? Może lepiej jednak coś zrobić z własnym życiem? W przeciwnym razie możesz równie dobrze wrócić do Owego.

Myśl o Owem i opustoszałym mieszkaniu przy Skeppargatan sprawia, że skręca mi się żołądek.

– Nigdy nie wrócę do Owego.

Gunilla wzdycha i osuwa się na krzesło naprzeciw mnie. Jedną ręką masuje sobie bolące plecy, a jednocześnie zapala świeczkę i ziewa.

– Owe byłby z ciebie zadowolony, bo zachowujesz się dokładnie tak, jak on by chciał. Bez przerwy użalasz się nad sobą, nie podejmujesz żadnej inicjatywy i postępujesz tak, jakbyś nadal z nim była. Spróbuj korzystać z życia, pozwól sobie na to i przestań wreszcie być dla siebie taka cholernie surowa!

Zastanawiam się nad jej słowami. To, że jestem surowa dla siebie samej, to coś zupełnie nowego. Przecież to zawsze ja się buntowałam i stawiałam dęba, przynajmniej dopóki Owe nie zmusił mnie do uległości. To Owe jest surowy, nie ja. On jest ojcem, a ja krnąbrną nastolatką. Ale może Gunilla ma trochę racji, mówiąc, że na nic sobie nie pozwalam i że się ograniczam. Że wykorzystuję chorobę jako pretekst, by wycofać się z życia – które wysypuje się jak piasek z zaciśniętej dłoni i nic nie jest w stanie go zatrzymać.

– Chodzi mi tylko o to, że nie mogę obciążać go swoją chorobą. Przecież nie mogę oczekiwać, żeby był moim opiekunem.

– O matko! Czy ty siebie słyszysz? On jest dorosłym facetem i chyba umie sam zdecydować, czy chce z tobą być, czy nie. Byłaś wobec niego szczerą i powiedziałaś mu o swojej chorobie.

Popijam gorącą herbatę i milczę.

Może ona ma rację.

– To co według ciebie powinnam zrobić? – pytam po chwili.

– Na razie nie musisz podejmować żadnych życiowych decyzji. Po prostu spotykaj się z nim. Daj sobie czas, żeby się upewnić, czego chcesz. No i nie podchodź do tego z taką śmiertelną powagą, przecież raczej się nie pobierzecie ani nie będziecie mieć dzieci, tak czy nie? Jesteście ludźmi w średnim wieku, kochacie się i chcecie być ze sobą. To wszystko.

– Jednak jest pewien problem. Jestem dla niego zdecydowanie za stara. On powinien mieć kogoś młodszego. Założyć rodzinę i tak dalej. No wiesz, o co mi chodzi.

– Jakoś nie wygląda mi na to, żeby zależało mu na założeniu rodziny. Może się do tego nie nadaje. Poza tym on chyba ma już syna, prawda?

Myślę o Albinie. Peter nie widuje się z nim i nigdy nie chce o nim mówić. W jego postępowaniu jest tyle rzeczy, których nie rozumiem i które wydają się bardzo dziwne. Ale może takie właśnie jest życie. Ludzie dokonują osobliwych wyborów i nie sposób w pełni pojąć drugiego człowieka. Czasami trzeba zadowolić się jedynie zaakceptowaniem jego albo jej. Podobnie jest z Owem. Tak naprawdę nie wiem, dlaczego on jest taki, jaki jest. Mimo że spędziliśmy ze sobą tyle lat. Jedyne, czego jestem pewna, to że nie wytrzymałabym z nim ani dnia dłużej. Po prostu mam dość.

– Może – mówię po chwili. – Zobaczymy.

– Może jest okej – odpowiada Gunilla, kiwając powoli głową.

Gunilla idzie do piwnicy rozwiesić pranie, ja zaś zostaję w kuchni i wpatrując się w migoczący płomień świeczki, myślę o dzieciach, których nie dane mi było mieć. Które nie dorastały w dużym domu, nie poszły do szkoły i nie wyjeżdżały na letnie obozy. Nigdy nie wróciły z podwórka z rozbitym kolanem, nie wyklócały się o playstation ani o podwyżkę kieszonkowego. Nie zaczęły studiów, nie miały chłopaka albo dziewczyny i nie wyprowadziły się na swoje.

Dopóki nie było za późno na urodzenie dziecka, nigdy mi go nie brakowało. Ale potem, kiedy już nie mogłam, pojawił się żal. Niekiedy przybierał wręcz fizyczną postać, ulegał materializacji między mną a Owem, na przykład gdy siedzieliśmy razem przy stole, i uniemożliwiał nam dotarcie do siebie nawzajem.

Sięgam po notes leżący na stole. Wyrывam jedną kartkę i biorę do ręki

ołówkę. Próbuję stworzyć listę opatrzoną tytułem: Spotykać się dalej z Peterem.

Po stronie plusów zapisuję:

Towarzystwo.

Udany seks (nareszcie!).

Prawdziwa miłość (?).

Mój własny wybór, ze względu na mnie.

Zastanawiam się chwilę i uzupełniam o kolumnę z minusami:

Sytuacja się skomplikuje, jeśli/kiedy mój stan się pogorszy.

Nie wytrzymam, jeśli/kiedy znowu mnie zawiedzie.

Przyglądam się liście i stwierdzam, że nie czuję się wcale mądrzejsza.

Przysuwam kartkę do płomienia świeczki i czekam, aż zajmie się ogniem. Kiedy się rozpala, fala ciepła uderza mnie w twarz, a moje obawy i nadzieje zamieniają się w popiół.

W momencie gdy zdmuchuję świeczkę, odzywa się moja komórka. Dzwoni Manfred. Wydaje się zadyszany, jakby wchodził po schodach. Ale kiedy słyszę, co ma mi do powiedzenia, domyślam się, że jego przyspieszony oddech wynika z czego innego: z rozgorączkowania i może trochę ze stresu.

– Jesper Orre był w związku z Angelicą Wennerlind i nie da się wykluczyć, że ona też nie żyje. Spotykamy się za pół godziny. Możesz przyjechać?

W drodze do komendy myślę o Peterze i o tym, że to bardzo dziwne, iż nigdy mi nie wyjaśnił, dlaczego nie pojawił się tamtego wieczoru przed dziesięciu laty. Będę musiała go kiedyś o to spytać. Nie dlatego, że jestem nadal zła, tylko po prostu chcę zrozumieć, co się stało. Co myślał i jak sobie argumentował, kiedy zostawił mnie wtedy na chodniku, samą, ponizoną, z dwiema sfatygowanymi walizkami oklejonymi naklejkami z podróży wakacyjnych Owego i moich.

Tamto zdarzenie było tak istotne dla mojego życia, wręcz fundamentalne, a on nigdy mi tego nie wytłumaczył. Dostałam jedynie ten śmieszny list, w którym napisał, że nie mógłby żyć ze mną i że tylko wyrządziłby mi krzywdę.

Jak to wyrządził krzywdę? – mam ochotę go spytać. Jakby zawód, jaki przez niego przeżyłam, nie był już wystarczającą krzywdą, myślę, wyglądając przez szybę taksówki, która zatrzymuje się właśnie przed wejściem do komendy.

Ciemność jest tak nieprzenikniona i czarna, że niemal daje się jej do-

tknąć. Przypominam sobie Inuitów, którzy w ogóle nie boją się nocy polarnej. Leżą na lodzie i czuwają w ciszy przy otworach w lodowej tafli, w których foki zaczerpują powietrza, czekają, aż te pękate, tłuste zwierzęta wyłonią się na powierzchnię i we właściwym momencie wbijają w nie harpun.

To znaczy robili tak, dopóki nie pojawili się Duńczycy. Teraz podobno nawet w najbardziej odległych osadach na Grenlandii najważniejsze są telewizja i piwo. W najmniejszych wioskach migoczące światło telewizorów odbija się od dryfującego lodu.

Siedem lat temu udało mi się przekonać Owego, że powinniśmy się tam wybrać. Mieliśmy już zarezerwowany lot do Nuuk, a także zamówiony transport dalej, do Ittoqqortoormiit, przez Kulusuk. Załatwiliśmy opiekę dla Charliego na dwa tygodnie, a szef Owego zgodził się dać mu wolne. I wtedy wypłynęła sprawa z Edith.

Edith była stażystką, a Owe pełnił rolę opiekuna podczas jej praktyki psychiatrycznej. Dosyć szybko jednak się zorientowałam, że znaczyła dla niego coś więcej. Widać to było po sposobie, w jaki o niej mówił, po tym, że wspominał o niej w porę i nie w porę, a kiedy wypowiadał jej imię, dziwnie wydłużał pierwszą samogłoskę.

Eedith.

Wiedziałam, że szybko się nią znudzi. Zawsze tak było. Zwłaszcza gdy chodziło o młode kobiety, które nie wykazywały wystarczającej intelektualnej atrakcyjności. Bo chociaż ślinił się na ich widok, jego próżność kazała mu szukać wszędzie odbicia własnego intelektu oraz potwierdzenia, że jest niezmierny, a młode dziewczyny z reguły mu tego nie dawały.

I stało się tak, jak przewidziałam. Po kilku tygodniach przestał mówić o Edith. Jednak pewnego wieczoru, dwa dni przed planowanym wyjazdem, gdy właśnie się pakowałam, wszedł do sypialni, stanął za mną i położył mi ręce na ramionach.

– Nie mogę jechać, Hanne.

Dokończyłam składać bieliznę termiczną i włożyłam ją do walizki leżącej na łóżku, po czym odwróciłam się i popatrzyłam mu w twarz. Puścił mnie i spojrzął w okno.

– Chodzi o Edith. Poroniła.

Problem z Edith polegał nie na tym, że bzykała się z moim mężem – bo nie ona jedna to robiła – tylko na tym, że zaszła w ciążę, podczas gdy ja nie mogłam. Chodziło o to, że to młode ciało okazało się gotowe przyjąć dziecko

Owego.

Ale w gruncie rzeczy Edith nic nie zmieniła między mną a Owem. Nasza relacja pozostała taka, jaka była. Natomiast nigdy nie wybraliśmy się na Grenlandię. I po tej historii straciłam ochotę na podróż z nim dokądkolwiek. Zaczynam podejrzewać, że moje opętanie Grenlandią świadczy o czymś zupełnie innym. Ta wyspa stała się swego rodzaju symbolem wszystkiego w życiu, co mi nie wyszło. Uosabia wszelkie marzenia i pragnienia, jakie kiedyś miałam.

Biuro świeci się jak choinka, dzięki czemu nastrój wydaje się świąteczny, ale niepozbawiony też napięcia, jakby wszyscy mieli świadomość, że zdarzyło się coś istotnego. Manfred i Peter poszeptują coś między sobą, a Bergdahl z rękami w kieszeniach chodzi w kółko po sali, zataczając duże kręgi.

Peter pozdrawia mnie uniesieniem ręki, na co ja odpowiadam mu skinieniem głowy. Staram się nie patrzeć na niego zbyt często. Chyba się obawiam, że ktoś mógłby zauważyć, co czuję.

Owe zawsze twierdził, że wystarczy mu jedno spojrzenie i od razu wie, co myślę. W miarę upływu lat rzeczywiście zaczęłam wierzyć, że on potrafi czytać w moich myślach, ponieważ prawie nigdy się nie mylił. Ale teraz, kiedy patrzę na to z dystansu, sędzę, że to była jeszcze jedna metoda podporządkowywania mnie jego władzy. Tak bardzo zależało mu na kontroli nade mną, że za wszelką cenę chciał mi wmówić, że nie stać mnie na choćby jedną samodzielną myśl niezaprojektowaną przez niego.

– Angelica Wennerlind i Emma Bohman. Obie miały romans z Jesperem Orrem – zaczyna Manfred, rozlewając świeżo zaparzoną kawę do cienkich tekturowych kubków. – Powinniśmy chyba założyć, że jest jeszcze co najmniej jedna ofiara, której na razie nie znaleźliśmy. Teren wokół domu Orrego zostanie jutro rano przeszukany na nowo, a promień poszukiwań będzie sukcesywnie powiększany. Zajmie się tym Bergdahl. Sanchez będzie dalej pracować nad ewentualnym powiązaniem sprawy Orrego z zabójstwem Calderona, no i wciąż czekamy na ekspertyzę odontologa dotyczącą kobiety z domu Orrego. Powinna przyjść w ciągu najbliższych godzin.

– Wygląda na to, że to nieźle porąbany psychopata – bąka Bergdahl.

Manfred odwraca się do mnie.

– Co ty na to, Hanne? Czy Orre był psychopata?

Wzruszam ramionami. Z jednej strony czuję się połamana, a z drugiej zaniepokojona tym, że Manfred przypuszcza, iż jestem w stanie rozstrzygnąć

coś takiego, nie spotkawszy się z Jesperem Orrem. Dyletanci często popełniają ten błąd – sądzą, że psycholodzy czy badacze zachowań potrafią zdiagnozować osobę wyłącznie na podstawie lektury raportu na jej temat. Jakby sztuki diagnozowania zdrowia psychicznego można było się nauczyć na kursie korespondencyjnym.

– Psychopata to zbyt nadużywane określenie. W obecnych czasach niemal każdy człowiek nazywany jest psychopata.

– Guzik mnie obchodzi to psychologiczne certolenie się – przerywa mi Manfred.

– To psychologiczne certolenie się to mój zawód – odpowiadam mu. – I nie zamierzam się nim nie przejmować tylko dlatego, że ty chcesz wymusić na mnie przedwczesną ocenę. Opierając się na materiale znanym nam do tychczas, moim zdaniem nic nie przemawia za tym, że był psychopata. To, że ktoś ma wiele romansów i lubi ostry seks, nie oznacza jeszcze, że zabija ludzi. Nie ma też większego znaczenia to, że był draniem w pracy. Rzecz jasna mógł zamordować te dziewczyny, ale w jego przeszłości nie znajduję wielu przesłanek, które wskazywałyby na to, że byłby zdolny do czegoś takiego. To wszystko, co mam do powiedzenia.

– Aha – kwituje Manfred. – Ale co ci się wydaje?

Podchodzę do tablicy i patrzę na informacje o Orrem, Calderonie i zaginionych kobietach. Wyczuwam coś, co mnie uwiera, co czai się pod powierzchnią, ale nie chce się ujawnić, i to mnie denerwuje.

– Coś się nie zgadza – mówię.

– Co ty powiesz? – rzuca z sarkazmem Manfred.

Ignoruję go. Przesuwam palec po kartkach przypiętych do tablicy. Zatrzymuję się przed informacjami na temat przeszłości Emmy Bohman: jako dziecko mieszkała z rodziną przy Kapellgränd na Södermalmie. Skończyła szkołę podstawową Katarina Norra. Pracę w Clothes & More podjęła trzy lata temu. Matka zmarła we wrześniu bieżącego roku, ojciec w maju dokładnie dziesięć lat temu.

– Tutaj – odzywam się. – Mam to!

Ale gdy właśnie chcę podzielić się swoją myślą z pozostałymi, rozlega się sygnał komórki.

Manfred daje mi znak ręką i odbiera.

– Tak – mówi do słuchawki. – Okej. Jest tego pewny? Dzięki, widzimy się za chwilę.

Rozłącza się, kładzie aparat na biurku i splata dłonie na karku.
– To była Sanchez. Zamordowana kobieta została zidentyfikowana jako Angelica Wennerlind.

Emma

Tydzień wcześniej

Pierwsza noc w składziku. Zamykam oczy i mam nadzieję, że śpiwór się sprawdzi. Na razie jest znośnie, ale wciąż mam na sobie i czapkę, i kurtkę; leżę nieruchomo w swoim żółtym poliestrowym kokonie.

Jestem jak motyl, myślę sobie. Czekam na swój czas, czekam na dokonanie się pełnej przemiany, tak bym mogła zrobić to, co powinnam. Dotykam swoich krótko ostrzyżonych włosów i myślę o Oldze i Mahnoor, jak chodzą tam i z powrotem po sklepie i dzień w dzień słuchają tej beznadziejnej muzyki. Nagle robi mi się ich żal. Są jak zwierzęta w klatce. Ja czuję się nieskończenie bardziej wolna. Jestem splukana i sama, ale przynajmniej jestem wolna. A niedługo, już naprawdę niedługo, doprowadzę do końca to, co zaczęłam.

Plan jest prosty. Poczekam, aż ciemnowłosa kobieta i dziecko opuszczą dom, i pójdę tam, żeby porozmawiać z Jesperem. Zmuszę go, żeby mnie wysłuchał, nawet jeśli miałabym użyć groźby. Tym razem mi nie ucieknie. Zasługuję na to, żeby poznać prawdę.

Co będzie dalej, nie mam pojęcia. Ale nie zrobię mu krzywdy, bo mimo wszystko nie jestem potworem.

Potworem jest ktoś, kto kłamie i oszukuje. Kto burzy i niszczy dla własnego zadowolenia. Kto pustoszy życie drugiemu człowiekowi i zamienia je w ugór, zbombardowane miasto czy spalony las.

Potworem jest ktoś, kto robi to wszystko i jednocześnie się tym upaja.

Jak Jesper.

Mama mówiła, że bym miała się na baczności przed mężczyznami, bo oni zawsze na coś polują. To brzmiało tak, jakby chcieli mi coś ukraść: część mojej godności albo może samodzielności. Szkoda, że nie powiedziała mi prawdy, czyli że jest wręcz odwrotnie. Mężczyzn, których dopuści się zbyt blisko, nigdy nie sposób się pozbyć. Bo oni jakby już na stałe przyklejają się do mojego życia.

Jesper. Gwóźdź.

Wlokę ich za sobą, gdziekolwiek idę. Są w moich myślach i w moich

snach. Nawet moje ciało ich pamięta: zapachy, dotyk miękkiej, ciepłej skóry na mojej skórze, upojne pojękiwanie i ciężki oddech tuż przy moim uchu.

Bardzo bym chciała zmyć ich z siebie, jak brud. Dobrze by było, gdyby mydło i woda poradziły sobie z tym, czego ja nie jestem w stanie usunąć ze swojej świadomości. Marzę też o tym, abym w jakiś cudowny sposób mogła zostać przeniesiona z powrotem w ten czas, kiedy jeszcze ich nie spotkałam. Kiedy byłam pełna nadziei i miałam równie jasny, co naiwny obraz własnego przyszłego życia.

Budzę się, ponieważ coś łaskocze mnie w policzek. Szare światło przesącza się przez brudne szybki, na których w nocy osiadł szron. Mimo że w składziku musi być kilka stopni poniżej zera, nie jest mi zimno, czuję jedynie ból w karku i w plecach po nocy przespanej na twardej i zdecydowanie za krótkiej kanapie.

Siadam ostrożnie, sięgam po termos i nalewam sobie gorącej kawy do metalowego kubka. Podłoga jest lodowato zimna, wciągam więc natychmiast na spodnie zimowe ochraniacze. Potem podchodzę z lornetką do okna. Dopiero teraz zauważam, że szron jest po wewnętrznej stronie szyby. Przecieram ją więc rękawem kurtki, aby móc lepiej widzieć. Niebo jest stalowoszare, jakby zapowiadało jeszcze więcej śniegu. Zbocze opadające ku działce Jespera leży nietknięte pod grubą kołdrą świeżego puchu. Nikt – żaden dorosły ani jeżdżące na sankach dzieci, ani psy – nikt nie zbliżył się do mojej kryjówki.

To niemal zabawne.

Siedzą w kuchni i jedzą śniadanie, na dokładnie tych samych krzesłach, na których widziałam ich ostatnio, czyli wczoraj wieczorem. Jakby nie ruszyli się z miejsca przez całą noc, tylko zamienili mięso na jogurt i płatki. Jest też mała blondyneczka, ubrana chyba w welurowy dresik w paski, a kobieta ma na sobie biały, gruby płaszcz kąpielowy, taki, jaki widzi się w reklamach luksusowych spa. Jesper znowu siedzi tyłem do mnie, jakby wiedział, że tu jestem, i całym sobą demonstruje, jak bardzo ma mnie w nosie.

Odwracasz się do mnie plecami, ale teraz mi nie uciekniesz, przebiega mi przez głowę. Jestem blisko. Wystarczy, że wyciągnę rękę i już cię mam! Mogę cię dotknąć i sprawić, że całe to twoje sielankowe życie rozpadnie się jak jakiś naprędce sklecony domek.

Ta myśl wprawia mnie w lepszy humor. Wyjmuję chleb i szynkę z torby wsuniętej pod stary zardzewiały grill i po chwili jemy razem śniadanie, to znaczy ja jem swoje i przyglądam się, jak Jesper i jego towarzyszkę jedzą

swoje. Nieco później on wychodzi z kuchni, ale kobieta z dziewczynką zostają. Po pięciu minutach wraca, ubrany w strój treningowy. Ciemnowłosa, nadal na swoim miejscu przy stole, wygina się tak mocno do tyłu, że płaszcz kąpielowy rozsuwa się na dekolcie, wówczas Jesper nachyla się nad nią, całuje ją i jednocześnie wkłada rękę pod szlafrok, dotyka jej piersi.

Odkładam lornetkę na kolana i mocno zaciskam powieki. Drapię zaszniętą ranę na dłoni tak zapamiętałem, że na podłogę zaczyna kapać krew. Niesamowite, że za każdym razem to boli tak samo. Przecież wiem, że mnie zdradza. To dla mnie żadna nowość. Byłam w ich domu, widziałam ich razem. Więc dlaczego to jest nadal tak cholernie bolesne? Dlaczego nie nauczyłam się przed tym bronić?

Znowu przykładam lornetkę do oczu i w ostatniej chwili dostrzegam, jak Jesper biegnie w kierunku zatoki. Potem znika mi z pola widzenia. W kuchni jest pusto. Na stole został samotny kubek. Unoszę wyżej lornetkę, wiodę wzrokiem po fasadzie domu na wysokości piętra. W sypialni Jespera zasłonki są zaciągnięte, ale w sąsiednim oknie widzę dziewczynkę. Trudno rozpoznać, co robi, ale jej jasna mała głowa raz jest wyżej, raz niżej, jakby skakała albo przykuciała i wstawiała. Potem ona też znika. Dom wydaje się pusty i porzuty, ale ja wiem, że one dwie są gdzieś w środku, bo przecież z niego nie wyszły.

Pozwalam sobie na krótką przerwę. Robię siku do starego, czerwonego plastikowego wiadra stojącego w rogu, myję zęby i przeczesuję palcami krótkie włosy. Potem sadowię się znowu na kanapie i czekam, patrząc przez okienko. Mniej więcej po półgodzinie wraca Jesper. Widzę, jak biegnie powoli i ostrożnie, jakby było ślisko i jakby się bał, że zaraz upadnie. Przystaje i rozciąga się jeszcze przez chwilę pod drzewem, po czym idzie do wejścia.

Jest niedziela. Co porabia szczęśliwa podstawowa komórka społeczna w luksusowej podmiejskiej miejscowości w niedzielę? Idzie do muzeum? Zaprasza swoich odnoszących sukcesy przyjaciół na brunch składający się z omletów, smoothies i świeżo upieczonego chleba na zakwasie? Czy robią lampiony z kul śnieżnych?

To powinnam być ja.

To ja powinnam być na miejscu ciemnowłosej kobiety.

Dopiero teraz czuję, jak bardzo jej nienawidzę.

Przez cały dzień nic się nie dzieje. Zjadam swoje kanapki i rozgrzewam się, uderzając rękoma o tułów. Kawa się skończyła, pijam więc lemoniadę,

która na szczęście nie zamarzła w nocy.

Nagle w mojej świadomości pojawia się mama pod postacią pacynki. Nie jestem pewna, ale to chyba wynika z tego, że ona też, podobnie jak Jesper, żyła w kłamstwie.

Przypominam sobie telefon ze szpitala pewnego ranka, kiedy wybierałam się do pracy. Wahałam się, czy odebrać, bo było już późno, a spóźnienie oznaczało czerwoną kreskę. Przynajmniej jeśli Björne miał zły humor.

Kobieta przedstawiła się jako lekarka i powiedziała, że mama zgłosiła się poprzedniego dnia wieczorem na ostry dyżur i została zatrzymana w szpitalu na dalsze badania.

– Co jej jest? – spytałam z telefonem wciśniętym między ramię a brodę, po tym jak zamknęłam już drzwi mieszkania i zaczęłam zbiegać po schodach na dół.

– Na razie jeszcze nie postawiliśmy ostatecznej diagnozy, jej stan jest stabilny. Nie istnieje żadne bezpośrednie zagrożenie życia, ale pani mama jest bardzo niespokojna i wciąż pyta o panią.

– O mnie?

Już od miesięcy mama się nie odzywała, dlatego trudno mi uwierzyć, że tęskni za mną. Nawet gdy jest samotna i chora.

– Tak. Bardzo by chciała, aby pani ją odwiedziła.

Milczałam.

– Wizyty w naszym szpitalu są od godziny drugiej do szóstej – wyjaśniła lekarka. – Czy mam jej przekazać, że wybierze się pani do niej?

– Tak, przyjdę – usłyszałam, jak odpowiadam, i wyszłam na ulicę.

Na tym rozmowa się skończyła, a ja pobiegłam na stację metra, omijając zamarznięte kałuże i mrużąc oczy przed jaskrawym wczesnowiosennym słońcem.

„Jest bardzo niespokojna i wciąż pyta o panią”.

Nie bardzo rozumiałam. Wiedziałam, że muszę pojechać jak najszybciej do szpitala. Choćby po to, żeby się dowiedzieć, dlaczego mamie raptem tak zależy na spotkaniu ze mną.

Leżała sama w sali na końcu jasnego korytarza, podobnej do wszystkich innych sal szpitalnych, jakie widziałam wcześniej: stało w niej łóżko z małym stolikiem na kółkach i metalowy stołek, a na ścianie był zamontowany telewizor. Były też dwie zamykane na kluczyk szafki, a obok nich umywalka. Mydło w standardowej butelce z dozownikiem i pojemnik z płynem do de-

zynfekcji rąk wisiały na ścianie obok kranu.

Siedziała w łóżku i czytała jakiś tygodnik. Sama nie wiem, czego się spodziewałam, sądziłam jednak, że jest bardziej chora i że nie zastanę jej w dresie z kolorowym pismem w ręce.

– Emma, kochanie!

Zdjęła z nosa okulary do czytania i odgarnęła rozjaśnione włosy z czoła, ale najwyraźniej nie miała zamiaru wstać. Z korytarza dochodził zapach jedzenia. Roznoszono lunch.

– Cześć. Jak się czujesz?

Zsunęłam z ramienia torebkę i zdjęłam kurtkę, po czym usiadłam na taborecie przy łóżku. Mama położyła gazetę na żółtym szpitalnym kocu, którym miała przykryte nogi, i popatrzyła na mnie swymi głęboko osadzonymi oczami.

– To niesamowite, na co człowiek jest narażony w takim miejscu.

Oczywiście nie uszło mojej uwadze, że mama uniknęła udzielenia odpowiedzi na pytanie, które jej zadałam.

– To znaczy?

Odkasznęła i położyła rękę na brzuchu, jakby ją zabolął.

– Zrywają nas o szóstej rano. O szóstej, wyobrażasz sobie?! A potem bez przerwy wędrują tam i z powrotem. Najprzeróżniejsi ludzie, nie wiadomo kto. To tak, jakby próbować spać na dworcu kolejowym. No i aż roi się tutaj od imigrantów. Nie żeby sobie nie radzili, ale przecież oni tak kaleczą szwedzki, że nijak nie da się ich zrozumieć. Jak można się kimś należycie opiekować, kiedy nie umie się mówić, co? W nocy leżała tu ze mną jeszcze jedna kobieta. Chrapała tak potwornie, że nie zmrużyłam oka. Powiedziałam pielęgniarce z nocnego dyżuru, że mam wrażliwy słuch, ale usłyszałam, że podobno nie mają innej wolnej sali. W końcu poprosiłam o tabletkę na sen, ale mi nie dali. Potraktowali mnie tak, jakbym była zbrodniarką, która prosi o heroinę. To po prostu idiotyczne. Człowiek pracuje i płaci podatki przez całe życie, a potem, kiedy któregoś dnia potrzebuje pomocy, jest traktowany w taki sposób.

Ugryzłam się w język i nie przypomniałam mamie, że przez większą część swojego dorosłego życia jednak nie pracowała, tylko dostawała zasiłek chorobowy. Po długiej tyradzie uniosła grubą dłoń i otarła niewidzialną łzę z kącika oka.

– Mówię ci, Emmo, niewesoło jest być starym i chorym. Mogę to po-

świadczyć.

Oznajmiwszy to, spojrzała na mnie wymownie, jakby spodziewała się odzewu z mojej strony, ja jednak milczałam, ponieważ nie wiedziałam, co powiedzieć. Do środka weszła salowa z tacą. W zestawieniu z jej czarną skórą szpitalny uniform wydawał się oślepiająco biały.

– Nie mówiłam? – szepnęła mama, wskazując kobietę dyskretnie głową.

– Dzisiaj dostanie pani wszystkie posiłki w płynie – poinformowała salowa z uśmiechem i postawiła tacę na stoliku obok łóżka.

Mama nie odezwała się ani słowem, tylko spojrzała z obrzydzeniem na jasnobrązową zupę.

– I to ma być jedzenie dla ludzi? Oni naprawdę myślą, że ja zjem coś takiego?

Zamieszała łyżką w zupie i odstawiła talerz z powrotem na tacę.

– Co się stało? – spróbowałam znowu.

Mama machnęła ręką, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

– Na razie nie wiedzą. Coś z żołądkiem. Można by się spodziewać, że raczej szybko postawią diagnozę, skoro tylu tych łapiduchów tu się kręci. Ale nic z tego.

Uśmiechnęła się krzywo.

– A... kiedy pozwolą ci wrócić do domu?

Mama wzruszyła ramionami.

– Trzeba jednak być wdzięcznym za to, co się ma.

Spojrzała na mnie. Oczy miała osadzone tak głęboko pod kością czołową, że wręcz trudno było stwierdzić, jakiego są koloru. Jej policzki były zaczerwienione i wyglądały na spuchnięte, jakby wypchała je sobie watą.

– Przecież mamy siebie – rzekła i nieoczekiwanie chwyciła mnie za rękę.

Gdyby powiedziała, że wybiera się na Księżyc, nie byłabym chyba mniej zdziwiona. Przez ostatnie pięć lat spotkałyśmy się może dwa razy. Więc jak według niej my dwie mamy siebie nawzajem?

Westchnęła głęboko i kolejny raz otarła sobie niewidzialną łzę wolną ręką, podczas gdy drugą ścisnęła moją dłoń tak mocno, że prawie straciłam w niej czucie.

– Pamiętasz, Emmo? Tak nam było dobrze. Twojemu tacie, tobie i mnie. A potem, kiedy tata... zniknął, pocieszałyśmy się nawzajem. Byłyśmy silną małą rodziną, nawet bez niego. Pomagałyśmy sobie, jak tylko umiałyśmy. Może te wszystkie trudności nawet nas wzmocniły. Mówi się przecież, że ta-

kie doświadczenia zbliżają ludzi do siebie. Prawda?

Siedziałam na taborecie jak zamurowana. Nie wierzyłam własnym uszom. Przepraszam bardzo, kiedy my byliśmy szczęśliwą rodziną? A to, że my dwie zbliżyłyśmy się do siebie po samobójstwie taty, to jakaś kompletna bzdura. Jedyne sytuacje, kiedy zbliżyłam się do niej, ale tylko w sensie fizycznym, to gdy prowadziłam ją do łóżka, ponieważ zasnęła przy stole w kuchni. Albo gdy holowałam ją do toalety. A pomagałam jej też jedynie wtedy, kiedy szłam kupić dla niej papierosy i samarin na kaca. Jeśli chodzi o jej pomoc dla mnie, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek takiej doświadczyła.

– Nie chcę, żeby cokolwiek pozostało niezłaławione – powiedziała, pociągając nosem. I teraz rzeczywiście zobaczyłam prawdziwe łzy. Toczyły się po jej pulchnych policzkach jak perły. – Szkoda, że twój tata nie mógł być dłużej z nami. To był taki fantastyczny człowiek i my dwoje tak mocno się kochaliśmy.

Ostatnie słowa wypowiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

Przed oczami mignęły mi sceny awantur między mamą a tatą, niczym cienie na skraju pola widzenia. Prawie nierozpoznawalne, ale jednak obecne. Fragmenty życia, które już nie istnieje. Naczynia latające w powietrzu. Krzyki. Policja dobijająca się w środku nocy do drzwi, ponieważ sąsiedzi zadzwonili ze skargą. Martwy niebieski motyl wśród kawałków szkła na kuchennej podłodze.

Przez sekundę się zawahałam, czy nie powinnam zaprotestować i przypomnieć mamie, jak naprawdę wyglądało nasze życie w ciasnym mieszkanku na Södermalmie. Czułam jednak, że to nie miałoby sensu, że ten fragment naszej historii, którą ona z taką pieczołowitością sobie stworzyła, był nie do naruszenia. Miałam świadomość, że jej obraz świata stanął wtedy, w tamtej szpitalnej sali, między nami jak wielki słoń i nie pozwalał nam naprawdę się spotkać.

Ogarnęło mnie zmęczenie. Marzyłam o tym, żeby wrócić do domu i się położyć. I nie myśleć już o tej grubej kobiecie, która leżała na szpitalnym łóżku i okłamywała siebie i mnie, i pewnie też wszystkich innych, którzy chcieli jej słuchać.

– Muszę już iść – szepnęłam.

– Tak szybko?

Przestała pochlipywać, zupełnie jakby ktoś nacisnął guzik. Skinęłam głó-

wą i wstałam.

– Mamy zebranie w pracy – skłamałam.

Kiedy szłam potem korytarzem, uzmysłowiłam sobie, że mama nie spytała ani razu, co u mnie. Ani jednym słowem nie okazała zainteresowania mną i moim życiem. Jakbym nie istniała.

Jest mi tak strasznie zimno, że aż dygoczę. Postacie Jespera, kobiety albo dziecka kilkakrotnie mignęły mi na skraju jakiegoś pokoju. Obserwowanie domu przy nieustannej pełnej koncentracji okazało się trudniejsze, niż sądziłam. Na dodatek lornetka jest dosyć ciężka. Po kilku godzinach bolą mnie ramiona od ciągłego napięcia mięśni i palce mam sztywne z zimna. Próbowałam siedzieć w rękawiczkach, ale wtedy trudniej mi było utrzymać lornetkę, więc w końcu z nich zrezygnowałam.

Niewiele brakowało, a przegapiłabym kobietę i małą, kiedy wyszły z domu i ruszyły w stronę ulicy. Zaczęło zmierzchać. Chociaż niebo jest jeszcze jasne, krajobraz wkoło pociemniał. Gdzieś w oknach palą się światła. Kobieta i dziewczynka wsiadają do czerwonego volva i odjeżdżają w kierunku miasta.

Podnoszę się powoli, staję na nogach, które zupełnie mi zdrętwiały po wielu godzinach tkwienia w zimnym składziku. Odjechały. Co oznacza, że Jesper jest w domu sam.

Podchodzę bliżej do okna i kieruję lornetkę na jego willę. I nagle czuję się tak, jakby oblała mnie fala ciepła. Dłonie stają się miękkie i elastyczne, policzki płoną, a serce bije tak mocno, jakby chciało wyrwać się z klatki piersiowej.

Siedzi w kuchni przy stole wpatrzony w komputer. Obok stoi kieliszek wina. Na talerzu leży kanapka.

Już pora.

Stoję na schodkach przed jego drzwiami z palcem na dzwonku. Nie ma odwrotu. Nie jestem w stanie nic zrobić, aby powstrzymać to, co nieuchronne. Może wszystko było przesądzone już dawno temu, może jest logicznym następstwem łańcucha wydarzeń zapoczątkowanego przez Jespera tamtego wieczoru, kiedy nie pojawił się u mnie i zniknął. Tak, tak właśnie jest, wmawiam sobie. To wtedy się zaczęło, gdy stałam w kuchni i przygotowywałam naszą zaręczynową kolację.

To on zaczął.

Ta myśl dodaje mi siły. Naciskam guzik i słyszę przez drzwi odgłos

dzwonka. Nie jest miły dla ucha. To nie ding-dong czy delikatne pobrzękiwanie, tylko agresywne buczenie, które mogłoby doprowadzić do obłądu, gdyby przyszło komuś słuchać go często.

Początkowo myślę, że nie usłyszał, ponieważ nic się nie dzieje. Po chwili jednak drzwi się otwierają i w progu staje on. Ukoronowanie dzieła stworzenia. Wszechwładny mężczyzna, który zniszczył mi życie, zamienił je w gówno, nie wykazując choćby odrobiny żalu. Dzisiaj nie wygląda szczególnie imponująco. Świat nie zna go takim. Włosy ma bardziej siwe, niż pamiętam, a twarz poszarzałą i zmęczoną, jakby zżerała go jakaś choroba albo nie spał przez kilka nocy. – Cześć – mówię.

Peter

Manfred stoi pośrodku, na pozór obojętny, i wiedzie spojrzeniem po kolei po nas wszystkich. W wyrazie jego twarzy dostrzegam coś chytrego, wręcz prymitywnego, co nasuwa mi skojarzenie z drapieżnym zwierzęciem, które wpadło na trop swojej przyszłej ofiary.

– A niech to szlag – bąka Bergdahl. – Czyli to jednak nie była Emma Bohman. I teraz trzeba się skupić na tej drugiej, na Angelice Wennerlind.

– Nie – oznajmia Manfred. – Coś w tym wszystkim się nie zgadza. Dwie kobiety miały romans z Orrem. Obie przepadły, ale ofiarę mamy tylko jedną. A on sam leży w Solnie i się rozmraża, jak paczka mrożonych raków.

Hanne wstaje z miejsca, podchodzi powoli do tablicy i wskazuje jedną z kartek. Przy Manfredzie wygląda na zabawnie małą, ale kiedy się odzywa, jej głos brzmi mocno i pewnie.

– Matka Emmy Bohman zmarła trzy miesiące przed zabójstwem w domu Orrego. A jej ojciec dziesięć lat temu zszedł z tego świata dokładnie cztery miesiące przed śmiercią Miguela Calderóna.

Przez chwilę zalega cisza. Korytarzem przechodzi strażnik, wkłada głowę w drzwi i mówi dzień dobry. Następnie pobrzękiwanie jego kluczy oddala się w kierunku schodów.

– Do czego zmierzasz? – dopytuje Manfred.

– U osoby niestabilnej, zaburzonej mentalnie śmierć kogoś bliskiego może wywołać problemy psychiczne, a nawet psychozę. Chcę przez to powiedzieć, że to dosyć osobliwe, iż śmierć jej rodziców dzieli tak niewielką odległość czasowa od obu zabójstw. Być może to nie przypadek.

Jestem zaskoczony pewnością siebie, z jaką Hanne wygłasza tę hipotezę, stojąc przed białą tablicą. Oraz tym, że jej drobna postać emanuje spokojem i godnością. Jeśli ona rzeczywiście ma problemy z pamięcią, to w ogóle tego nie widać.

– Ta sprawa jest pełna dziwnych zbiegów okoliczności – wtrąca Manfred, siadając na krześle. – Jak choćby ten, że i Emma Bohman, i Angelica Wennerlind miały coś wspólnego z Orrem.

– Tego nie wiemy – ripostuje Hanne z opanowaniem. – One same mówiły, że z nim były, ale żaden świadek nie potwierdził, że rzeczywiście łączył je romans z Orrem. Przyjaciółka Angeliki Wennerlind wiedziała to od niej, a Emma Bohman wprawdzie utrzymywała, że Orre był jej narzeczonym i kupił jej pierścionek zaręczynowy, ale na nagraniu z kamery monitoringu w sklepie jubilerskim widać jedynie ją. Nikogo poza tym. On sam zaprzeczył, że ją zna, gdy wasi ludzie spytali go o to.

– W końcu to nie takie dziwne – odzywa się Sanchez. – Nie musiał się przyznawać do swoich romansów.

– Trzeba jeszcze raz porozmawiać z ciotką Emmy Bohman – przerywa jej Manfred. – Tą, która zgłosiła zaginięcie Bergdahl, możesz się z nią skontaktować? Sprowadź ją tutaj jak najszybciej, jeśli jeszcze nie śpi.

Skinąwszy głową, Bergdahl znika z sali, po drodze wyjmując komórkę z kieszeni.

Manfred zwraca się z powrotem do Hanne:

– Czy to znaczy, że Emma Bohman mogła mieć bezpośrednio coś wspólnego z tymi morderstwami?

Hanne wzrusza ramionami.

– Nie wykluczam tego. Chociaż nic konkretnego za tym nie przemawia, oprócz faktu, że jej rodzice zmarli niedługo przed ich popełnieniem. Czy wiadomo coś o jakichś wcześniejszych powiązaniach Emmy z Calderónem?

Manfred krzyżuje ramiona na piersi i opuszcza powieki.

– Nie sprawdzaliśmy tego.

– Chyba warto byłoby to zrobić – sugeruje Hanne.

– Dużo rzeczy warto byłoby zrobić – mówi cicho Manfred.

Na schodach słysząc kroki i po kilku sekundach w drzwiach staje znowu Bergdahl.

– Ciotka nie spała. Posłałem po nią samochód. Będzie tu za dwadzieścia minut.

W oczekiwaniu na przyjazd ciotki Emmy Bohman wychodzę na papierosa z Manfredem, który poprosił także Hanne, aby do nas dołączyła. Zarzucawszy płaszcz na ramiona, bierze więc swój mały notes, jakby zamierzała robić notatki na dworze, i idzie z nami.

Od czasu kiedy komenda stała się miejscem pracy wolnym od papierosów i zlikwidowano palarnię, zatwardziali palacze muszą wychodzić na balkon albo na ulicę, aby oddawać się swojemu szkodliwemu nałogowi. Idziemy

zatem na niewielki taras na drugim piętrze z widokiem na dziedziniec. Dwie przysypane śniegiem doniczki z martwymi od dawna roślinkami służą jako popielnice, ale niedopałki ścielą się dookoła, niczym owoce opadłe ze starego drzewa. Niebo wisi czarne i bezgwiazdne nad miastem, a mróz szczypie w policzki.

– Wspomniałaś – zaczyna Manfred, zwracając się do Hanne – że Emma Bohman i Angelica Wennerlind mówiły, że miały romans z Jesperem Orrem. Co właściwie miałaś na myśli?

Hanne sięga wzrokiem ponad potężnymi sylwetkami domów gdzieś daleko, w kierunku śródmieścia, i przebierając palcami po swoim notesie, odpowiada:

– Miałam na myśli dokładnie to, co powiedziałam: że nie możemy wiedzieć, czy one mówią prawdę, czy kłamią.

– A dlaczego miałyby kłamać o czymś takim?

Hanne po raz kolejny wzrusza ramionami i z krzywym uśmiechem kontynuuje:

– A dlaczego ludzie kłamią? Żeby sprawiać wrażenie bardziej atrakcyjnych albo bardziej interesujących. Albo wręcz sami wierzą w to, co o sobie mówią.

– Nie do końca rozumiem – przyznaje Manfred i zapala papierosa.

– Istnieje coś takiego jak urojenia prześladowcze. To zaburzenie wcale nie takie rzadkie wśród na przykład pacjentów szpitali psychiatrycznych. Znam wiele przykładów osób, które wierzyły, że miały bliską relację z kimś, podczas gdy w rzeczywistości nigdy tego kogoś nie spotkały. Istnieje nawet termin medyczny na określenie tego zjawiska: erotomania. Bywa, że osoby cierpiące na nią zakochują się bez pamięci w znanej postaci albo w jakimś autorytecie, a niekiedy są przekonane, że żyły z tym kimś przez wiele lat, a nawet mają z nim ślub i dzieci.

– Ktoś znany albo cieszący się autorytetem. Jak na przykład szef firmy, w której pracujesz? – pytam.

– Dokładnie – odpowiada Hanne, patrząc na mnie. – I te osoby mogą żyć w przekonaniu, że ich miłość jest odwzajemniona, chociaż oczywiście to nieprawda.

Mam wrażenie, jakby Hanne mówiła to bezpośrednio do mnie, i nagle coś się we mnie załamuje. Pęka jak sucha gałązka pod podeszwą. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie wymyśliłem sobie tego wszystkiego, co wy-

darzyło się w ciągu ostatnich dni: naszej rozmowy, nocy u niej i spaceru w śniegu po Söder Mälarstrand. Może to namacalne poczucie bliskości było jedynie urojeniem mojego umysłu, wywołanym brakiem jakichkolwiek bliskich relacji w moim życiu albo wymyślonym po to, aby pomniejszyć ciężar winy, jaką nieustannie w sobie noszę.

Manfred gasi papierosa o mur i spogląda na zegarek.

– Minęło piętnaście minut. Zaraz powinna przyjechać ciotka. Chodźmy już.

Lena Brogren ma sześćdziesiąt kilka lat i jest bardzo otyła, co od razu rzuca się w oczy, mimo obszernej jak namiot tuniki w kwiaty sięgającej do kolan. Futrzane botki na jej nogach w obcisłych legginsach wyglądają tak, jakby między stopami pętały się dwa małe kudłate pieski. Kiedy wita się z nami, uderza mnie, że jest ogromnie wystraszona. Niespokojnie wiedzie wzrokiem po nas wszystkich i przekłada paczkę papierosów z ręki do ręki.

– Pewnie nie można tu palić? – pyta.

Ma wyjątkowo jasny i miły głos – byłaby chyba cennym nabytkiem każdego chóru – jaskrawo kontrastujący z potężnym ciałem i zmęczoną, bladą twarzą.

– Niestety – potwierdza Manfred.

Kobieta jest wyraźnie zawiedziona.

– Biedna Emma. Co ona przeskrobała? – pyta cicho i powoli kręci głową, wprawiając w kołysanie swój podwójny podbródek.

– Nie jest powiedziane, że coś przeskrobała – odpowiada Manfred i pokrótce wyjaśnia Lenie Brogren, dlaczego wezwaliśmy ją o tej porze, to znaczy już prawie o dziesiątej wieczorem. Mówi, że badamy sprawę zabójstwa pewnej młodej kobiety i że nazwisko Emmy wypłynęło w śledztwie.

– Czy mogłaby nam pani trochę opowiedzieć o swojej siostrzenicy? – zwracam się do niej.

– Emma jest... miła i porządna. Nie robi wokół siebie wiele szumu. Nigdy nie robiła. Widywałam ją często, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, dlatego mogę powiedzieć, że znam ją całkiem dobrze. Nasza Emma zawsze miała trochę problemów z kontaktami z innymi ludźmi. A po śmierci Gun, to znaczy jej mamy, strasznie zamknęła się w sobie. Trudno do niej dotrzeć. Wpadam do niej czasami na Värtavägen, sprawdzam, jak sobie radzi, bo obiecałam to Gun. Ale ostatnie dwa razy mi nie otworzyła. Chociaż słyszałam, że ktoś był w środku. No więc kiedy zobaczyłam tamto zdjęcie zmarłej

dziewczyny w gazecie, od razu zadzwoniłam. – Kobieta wzdycha głęboko i kontynuuje: – Ale to chyba nie Emma?

– Nie, nie – odpowiadam. – Kobieta znaleziona w domu Jespera Orrego została zidentyfikowana. To nie była Emma.

Lena Brogren z wyraźną ulgą zapada się głębiej na krzesło. Ociera sobie pot z czoła.

– Dlaczego Emma zrezygnowała z liceum? – pyta Hanne.

Kobieta wygląda na zaskoczoną.

– Nie zrezygnowała, bo nigdy nie zaczęła do niego chodzić. Wszystko przez tę paskudną aferę z jej nauczycielem od zajęć praktycznych. To ona tak fatalnie na nią wpłynęła, zupełnie wytrąciła ją z równowagi.

– A co to za historia? – pytam.

– On był praktykantem. Zgwałcił Emmę. Oczywiście od razu z hukiem wyleciał ze szkoły, ale co z tego? Niestety już się stało. Żeby dobierać się do piętnastolatki, za którą jeszcze się odpowiada! Jakim trzeba być potworem, żeby zrobić coś takiego? Ale Bóg czasami nie okazuje takim miłosierdzia i surowo ich karze, prawda? No i z nim też się tak stało. Umarł, a właściwie został zamordowany. Potworna historia, ale ja wcale go nie żałowałam. W dzisiejszych czasach wszyscy za bardzo cackają się ze zbrodnia-
rzami, mam rację? Wy przecież musicie radzić sobie z takimi rzeczami na co dzień, to chyba też uważacie, że.

Manfred przerywa jej ostrożnie:

– A jak nazywał się ten praktykant?

Kobieta zastanawia się chwilę, szuka w pamięci.

– Zdaje się, że mówili na niego Gwóźdź.

Hanne pochyla się nieco do przodu i delikatnie kładzie dłoń na rękę Leny Brogren – gest, który wyraża zrozumienie, ale także oczekiwanie i ciekawość.

– Gwóźdź? To brzmi raczej jak przezwisko. Nie pamięta pani jego prawdziwego nazwiska?

Kobieta mruga nerwowo powiekami, przez sekundę odnoszę wrażenie, że zaraz się rozpłacze.

– Nie – mówi. – Nazywał się jakoś tak zagranicznie. Bo był imigrantem. Wspomniałam o tym?

– Może Miguel Calderón? – podsuwa Hanne.

Oczy kobiety stają się wyrazistsze. Gdy kiwa głową, wyraźnie drży.

– Calderón. Tak. Tak się nazywał.

Emma

Tydzień wcześniej

Jesper natychmiast próbuje zamknąć drzwi, jestem jednak szybsza od niego i zanim zdążą się zatrzasnąć, wpycham w szparę swój masywny but – który wytrzyma wszystko: i wodę, i walące się kamienie. Potem wyciągam mały paralizator kupiony w internecie, ten podobny do telefonu komórkowego, przykładam go do jego dłoni i naciskam czerwony guzik.

Rozlega się przeraźliwy krzyk. Jesper puszcza klamkę i zwała się na podłogę w holu. Szybko oglądam się za siebie, po czym wślizguję się do środka i zamykam drzwi.

To urządzenie elektryczne nie jest niebezpieczne, przynajmniej tak było napisane w instrukcji. Jego działanie polega na tym, że na kilka minut obojętnia ofiarę. Jest to nieprzyjemne, ale podobno w żaden sposób nieszkodliwe dla osób zdrowych. A Jesper jest zdrowy. Zdrowy, ma udane życie i jak większość ludzi zdrowych i mających udane życie nie zdaje sobie sprawy, jakim jest szczęściarzem, i w związku z tym trzeba mu może o tym trochę przypomnieć.

Wkładam paralizator z powrotem do kieszeni i przykucam obok niego, następnie wyjmuję taśmę i związuję mu ręce na plecach. Trochę się wrywa i wykręca, ale w gruncie rzeczy nie stawia wielkiego oporu. Czuję się wręcz zawiedziona, bo inaczej to sobie wyobrażałam. W mojej głowie powstał niesamowity scenariusz, w którym Jesper i ja bijemy się, tarzamy po podłodze w zażartej walce na śmierć i życie. A tymczasem on leży u moich stóp jak bezbronne dziecko.

Nieoczekiwanie dochodzę do wniosku, że nie jest już wcale ani seksowny, ani przystojny. To po prostu nijaki facet w średnim wieku, który w końcu padł ofiarą własnej manii wielkości.

– To nie jest niebezpieczne – mówię. – Nie miałam wyjścia. Musimy porozmawiać, bo jesteś mi winien wyjaśnienie.

Jego nogi drżą konwulsyjnie, z ust cieknie na posadzkę ślina, co przepętnia mnie niesmakiem, bo w tym momencie kojarzy mi się ze starcem przywiązanym do łóżka. Po chwili odkasłuje.

– Rozwiąż mnie, do cholery. To boli.

– Przykro mi – zwracam się do niego. – Na razie masz się nie ruszać i mnie wysłuchać. Potem możesz sobie robić, co chcesz.

Nie odpowiada. Leży na boku na podłodze i wygląda żałośnie. Klatka piersiowa unosi się i opada w rytm oddechu, oczy ma zamknięte, jakby chciał wymazać mój obraz ze świadomości. Zdejmuję kurtkę, zwijam ją i wkładam mu pod głowę, a potem siadam obok niego i zaczynam ostrożnie głaskać go po włosach.

– Czego chcesz? – pyta szeptem.

– Chcę wiedzieć dlaczego.

– Co dlaczego?

Sprawia wrażenie zdezorientowanego, co biorę za efekt wstrząsu po akcji z paralizatorem.

– Dlaczego mnie zostawiłeś. Dlaczego wzięłeś moje pieniądze. I obraz. Dlaczego doprowadziłeś do tego, że mnie zwolnili. Dlaczego zabiłeś mojego kota. Dlaczego. Dlaczego. Dlaczego.

– Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

Jego głos jest równie szorstki i nieprzyjemny jak zamarznięta ziemia na zewnątrz. Jakbym była zwykłym włamywaczem, który wdarł się do domu, a nie jego dziewczyną. Wyjmuję znowu paralizator i funduję mu jeszcze jedną porcję, głównie po to, aby podkreślić, że nie powinien rozmawiać ze mną w ten sposób. To nie jest w porządku. Podskakuje konwulsyjnie, jakby dostał kopa w krocze, wydaje z siebie przeciągły jęk, a potem leży nieruchomo.

– Tylko nie próbuj ze mnie kpić. Zabawiałeś się ze mną, dopóki ci to pasowało, a później się wypiąłeś. Chcę jedynie wiedzieć dlaczego. Czy to tak wiele twoim zdaniem?

Nie odzywa się, ale widzę, że oddycha. Na jednym biodrze pojawia się mokra plama, która rozlewa się po podłodze, sięga aż do drzwi.

– Zabiłeś nasze dziecko – mówię do niego, zniżając głos.

Z jego ust wydobywa się jakiś dźwięk. Brzmi jak lekkie kasznięcie albo może suchy, niefortunny śmiech, który próbuje zamaskować.

– Nie wiem, o czym mówisz – powtarza.

Zastanawiam się, czy nie potraktować go znowu paralizatorem, uznaję jednak, że to niezbyt dobry pomysł. Przecież nie chcę zrobić mu krzywdy, tylko zależy mi na tym, żeby przyprzeć go do muru. Uzyskać wyjaśnienie.

– Dlaczego się nie odzywałeś?

Zaczerpuje głęboko powietrza i po raz pierwszy od chwili, kiedy upadł na podłogę, podnosi na mnie wzrok. Oczy ma zaczerwienione. Spojrzenie wędruje niespokojnie między mną a sufitem.

– To ty napisałaś tamten list? – pyta.

– Tak.

– Myślałem... że najlepiej będzie, jeśli będę milczał. – Wzdycha i kuli się jak rak. Przez chwilę nic nie mówi, a potem zadaje pytanie: – Jak się nazywasz?

– Dobre sobie. Przecież wiesz. Mam na imię Emma.

– Droga Emmo... – Po jego zapadniętych policzkach płyną łzy, gdy ciągnie: – Posłuchaj mnie. Możesz to dla mnie zrobić?

– Oczywiście.

Opieram się o ścianę i ze skrzyżowanymi ramionami czekam, z jednej strony ciekawa, a z drugiej trochę wytracona z równowagi jego nagłą inicjatywą.

– Wiem, że według ciebie my się znamy. Sądzisz, że jesteśmy parą. Ale tak nie jest. Ja nigdy cię nie spotkałem, Emmo. To, co ty pamiętasz, w ogóle się nie wydarzyło. Nie oszukałem cię i nie zdradziłem, nie zabiłem twojego kota ani nie zrobiłem nic innego. To wszystko, to wszystko istnieje jedynie w twojej głowie. Rozumiesz? To urojenie. My, ty i ja, my nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Nie wiem, co mam zrobić, żebyś mi uwierzyła, ale. Posłuchaj, uważam, że wcale nie jesteś złym człowiekiem.

Kładę się obok niego na podłodze, opieram policzek na zimnej posadzce. Moja twarz jest zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. Zastanawiam się, czy to wszystko, co powiedział, jest jedynie ohydny kłamstwem, czy też on naprawdę w to wierzy. Może to jakiś rodzaj wyparcia?

– Zostawiłeś mnie tego samego dnia, kiedy się zaręczyliśmy. Nie wiem, dlaczego zmyłeś się tak nagle, ale domyślam się, że to ma związek z tą ciemnowłosą dziewczyną. A ja tymczasem byłam w ciąży.

Nic nie mówi, tylko leży nieruchomo, a po policzkach wciąż płyną mu łzy. Kontynuuję:

– To, że ode mnie odszedłeś. Rozumiem, twoje prawo. Naprawdę rozumiem. Ale w żaden sposób nie mogę pojąć, dlaczego zrobiłeś całą resztę, dlaczego musiałeś mnie prawie zniszczyć.

Jego twarz wykrzywia się w tak żalnym grymasie, że nagle robi mi się go żal i kładę mu dłoń na policzku.

Leżymy tak przez chwilę, bez ruchu i w milczeniu. Jego oddech uspokaja się nieco, a łkanie przycicha.

– Posłuchaj, Jesper. Znowu wszystko będzie dobrze.

Gdy kiwa głową, wąska strużka śliny spływa mu z kącika ust na podłogę.

– Znowu wszystko będzie dobrze – powtarza za mną cicho.

– Przecież się kochamy – mówię i całuję go w policzek, wilgotny od łez i wydzieliny z nosa.

– Kochamy się – powtarza.

Nagle słyszę kroki na zewnętrznych schodkach i w tej samej chwili otwierają się drzwi.

Odwracam się. W progu stoi ona.

Ciemnowłosa kobieta zasłania sobie dłońmi usta, jakby próbowała zdławić krzyk. Nic nie mówiąc, cofa się powoli do drzwi, ale ja już zrywam się z posadzki i ją dopadam. Gdy czuję zapach perfum, który ją otacza, uświadamiam sobie, jakie ja muszę wywoływać wrażenie: nieumyta, cuchnąca, z włosami sterczącymi na wszystkie strony.

Chwytam ją gwałtownie za nadgarstki, co sprawia, że traci równowagę na swoich wysokich obcasach. Ma na nogach eleganckie kozaki z czarnej skóry, które nadają się bardziej do paradowania po sklepach niż do walki wręcz.

– Co to ma być, do cholery? !

Ma piskliwy głos, w którym pobrzmiwa zdziwienie, bo pewnie ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała, to moja wizyta w tym domu. Prawdopodobnie była przekonana, że wymanewrowała mnie już na dobre. Szamoczymy się ze sobą, kręcąc się w kółko po holu. Puszczam jej nadgarstki akurat w momencie, kiedy znajduje się przed schodami. Upada do tyłu jak dziecko, które zleciało z huśtawki. Krzyk, jaki wydobywa się z jej gardła, gdy jej ciało wali się na schody prowadzące do piwnicy, jeży włosy na głowie i przypomina mi ryk konającego zwierzęcia.

Leży w połowie schodów. Podchodzę do niej. Ciemne włosy są rozrzucone wokół głowy niczym promienie słońca, a z jednej strony szybko rozlewa się czerwona plama. Przykucam i przyglądam się z bliska. Nie mogę zobaczyć, czy oddycha, ale krew wciąż leje się z czaszki. Jezioro krwi powstaje na podłodze, a z jeziora uchodzi niewielka strużka. Spływa po stopniach jak wodospad.

Podnoszę się. Wszystko wokół mnie wiruje. Tego nie było w planie. Ni-

komu nie miała stać się krzywda. Chciałam tylko porozmawiać z Jesperem i nic więcej. Zamykam oczy, żeby zatrzymać karuzelę w mojej głowie.

Rozlega się krzyk Jespera.

– Zostaw ją! Ona nie ma z tym nic wspólnego! Jak chcesz, to mnie zabij! Powinienem był odpowiedzieć na twój list, na twoje esemesy. Zrób ze mną, co chcesz, ale Angelicę zostaw w spokoju! Proszę cię. Błagam.

Hol wiruje coraz szybciej i nagle robi mi się niedobrze. Zapach krwi miesza się z odorem moczu. Jeszcze raz rzucam okiem na nią. Nadal leży i się nie rusza. Obok jej nóg pobłyskuje coś metalicznie: para kluczyków samochodowych. Podnoszę je i zaczynam ciągnąć ciało kobiety po posadzce. Kopię ją w twarz, żeby sprawdzić, czy żyje. Lekko jęczy.

– Proszę cię. Rozwiąż mnie. Błagam... Przepraszam. Powinienem był zadzwonić. Proszę! Wybacz mi!

Głos Jespera wydaje się odległy, jakby dochodził z jakiejś rury. Nie widzę powodu, żeby odzywać się do niego, i szczerze mówiąc, nie wiem, co miałabym mu powiedzieć. Wszystko się zawaliło i teraz jedyna rzecz, na jakiej mi zależy, to wynieść się stamtąd. Uciec od widoku chudego ciała Jespera na podłodze i od zapachu strachu i śmierci.

Ale to niemożliwe. Jeszcze nie teraz.

Muszę pokazać tej kobiecie, tej, która odebrała mi Jespera, że nie wygrała.

Powinna zobaczyć, kogo on kocha i do kogo należy, nawet jeśli miałabym ją do tego zmusić.

– Popatrz sobie – szepczę. – Przyjrzyj się dobrze.

Hanne

O piątej rano przychodzi esemes od Owego. Budzi mnie z niespokojnego snu. Podnoszę telefon z podłogi i czytam: Kocham Cię.

I to wszystko. Żadnych gróźb, żadnych próśb, żebym wróciła do domu. Wpatruję się w wyświetlacz, który jarzy się w ciemności. Zaskoczona tym, jak bardzo wytarta wydaje się ta fraza. Zupełnie jakby składające się na nią słowa straciły znaczenie – są mdłe i bez smaku, jak prefabrykowana żywność.

Siadam. Po kilku godzinach spędzonych na niewygodnej kanapie w pokoju rekreacyjnym bolą mnie plecy. Zespół pracował przez całą noc, ale ja musiałam położyć się choć na trochę. Zawsze tak ze mną było. Owe uważał to za zabawne. Irytował mnie swoim twierdzeniem, że jestem jak dziecko, które musi jeść i spać o określonych porach.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że to prawda. Nie potrafię długo wytrzymać bez snu. Nie tracę humoru ani nie robię się nie do zniesienia, tylko po prostu nie jestem w stanie trzeźwo myśleć, kojarzyć najprostsze fakty.

A w powstałej sytuacji nie mogę sobie na to pozwolić.

Gdzie ona może się podziewać? Kobieta, która zabiła Jespera Orrego i jego partnerkę? Kobieta, która...

Z narastającym niepokojem stwierdzam, że nie pamiętam jej nazwiska. Jakby przepadło podczas snu, ulotniło się w czasie, gdy spałam na twardej kanapie, rozplynęło się w dusznym powietrzu niedużego pokoiku.

Wkładam sweter. Podchodzę boso po zimnej podłodze do okna. Za szybą wirują pojedyncze płatki śniegu. Domy naokoło stoją pogrążone w ciemności, jedynie w niektórych oknach pali się słabe światło, połyskuje jak latarnia morska nocą.

W sali na trzecim piętrze trwa gorączkowa praca. Na miejscu są Manfred, Sanchez i Bergdahl, a także z dziesięć innych osób, których nie znam. Ledwie pokazuję się w drzwiach, podchodzi do mnie Peter i kładzie mi dyskretnie rękę na ramieniu.

– Jak się czujesz?

Jego szczupła postać, chłopięca twarz. Delikatny dotyk jego dłoni. Wszystko to atakuje mnie i nie mogę się przed tym obronić. Obezwładnia i jednocześnie sprawia, że staję się niespokojna, niecierpliwa, jakby moje ciało sygnalizowało mi, że za chwilę coś się wydarzy. Coś ważnego i nieuchronnego, coś w rodzaju katastrofy naturalnej. Cały mój organizm to czuje.

Wzdrygam się i mimo woli cofam o krok.

– Dobrze. Jestem trochę zmęczona. Znaleźliście coś?

Peter wskazuje głową na resztę zespołu.

– Sprawdziliśmy wyciąg z konta Emmy Bohman. Dwa dni przed zabójstwem Angeliki Wennerlind zrobiła zakupy w Vildmarksmagasinet za prawie trzy tysiące koron. Poza tym wypożyczyła samochód i go nie oddała. Znaleźliśmy go kilkaset metrów od domu Orrego. A kilka tygodni temu, tego samego dnia, kiedy spłonął garaż, w sklepie z farbami wydała blisko pięćset koron.

– Benzyna?

– Tak przypuszczamy. Oprócz tego szukamy samochodu Angeliki Wennerlind. To czerwone volvo siedemset czterdzieści kombi. Emma Bohman prawdopodobnie uciekła nim z miejsca przestępstwa.

– Pojechaliście do mieszkania... Emmy Bohman?

– Tak, nie ma jej tam. Prokurator wydał nakaz rewizji i byliśmy w nim dwie godziny temu. Jest potwornie zapuszczone. Pełne pustych butelek i słoików, pociętych kawałków papieru, na podłodze w kuchni zaschnięte spaghetti, na lustrze plamy po keczupie. Wszędzie tumany kurzu. Technicy jeszcze tam pracują. Masz jakąś teorię, gdzie ona może być?

Wiodę wzrokiem po sali, przyglądam się pracującym w skupieniu kolegom.

– Prawdopodobnie tam, gdzie czuje się bezpieczna. Muszę jeszcze raz przejrzeć wszystkie informacje na jej temat. Może coś w nich znajdę.

W ciągu kolejnych godzin przekopuję się przez górę materiałów. Za oknem zaczyna się stopniowo rozwidniać, nastaje świt, zimny i twardy jak granit. Korytarze powoli zapełniają się ludźmi i po sali rozchodzi się zapach świeżo parzonej kawy. Narasta gwar głosów. Ktoś stawia przede mną parujący kubek, na co kiwam głową w podziękowaniu, nawet nie podnosząc wzroku.

O dziesiątej wybieram się na krótki spacer. Krążę wkoło budynku po świeżym śniegu, poddaję się wiatrowi, który rozwiewa poły mojego rozpięte-

go płaszczą i zacina śniegiem w twarz.

Znowu to czuję: że przeczytałam coś istotnego, ale nie mogę dostrzec związku. Biel śniegu razi mnie w oczy, a policzki szczypią od zimna. Gdzieś pod samą powierzchnią przyczało się coś ważnego, informacja, której szukam. Wiem, że tam jest, tylko nie mogę jej pochwycić. Wymyka mi się, chowa przede mną w najciemniejszych zakamarkach świadomości, jak spłoszone zwierzę.

Kiedy wchodzę z powrotem do budynku, wreszcie ją mam. I nagle tak strasznie się boję, żeby jej nie zapomnieć, że jestem gotowa poprosić strażnika o kartkę i długopis. Postanawiam jednak mimo wszystko zaufać sobie i idę szybko do wind. Znalazłszy się na górze, biegnę przez korytarz.

– Kapellgränd – mówię do Manfreda, który stoi pośrodku sali z kubkiem w ręce. – Emma Bohman dorastała w mieszkaniu przy Kapellgränd. A kiedy była przesłuchiwana w sprawie skradzionego pierścionka, powiedziała, że to Orre mieszka przy Kapellgränd.

– I?

Manfred wygląda na zdezorientowanego. Sanchez i Peter podchodzą do nas, stoją w milczeniu i wpatrują się we mnie.

– Ona miesza fantazję i rzeczywistość, a mieszkanie przy Kapellgränd, w którym się wychowywała, jest z jakiegoś powodu dla niej ważne. Powinniśmy szukać miejsca, w którym czuje się jak w domu. Bezpieczna. Takim miejscem może być Kapellgränd.

W tej samej chwili Sanchez podnosi rękę. Wygląda na wycieńczoną, pod oczami ma ciemne plamy rozmazanego tuszu.

– Zdajecie sobie chyba sprawę, że mamy jeszcze jeden problem? – odzywa się cicho. – Wilma, pięcioletnia córka Angeliki Wennerlind, też zniknęła.

Emma

Tydzień wcześniej

Na ulicy jest cicho i pusto. Duże, ciężkie płatki śniegu sypią się z ciemnego nieba. Przed domem stoi czerwone volvo. Idę po wyłożonej kamieniami ścieżce do samochodu, mocno trzymając Jespera za przedramię. Przy krzewach rododendronu zatrzymuję się na chwilę, żeby oczyścić się śniegiem. Zanurzam w zimnej bieli twarz i ścieram z niej krew. Jesper stoi nieruchomo obok mnie. Skomle cicho, jak pies.

Wyjmuję kluczyki, które wzięłam z podłogi w przedpokoju, otwieram auto i wpycham go na siedzenie przy kierowcy. Nic nie mówi. Ma martwą twarz, jakby wykutą z marmuru, a jego oczy przypominają wilgotne czarne kamienie.

Czarna skóra narzucona na siedzenie kierowcy jest wytarta i czuć ją stajnią. Po raz pierwszy od wielu godzin pozwalam sobie na lekką dekoncentrację. Tylko na moment, żeby ból w piersi choć trochę zelżał.

– Gdzie jest mama? – dochodzi głos z tylnego siedzenia.

Na sekundę zamieram z zaskoczenia i strachu. Potem odwracam się i panując już nad sobą, patrzę spokojnie w oczy dziewczynki. Milcząc, mierzymy się nawzajem wzrokiem. Chyba właśnie się obudziła, ale nie wydaje się wystraszona, tylko raczej zaciekawiona. Za nią dostrzegam w bagażniku walizki.

– Mama musiała pojechać do lekarza – odpowiadam, przekręcając kluczyk. – Ja i Jesper zajmiemy się tobą.

– Wilma – mówi Jesper.

– Stul pysk! – uciszam go i znowu używam paralizatora. Podskakuje konwulsyjnie, a potem siedzi bez ruchu z opuszczoną na pierś głową i śliną ciekącą mu z ust.

– Jesper też nie najlepiej się czuje – wyjaśniam, odwracając się do tyłu. – Zajmiemy się nim w domu.

W samochodzie jest dziwnie cicho. Spodziewałam się, że mała zacznie mnie bombardować pytaniami i będzie głośno protestować, tymczasem siedzi z szeroko otwartymi oczami i w ogóle się nie odzywa.

– Masz na imię Wilma?

Wpycha sobie kciuk do buzi i patrzy przez ciemną szybę, nie odpowiadając.

– Nie powinno się ssać palców. Bo na palcach są różne zarazki i bakterie – mówię, starając się nie brzmieć zbyt surowo. Spotykam jej spojrzenie w lusterku wstecznym. – Ja mam na imię Emma.

Jedziemy przez chwilę w milczeniu. Prawdopodobnie z powodu stresu myślę się i wyjeżdżam z osiedla Jespera niewłaściwą drogą. Okolica wygląda zupełnie nieznaną, a zamiast domów po obu stronach widzę jedynie obsypane śniegiem drzewa i rozległe pola. Ani żywej duszy.

Nie mam pojęcia, gdzie jestem.

– Chcę do maaamy! – wrzeszczy nagle mała.

Włączam radio i myślę. Na sekundę odwracam się do niej i mówię, żeby się zamknęła, a w tym momencie, zanim udaje mi się zareagować, Jesper rzuca się na mnie i odpycha mnie od kierownicy. Musiał jakoś wyplątać się z taśmą, bo ma wolne ręce. Próbuje chwycić kierownicę i ręczny hamulec.

Kiedy niechcący naciskam na gaz, samochód wpada w poślizg, przelatuje nad jakimś wybrzuszeniem na drodze i uderza w brzozę. Rozlega się ogłuszający huk, a w kabinie rozchodzi się swąd palącego się plastiku.

Jesper leży mi na kolanach, z głową opartą na kierownicy. Przednia szyba, poprzecinana tysiącami drobnych pęknięć, przypomina pajęczą sieć.

Odruchowo oglądam się za siebie.

Mała patrzy na mnie wielkimi oczami; wygląda na to, że jej nic się nie stało.

Ostrożnie przykładam palce do szyi Jespera, szukam pulsu, ale go nie czuję. Z głowy cieknie strużka krwi. Jest cicho, słychać tylko przyspieszony oddech Wilmy.

Potrząsam lekko Jesperem, lecz on w ogóle nie reaguje. Nie oddycha.

Spoglądam w ciemność. Widać jedynie pokryte śniegiem zarośla i pola. Powoli dociera do mnie, że nie powinnam jechać dalej z Jesperem w samochodzie, muszę go gdzieś zostawić.

Jednak nie mogę go zostawić tak po prostu na środku drogi.

Znowu wyglądam przez szybę i wyteżam wzrok. Z daleka dostrzegam dużą skrzynię z jasnym napisem.

„PIASEK”.

Leży w moim łóżku i śpi spokojnie, jakby wydarzenia wieczoru już wy-

blakły: wypadek i ciało Jespera, które wywlokłam z samochodu i po wielu próbach zdołałam wreszcie włączyć do skrzyni na piasek; i to, jak pojechaliśmy potem dalej, jakby się nic nie stało, i wreszcie zaparkowaliśmy samochód wśród setek innych aut na parkingu przy szpitalu w Danderydzie, gdzie wciąż padający śnieg szybko pokrył maskującą powłoką popękaną szybę i wgniecioną maskę. Jedyne, o co spytała podczas krótkiej podróży metrem, to co zrobiłam z Jesperem. Odpowiedziałam spokojnie, że on też musiał pojechać do lekarza, tak samo jak mama.

Nie wiem, czy mi uwierzyła, ale w każdym razie nic nie powiedziała, tylko z poważną miną pokiwała głową.

Mała, blada twarz Wilmy jest nieprzyzwoicie doskonała: krągłość policzków, długie, ciemne rzęsy, zgrabnie wykrojone usta. Ostrożnie dotykam jej czoła. Skóra jest delikatna i ciepła.

Jest taka ładna, myślę. Idealna i czysta. To naprawdę mały cud. Tylko szkopuł w tym, że nie jest moja. Moje dziecko umarło i zniknęło na zawsze. Nawet nie zdążyłam go poznać.

Tej nocy śpię obok niej. Budzi mnie kilkakrotnie, ponieważ przewraca się z boku na bok i kopie swoimi małymi, ale silnymi nóżkami. A jednak nie uciekam przed nim – przed poczuciem, że uczestniczę w czymś fantastycznym i niepowtarzalnym. Przed poczuciem, że to dziecko, podobnie jak wszystkie dzieci, powinno być najważniejszym sensem życia. Że istota egzystencji mieści się w tym niewielkim ciałku obok mnie i że w tych jasnobieskich i wyjątkowo okrągłych oczach kryje się jakiś rodzaj prawdy.

Może mogłabym ją zatrzymać, przemyka mi przez myśl. Może mogłybyśmy uciec razem. I zacząć od nowa gdzieś, gdzie nikt nas nie zna.

Może ona mogłaby być moja naprawdę.

Wilma budzi się przede mną. Kiedy otwieram oczy, siedzi i bawi się moimi kolczykami, które położyłam na nocnym stoliku. Jej ramiona są białe, przypominają marmur.

– Jesteś głodna?

Nie odpowiada.

– Poczekaj. Zaraz przyniosę coś do jedzenia.

Idę do kuchni. Lodówka świeci pustkami. Wysznięty czosnek i pudełko zjełczanego masła to wszystko, co w niej znajduję. Zaglądam do szafek. Żadnych herbatników. Żadnych płatków. Niczego, co mogłoby smakować małemu dziecku. Zamrażarka też jest prawie pusta, tylko na najniższej półce stoi

jakieś pudełko. Schylam się, wyjmuję je, potem otwieram szufladę ze sztuczcami i biorę łyżkę.

Wilma siedzi grzecznie na podłodze i je lody. Brudzi sobie nimi ubranie i chłapie na dywan, ale nie zwracam na to uwagi. Ona jest tak doskonała, stwierdzam znowu i po raz kolejny przemyka mi przez głowę ta sama myśl.

A gdyby tak była moja?

Idę do łazienki i spoglądam w lustro. Krótkie włosy sterczą niesfornie. Czarny tusz jest rozmazany po bladej skórze pod zaczerwienionymi oczami. Plamy krwi pokrywają mi szyję i ramiona. Wchodzę pod prysznic, namydlam się starannie i gorącą wodą spłukuję cały brud.

Z kuchni dochodzi pobrzękiwanie sztucców w szufladzie. Domyślam się, że Wilma postanowiła sama znaleźć coś do jedzenia. Zamierzam zaraz pójść do niej i zobaczyć, co ona tam wyprawia, ale w tej samej chwili słyszę jej pełen zachwyty pisk, a potem okrzyk:

– Znalazłam skarb! Chodź!

Wycieram się i okręcam ręcznik wokół ciała. Wchodzę do kuchni. Wilma wygląda na bardzo podekscytowaną, podskakuje w miejscu raz po raz.

– Znalazłaś skarb? – pytam ją od niechcienia.

– Popatrz!

W pierwszej chwili nie rozumiem, co tak naprawdę mi pokazuje, ale w końcu dociera do mnie, że na podłodze leżą porozrzucone pliki stukoronówek. Przykucam. Każda paczka banknotów opasana jest czerwoną gumką. I nagle rozumiem. To są moje pieniądze odziedziczone po ciotce. Te, które przepadły bez śladu. Rozpoznaję nawet te gumki.

– Gdzie je znalazłaś?

Mój głos brzmi głucho, jakby nie należał do mnie, tylko do kogoś innego.

– Tam.

Wilma, nie przestając podskakiwać, wskazuje wąską szafkę po lewej od kuchenki, w której trzymam tace. Chyba już od miesiący jej nie otwierałam. Ostatni raz zaglądałam do niej w wieczór, kiedy ja i Jesper mieliśmy jeść naszą zaręczynową kolację. To pamiętam dokładnie. Kiedy robiłam zapiekane kanapki. Schylam się i zaglądam do ciemnej szafki. Gdy po kilku sekundach oczy się oswajają, widzę, że na dnie leży jeszcze więcej plików banknotów. Wyjmuję je, liczę i zastanawiam się przez chwilę. Wygląda na to, że nie brakuje nic a nic.

– Jak... ? Drzwiczki były otwarte?

Wilma kręci głową z poważną miną. Ma duże plamy po lodach na brodzie i na T-shircie.

– Otworzyłam i zobaczyłam skarb.

Dziwnie się czuję. Siadam na gołej podłodze i usiłuję zrozumieć, co się wydarzyło. Czyli Jesper musiał zwrócić pieniądze. Ale dlaczego wepchnął je do kuchennej szafki? Widzę tylko jedno wyjaśnienie: po prostu nie chciał, żebym je znalazła. Ukrył je z premedytacją.

Jakby jego celem było doprowadzenie mnie do obłądu.

Gdy chcę zamknąć wąskie drzwiczki, dostrzegam w głębi coś jeszcze. Przypomina tacę opartą o ścianę. Wkładam rękę do środka i dosięgam tego przedmiotu. Brzeg jest drewniany. Ostrożnie wyciągam go do światła, następnie kładę na podłodze przed sobą. I znowu próbuję zrozumieć.

To obraz Ragnara Sandberga.

Stoję przed lustrem w łazience. Szukam w pamięci. Czy to możliwe, że sama schowałam pieniądze i obraz w kuchni i o tym zapomniałam? Coś prze-myka mi przed oczami. Niewyraźne wspomnienie ciemnej kuchni. Ciężar malowidła w moich rękach, kiedy przykucam przed szafką.

Czy ja tracę zmysły?

Siadam na sedesie i sikam. Dochodzę do wniosku, że to wszystko musia-ło mi się przyśnić. Zaczynam myśleć o mamie.

I o tym, że nigdy nie dała mi odpowiedzi.

Kobieta w zielonym stroju położyła mi rękę na ramieniu z miną pełną współczucia. Była młoda. Nawet bardzo młoda. Na wizytówce widniało imię Soraya.

– Jak to dobrze, że mogła pani przyjechać od razu, Emmo. Proszę za mną, pokażę pani, gdzie ona leży.

Szłyśmy w milczeniu przez korytarze. Za oknem widziałam korony drzew. Delikatne zielone liście drgały na wietrze, a brudne chmury ścigały się po niebieskim niebie. Minęłyśmy coś w rodzaju kuchni. Na okrągłym stole z laminowanym blatem stała czarna plastikowa doniczka ze zwiędłymi żonkilami. Zapach kawy i jedzenia odgrzewanego w mikrofalówce przenikał na korytarz.

Kroki pielęgniarki idącej obok mnie były bezgłośnie, ale zdecydowane. Wreszcie zatrzymała się przed drzwiami i odwróciła do mnie.

– Zanim wejdziemy... Pani mama jest podłączona do respiratora, dzięki któremu łatwiej jej oddychać. Wszystkie te przewody i urządzenia mogą tro-

chę przerażać, ale one jej nie przeszkadzają. Dostała sporą dawkę morfiny, więc nie czuje bólu, tylko przez to może być trudno nawiązać z nią kontakt. Nie jest do końca świadoma.

– A mnie rozpozna?

Pielęgniarka uśmiechnęła się nieznacznie. Nie byłam pewna, czy dlatego, że zadałam głupie pytanie, czy po prostu chciała być dla mnie miła.

– Jeśli się obudzi, niewątpliwie panią rozpozna. Jak pani wie, z jej umysłem jest wszystko w porządku. Jedynie ciało. – Nie dokończyła zdania.

– Czy mogę jej dotknąć?

– Oczywiście. Może z nią pani rozmawiać, trzymać za rękę. Pocałować. To nie jest niebezpieczne i jej też nie zaszkodzi. Tylko, jak wspomniałam, nie wiem, na ile będzie przytomna. W ciągu ostatniej doby wystąpiły zaburzenia w pracy wątroby i nerek, jest więc bardzo słaba.

Z daleka zobaczyłam starego mężczyznę wlokącego się noga za nogą po korytarzu przy wsparciu pielęgniarki. Ciągnął za sobą stojak z kroplówką. Tak wyglądała końcowa stacja życia. Pomalowany na biało szpitalny korytarz z błyszczącym linoleum na podłodze i niklowanymi łózkami. Cisza przerywana jedynie posapywaniem i pikaniem maszyn.

Pielęgniarka otworzyła drzwi do sali mamy, a ja położyłam dłoń na jej ramieniu, czułam, że muszę ją o to spytać.

– Czy ona się obudzi?

– Trudno powiedzieć.

Spojrzawszy mi w oczy, uśmiechnęła się, a potem odwróciła i ruszyła z powrotem w swoich niewydających żadnych dźwięków białych butach.

Mniej więcej w połowie korytarza obejrzała się.

– W razie czego będę na oddziale.

Skinęłam głową i weszłam do sali.

Zmieniła się nie do poznania. Jakby cała spuchła. Mama zawsze była gruba, ale to, co zobaczyłam, nie miało nic wspólnego z otyłością. Wyglądała tak, jakby ktoś wpompował w nią mnóstwo jakiegoś płynu. Skórę miała bladą, pergaminową, niemal przezrystą. Bałam się, że jeśli jej dotknę, niechcący zrobię dziurę i cały płyn wycieknie z niej powoli, tak jak z balonu uchodzi powietrze.

Leżała podłączona do kroplówki. Raz po raz słychać było jedynie posykanie respiratora, który sumiennie wpychał powietrze do płuc, a następnie je stamtąd wypychał.

Nie byłam przygotowana na szok.

Chyba przypuszczałam, że raczej pozostanę obojętna na to, co zobaczę, ponieważ moja relacja z mamą prawie nie istniała. Ale się pomyliłam. Trzęsłam się cała, a kiedy usiadłam na taborecie u szczytu łóżka, poczułam, jak oblał mnie zimny pot. Nagle runęły na mnie dziwne obrazy sprzed lat, takie, przed którymi nie sposób się obronić: mama, tata i ja ubieramy choinkę, którą ukradliśmy w Vitabergsparken. Mama leży w moim łóżku, przytula mnie mocno, darowuje mi jedną z nielicznych chwil miłości i bliskości, chwil, które pielęgnowałam jak najcenniejsze klejnoty. Jej oddech jest przesiąknięty słodkim zapachem piwa i papierosów Gula Blend. Mimo to nie odsuwam od niej twarzy choćby na milimetr, pełna niewypowiedzianej wdzięczności za czułość, którą mi okazała. I niebieski motyl na podłodze, martwy i połamany wśród kawałków szkła i suchych, kolczastych gałązek.

Dotknęłam jej przedramienia, ostrożnie, starannie omijając duże sinoczerwone plamy na skórze. Nie zareagowała. Twarz też miała napuchniętą, zwłaszcza okolice oczu. Nie dało się nawet dojrzeć, czy były zamknięte, czy otwarte.

Łzy kompletnie mnie zaskoczyły. Zaczęły płynąć mi po policzkach, a ja w ogóle się nimi nie przejmowałam, nawet nie próbowałam ich wytrzeć. Zapalenie trzustki i niewydolność wątroby, tak powiedzieli lekarze. Kiedy spytałam, czy przyczyną mogło być to, że piła, doktor jedynie skinął głową i oznajmił, że nie da się tego wykluczyć. I że mieli do czynienia na oddziale z wieloma chorobami wynikającymi z alkoholizmu.

Pochyliłam się nad nią. Przyłożyłam twarz do klatki piersiowej. Czułam, jak się unosi i opada w rytm pracy respiratora. I nagle uznałam, że muszę się tego dowiedzieć. I że już nigdy nie będę miała szansy, by zadać jej pytanie, które dręczyło mnie od tak dawna.

Otarłam policzki żółtym szpitalnym kocem i odchrząknęłam, następnie chwyciłam ją mocniej za rękę i zaczęłam pilnie się jej przyglądać.

– Mamo, to ja, Emma.

Na nabrzmiałej twarzy nie dało się zauważyć żadnej reakcji. Ścisnęłam rękę tak mocno, że jej skóra jeszcze bardziej pobieliała pod moimi palcami, a paznokcie pozostawiły w niej nieduże odciski w kształcie półksiężyców. Potem drugą ręką poklepałam ją po policzku. Może trochę przesadziłam.

– To ja, Emma. Słyszysz, mamo?

Pod jedną powieką jakby coś drgnęło. Nie wiedziałam, czy to tylko od-

ruch, czy mimo wszystko mnie usłyszała. Pochyliłam się jeszcze niżej i przyłożyłam usta do jej ucha.

– Mamo, ja muszę się dowiedzieć...

Respirator zapiszczał i mama podskoczyła, jakbym uszczypnęła ją w policzek.

– Mamo. Musisz mi powiedzieć. Tylko bądź szczerą. Czy ze mną jest coś nie tak?

Peter

Czasami żałuję, że nie mogę poprosić mamy, żeby doradziła mi w śledztwie. Wyobrażam sobie, jak stanęłaby przed białą tablicą, podparta pod boki i z kwaśną miną. Zupełnie niewzruszona tym, że naokoło niej pełno jest policjantów. Swoją drogą trzeba przyznać, że była wyjątkowo przenikliwa, na swój trochę cyniczny sposób. Potrafiła wyczuć kłamstwo na odległość w tym samym momencie, gdy zostało wypowiedziane, i nie bała się mówić tego, co myśli. Innymi słowy, byłaby trochę niewygodna. Cierń w oku firmy – pewnie tak chciałaby siebie widzieć.

Hanne przypomina mi ją trochę. Wyjąwszy cynizm oczywiście.

Ciekawe. Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej?

Patrzę na nią, gdy siedzi przy biurku i grzebie w stosie papierów. Dostrzegam nawet pewne fizyczne podobieństwo – trochę we włosach i ładnie zarysowanych, ciemnych brwiach. I w niektórych gestach, na przykład gdy Hanne wyniośle czemuś zaprzecza albo odchyła głowę do tyłu, kiedy się śmieje. Jakby chciała, żeby usłyszało ją całe niebo.

To takie proste? Czy to znaczy, że zakochałem się we własnej matce?

Miłość to odruch, myślę. Coś, co po prostu robimy, podobnie jak śpimy czy jemy. I może najzwyczajniej w świecie zakochujemy się w tym, co wydaje się nam znajome, bliskie. Co przypomina nam życie takim, jakie było, zanim dopadły nas wszystkie przegrane.

Manfred trąca mnie lekko w bok.

– Upiornie wyglądasz. Stało się coś?

Uśmiecham się w reakcji na jego nieporadną próbę okazania troskliwości.

– Dzięki. Kiedy się zmywamy?

– Za trzydzieści minut na miejscu będą jednostka operacyjna i negocjator. Dom przy Kapellgränd jest podobno już niezamieszkały, bo ma być zburzony, czyli nie musimy przejmować się lokatorami. Jedziesz z nami?

– Jeśli nie będziesz się odzywać.

Prycha głośno i wali mnie mocno w plecy.

– Tak trzymaj, Lindgren. Widzę, że mimo wszystko nie jest jeszcze z tobą tak źle.

Dom przy Kapellgränd stoi pogrążony w ciemności i wygląda na opuszczony. Okna na parterze zabite są płytami paździerzowymi, a pod nimi tu i ówdzie leżą kawałki rozbitych szyb. Siedzimy w samochodzie Manfreda: on sam, Sanchez, Hanne i ja. Gdzieś w mroku czeka ukryta jednostka operacyjna. Chłopcy sprawdzili już mieszkanie i stwierdzili, że jest puste, nie licząc mnóstwa opróżnionych butelek, góry starych pism pornograficznych i kilku brudnych koców na podłodze. Nie znaleźli żadnych śladów po dziecku, mimo to postanowiliśmy poczekać trochę, licząc na to, że Emma może jednak się tutaj pojawić.

Hanne miała wcześniej rację.

Z odtwarzacza leci jak zwykle Morrissey, ale tak cicho, że prawie nie słyszę słów: *You have never been in love, until you've seen the sunlight thrown, over smashed human bone.*

Czy na pewno? – zadaję sobie pytanie. Czy ona zrobiła to z miłości?

Nieliczni wieczorni przechodnie mijają nas pchani przez wiatr. Kilka zakwefionych kobiet idzie Götgatan, trzymając się pod ręce. Prawdopodobnie wybrały się do meczetu.

Manfred niecierpliwie bębni palcami o kierownicę i wpatruje się w ciemność. Ścierając rękawem z wielbłądziej wełny parę z przedniej szyby, wzdycha i mówi:

– Może jednak tu nie przyjdzie? Może szukamy w złym miejscu?

Nikt nie odpowiada.

Jakiś samotny rowerzysta przejeżdża obok. W tej samej chwili dzwoni moja komórka.

To Janet.

Normalnie w takiej sytuacji od razu bym się rozłączył, ale ponieważ mam już cztery nieodebrane od niej połączenia, a akurat nic specjalnego się nie dzieje, postanawiam dowiedzieć się, o co chodzi.

– Musisz przyjechać! – mówi, ledwie mogąc złapać oddech.

– Coś się stało?

Manfred odwraca się do mnie i rzuca mi pytające spojrzenie. Nie mam wątpliwości, iż chce mi w ten sposób powiedzieć, że to nie najlepszy moment na roztrząsanie problemów rodzinnych. Ale Janet nigdy nie przejmowała się takimi rzeczami.

- Chodzi o Albina – zanosi się płaczem. – Zabrali go.
- Zabrali?
- Tak, policja.
- Policja? Dlaczego?
- On... Oni... znaleźli...
- Uspokój się i powiedz, co się stało.

Lęk miesza się z zakłopotaniem. To po prostu cała Janet. Zawsze dzwoni w jakimś ważnym momencie i oczekuje, że tak po prostu wszystko rzuci i już. Nigdy nie miała zrozumienia dla mojej pracy. Mimo że od piętnastu lat miesiąc w miesiąc wysyłam jej pieniądze.

Czuję na sobie palące spojrzenia wszystkich. Ale jednocześnie mam przed oczami twarz Albina. Chudą postać nastolatka z odstającymi uszami. Uszami Janet. I przypominają mi się jego słowa, kiedy tamtego wieczoru zastałem go pod swoimi drzwiami w Farsta z deskorolką i z reklamówką z Coopa w drugiej ręce.

„Pokłóciłem się z mamą. Mogę się przekłamać u ciebie?”

Pamiętam też, jak się odwrócił, kiedy Janet prowadziła go do samochodu, i jak ja schowałem się za zasłonką, żeby mnie nie zobaczył.

Czy ja kiedykolwiek poświęciłem mu czas?

– Znaleźli marihuanę w jego szkolnym plecaku. Siedzi teraz w areszcie razem z tą koszmarną bandą ze Skogås. Musisz coś zrobić. Ostatecznie jesteś jego ojcem. Musisz...

Jej głos przechodzi w falset, na co odruchowo odsuwam telefon od ucha, żeby obronić się przed przeraźliwym piskiem.

– Ale co ja, do jasnej cholery, mogę zrobić?! – krzyczę do niej.

Słyszę, jak wrzeszczy, chociaż wciskam komórkę między kolana. Wszyscy w aucie słyszą. To jest taki sam wrzask jak wtedy, kiedy znalazła zaproszenia na ślub ukryte w szufladzie biurka. Piekielny wrzask pełen bezdennej furii i odrazy. I nagle widzę siebie jej oczami. Widzę potwora, za którego ona mnie uważa. Pozbawione kręgosłupa monstrum, które zostawiło ją zupełnie samą z odpowiedzialnością za Albina.

Sekundę później słyszę głos mamy. Słaby i miękki, jakby wieczność pozbawiła ją właściwej jej ostrości.

„Odpowiedzialność, Peter. Czy nie pora już, żebyś choć w części wziął na siebie odpowiedzialność?”

– Przyjadę – mówię.

Gdy wysiadam z samochodu, czuję na plecach spojrzenie Hanne. Otwiera drzwi i podchodzi do mnie. Kładzie mi rękę na przedramieniu.

– Chcę, żebyś został – mówi krótko.

– Nie mogę – odpowiadam, patrząc jej w oczy.

Powiniennem wyjaśnić, co się stało. Opowiedzieć o Albinie i Janet oraz o długu, który pewnego dnia musi zostać spłacony. I wytłumaczyć, że ten dzień właśnie nadszedł i że chyba zawsze wiedziałem, że on przyjdzie – tylko dlaczego akurat dzisiaj?

– Proszę cię – Hanne nie ustępuje. – Jestem pewna, że ona się tu pojawi.

– Muszę – powtarzam.

Idąc Götgatan, mijam jakiś pub. Czerwony neon świeci w ciemności, krzykliwie obiecuje ciepło i zapomnienie, i nagle marzy mi się jedno piwo. Chce mi się wypić kufel piwa w ciepłym pubie, zamiast jechać prosto na komisariat w Farsta albo wrócić do Hanne. To ucieczka od wszelkich wyborów, które czynią życie tak piekielnie trudnym, by móc się w nim swobodnie poruszać.

To byłby błąd, wiem o tym. Jedyny słuszny krok to wsiąść od razu do metra, ewentualnie wrócić do Hanne, tak jak mnie prosiła. Mimo to nie potrafię ruszyć się z miejsca. Stoję na chodniku, przed dużymi oknami, i zaglądam do środka. Patrzę na ludzi i na ekrany telewizyjne pokazujące jakieś rozgrywki sportowe. Na obite sztuczną skórą kanapy i szkło połyskujące w przyćmionym żółtawym świetle.

Wejście tam nie jest dobrą opcją. Niczego nie rozwiąże, tylko sprawi, że stracę dla siebie samego resztki szacunku.

Mimo to.

Jedno piwo. Jedno małe piwko.

Czy rzeczywiście czemuś zaszkodzi?

Emma

Trudno mi dogadać się z Wilmą. Przez cały tydzień robiłam wszystko, co możliwe, żeby dobrze poczuła się w moim domu. Czytałam jej książki, smażyłam naleśniki i układałam puzzle. Karmiłyśmy gołębie na Karlaplanie i przyglądałyśmy się psom baraszkującym w śniegu na Gärdet. A kiedy ktoś zadzwonił do drzwi, chowałyśmy się pod łóżko i udawałyśmy, że bawimy się w chowanego. Ale ona, zamiast się do mnie zbliżyć, stawała się coraz bardziej nieprzystępna. Zamykała się w sobie w dziwny sposób. Siedziała całymi godzinami, wpatrując się w swoje ręce, albo metodycznie rwała lub cięła papier na małe, coraz mniejsze kawałki, które lądowały na podłodze dookoła niej jak płatki kwiatów.

Wiele razy przechodziłyśmy obok wystawionych przed kioskami gazet ze zdjęciem Jespera na pierwszej stronie, ale ona ich nie zauważała albo może zauważała, tylko nie rozumiała. Ja sama odwracałam wzrok, kiedy widziałam tytuł Znany prezes ścigany za morderstwo, opatrzony jego fotografią. Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy, żeby nie myśleć znowu o tym wszystkim, co mi zrobił.

W ostatnie noce Wilma budziła się często i krzyczała, jakby śniło jej się coś strasznego, a kiedy potrząsałam nią lekko, żeby wyrwać ją ze złego snu, pytała o mamę i odpychała mnie od siebie. Bardzo bym chciała, aby znowu poczuła się bezpieczna, tylko nie wiem, jak to zrobić. Wiele razy łapałam się na tym, że jestem na nią zła za tę jej niewdzięczność, ale zaraz mówiłam sobie, że przecież to tylko dziecko, które niczemu nie jest winne, że znalazło się w takiej sytuacji. I że moje zadanie – mój obowiązek – polega na tym, by nie tracić cierpliwości.

Idziemy do McDonalda. To jedyna rzecz, która jeszcze wprawia ją w dobry humor. Jej drobna rączka spoczywa w mojej dłoni, a ona bez przerwy trajkocze o skarbie, który odkryła w ubiegłym tygodniu. Myślę sobie, że chociaż tyle dobrego, że odnalazły się i pieniądze, i obraz. Moje problemy finansowe są rozwiązane. Przynajmniej na razie. No i oczywiście cieszę się, że odzyskałam obraz. Bo ogromnie dużo dla mnie znaczy, nie tylko dlatego, że jest

cenny, ale przede wszystkim dlatego, że w pewien dziwny sposób łączy te-
raźniejszość z przeszłością, stanowi pomost do mojego dzieciństwa. Most do
krainy, której już nie ma. Do mamy i ciotek i ich wesołej paplaniny przy ka-
wie w naszym mieszkanku. Do posypanych cukrem, trochę przypalonych cy-
namonowych bułeczek, do papierosowego dymu i poczucia bezpieczeństwa,
kiedy siedziałam ciotce Agnecie na kolanach, wciśnięta między jej gigantycz-
ne piersi.

Śnieg sypie na Karlaplanie. Duże pierzaste płatki opadają na dno wyłą-
czonej fontanny. Wysokie drzewa stoją dookoła nieruchome i poważne, jak-
by czuwały nad placem i wszystkimi mieszkańcami miasta. Przed sklepem ze
sprzętem domowym stoją stłoczone sztuczne choinki i worki z drewnem do
kominka. Ludzie wchodzą do centrum handlowego Fältöversten i wychodzą
z niego, dźwigając torby pełne gwiazdkowych prezentów. Nagle uprzytam-
niam sobie, że w tym roku ani nie dostanę, ani nikomu nie dam nic pod cho-
inkę, skoro mama nie żyje. Ale Boże Narodzenie będzie i tak, chociaż inne.
Przy kiosku z gazetami widzę tytuły Porwano pięciolatkę. Zdjęcie Wilmy nie
jest zbyt wierne oryginałowi, mimo to ściskam ją mocniej za rękę i odciągam
dalej.

– Mogę dostać happy meala? Proszę, chcę happy meala. Dobrze?

– Okej – zgadzam się trochę bezmyślnie. Bo może to niezbyt dobry po-
mysł, żeby Wilma decydowała, co ma zjeść. Lepiej, by nie nabrała złych na-
wyków.

– I milkshake’a? Proszę!

Waham się sekundę i postanawiam, że nawykami żywieniowymi będzie-
my przejmować się później. Ważniejsze, żeby wykorzystać czas, kiedy Wil-
ma jest nieco bardziej kontaktowa i przychylnie do mnie nastawiona.

– Jasne.

Jemy, milcząc, w wypełnionym gwarem lokalu.

Na ubraniu Wilmy obok starych śladów po lodach przybywa coraz więcej
czerwonych plam po keczupie i tłustych placków po frytkach. Jest tłoczno
i duszno. Podłogę pokrywa gruba warstwa brunatnej śniegowej paćki nanie-
sionej nogami klientów. Nagle młoda kobieta z tacą w rękach potyka się tuż
przy nas i jeden z kupionych przez nią napojów przewraca się i spada w kie-
runku Wilmy. Łapię kubek w ostatniej sekundzie. Kobieta, ubrana w pucho-
wą kurtkę i narciarską czapkę, wlecze za sobą dwójkę dzieci.

– Ojej, przepraszam – mówi przejęta. – Nic się nie stało pani córeczce?

W pierwszej chwili nie rozumiem, co ona ma na myśli, ale zaraz uśmiecham się szeroko.

– Spokojnie. Wszystko w porządku.

Po moim zziębniętym ciele rozchodzi się przyjemne ciepło. Spoglądam na Wilmę, która wydaje się zupełnie nieświadoma dramatu, jaki rozegrał się przed momentem. Przekrzywiwszy nieco głowę, zlizuje sobie sól i tłuszcz z małych palców. Jasne włosy opadają jej w strąkach na ramiona.

„Nic się nie stało pani córeczce?”

W drodze powrotnej do domu nie mogę przestać o tym myśleć. A gdyby ona tak naprawdę była moja? Teraz, kiedy mam pieniądze, nie jest to chyba niemożliwe. Mogłybyśmy wynieść się gdzieś w nieznane. Na przykład wyjechać na północ, najdalej jak się da. Trzymać się na dystans od ludzi, sprawić sobie kota albo małego pieska.

Na pewno potrzeba jeszcze trochę czasu, zanim Wilmę przestaną męczyć koszmary i całkowicie mi zaufa. Jestem jednak pewna, że kiedyś to nastąpi. Muszę tylko cierpliwie czekać.

Znowu biorę ją za rękę.

– Kiedy wrócimy do domu, do mamy? – pyta.

Ogarnia mnie irytacja.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Jak mama wyzdrowieje.

– Ale kiedy mama wyzdrowieje?

– Tego też nie wiem. To wie tylko pan doktor.

– Możemy spytać pana doktora?

Raptem mam już dość tego jej ciągłego marudzenia. Mówiłam jej to samo już z tysiąc razy – jak długo jeszcze ma zamiar zamęczać mnie tym ciągłym wypytywaniem o swoją mamę?

– Nie, nie możemy, bo...

Staję jak wryta. Patrzę na drzwi wejściowe do mojego domu i czuję, jak uginają się pode mną kolana.

Na ulicy przed budynkiem stoi kilka samochodów policyjnych. Ubrani na ciemno mężczyźni rozmawiają przed wejściem. Dwa owczarki niemieckie obwąchują chodnik.

Biegniemy truchtem z powrotem w stronę Karlaplanu. Wilma znowu zaczyna grymasić. Chce wrócić do domu i obejrzeć swój skarb, a nie jechać nie wiadomo gdzie.

– Ojejku, strasznie uwierają mnie nożyczki – maże się, kiedy ciągnę ją za

sobą, próbując zmusić, żeby szła szybciej.

– Co za nożyczki?

Mała wyciąga z kieszeni moje duże kuchenne nożyczki.

– Te, którymi się bawiłam, cięłam papier.

– Czy ty zwariowałaś?! Włożyłaś sobie nożyczki do kieszeni? A gdybyś tak upadła i nabiła się na nie?

Wyszarpuję je z jej ręki i chowam w swojej kieszeni. Jestem zła, ale i przepełniona całkiem nowym i nieznanym mi uczuciem: lękiem o to, że Wilma mogłaby zrobić sobie krzywdę. A więc tak to jest, kiedy jest się rodzicem, myślę nie wiadomo dlaczego nie bez satysfakcji.

Blisko zejścia do metra ośmielam się jeszcze obejrzeć za siebie: chyba nikt za nami nie idzie. Ludzie stojący przed schodami prowadzącymi na stację nie wyglądają z daleka na groźnych. Przyspieszam więc kroku i oddycham z ulgą. Nie ściskam już tak mocno ręki Wilmy, która w ogóle się nie odzywa, tylko idzie nadęta z buzią w ciup.

– Mogę loda? – pyta nagle, gdy przechodzimy obok kiosku.

Prześwidrowuje mnie spojrzeniem swoich jasnoniebieskich oczu.

– Przecież jest potwornie zimno – próbuję ją przekonać.

– Wcale nie. Mnie jest potwornie ciepło. Mogę loda? Proszę.

Ciągnie mnie za rękę.

Wzdycham ciężko, po czym wchodzę do kiosku i kupuję jej loda. W portfelu leżą trzy samotne banknoty stukoronowe. Nie wzięłam ze sobą więcej, kiedy wybrałyśmy się do McDonalda, a teraz jest już za późno, żeby wrócić do mieszkania. To, co mam przy sobie, nie wystarczy nawet na wynajęcie samochodu. Wielka szkoda, bo gdybyśmy miały auto, mogłybyśmy przynajmniej wydostać się z miasta. Dokąś pojechać.

Schodzimy do metra. Wilma liże loda, który szybko się rozpuszcza i kapie na jej ortalionową kurtkę. Wielkie plamy rozlewają się na piersi. Postanawiam się tym nie przejmować. Mam większe problemy na głowie.

Na peron wjeżdża kolejka w stronę centrum. Wsiadamy, zajmujemy miejsca naprzeciw siebie przy oknie. Wilma zjadła już loda, ale wciąż trzyma patyk w buzi. Ssie go i międli zębami, aż w końcu drewnienko łamie się na dwie części.

Na stacji Östermalmsborg wsiada kobieta w pękatej puchówce. Idzie przez wagon i rozdaje jakieś zafoliowane kartki. „Bardzo proszę o pomoc dla mojej córeczki, która nie może chodzić z powodu porażenia mózgowego,

a nas, rodziców, nie stać na wózek dla niej ani na rehabilitację w Odessie, gdzie żyjemy”. Spoglądam na zdjęcie. Uśmiechnięta dziewczynka w wieku mniej więcej dziesięciu lat siedzi na fotelu. Zęby i oczy wydają się o wiele za duże jak na tę małą twarz. Ręce i dłonie ma powykęcane, jakby złapał ją jakiś skurcz, a nogi są dziwnie chude, jakby należały do innego, o wiele mniejszego ciała. Obok stoi pies.

– To jest moja córeczka.

Kobieta zatrzymuje się przy mnie. Jej akcent i niebieskie oczy przypominają mi kogoś i nagle wszystkie elementy układanki trafiają na właściwe miejsca, i po chwili już wiem, dokąd powinnyśmy pojechać.

Oddaję kobiecie kartkę ze zdjęciem, kręcąc głową. Czuję, jak serce mocno bije mi w piersi.

– Przykro mi. Nie mam pieniędzy.

Kiedy wchodzimy, Olga akurat składa dzinsy. Nie widzę ani Mahnoor, ani Björnego. Może są w magazynie albo mają przerwę.

Olga ściska mnie mocno. Zapach perfum, który ją otacza, jest tak intensywny, że jestem bliska kichnięcia.

– O rany. Co ty zrobiłaś?

Gdy szeroko otwiera jasnoniebieskie oczy, dochodzę do wniosku, że rzeczywiście jest niesamowicie podobna do kobiety z metra. Nie tylko akcent, ale i wygląd są prawie identyczne. Mogłyby być siostrami.

– Jak to?

Dotyka moich krótkich włosów.

– Wyglądasz jak facet. Tak chciałaś? Wyglądać jak facet?

Nie udaje mi się odpowiedzieć, bo za mną wyrasta Mahnoor. Kładzie mi miękko dłoń na ramieniu, a kiedy się do niej odwracam, obejmuje mnie na powitanie.

– Super wyglądasz – szepcze mi do ucha. – Nie słuchaj jej. Podobno cię zwolnili. To są dopiero mendy.

A potem obie zauważają Wilmę. Na czole Olgi pojawia się głęboka zmarszczka.

– To jest Wilma – mówię. – Opiekuję się nią.

– Czyli znalazłaś sobie robotę?

Kiwam głową.

Mahnoor i Olga przyglądają się Wilmie, ale ona wyraźnie nie jest zainteresowana moimi koleżankami i zaczyna zwiedzać sklep. Wędruje między ste-

łażami z ubraniami, grzebie w spinkach do włosów i kolczykach przy kasie.

– Zgodziłam się nią zająć, bo jej mama zachorowała. Dopóki nie wyzdrowieje, Wilma jest ze mną. – Po chwili zwracam się do Olgi: – Obiecałam jej, że pojedziemy do aquaparku w Södertälje. No wiesz, tego z wielkimi zjeżdżalniami i falami. Pożyczylabyś mi jeszcze raz samochód? Oddałabym ci jutro.

– Jasne. Tylko żebyś znalazła mi porządne miejsce do zaparkowania. – Olga wywraca oczami.

– Dzięki, kochana.

Idę za nią do pokoiku rekreacyjnego, gdzie sięga po swoją torebkę ozdobioną złotym haftem i strasem. Buszuje w niej, po czym wyklada na stół papierosy, paczkę tamponów i szczotkę do włosów, a na samym końcu znajduje to, czego szukała.

– Masz. Możesz go oddać jutro po południu. Dziś też nie jest mi już potrzebny.

Biorę kluczyki i ściskam ją pospiesznie.

– Dzięki. Jesteś boska.

Olga spuszcza wzrok, lekko zawstydzona.

– Daj spokój. To nic takiego.

Wracamy do sklepu. Wilma siedzi na stole z dzinsami i pomaga Mahnoor składać jakieś rzeczy. Mahnoor jest uśmiechnięta, a Wilma szczerze się śmieje. Wyglądają niemal sielankowo. Równie dobrze mogłyby być w parku albo na placu zabaw.

Podchodzę do nich i głaszczę Wilmę po policzku.

– Musimy już jechać, słonko.

– Nie. Ja pracuję – protestuje dosyć stanowczym tonem. Olga i Mahnoor wybuchają śmiechem.

– Ona jest przesłodka. Chętnie bym ją sobie wzięła.

Ciemne oczy Mahnoor lśnią radośnie. Oczywiście nie ma pojęcia, że to ja ją sobie wzięłam.

Kiedy zamierzam już iść, do sklepu wchodzi facet w zielonej parce. Zbliża się do nas i w momencie, gdy na mnie spogląda, poznaję go.

Czuję się tak, jakby ktoś walnął mnie prosto w żołądek. To on. Anders Jönsson, dziennikarz, z którym się spotkałam. Który wyspecjalizował się w niszczeniu życia i kariery Jespera Orrego. Można by powiedzieć, że w pewnym sensie mój kumpel.

Patrzy na Wilnę, a potem na mnie. Domyślam się, że on wie.

Odwracam się, kluczyki samochodowe wypadają mi z dłoni, ale nie zwracam na to uwagi, tylko chwytam Wilnę za rękę i wybiegam ze sklepu.

Hanne

Peter poszedł. Po rozmowie telefonicznej wysiadł z samochodu, mimo że prosiłam go, aby został. Właściwie nie powinno mnie to dziwić. Czy kiedykolwiek zrobił to, o co go prosiłam? Czy kiedykolwiek dotrzymał obietnicy?

Atmosfera w aucie jest dosyć ciężka. Sanchez i Manfred wymienili między sobą znaczące spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. Jestem ciekawa, co myślą – czy też są zdziwieni nagłym wyłamaniem się Petera i tym, że nie przejmując się niczym, zniknął w ciemności?

– Czasami tak z nim bywa – rzuca Manfred od niechcienia, jakby czytał w moich myślach.

Nie odpowiadam.

– Widocznie coś musiało się stać – wtrąca Sanchez, patrząc na mnie.

Czy oni wiedzą? – zastanawiam się. Czy domyślają się, że mnie i Petera łączą zupełnie inne relacje niż koleżeńskie?

– Damy sobie radę bez niego – dodaje Manfred.

– Ale dlaczego wy go bronicie? – pytam wreszcie. – On znika sobie tak po prostu, a wy, zdaje się, uważacie, że to jest w porządku. Mam rację? W naszym zdaniem wszystko jest okej?

Oboje milczą.

Siedzimy przez chwilę w ciszy. Potem odzywa się komórka Manfreda. Prostuje swoje potężne ciało, żeby wydostać telefon z kieszeni, i odbiera. Słucha dosyć długo. Rozłączywszy się, odwraca się do mnie.

– Jakiś świadek widział Emmę Bohman i Wilnę pół godziny temu w jej dawnym miejscu pracy. To podobno dziennikarz, który pisał o Orrem i kiedyś spotkał się z Emmą.

– Co robimy? – pyta Sanchez.

– Jedziemy – odpowiada Manfred i uruchamia silnik.

– Poczekaj – proszę go. – Nie możemy zostać jeszcze trochę? Moim zdaniem ona tu przyjdzie.

Patrzy na mnie zmęczonym wzrokiem.

– Szukamy w złym miejscu. Wracamy.

– Nie. Ja zostaję.

– Jedziesz z nami – oznajmia Manfred dosyć ostrym tonem.

Otwieram drzwi i wysiadam. Jest bardzo ciemno, a na chodniku utworzyła się twarda skorupa śniegu przykrywająca lód.

– Zostaję – powtarzam z naciskiem, odwracając się do Manfreda, który znowu wymienia spojrzenia z Sanchez.

– Rób, jak chcesz – mówi. – Uważam, że powinnaś skorzystać z okazji i wrócić do domu, żeby przespać się parę godzin. Nie masz tu nic do roboty. Zwłaszcza sama.

Po chwili samochód znika w obłoku spalin.

Zimno mi. Lodowate powietrze przenika przez wilgotny puchowy płaszcz, na dodatek rękawiczki i czapkę zostawiłam w samochodzie. Na szczęście nie zapomniałam o notesie, który leży bezpiecznie schowany w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Myśl o tym, że Manfred i Sanchez mogliby przeczytać moje notatki, wszystkie nazwiska i dokładne opisy wyglądu każdej osoby z grupy dochodzeniowej, i w konsekwencji poznaliby mój problem, przeraża mnie bardziej niż zimno. Nie ma nic gorszego niż zażenowanie tym, co mnie czeka.

Demencja.

Pacjentka Kliniki Pamięci.

Wymagająca stałej opieki.

Zaciskam pięści w kieszeniach. Próbuję nie myśleć ani o chorobie, ani o mrozie, który szczypie mnie w policzki, tylko o Inuitach. O tym, jak udaje im się przetrwać jedną zimę za drugą mimo ekstremalnych warunków. Jak polują i łowią ryby mimo ciągłej ciemności trwającej miesiącami. I jak składają ofiary bogini morza Sednie, aby pozwoliła im polować na zwierzęta i nie wciągała ich w morską głębinę.

Mija pół godziny, podczas której nic się nie dzieje. Naciągam kaptur i jeszcze mocniej wciskam ręce do kieszeni. Tupię w miejscu, żeby rozgrzać stopy, i nagle nie jestem pewna, co mam ze sobą zrobić. Dom przy Kapellgränd stoi pusty i samotny, a ostre kawałki szkła leżące na chodniku pod zabitymi oknami pobłyskują w świetle księżycy jak ostre kły.

Może Manfred miał rację. Chyba powinnam była pojechać do Gunilli. Wyprowadziłabym Fridę na spacer, a potem zaszyłabym się w łóżku. I spała, nie nastawiając budzika. Zapomniałabym o tym dniu – i o tym, że Peter wysiadł z samochodu i że moje rękawiczki i czapka zostały na tylnym siedzeniu.

Przez ułamek sekundy przemyka także myśl, by zadzwonić do Owego. Ale nawet tutaj, kiedy stoję sama w przeszywanym do szpiku kości zimnie, nie wydaje się to opcją wartą rozważenia. Już wolę sterczeć samotnie przed opuszczonym domem przy Kapellgränd choćby i przez całą noc, niż wrócić do więzienia na Skeppargatan.

Ruszam powoli w stronę jarzących się świateł Götgatan. Przystaję przed jakimś pubem, wciąż niezdecydowana, co zrobić – wrócić do domu czy zostać.

I wtedy ją zauważam.

Idzie Högbergsgatan, trzymając małą dziewczynkę za rękę. Jej kroki są powolne, jakby się wahała. Ma wzrok utkwiony w ziemi. I nagle uzmysławiam sobie, że muszę wybrać. Czy mam ją zatrzymać, zagadnąć, czy pozwolić im obu iść dalej?

Również dziewczynka wlecze się noga za nogą, szura butami po śniegu i raz po raz pociąga rękę Emmy do dołu, jakby chciała się jej wyrwać. Ma rozpiętą kurtkę i gołą głowę.

Zdaję sobie sprawę, że jeżeli nic nie zrobię, małej może stać się coś złego. Na przykład zamarznie w nocy na śmierć albo zostanie gdzieś ukryta i prawdopodobnie już nigdy jej nie znajdziemy. Jeżeli jednak zaczepię Emmę, ryzykuję własne życie.

Ale właściwie co za życie mi zostało? Co czeka mnie po zakończeniu tego dochodzenia?

Klinika Pamięci?

Podchodzę do Emmy i do dziewczynki.

– Wiem, co ci zrobił Jesper Orre – mówię.

Emma Bohman zamiera w pół kroku i zerka na mnie czujnie. Mała też przystaje. Patrzy z otwartą buzią, ale milczy. Jasne włoski opadają jej w strąkach na ramiona, jakby nikt nie czesał ich od tygodni. Kurtka upstrzona jest plamami we wszystkich kolorach tęczy. Wolną rękę zaciska w pięstkę, bo pewnie jest jej zimno.

– Słucham? – odzywa się Emma.

– Wiem, że cię oszukał i zdradził. Tak samo postępował z innymi.

Mruga powiekami i unosi oczy ku księżycowi, który wisi ciężko na nocnym niebie.

– Kim pani jest? – pyta.

– Kimś, kto mnóstwo wie o Jesperze i o tym, jak postępował.

– Aha. A co pani tutaj robi?

Jej głos się łamie, czuję, że jest bliska płaczu.

– Hm, co ja tu właściwie robię? – powtarzam za nią. – Czekam na mężczyznę. Mężczyznę, który nigdy nie przyjdzie.

Patrzy mi w oczy i powoli kiwa głową.

Ostrożnie biorę ją za rękę.

– Chodź, porozmawiamy o tym.

Rozgląda się nerwowo dookoła.

– My musimy iść.

– A może wejdziemy na chwilę do środka i trochę się ogrzejemy? – proponuję. – Przecież nie możesz wiecznie uciekać, Emmo.

Gdy wypowiadam jej imię, w jej spojrzeniu pojawia się podejrzliwość. Chyba popełniłam błąd.

– Kim pani właściwie jest? Pani jest z policji?

– Nie, jestem...

– Niech się pani od nas odczepi – rzuca i wyrywa rękę z niespodziewaną siłą.

Robię krok do przodu. Próbuję spojrzeć jej w oczy, ona jednak jest szybsza i wymierza mi tak mocny cios, że ląduję jak worek na oblodzonym chodniku. Słyszę chrupnięcie w szczęce i nagle usta mam pełne krwi. Przeszywający ból promieniuje aż do ramion.

W ostatniej chwili łapię ją za nogę i staram się nie puścić.

– Zostaw mnie w spokoju, ty głupi babusie! – krzyczy i wyrywa się bez trudu.

Potem nagle widzę ją nade mną – siada mi okrakiem na piersi i patrzy prosto w twarz. Coś pobłyskuje w jej dłoni. W pierwszej chwili nie rozumiem, co to, nie domyślam się, co może zaraz się wydarzyć. A potem rozpoznaję: ona ściska w palcach duże kuchenne nożyczki. W tej samej sekundzie, kiedy unosi rękę i zamierza się na mnie, świat się zatrzymuje i nagle widzę wszystko ze zdumiewającą wyrazistością: furię w twarzy Emmy, Wilnę, która przygląda się nam jak zamurowana, z otwartą buzią, kryształki śniegu obok mojej głowy błyszczące w blasku ulicznej lampy.

I coś jeszcze.

Za szybą pubu siedzi przy stoliku Peter i wpatruje się intensywnie w niewypite jeszcze piwo.

Gdy nożyczki przebijają się przez mój płaszcz, on prostuje się, a jego

wzrok pada na mnie. Nagle jest w nim i przerażenie, i zdziwienie; natychmiast zrywa się z krzesła, przewracając szklanę.

I to wszystko.

Potem jest już tylko palący ból i nieznośne zimno chodnika. Zamykam oczy, nagle czuję obezwładniające zmęczenie. Ból tępieje, zamiast niego pojawia się miłe jak puch doznanie, jakbym leżała w pierzynie świeżego śniegu albo unosiła się kilkadziesiąt centymetrów nad twardym kamiennym chodnikiem, nieważka i zupełnie obojętna na to, co się dzieje.

Zapada przyjemna cisza.

Ale wśród tego wszystkiego czuję coś jeszcze: obecność Petera, niczym ciepłą dłoń osłaniającą moją duszę.

Emma

Cztery miesiące później

Siedzę w niedużym pokoiku i wyglądam przez okno. Za grubą szybą dostrzegam małe zielone pąki na drzewach. Alejką w dole idzie, kołysząc się jak kaczką, kobieta w ciąży. Jakiś mężczyzna prowadzi ją pod rękę. Domyślam się, że pewnie niedługo ma rodzić i kazano jej pospacerować, żeby wywołać skurcze porodowe. Oddział położniczy znajduje się w budynku obok. Dalej w głębi, za ogromnymi gmachami z czerwonej cegły, widać wodę. Jest szaroniebieska, a wiatr utworzył na jej powierzchni białe baranki.

Mówią, że jest zimno na dworze.

I że wcale nie jest tak przyjemnie, jak się wydaje, kiedy patrzy się przez okno. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy to prawda. Minęło dokładnie siedem tygodni, odkąd znalazłam się za tym ceglanym murem. Przez siedem tygodni siedziałam i wyglądałam przez te same okna, obserwowałam, jak na gałęziach pęcznieją małe, twarde pąki i jak wracają wędrowne ptaki.

Ktoś puka do drzwi. Do środka zagląda Urban.

– Napijesz się kawy?

– Wolę herbaty – odpowiadam. Wciąż nie mogę się nadziwić, że on chyba nigdy się nie nauczy, że nie piję kawy. Chociaż widzimy się prawie codziennie od tygodni, ciągle pyta, czy napiję się kawy. Cały Urban. Mimo błyskotliwej inteligencji i wyraźnego zainteresowania mną, czasami jest zupełnie zagubiony. Jakby jego myśli zwodziły go nie wiadomo dokąd, jakby nie był naprawdę obecny tu i teraz.

Znika, drzwi zamykają się z sapnięciem. Po kilku minutach wraca. Niesie dwa parujące kubki, a pod pachą trzyma notes.

– Proszę, twoja herbata.

– Dziękuję.

Siada na taborecie naprzeciw mnie i zakłada okulary w cienkiej metalowej oprawce. Potem pociera sobie brodę pokrytą krótkim zarostem i czyta notatki.

Strasznie to komiczne. Wygląda na to, że Urban za wszelką cenę próbuje zachować swego rodzaju fasadę. Jakby nasza relacja opierała się jedynie na

tym, że on jest lekarzem, a ja pacjentką. Jakby chciał zaprzeczyć prawdzie. Uśmiecham się, bo nic nie mogę na to poradzić, ale sytuacja jest absurdalna. Przecież zaledwie kilka dni temu leżeliśmy razem w moim łóżku. Byliśmy tak blisko siebie, jak tylko to możliwe między dwojgiem ludzi. A teraz on siedzi tutaj i udaje, że przegląda notatki na mój temat jak pierwszy lepszy lekarz.

Spogląda na mnie.

– Co cię tak cieszy? Przegapiłem coś?

– Nie, tylko...

Nie kończę zdania, ponieważ dobrze wiem, w czym rzecz. Jeśli mamy dalej się w to bawić, to muszę przyjąć jego warunki. Prawdopodobnie męczą go wyrzuty sumienia za to, co zrobił. Niewykluczone, że gdyby wszystko się wydało, nawet straciłby pracę. Skoro bardziej mu odpowiada udawanie, że nic się nie stało, muszę to zaakceptować.

Zdejmuje okulary i odkłada notes.

– Jak się dzisiaj czujesz, Emmo?

Wypinam pierś do przodu i niby przypadkiem lekko zsuwam sweter z jednego ramienia.

– Od czego mam zacząć?

Hanne

Tak wyobrażałam sobie wieczność.

Wszystko jest białe, rozmyte i panuje cisza. A mróz, ciągle obecny, nie wiadomo dlaczego nie wydaje się już dotkliwy. Po prostu jest, jak morze, ptaki i bogini Sedna, która czuwa w granatowoczarnej głębinie.

Przede mną leży cmentarz w Kulusuk, a za lasem prostych, białych, drewnianych krzyży rozpościera się morze, które na horyzoncie łączy się z niebem. Góry odbijają się w spokojnych wodach cieśniny Torsuut Tunoq, a po jej powierzchni przesuwiają się ogromne, turkusowoniebieskie bloki skalne.

Krzyże Inuitów są bezimiennie.

Gdy ktoś umiera, jego imię przechodzi na nowo narodzone dziecko i życie trwa dalej. To piękne, myślę. Ja też chcę mieć kiedyś bezimienny biały krzyż z drewna zamiast kłoca z granitu ze złotym napisem. Może zostanę pochowana także tutaj, na wzgórzu, gdzie ziemia nigdy nie rozmarza i trzeba ją rozkuwać.

Peter staje obok. Obejmuje mnie w pół i patrzy na cieśninę. Ogarnia mnie fala szczęścia, że przyjechał tu ze mną, przemierzył pół świata, by zobaczyć ład, o którym śniłam przez tyle lat.

Głęboka rana w brzuchu po nożyczkach już się zagoiła. Lekarze powiedzieli, że miałam dużo szczęścia. Niepojętego szczęścia. Gdyby nie notes, który leżał w wewnętrznej kieszeni i częściowo zablokował ostrze, pewnie bym już nie żyła. Cios został zadany z ogromną siłą, a wątroba, którą od nożyczek dzieliło zaledwie kilka milimetrów, jest bardzo wrażliwym organem.

Tak więc uratowały mnie mój własny zmysł porządku i strach przed utratą kontroli.

To niemal zabawne.

Dzięki temu Peter miał czas, aby wypaść z pubu i obezwładnić Emmę, a potem wezwać pomoc.

Jeszcze tego samego wieczoru pojechał do Albina, po tym jak Emma została już przejęta przez odpowiednie służby, a Wilma znalazła się pod opieką

właściwych osób. Nadal jednak nie chce mi wyjaśnić, dlaczego jego relacja z synem jest taka, jaka jest. Muszę to zaakceptować. Pogodzić się z tym. Tak jak on godzi się z moją chorobą.

Spoglądam na niego. Chyba się lekko uśmiecha, chociaż nie jestem pewna. Może tylko mruży oczy, oślepiiony jaskrawym białym światłem.

Ma nadzieję, że mi się polepszy. Wiem to. Wiem także, że nie chce mnie stracić dla choroby. Ale zdaję sobie sprawę również z tego, że to nieuniknione. Pewnego dnia osunę się w zapomnienie i stanie się dokładnie to, czego on się obawia.

Ale nie dzisiaj.

I w gruncie rzeczy chyba jedynie to się liczy, prawda?

Podziękowania

Chcę serdecznie podziękować wszystkim, którzy wspierając mnie, mają swój udział w pracy nad powieścią *Stąpając po cienkim lodzie*. Przede wszystkim dziękuję mojej wydawczyni Sarze, mojej redaktorce Katarinie oraz pozostałym współpracownikom wydawnictwa Wahlström & Widstrand, a także agentkom Astri i Christine z Ahlander Agency.

Jestem również dozgonnie wdzięczna tym, którzy przeczytali manuskrypt i bardzo mi pomogli, przekazując istotne informacje i uwagi z różnych dziedzin, począwszy od medycyny sądowej, skończywszy na kwestiach z zakresu kryminalistyki, czyli: Evie von Vogelsang, Martinowi Csatlosowi, Cinie Jennehov i Kristinie Ohlsson.

Pragnę wreszcie podziękować swojej rodzinie i przyjaciołom za zrozumienie i pełne otuchy słowa podczas pracy nad tą powieścią. Bez waszej miłości i cierpliwości nie powstałaby żadna książka!

Camilla Grebe

Spis treści

Dedykacja

Motto

Peter

Emma

Hanne

Emma

Peter

Emma

Hanne

Peter

Emma

Hanne

Emma

Peter

Emma

Hanne

Emma

Peter

Emma

Hanne

Emma

Peter

Emma

Hanne

Emma

Peter

Emma

Hanne

Emma

Peter

Emma

Hanne

Emma

Peter

Emma

Hanne

Emma

Peter

Emma

Hanne

Emma

Hanne

Podziękowania

Przypisy

[1] Największa w Szwecji sieć sklepów second hand. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Front national de libération du Sud Viêt Nam – Front Wyzwolenia Wietnamu Południowego.

[3] Centrum handlowe w dzielnicy Södermalm.

[4] Vänsterpartiet Kommunisterna – Komunistyczna Partia Lewicy.